



OPOWIEŚĆ  
O ZDERZENIU KULTUR,  
MIŁOŚCI, PRZEMIJANIU  
I ODCHODZENIU...

Japoński  
kochanek

Isabel  
Allende



Isabel  
Allende

Japoński  
kochanek

PRZEŁOŻYLI

Joanna Ostrowska  
Grzegorz Ostrowski

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE  
MUZA SA

*Moim rodzicom, Panchicie i Ramonowi,  
mądrym staruszkom*

*Stań, proszę, mej lęklivej miłości cieniu,  
wizjo magiczna, którą kocham skrycie,  
piękna ułudo, dla której mrę w zachwycie,  
słodka fikcjo, dla której trwam w cierpieniu.*

Juana Inés de la Cruz

# Spis treści

Lark House  
Francuz  
Alma Belasco  
Niewidzialny mężczyzna  
Polska dziewczynka  
Alma, Nathaniel i Ichimei  
Irina Bazili  
Seth Belasco  
Fukudowie  
Żółte niebezpieczeństwo  
Irina, Alma i Lenny  
Więżniowie  
Arizona  
Boston  
Zmartwychwstanie  
Miecz Fukudów  
Miłość  
Ślady przeszłości  
Światło i cień  
Agent Wilkins  
Tajemnice  
Spowiedź  
Tijuana  
Najlepsi przyjaciele  
Jesień  
Gardenie  
Nienarodzone dziecko  
Patriarcha  
Samuel Mendel  
Nathaniel



# Lark House

Irina Bazili zaczęła pracować w Lark House na przedmieściach Berkeley w 2010 roku. Miała wówczas dwadzieścia trzy lata i nie wiązała z tym miejscem wielkich nadziei, bo odkąd skończyła piętnaście, nieraz zmieniała pracę i adres. Nie przyszło jej nawet na myśl, że ten dom seniora okaże się dla niej miejscem idealnym i że przez trzy następne lata będzie tak szczęśliwa jak w dzieciństwie, zanim los namieszał w jej życiu. Lark House, założony w połowie dwudziestego wieku i mający zapewnić godne warunki staruszkom o niskich dochodach, nie wiedzieć czemu od samego początku przyciągał postępowych intelektualistów, gorliwych adeptów ezoteryki i artystów niezbyt wysokiego lotu. Wraz z upływem czasu zakład pod wieloma względami się zmienił, ale w dalszym ciągu pobierano tu opłaty proporcjonalne do przychodów pensjonariuszy, aby utrzymać – przynajmniej w teorii – pewne zróżnicowanie społeczne i rasowe. W praktyce wszyscy mieszkańcy byli białymi przedstawicielami klasy średniej, a różnorodność polegała na subtelnych niuansach między wolnomyślicielami, poszukiwaczami drogi duchowej, działaczami społecznymi i ekologicznymi, nihilistami i paroma hipisami znad zatoki San Francisco, którzy jeszcze pozostali przy życiu.

W trakcie pierwszej rozmowy Hans Voigt, dyrektor tej wspólnoty, dał Irinie do zrozumienia, że jest za młoda na tak odpowiedzialne stanowisko, ale ponieważ muszą pilnie zatrudnić kogoś na wakujące miejsce w dziale administracji i opieki, będzie mogła tam pracować do czasu, aż znajdą odpowiednią osobę. Irina pomyślała, że to samo można by powiedzieć o nim: wyglądał jak pucołowaty chłopczyk z przedwcześnie łąsiną i z pewnością przerastało go prowadzenie takiej placówki. Kiedy jednak później przyjrzała mu się z bliska i w lepszym świetle, doszła do wniosku, że wygląd Voigta wprowadza w błąd. Skończył już pięćdziesiąt cztery lata i tak naprawdę był znakomitym administratorem. Zapewniła go, że brak wykształcenia zrekompensuje doświadczeniem w opiece nad seniorami, zdobytym w Mołdawii, swoim rodzinnym kraju.

Nieśmiały uśmiech kandydatki zmiękczył serce dyrektora. Zapomniał nawet poprosić ją o referencje i od razu zaczął wymieniać obowiązki związane z jej stanowiskiem. Można było je streścić w kilku słowach: ułatwianie życia członkom drugiej i trzeciej grupy. Tymi z pierwszej nie musiała się zajmować, byli niezależni i po prostu wynajmowali w Lark House mieszkania. Tymi z czwartej, określanej bardzo trafnie mianem Raju, również, bo czekali oni już tylko na pójście do nieba, większość czasu spędzali na drzemce i nie potrzebowali usług, które mogła zaoferować. Do jej obowiązków miało należeć towarzyszenie pensjonariuszom w czasie wizyt u lekarza, prawnika albo księgowego, pomoc w wypełnianiu zeznań podatkowych i formularzy dotyczących stanu zdrowia, zabieranie ich na zakupy oraz inne tego rodzaju przysługi. Jedyny zaś jej kontakt ze staruszkami z Raju polegałby na organizowaniu im pogrzebów. Będzie otrzymywała szczegółowe instrukcje w zależności od przypadku, bo – jak powiedział Hans Voigt – życzenia umierających nie zawsze pokrywają się z życzeniami ich bliskich. Mieszkańcy Lark House hołdowali różnym wierzeniom; ich pogrzeby przybierały często postać skomplikowanych ceremonii ekumenicznych.

Voigt wyjaśnił, że tylko personel sprzątający, opiekunowie i pielęgniarki są zobligowani do noszenia

specjalnych strojów, istniała jednak niepisana reguła dotycząca ubiorów pozostałych pracowników: głównym wskazaniem w tej materii były szacunek dla innych i dobry gust. Na przykład T-shirt z wizerunkiem Malcolma X, który miała na sobie Irina, uchodził w tej instytucji za niestosowny, co dyrektor dobitnie podkreślił. Na podkoszulku widniała podobizna Che Guevary, ale dziewczyna nie sprostowała pomyłki, uznawszy, że Hans Voigt nigdy nie słyszał o partyzancie, który niemal pół wieku po śmierci nadal jest czczony przez Kubańczyków oraz przez garstkę radykałów z Berkeley, gdzie mieszkała również ona. Koszulka kosztowała w sklepie z używaną odzieżą dwa dolary i była prawie nowa.

– Nie wolno tu palić – ostrzegł ją dyrektor.

– Nie palę i nie piję, proszę pana.

– Jest pani zdrowa? To ważne, gdy ma się kontakt ze starymi ludźmi.

– Tak.

– Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Jestem uzależniona od gier komputerowych i powieści fantasy. Wie pan, Tolkien, Neil Gaiman, Philip Pullman. Poza tym dorabiam kąpaniem psów, ale to nie zajmuje mi dużo czasu.

– To, co pani robi po godzinach, jest pani prywatną sprawą. Proszę tylko pamiętać, że w tej pracy nie można się rozpraszać.

– Oczywiście. Jeśli da mi pan szansę, zobaczy pan, że świetnie sobie radzę ze starymi ludźmi. Nie będzie pan żałował – powiedziała dziewczyna.

Po zakończeniu rozmowy dyrektor pokazał jej obiekt, w którym znalazło dach nad głową dwieście pięćdziesiąt osób. Średnia wieku pensjonariuszy to jakieś osiemdziesiąt pięć lat. Lark House był niegdyś wspaniałą posiadłością i należał do pewnego magnata czekoladowego, który podarował ją miastu i zostawił hojną dotację na jej dalsze finansowanie. Całość składała się z domu głównego, pretensjonalnego pałacyku, który mieścił biura i pomieszczenia ogólnodostępne takie jak biblioteka, stołówka czy warsztaty, oraz z szeregu ładnych budynków krytych gontem, doskonale wkomponowanych w park, pozornie dziki, ale w rzeczywistości starannie pielęgnowany przez ekipę ogrodników. Budynki z niezależnymi apartamentami i te, w których mieszkali pensjonariusze drugiej i trzeciej grupy, łączyły szerokie zadaszone galerie, co umożliwiało poruszanie się na wózkach bez względu na pogodę. Galerie miały ściany ze szkła umożliwiające podziwianie przyrody, najlepsze lekarstwo na cierpienie niezależnie od wieku. Raj, stojąca osobno betonowa budowla, stanowiłby dysonans na tle otoczenia, gdyby nie bluszcz całkowicie pokrywający ściany. Biblioteka i sala gier były dostępne o każdej porze, salon piękności miał elastyczne godziny pracy, a w warsztatach prowadzono najróżniejsze zajęcia, od malarstwa po astrologię, dla osób, które pragnęły, by przyszłość jeszcze kiedyś je czymś zaskoczyła. W Sklepie z Przedmiotami Zapomnianymi, jak głosił napis na drzwiach, obsługiwanym przez wolontariuszki z pensjonatu, sprzedawano odzież, meble, biżuterię i inne skarby, których pensjonariusze postanowili się pozbyć albo które pozostały po zmarłych.

– Mamy tu znakomity klub filmowy. Organizujemy projekcje trzy razy w tygodniu, w bibliotece – powiedział Hans Voigt.

– A jakie filmy puszczacie? – zapytała Irina w nadziei, że będą to filmy o wampirach albo z gatunku science fiction.

– Wybiera je specjalna komisja, nasi pensjonariusze preferują kryminały, uwielbiają zwłaszcza Tarantina. Tu panuje coś w rodzaju fascynacji przemocą, ale niech się pani nie obawia, oni wiedzą, że to fikcja i że aktorzy pojawiają się w innych filmach cali i zdrowi. Nazwijmy to wentylem bezpieczeństwa.



Niektórym z naszych mieszkańców chodzą po głowie myśli o morderstwie, najczęściej kogoś z własnej rodziny.

– To tak jak mnie – palnęła Irina bez zastanowienia.

Hans Voigt uznał, że dziewczyna żartuje, i roześmiał się zadowolony; poczucie humoru cenił u swoich pracowników niemal na równi z cierpliwością.

Pośród starych drzew w parku biegały oswojone wiewiórki i zaskakująco liczne jelenie. Hans Voigt wyjaśnił, że samice przychodzą tu rodzić i wychowywać młode do czasu, aż te zaczną same dawać sobie radę, i że posiadłość jest również ostoją ptaków, zwłaszcza skowronków, od których wzięła się nazwa Lark House, dom skowronków. W strategicznych miejscach rozmieszczono kamery służące do podpatrywania zwierząt w naturalnym środowisku, a przy okazji do lokalizacji staruszków, którzy zabłądziliby albo ulegli jakiemuś wypadkowi, ale poza tym w Lark House nie stosowano innych środków bezpieczeństwa. W ciągu dnia drzwi pozostawiano otwarte, a teren obchodziło tylko dwóch nieuzbrojonych ochroniarzy, emerytowanych policjantów – jeden miał siedemdziesiątkę, drugi siedemdziesiąt cztery lata. Nie potrzeba było niczego więcej, bo jakież złoczyńca traciłby czas na nękanie starców, którzy nie mieli żadnych dochodów?

Voigt i Irina minęli po drodze dwie kobiety na wózkach inwalidzkich, grupę osób niosących sztalugi i pudełka z farbami na lekcję malarstwa w plenerze oraz kilkoro mieszkańców spacerujących z psami równie niesprawnymi jak oni sami. Posiadłość leżała nad zatoką, więc w czasie przypływu można było popływać kajakiem, z czego korzystało kilkoro pensjonariuszy, którzy nie dali się jeszcze pokonać chorobom. Tak właśnie chciałabym żyć, westchnęła Irina, wciągając głęboko słodki zapach sosen i wawrzynu i porównując miłe dla oka budynki z zatęchłymi norami, w których pomieszkiwała, od kiedy skończyła piętnaście lat.

– Na koniec, panno Bazili, powinienem wspomnieć o dwóch duchach, bo na pewno będzie to pierwsza rzecz, przed którą ostrzeże panią haitański personel.

– Nie wierzę w duchy.

– Cieszę się. Ja też nie. Duchami z Lark House są młoda kobieta w różowej sukni z woalu i mniej więcej trzyletni chłopiec. To Emily, córka czekoladowego magnata. Biedna Emily umarła z żalu, kiedy jej synek utopił się w basenie, pod koniec lat czterdziestych ubiegłego wieku. Po tym wypadku magnat opuścił dom i założył fundację.

– Chłopiec utopił się w tym basenie, który mi pan pokazał?

– Tym samym. O ile mi wiadomo, nikt więcej w nim nie zginął.

Irina miała wkrótce zrewidować swój pogląd na temat duchów; odkryła, że wielu staruszkom przez cały czas towarzyszą ich bliscy zmarli. Emily i jej syn nie byli jedynymi rezydującymi tu duchami.

Następnego dnia wcześniej rano Irina stawiała się do pracy w najlepszych dzinsach i skromnym T-shirtcie. Stwierdziła, że w Lark House panuje luźna atmosfera, ale nikt nie zaniedbuje swoich obowiązków. Zakład przypominał bardziej kampus uniwersytecki niż dom seniora. Jedzenie było takie samo jak w każdej szanującej się restauracji w Kalifornii – możliwie najbardziej organiczne – obsługa sprawna, a personel miły, jak zwykle w tego rodzaju miejscach. W ciągu kilku dni Irina nauczyła się imion i dziwactw swoich kolegów i powierzonych jej pensjonariuszy. Dzięki hiszpańskim i francuskim zwrotom, które zdołała zapamiętać, zyskała poważanie personelu, prawie w całości pochodzącego z Meksyku, Gwatemali i Haiti. Pensje nie były zbyt wysokie jak na tak ciężką pracę, ale narzekali tylko

nieliczni. „Babcie trzeba rozpieszczać, ale z szacunkiem. To samo dotyczy dziadków, ale z tymi nie należy zbyt się spoufalać, bo robią się niegrzeczni”, radziła jej Lupita Farías, mała grubaska z twarzą rzeźby olmeckiej, szefowa ekipy sprzątającej. Pracowała w Lark House od trzydziestu dwóch lat i miała dostęp do wszystkich pokoi, znała zatem najbardziej intymne sekrety lokatorów, wiedziała, jak wygląda ich życie, odgadywała, kiedy źle się czują, i dzieliła z nimi smutki.

– Uważaj na depresję, Irino. Zdarza się tu bardzo często. Jeśli zauważysz, że ktoś się izoluje, chodzi smutny, bez powodu zostaje w łóżku lub przestaje jeść, zawiadom mnie jak najszybciej, rozumiesz?

– I co robisz w takich przypadkach?

– Zależy. Głaszczę ich, za to są zawsze wdzięczni, bo starców nikt nie dotyka; robię wszystko, by wciągnął ich jakiś serial telewizyjny, nikt nie chce umrzeć, dopóki nie zobaczy ostatniego odcinka. Niektórym pomaga modlitwa, ale jest tu wielu ateistów, a ci się nie modlą. Najważniejsze żeby nie zostawiać ich samych. Jeśli nie będzie mnie pod ręką, powiadom Cathy, ona wie, co robić.

Doktor Catherine Hope, pensjonariuszka z drugiej grupy, powitała Irinę w imieniu wspólnoty. Miała sześćdziesiąt osiem lat i była najmłodszą podopieczną ośrodka. Kiedy zaczęła jeździć na wózku inwalidzkim, zdecydowała się na opiekę i towarzystwo, jakie oferował Lark House. Mieszkała tu od kilku lat i w tym czasie stała się dobrym duchem instytucji.

– Seniorzy to najzabawniejsi ludzie na świecie. Dużo przeżyli, mówią to, co chcą, i guzik ich obchodzi opinia innych. Nigdy nie będziesz się tu nudzić – powiedziała Irinie. – Nasi pensjonariusze to ludzie wykształceni; jeśli są zdrowi, dalej się uczą i szukają nowych doznań. W tej wspólnocie jest chęć do działania, co pozwala uniknąć najgorszego nieszczęścia związanego ze starością: samotności.

Irina wiedziała o postępowym nastawieniu mieszkańców Lark House, bo nieraz było o nim głośno. Istniała lista oczekujących, którzy latami próbowali się tu dostać; byłaby dłuższa, gdyby nie to, że wielu kandydatów umierało, zanim przyszła ich kolej. Ci starcy stanowili niezbity dowód na to, że wiek, ze wszystkimi jego ograniczeniami, nie przeszkadza w zabawie ani w uczestniczeniu w sprawach tego świata. Wielu z nich aktywnie działało w ruchu Starcy dla Pokoju, poświęcając piątkowe poranki na uliczne protesty przeciwko wszelkim aberracjom i niesprawiedliwościom, zwłaszcza tym popełnianym przez imperium północnoamerykańskie, za które czuli się odpowiedzialni. Aktywiści, wśród nich pewna mająca sto jeden lat dama, spotykali się na miejscowym placu naprzeciwko posterunku policji, przyjeżdżali tam na wózkach inwalidzkich, przychodzili, podpierając się laskami i balkonikami rehabilitacyjnymi, przynosili transparenty z hasłami przeciwko wojnie czy globalnemu ociepleniu. Ludzie udzielali im poparcia, wciskając klaksony albo podpisując petycje, które zapalczywi dziadkowie podsuwali im pod nos. Nieraz pokazywano tych wichrzycieli w telewizji. Policja ośmieszała się, próbując ich rozproszyć groźbą użycia gazów łzawiących, której nigdy nie wprowadzano w życie. Wzruszony Hans Voigt pokazał Irinie tabliczkę w parku na cześć pewnego muzyka, który zmarł w 2006 roku w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat na polu walki i w pełnym słońcu: dostał wylewu krwi do mózgu w trakcie protestu przeciwko wojnie w Iraku.

Irina wychowała się w mołdawskiej wiosce zamieszkaanej przez starców i dzieci. Nikt nie miał tam zębów – starcom wypadły z powodu zużycia, dzieci właśnie traciły mleczaki. Nie pierwszy raz w ciągu ostatnich lat na myśl o swoich dziadkach poczuła żal, że ich opuściła. W Lark House miała okazję dać innym to, czego nie mogła zaoferować im; z takim podejściem przystąpiła do opieki nad osobami, które jej powierzono. Szybko zjednała sobie wszystkich mieszkańców, także tych z pierwszej grupy, niezależnych.

Od początku zwróciła uwagę na Almę Belasco. Wyróżniała się spośród innych kobiet

arystokratycznymi manierami i polem magnetycznym, które oddzielało ją od pozostałych śmiertelników. Lupita Farías twierdziła, że Belasco nie pasuje do Lark House, że nie zagrzeje tu długo miejsca i że w każdej chwili może przyjechać po nią ten sam szofer, który przywiózł ją do ośrodka mercedesem. Ale mijały miesiące i nic takiego się nie wydarzyło. Irina obserwowała Almę Belasco z daleka, ponieważ Hans Voigt polecił jej, by skoncentrowała się na osobach z drugiej i trzeciej grupy i nie zaprzętała sobie głowy niezależnymi. Była i tak wystarczająco zajęta pracą ze swoimi klientami – nie nazywano ich pacjentami – i poznawaniem tajników nowej pracy. W ramach szkolenia musiała obejrzeć filmy z ostatnich pogrzebów: pewnej Żydówki buddystki i nawróconego agnostyka. Z kolei Alma Belasco nie zwróciłaby uwagi na Irinę, gdyby nie okoliczności, które szybko uczyniły z dziewczyny najbardziej kontrowersyjną osobę w całej wspólnotce.

# Francuz

W Lark House przygnębiającą większość stanowiły kobiety. Jacques Devine uchodził tu za prawdziwą gwiazdę, jedyne go amanta wśród dwudziestu ośmiu mężczyzn mieszkających w zakładzie. Nazywano go Francuzem, nie dlatego, że urodził się we Francji, ale z powodu nienagannyh manier – przepuszczał kobiety przodem, odsuwał im krzesło, żeby mogły usiąść, i nigdy nie chodził z rozpiętym rozporkiem – oraz dlatego, że tańczył pomimo pełnych żelastwa pleców. W wieku dziewięćdziesięciu lat trzymał się prosto dzięki prętom, śrubkom i nakrętkom w kręgosłupie. Na głowie pozostały mu resztki kręconych włosów. Ponadto umiał grać w karty, bezczelnie przy tym oszukując. Był zdrowy na ciele, nie licząc normalnego w tym wieku artretyzmu, wysokiego ciśnienia i nieuniknionej u schyłku życia głuchoty, a także dość przytomny, nie na tyle jednak, by pamiętać, czy zjadł obiad. Dlatego zakwalifikowano go do drugiej grupy, gdzie miał do dyspozycji niezbędną pomoc. Przybył do Lark House ze swoją trzecią żoną, która mieszkała tu zaledwie trzy tygodnie, zanim zginęła potrącona na ulicy przez roztargnionego rowerzystę.

Francuz zaczynał dzień wcześnie: brał prysznic, golił się i ubierał z pomocą Jeana Daniela, haitańskiego opiekuna, po czym podpierając się laseczką i uważając na rowerzystów, przechodził na drugą stronę parkingu do Starbucksa na rogu, żeby wypić pierwszą ze swoich pięciu codziennych filiżanek kawy. Raz się rozwiódł, dwukrotnie owdowiał, nigdy nie brakowało też zakochanych w nim kobiet, które uwodził sztuczkami iluzjonisty. Któregoś dnia obliczył, że zakochiwał się sześćdziesiąt siedem razy; zapisał to w notesie, żeby nie zapomnieć przynajmniej liczby, bo twarze i imiona szczęściarek zacierały się w jego pamięci. Miał kilkoro oficjalnych dzieci i jedno spółdzone pokątnie z kobietą, której imienia nie pamiętał, a także licznych siostrzeńców. Niewdzięcznicy liczyli dni do jego odejścia na tamten świat w nadziei na spadek. Chodziły słuchy, że posiada małą fortunę, którą zbił dzięki wielkiej zuchwałości i brakowi skrupułów. Sam bez cienia skruchy przyznawał, że siedział w więzieniu, gdzie dorobił się pirackich tatuaży na ramionach, które zacierały się w miarę upływu czasu z powodu wiotczenia skóry oraz starczych plam i zmarszczek, i gdzie znacznie się wzbogacił, spekulując oszczędnościami strażników.

Pomimo zabiegów wielu pań z Lark House, które nie zostawiały mu zbyt dużego pola na miłosne manewry, Jacques Devine zapalał miłością do Iriny Bazili od chwili, gdy zobaczył ją, jak idzie ze swoim zeszytem do robienia notatek, kręcąc wystającą pupą. Dziewczyna nie miała nawet kropli krwi karaibskiej, dlatego jej tyłek Mulatki należało traktować jako cud natury – tak twierdził Francuz po pierwszym martini, zdziwiony, że nikt oprócz niego nie zwrócił na to uwagi. Najlepsze lata spędził na robieniu interesów, krążąc między Portoryko i Wenezuelą, i tam przyzwyczaił się do oceniania kobiet od tyłu. Ich majestatyczne pośladki wyryły się na zawsze na siatkówce jego oczu, śnił o nich, widział je wszędzie, nawet w tak nieodpowiednim miejscu jak Lark House i u kobiety tak chudej jak Irina. Jego życie staruszka, bez planów na przyszłość i bez ambicji, wypełniła nagle późna zaborcza miłość, która zakłóciła spokojną rutynę. Niedługo po tym, jak ją poznał, okazał swój entuzjazm, ofiarowując jej skarabeusza z topazu i brylantów, jeden z nielicznych klejnotów po zmarłych żonach, z których potomkom nie udało się go ograbić. Irina nie chciała przyjąć prezentu, ale po jej odmowie ciśnienie zakochanego

Francuza skoczyło i musiała siedzieć przy nim przez całą noc na oddziale ratunkowym. Jacques Devine, podłączony do worka z solą fizjologiczną skapującą mu do żyły, wyznał pośród westchnień i wymówek swoją bezinteresowną, platoniczną miłość. Pragnął jedynie jej towarzystwa, chciał cieszyć oczy jej młodością i urodą, słuchać jej jasnego głosu, wyobrazić sobie, że ona też go kocha, nawet jeśli miałyby to być tylko uczucie, jakim córka darzy ojca. Mogła go nawet kochać jak pradziadka.

Następnego dnia po południu, po powrocie do Lark House, Jacques Devine sączył swoje rytualne martini, a w tym czasie Irina, z zaczerwienionymi spojówkami i sińcami pod oczyma z powodu nieprzespanej nocy, opowiadała o całym zajściu Lupicie Farías.

– To żadna nowina, dziecko. Co rusz przyłapujemy pensjonariuszy w cudzych łóżkach, nie tylko dziadków, ale także panie. Z braku mężczyzn biedaczki muszą się zadowolić tym, co mają pod ręką. Każdy potrzebuje towarzystwa.

– W przypadku pana Devine’a chodzi o miłość platoniczną.

– Nie wiem, co to takiego, ale jeśli to jest to, o czym myślę, nie wierz mu. Francuz ma implant zamiast siusiaka, plastikową kiełbaskę, którą nadmuchuje się pompką ukrytą między jajami.

– Co ty opowiadasz, Lupito! – zaśmiała się Irina.

– To, co słyszysz. Przysięgam ci. Ja sama nie widziałam, ale Francuz pokazał go Jeanowi Danielowi. Było co oglądać.

Mając na uwadze dobro Iriny, poczciwa kobieta podzieliła się z nią swoimi spostrzeżeniami z wieloletniej pracy w Lark House: zaawansowany wiek nie czyni sam z siebie nikogo lepszym ani mądrzejszym, on jedynie uwydatnia to, kim każdy był od zawsze.

– Ktoś, kto jest zachłanny, z upływem lat nie staje się szczodry; staje się jeszcze bardziej zachłanny. Devine z pewnością zawsze był playboyem i teraz też jest starym rozpustnikiem – zakończyła Lupita. Irina nie mogła zwrócić konkurentowi broszy, zaniósła więc skarabeusza Hansowi Voigtowi, który poinformował ją o absolutnym zakazie przyjmowania napiwków i prezentów. Zasady tej nie stosowano w przypadku dóbr oddawanych Lark House przez umierających ani darowizn przekazywanych po cichu przez tych, którzy chcieli umieścić członka rodziny na początku listy oczekujących, ale nie tego dotyczyła ich rozmowa. Dyrektor przyjął koszmarnego owada z topazu i powiedział, że zwróci go prawowitemu właścicielowi, na razie jednak schował go do szuflady biurka w swoim gabinecie.

Tydzień później Jacques Devine przesłał Irinie sto sześćdziesiąt dolarów w banknotach dwudziestodolarowych. Tym razem zwróciła się bezpośrednio do Lupity Farías, która była zwolenniczką prostych rozwiązań: wrzuciła pieniądze do pudełka po cygarach, gdzie amant przechowywał gotówkę, pewna, że nie będzie pamiętał, czy je kiedykolwiek wyjmował ani ile ich ma. W ten sposób Irina rozwiązała kwestię napiwków, ale nie problem namiętnych listów, zaproszeń na kolację do drogich restauracji, rozmaitych pretekstów, by wezwać ją do swojego pokoju i opowiadać o sukcesach, których nigdy nie odniósł, a wreszcie oferty matrymonialnej. Francuz, tak zręczny w sztuce uwodzenia, teraz jakby powrócił do lat wczesnej młodości z jej bolesnym obciążeniem, jakim jest nieśmiałość, i zamiast oświadczyć się osobiście, wysłał jej bardzo czytelny, bo napisany na komputerze, list. Koperta zawierała dwie strony pełne niewyrażonych wprost myśli, metafor i powtórzeń, które sprowadzały się do tego, że Irina przywróciła mu energię i chęć do życia, on oferuje jej dobrobyt, na przykład na Florydzie, gdzie zawsze grzeje słońce, a kiedy owdowieje, będzie finansowo zabezpieczona. Jakkolwiek potraktuje jego ofertę, zawsze na tym skorzysta, bo różnica wieku działa na jej korzyść. Podpis miał postać gryzmołów przypominających ślady odnóży komara. Dziewczyna nie poinformowała o niczym dyrektora, bo bała się, że wyrzuci ją nabruk, i pozostawiła list bez odpowiedzi w nadziei, że amant o nim zapomni, ale tym

razem pamięć Jacques'a Devine'a zadziałała prawidłowo. Odmłodzony przez namiętność dalej słał jej coraz bardziej natarczywe propozycje, a ona starała się go unikać. Zanosila modły do świętej Paraskewy, żeby staruszek skierował uwagę na tuzin prześladowających go osiemdziesięcioletnich dam.

Sytuacja stawała się coraz poważniejsza. Dalsze przymykanie na nią oczu byłoby niemożliwe, gdyby nie pewne nieoczekiwane wydarzenie, które zakończyło życie Jacques'a Devine'a, a przy okazji rozwiązało dylemat Iriny. W owym tygodniu Francuz dwukrotnie wyjeżdżał gdzieś taksówką, nie udzieliwszy nikomu żadnych wyjaśnień, co w jego przypadku było niezwykle, bo na ulicy tracił orientację. Towarzystwo mu należało do obowiązków Iriny, ale on wymykał się po kryjomu, nie zdradzając słowem swoich zamiarów. Drugi wyjazd najwyraźniej nadwerżył jego siły, wrócił do Lark House tak skołowany i słaby, że kierowca musiał praktycznie wynieść go na rękach z taksówki i przekazać recepcjonistce niczym pakunek.

– Co się panu stało? – zapytała kobieta.

– Nie wiem, mnie tam nie było – odparł Devine.

Po zbadaniu Francuza i stwierdzeniu, że ciśnienie jest w normie, dyżurny lekarz uznał, iż nie ma sensu wysłać go ponownie do szpitala. Zalecił dwudniowy odpoczynek w łóżku, powiadomił jednak Hansa Voigta, że stan umysłu Jacques'a Devine'a nie pozwala na pozostawienie go w drugiej grupie: nadszedł czas, by przeszedł do trzeciej, gdzie będzie miał stałą opiekę. Następnego dnia dyrektor właśnie zbierał się, by powiadomić Devine'a o tej zmianie – a w takich momentach zawsze czuł suchość w ustach, wszystkim bowiem było wiadomo, że trzecia grupa jest przedsionkiem do Raju, oddziału bez powrotu – kiedy Jean Daniel, haitański opiekun, zmieniony na twarzy poinformował Voigta, że poszedł do Jacques'a Devine'a, żeby pomóc mu się ubrać, i znalazł go sztywnego i zimnego. Lekarz zaproponował sekcję zwłok, bo kiedy badał go dzień wcześniej, nie zauważył niczego, co tłumaczyłoby tę niemiłą niespodziankę, ale Hans Voigt nie wyraził zgody. Po co podawać w wątpliwość coś tak przewidywalnego jak naturalny zgon człowieka, który ma pięćdziesiąt lat. Sekcja zwłok mogłaby podważyć nieposzlakowaną opinię, jaką cieszył się Lark House. Irina dość długo płakała, dowiedziawszy się o tym zdarzeniu, bo wbrew samej sobie polubiła tego śmiesznego Romea, nie mogła jednak pohamować uczucia ulgi, że się od niego uwolniła, a jednocześnie wstydu, że tę ulgę czuła.

Śmierć Francuza połączyła klub jego wielbicielk we wspólnej wdowiej żałobie, ale zabrakło im pociechy w postaci ceremonii pożegnalnej, albowiem bliscy zmarłego uciekli się do najprostszego sposobu: jak najszybszego spalenia zwłok.

Wszyscy wkrótce zapomnieliby o Devinie łącznie z zakochanymi w nim kobietami, gdyby jego rodzina nie rozpętała prawdziwej burzy. Niedługo po tym, jak bez wielkich emocji rozrzucano jego prochy, potencjalni spadkobiercy dowiedzieli się, że wszystko, co staruszek posiadał, zostało zapisane niejkiej Irinie Bazili. Jak głosiła krótka notatka dołączona do testamentu, Irina obdarzyła Francuza czułością na ostatnim etapie jego długiego życia, dlatego zasługiwała, by po nim dziedziczyć. Adwokat Jacques'a Devine'a wyjaśnił, że jego klient poprosił telefonicznie o dokonanie zmian w testamencie, a następnie dwukrotnie stawił się w jego biurze, najpierw aby przejrzeć papiery, potem zaś by podpisać je w obecności notariusza, i że doskonale wiedział, co robi. Krewni Francuza zarzucili administracji Lark House zlekceważenie stanu umysłu staruszka, a owej Irinie Bazili kradzież z premedytacją. Poinformowali, że postanowili podważyć testament, oskarżyć adwokata o nieudolność, notariusza o to, że był z nim w zмовie, a Lark House o straty materialne i moralne. Hans Voigt przyjął tłum sfrustrowanej rodziny ze spokojem i kurtuazją, nabytymi w ciągu długich lat kierowania placówką, ale w środku

gotował się z wściekłości. Nie spodziewał się po Irinie takiej niegodziwości; uważał ją za niezdolną do zabicia muchy, ale człowiek uczy się przez całe życie, nikomu nie można ufać. Na osobności zapytał adwokata, o jaki majątek chodzi; okazało się, że o jakieś pustynne tereny w Nowym Meksyku i akcje kilku spółek, których wartość należało dopiero oszacować. Suma w gotówce nie była znacząca.

Dyrektor poprosił o dwadzieścia cztery godziny, żeby wynegocjować rozwiązanie mniej kosztowne niż spór sądowy, i kazał Irinie pilnie stawić się w swoim gabinecie. Miał zamiar załatwić tę kłopotliwą sprawę w białych rękawiczkach. Nie zależało mu na tym, żeby robić sobie wroga z tej przebiegłej kobiety, jednak kiedy przed nim stanęła, stracił panowanie nad sobą.

– Chciałbym wiedzieć, jak do cholery, udało ci się uwieść starego!

– O kim pan mówi?

– A o kim mam mówić? O Francuzie oczywiście! Jak mogło do tego dojść pod moim nosem?

– Przepraszam, nic nie mówiłam, żeby pana nie martwić, myślałam, że sprawa sama się rozwiąże.

– I rzeczywiście się rozwiązała! Co ja mam powiedzieć rodzinie?

– Nie muszą o niczym wiedzieć. Staruszkowie się zakochują. Pan o tym wie, ale ludzi z zewnątrz to szokuje.

– Spałaś z Devine'em?

– Nie! Jak pan śmie?

– W takim razie nic nie rozumiem. Dlaczego ustanowił cię jedyną spadkobierczynią?

– Co takiego?

Zbity z tropu Voigt skonstatował, że Irina Bazili nie podejrzewała, jakie są prawdziwe intencje Francuza; szczerze zdumiała ją treść testamentu. Zamierzał jej powiedzieć, że odebranie należności może ją drogo kosztować, bo prawowici spadkobiercy będą walczyć o każdy cent, ale ona oświadczyła nagle, że niczego nie chce, to byłyby pieniądze zdobyte nieuczciwie i przyniosłyby jej nieszczęście. Powiedziała, że Jacques Devine miał nie po kolei w głowie, o czym każdy w Lark House mógł zaświadczyć, i że najlepiej załatwić sprawę po cichu, wystarczyłaby diagnoza lekarska o starczej demencji. Musiała to powtórzyć, żeby zdezorientowany dyrektor zrozumiał, do czego zmierza.

Na nic zdały się środki ostrożności podjęte, by utrzymać sprawę w tajemnicy. Wszyscy się o niej dowiedzieli, a Irina Bazili z dnia na dzień została najbardziej kontrowersyjną osobą wspólnoty, podziwianą przez pensjonariuszy i krytykowaną przez Latynosów i Haitańczyków z obsługi, którzy uważali odmowę przyjęcia pieniędzy za grzech. „Nie pluj w niebo, bo ślina spadnie ci na twarz”, oznajmiła sentencjonalnie Lupita Farías, ale Irina nie znalazła rumuńskiego odpowiednika tego zagadkowego przysłowia. Dyrektor, będący pod wrażeniem bezinteresowności skromnej imigrantki z kraju, który trudno znaleźć na mapie, dał jej stały etat, czterdzieści godzin tygodniowo i pensję wyższą niż zarobki jej poprzedniczki. Poza tym przekonał rodzinę Jacques'a Devine'a, żeby przekazała Irinie dwa tysiące dolarów w dowód wdzięczności. Dziewczyna nigdy nie dostała obiecanej sumy, ale ponieważ była dla niej niewyobrażalnie wysoka, szybko o niej zapomniała.

# Alma Belasco

Nieoczekiwany spadek po Jacques’u Devinie sprawił, że Alma Belasco zainteresowała się Iriną i wezwała ją do siebie, kiedy ucichła burza plotek. Przyjęła dziewczynę w swoim urządzonym po spartańsku mieszkanku. Siedziała sztywno, godna niczym cesarzowa, w niedużym fotelu o morelowym obiciu, z Neko – swoim pręgowanym kotem – na kolanach.

– Potrzebuję sekretarki. Chcę, żebyś dla mnie pracowała – wyjaśniła.

To nie była propozycja, to był rozkaz. Zaskoczył Irinę, Alma bowiem rzadko odpowiadała na jej powitanie, kiedy mijaly się na korytarzu; poza tym połowa pensjonariuszy żyła skromnie z emerytur, czasem uzupełnianych dzięki wsparciu bliskich, wielu musiało się ograniczać do usług oferowanych przez ośrodek, bo nawet dodatkowy posiłek mógł nadwerężyć ich szczupły budżet, nikt więc nie mógł sobie pozwolić na luksus zatrudnienia osobistej asystentki. Widmo biedy, podobnie jak widmo samotności, stale krążyło wokół starców. Irina wyjaśniła Almie, że nie ma zbyt dużo czasu, bo po pracy w Lark House dorabia w kawiarni, a oprócz tego jeździ kąpać psy.

– O co chodzi z tymi psami? – zapytała Alma.

– Mam współnika, Tima, jest moim sąsiadem z Berkeley. Tim ma pikapa, w którym zamontował dwie wanny i długi wąż; jeździmy do domów psów, to znaczy właścicieli psów, podłączamy wąż do instalacji wodnej i kąpiemy klientów, czyli psy, na podwórku albo na ulicy. Czyścimy im też uszy i obcinamy paznokcie.

– Psom? – Alma uśmiechnęła się nieznacznie.

– Tak.

– Ile zarabiasz za godzinę?

– Dwadzieścia pięć dolarów od psa, ale dzielimy się z Timem po połowie, czyli wychodzi po dwanaście pięćdziesiąt.

– Wezmę cię na próbę, trzynaście dolarów za godzinę, przez trzy miesiące. Jeśli będę zadowolona z twojej pracy, podwyższę stawkę do piętnastu. Będiesz przychodziła do mnie po południu, kiedy skończysz pracę w Lark House, na początek na dwie godziny dziennie. Czas pracy może być elastyczny, w zależności od moich potrzeb i twojej dyspozycyjności. Umowa stoi?

– Mogłabym rzucić kawiarnię, proszę pani, ale nie zostawię psów, znają mnie już i na mnie czekają.

Na tym stanęło i tak powstała więź, która wkrótce zmieniła się w przyjaźń.

W pierwszych tygodniach swojej nowej pracy Irina chodziła wokół Almy Belasco na paluszkach, nieco zagubiona, bo kobieta okazała się despotyczna, wymagająca nawet w błahych sprawach i niezbyt precyzyjna przy wydawaniu poleceń. Szybko jednak przestała bać się nowej pracodawczyni, a Alma po jakimś czasie nie umiała się bez niej obyć, podobnie jak wielu innych mieszkańców Lark House. Irina obserwowała ją z fascynacją zoologa, jakby patrzyła na nieśmiertelną salamandrę. Ta kobieta nie przypominała żadnej ze znanych jej osób, a już na pewno żadnego ze starszków z drugiej i trzeciej grupy.



Zazdrośnie strzegła swojej niezależności, nie była sentymentalna ani przywiązana do rzeczy materialnych, wydawała się wolna od słabości – z wyjątkiem tej, jaką miała do wnuka Setha – i czuła taką pewność siebie, że nie szukała wsparcia w Bogu ani w przesłodzonej świątobliwości, jak to czyniło wielu lokatorów Lark House, którzy odkrywali nagle, że są uduchowieni, i propagowali rozmaite sposoby na osiągnięcie wyższego stadium świadomości. Alma twardo stąpała po ziemi. Irina przypuszczała, że jej wyniosłość jest obroną przed ludzką ciekawością, a prostota rodzajem elegancji, którą niewiele kobiet potrafiłoby naśladować, nie wyglądając przy tym niechlujnie. Białe, twarde włosy miała przycięte w nierówne kosmyki, które czesała palcami. Jedynym ustępstwem na rzecz próżności były pomalowane na czerwono usta i męskie perfumy o zapachu bergamotki i pomarańczy, których używała; ich świeży aromat wypierał unoszącą się w Lark House lekką woń środka dezynfekującego, starości, a czasami marihuany. Miała wydatny nos, dumne usta, smukłą sylwetkę, spracowane dłonie wyrobnika, brązowe tęczęwki, grube ciemne brwi i fioletowe worki pod oczami, które nadawały jej wygląd osoby cierpiącej na bezsenność i których nie były w stanie zamaskować okulary w czarnej oprawce. Jej tajemnicza aura narzucała dystans; nikt z personelu nie zwracał się do niej protekcjonalnym tonem, którego zwykle używano wobec innych pensjonariuszy, nikt też nie mógł się poszczycić, że ją zna, do czasu aż Irina Bazili zdołała przeniknąć do twierdzy jej intymności.

Alma żyła ze swoim kotem w mieszkanku wyposażonym tylko w najpotrzebniejsze meble i przedmioty codziennego użytku i jeździła najmniejszym dostępnym na rynku samochodem bez krzty szacunku dla przepisów ruchu drogowego, które uważała za nieobowiązujące (do zadań Iriny należało między innymi płacenie mandatów). Była uprzejma, bo to wynikało z dobrych manier, ale w Lark House przyjaźniła się jedynie z ogrodnikiem Victorem, z którym spędzała dużo czasu na sadzeniu w wiszących skrzynkach kwiatów i innych roślin, oraz z doktor Catherine Hope, której zwyczajnie nie potrafiła się oprzeć. Miała wynajętą pracownię w hali podzielonej drewnianymi ściankami na mniejsze pomieszczenia, zajmowane przez inne osoby parające się rękodziełem. Malowała na jedwabiu, tyle że już nie pod wpływem inspiracji artystycznej, tak jak to czyniła przez ostatnie sześćdziesiąt lat, ale żeby nie umrzeć przedwcześnie z nudów. Spędzała w swoim atelier kilka godzin tygodniowo w towarzystwie Kirsten, pomocnicy, której zespół Downa nie przeszkadzał w wykonywaniu obowiązków. Kirsten znała kombinacje kolorów i narzędzia używane przez Alnę, przygotowywała jedwab, utrzymywała porządek w pracowni i czyściła pędzle. Obie kobiety pracowały w doskonałej harmonii, nie potrzebowały słów, odgadywały nawzajem swoje zamiary. Kiedy Almie zaczęły drzeć ręce i zabrakło im pewności, zatrudniła dwoje studentów, żeby kopiowali na jedwabiu rysunki, które robiła na papierze, a jej wierna asystentka pilnowała ich nieufnie niczym więzienny strażnik. Kirsten była jedyną osobą, która ośmielała się ścisnąć Alnę na powitanie i w przyływach nagłej czułości przerywać jej pracę pocałunkami i cmoknięciami.

Alma zyskała sławę dzięki swoim kimonom, tunikom, apaszkom i szalom w oryginalne wzory w odważnych kolorach. Sama ich nie nosiła, wolała szerokie spodnie i lniane bluzki, czarne, białe lub szare, zebracze łachmany zdaniem Lupity Farías, która nawet nie podejrzewała, ile kosztują te „szmaty”. Jej malowane tkaniny sprzedawano w galeriach sztuki po astronomicznych cenach, a pieniądze szły na Fundację Belasców. Kolekcje Almy były inspirowane podróżami po świecie – zwierzętami z Serengeti, ceramiką osmańską, pismem etiopskim, inkaskimi hieroglifami czy greckimi płaskorzeźbami. Jeśli zostały skopiowane przez konkurencję, szukała innych tematów. Odmówiła sprzedaży swojej marki i współpracy z projektantami mody; oryginał był powielany w niewielkiej liczbie egzemplarzy pod ścisłym nadzorem Almy, każdą sztukę opatrywała własnoręcznym podpisem. W najlepszym okresie pracowało dla niej pięćdziesiąt osób, w dużej hali przemysłowej w południowej części Market Street w San Francisco

produkcja szła pełną parą. Nigdy się nie reklamowała, bo nie musiała niczego sprzedawać, żeby zarobić na życie, mimo to jej nazwisko stało się gwarancją niepowtarzalności i doskonałości. Kiedy skończyła siedemdziesiąt lat, postanowiła ograniczyć produkcję ze szkodą dla Fundacji Belasców, zasilanej dochodami ze sprzedaży jej kolekcji.

Fundacja, założona w 1955 roku przez jej teścia, legendarnego Isaaca Belasca, zajmowała się tworzeniem terenów zielonych w trudnych dzielnicach. Ta inicjatywa, której przyświecały cele przede wszystkim estetyczne, ekologiczne i rekreacyjne, przyniosła niespodziewane korzyści społeczne. Tam gdzie pojawiał się ogródek, park lub skwerek, malała przestępczość, bo członkowie gangów i narkomani, którzy wcześniej byli gotowi pozabijać się nawzajem z powodu działki heroiny czy trzydziestu centymetrów kwadratowych terytorium, teraz łączyli siły, by dbać o należącą do nich część miasta. W niektórych parkach powstawały murale, w innych pojawiły się rzeźby czy place zabaw, wszystkie gromadziły artystów i muzyków umiłających publiczności odpoczynek. Fundacją Belasców zarządzał pierwszy męski potomek rodu z danego pokolenia. Była to niepisana zasada, której nie zmieniała emancypacja kobiet, jako że żadna z córek nie zadała sobie trudu, żeby ją zakwestionować; któregoś dnia miała nadejść kolej Seta, prawnuka założyciela. Chłopak bynajmniej nie pragnął tego zaszczytu, stanowiąc on jednak część jego schedy.

Alma Belasco tak przywykła do rządzenia i utrzymywania dystansu wobec innych ludzi, a Irina do przyjmowania rozkazów i do dyskrecji, że nigdy nie obdarzyłyby się wzajemnym szacunkiem, gdyby nie interwencja Seta Belasca, ulubionego wnuka Almy, który postanowił obalić dzielący je mur. Seth poznał Irinę Bazili niedługo po tym, jak jego babcia zamieszkała w Lark House, i dziewczyna natychmiast podbiła jego serce, choć sam nie potrafiłby powiedzieć czym. Mimo swojego imienia nie przypominała piękności z Europy Wschodniej, które w ostatnim dziesięcioleciu zdobyły szturmem kluby dla mężczyzn i agencje modelek – żadnych żyrafich kości, mongolskich policzków ani rozmarzonej pozy odaliski. Była tak bezbarwna, a jej pragnienie, żeby stać się niewidzialną, tak duże, że zwrócenie na nią uwagi wymagało ogromnej spostrzegawczości. Luźne ubrania i wełniana czapka naciągnięta na brwi nie ułatwiały dostrzeżenia jej w tłumie. Seta uwiodły jej inteligencja, elfia twarz w kształcie serca, z głębokim dołeczkiem w brodzie, zielonkawę płochliwe oczy, smukła szyja, która podkreślała kruchość dziewczyny, skóra tak biała, że lśniła w ciemności. Roztkliwiały go nawet jej dziecięce dłonie z poobgryzаныmi paznokciami. Czuł nieznane dotąd pragnienie, by ją chronić i obsypywać względami – było to dla niego nowe, niepokojące uczucie. Irina nosiła tyle warstw ubrań włożonych jedno na drugie, że nie dało się ocenić jej figury, ale kilka miesięcy później, kiedy lato zmusiło ją do zdjęcia rozpinanych swetrów, ukazała się zgrabna dziewczyna, atrakcyjna w swoim niedbałym stylu. Wełnianą czapkę zastąpiły cygańskie chusty, które nie zasłaniały całkowicie włosów – jej twarz okalały teraz pojedyncze jasne, niemal białe loki.

Na początku babcia była jedynym ogniwem łączącym Seta z dziewczyną, jako że nie sprawdziła się żadna z jego tradycyjnych metod. Dopiero po jakimś czasie odkrył nieodpartą moc pisania. Opowiedział Irinie, że z pomocą babci odtwarza półtora wieku dziejów Belasców i San Francisco, od założenia miasta do chwili obecnej. Od szesnastego roku życia miał w głowie tę epopeję, hałaśliwy potok obrazów, anegdot, pomysłów, słów, całej masy słów, które zaleją go, jeśli nie zdoła ich przelać na papier. Ten opis był mocno przekoloryzowany – potok przypominał raczej anemiczny strumyk – ale tak pobudził wyobraźnię Iriny, że Sethowi nie pozostało nic innego, jak tylko zabrać się do pisania. Poza odwiedzinami u babci, która wносиła do jego dzieła tradycję ustną, zaczął szukać informacji w książkach i w internecie, a także zbierać zdjęcia i listy z różnych epok. Zdobył uznanie w oczach Iriny, ale nie Almy,

która zarzucała mu, że może i ma wspaniałe pomysły, ale jest chaotyczny, a to zgubne połączenie dla pisarza. Gdyby Seth zadał sobie trud, żeby się nad tym zastanowić, przyznałby, że babcia i książka stanowią pretekst do widywania Iriny, postaci wyjętej z nordyckiej baśni, przeniesionej do miejsca, w którym najmniej można by się jej spodziewać – domu spokojnej starości. Natomiast choćby nie wiadomo jak długo się zastanawiał, nie zdołałby wytłumaczyć, dlaczego tak bardzo go pociąga, z tymi swoimi kosteczkami sieroty i bladością suchotnicy, niepasującymi do jego ideału kobiety. Podobały mu się zdrowe, wesołe, opalone, nieskomplikowane dziewczyny, których było na pęczki w Kalifornii i w jego przeszłości. Irina zdawała się nie zauważać, jakie robi na nim wrażenie, traktowała go z roztargnioną sympatią, którą zazwyczaj wykazywała wobec cudzych psów czy kotów. Ta uprzejma obojętność, którą niegdyś potraktowałby jak wyzwanie, paraliżowała go, wprowadzając w stan permanentnej nieśmiałości.

Babcia zajęła się grzebaniem w swoich wspomnieniach, żeby wesprzeć wnuka przy pisaniu książki, którą – jak sam jej wyznał – zaczynał i porzucał od dziesięciu lat. Projekt był ambitny, a nikt nie mógł mu w nim pomóc bardziej niż Alma, która miała dużo wolnego czasu i nie doświadczyła jeszcze objawów starczej demencji. Teraz jeździła z Iriną do rezydencji Belasców w Sea Cliff przeglądać pudła, których nikt nie ruszał od jej wyprowadzki. Dawny pokój był zamknięty, wchodziło do niego tylko po to, żeby zetrzeć kurze. Alma porozdawała niemal wszystkie swoje rzeczy: synowa i wnuczka dostały biżuterię poza bransoletkę z brylantami, którą zachowała dla przyszłej żony Seta; szpitale i szkoły – książki; organizacje charytatywne – ubrania i futra, których w Kalifornii nikt nie miał odwagi nosić ze strachu przed obrońcami zwierząt, bo w przystępie szału mogli pociąć je na człowieku; pozostałe rzeczy oddała tym, którzy chcieli je wziąć, a sobie zostawiła jedyne, co było dla niej ważne – listy, pamiętniki, wycinki prasowe, dokumenty i zdjęcia. „Muszę uporządkować te papiery, Irino, nie chcę, żeby ktokolwiek wtykał nos w moje prywatne życie, kiedy będę staruszką”. Początkowo próbowała robić to sama, ale w miarę jak nabierała zaufania do Iriny, zaczęła powierzać jej część prac. W końcu dziewczyna zajmowała się wszystkim poza listami w żółtych kopertach, które przychodziły od czasu do czasu i które Alma natychmiast chowała. Uprzedziła Irinę, że nie wolno jej ich dotykać.

Alma przekazywała wnuczkowi swoje wspomnienia oszczędnie, po jednym. Skąpiła mu ich, żeby nie stracił zainteresowania, z obawy, że kiedy znudzi mu się już skakanie wokół Iriny, słynny rękopis wróci do zapomnianej szuflady, a ona będzie widywała chłopaka dużo rzadziej. Podczas jej spotkań z Sethem konieczna była obecność dziewczyny, w przeciwnym razie nie mógł się skupić, czekając na jej przyjście. Alma śmiała się w duchu na myśl o reakcji rodziny, gdyby Seth, spadkobierca rodu Belasców, związał się z imigrantką żyjącą z opieki nad starcami i z kąpienia psów. Jej takie rozwiązanie nie wydawało się wcale złe, bo Irina miała więcej rozumu niż większość wysportowanych przelotnych sympatii Seta; była jednak na razie nieobrobionym klejnotem, który należało oszlifować. Alma postanowiła wprowadzić ją w świat kultury – zabierać na koncerty i do muzeów, dać jej do czytania książki dla dorosłych zamiast tych absurdalnych powieści o fantastycznych światach i nadprzyrodzonych istotach, które tak lubiła, i nauczyć ją manier, na przykład prawidłowego używania sztućców przy stole. Irina nie otrzymała tego wszystkiego w Mołdawii od swoich prostych dziadków ani w Teksasie od matki alkoholiczki, była jednak pojętna i wdzięczna. Łatwo będzie ją zmienić; Alma uznała to za dyskretną formę zapłaty za przyciągnięcie Seta do Lark House.

# Niewidzialny mężczyzna

Po roku pracy u Almy Belasco Irina zaczęła podejrzewać, że jej pracodawczyni ma kochanka, nie śmiała jednak robić z tego afery do czasu, aż poczuła się zmuszona opowiedzieć o wszystkim Sethowi. Zanim chłopak zaraził ją swoim zamiłowaniem do suspense i intrygi, nie zamierzała szpiegować Almy. Dostęp do jej prywatności zdobywała stopniowo, żadna z nich nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Myśl o kochanku zaczęła nabierać kształtów, kiedy porządkowała pudła, które przywożono jej z domu w Sea Cliff, i kiedy przyjrzała się dokładnie mężczyźnie na stojącej w sypialni fotografii w srebrnej ramce, którą Alma sama regularnie czyściła szmatką. Poza innym, mniejszym zdjęciem rodzinnym w salonie w mieszkaniu nie było więcej fotografii, co zwróciło uwagę Iriny, bo pozostali mieszkańcy Lark House otaczali się zdjęciami zastępującymi towarzystwo ludzi. Alma powiedziała jej jedynie, że to przyjaciel z dzieciństwa. Przy nielicznych okazjach, kiedy Irina zdobywała się na odwagę i zadawała więcej pytań, staruszka zmieniała temat, ale dziewczyna zdołała z niej wyciągnąć, że mężczyzna nazywa się Ichimei Fukuda – jest więc Japończykiem – i że namalował dziwny obraz wiszący w salonie, przedstawiający wyludniony śnieżny krajobraz, szare niebo, jednopiętrowe ciemne budynki, słupy i kable elektryczne, na którym jedyną oznaką życia był czarny ptak uchwycony w locie. Irina nie rozumiała, dlaczego spośród licznych dzieł sztuki będących w posiadaniu Belasców Alma wybrała do udekorowania swojego mieszkania akurat ten przygnębiający pejzaż. Ichimei Fukuda ze zdjęcia był mężczyzną w nieokreślonym wieku; lekko przekrzywił głowę, jakby o coś pytał, i mrużył oczy, bo stał pod słońce, ale miał szczere, proste spojrzenie. Na ustach o grubych, zmysłowych wargach rysował się uśmiech, zachował sztywne, gęste włosy. Irina czuła, że ta twarz, która wydaje się ją wzywać albo próbuje powiedzieć jej coś ważnego, nieodparcie ją pociąga. Przyglądała mu się tak długo, kiedy była sama w mieszkaniu, że zaczęła wyobrażać sobie Ichimeiego Fukudę, przypisywać mu rozmaite cechy i wymyślać jego życie: miał mocne plecy, był z natury samotnikiem, potrafił panować nad emocjami i dużo wycierpiał. Niechęć Almy do mówienia o nim podsyciała w Irinie pragnienie, żeby go poznać. W jednym z pudeł znalazła inne zdjęcie tego samego mężczyzny, na plaży z Alną, oboje mieli podwinięte spodnie, trzymali buty w dłoniach, popychali się i śmiali, stojąc w wodzie. Zachowanie pary bawiącej się na piasku wskazywało na miłość, seksualną bliskość. Irina przypuszczała, że byli sami i poprosili kogoś, jakiegoś nieznanego, który akurat przechodził obok, żeby zrobił im zdjęcie. Uznała, że jeśli Ichimei jest mniej więcej w wieku Almy, to ma już teraz pewnie ponad osiemdziesiąt lat, była jednak pewna, że rozpoznałaby Japończyka, gdyby go zobaczyła. Wyłącznie Ichimei mógł być przyczyną nieobliczalnego zachowania staruszki.

Irina potrafiła przewidzieć, kiedy zniknie jej pracodawczyni, po pełnym melancholii milczeniu, w jakim Alma pogrążała się na kilka dni wcześniej. Potem następował nagły wybuch euforii, którą ledwo potrafiła powstrzymać, kiedy już zdecydowała się na wyjazd. Czekala na coś, a kiedy to coś następowało, promieniała szczęściem; wrzucała trochę ubrań do małej walizki, zawiadamiała Kirsten, żeby nie przychodziła do pracowni, i zostawiała Neko pod opieką Iriny. Kot był już stary, miał wiele manii i cierpiał na różne dolegliwości; długa lista zaleceń i leków wisiała na drzwiach lodówki. Był czwartym z serii podobnych kotów – wszystkie nosiły to samo imię – które towarzyszyły jego pani na

różnych etapach życia. Alma wychodziła, spiesząc się niczym młoda narzeczona, nie informowała, dokąd się wybiera ani kiedy zamierza wrócić. Mijały dwa czy trzy dni, w czasie których nie mieli od niej żadnych wiadomości, po czym nagle, równie niespodziewanie jak zniknęła, wracała rozpromieniona swoim przypominającym elektryczną zabawkę samochodem. Irina, która prowadziła jej rachunki, widziała potwierdzenia zapłaty z hoteli, odkryła także, że na te wyjazdy Alma zabiera swoje dwie jedyne jedwabne koszule nocne zamiast flanelowych piżam, w których zwykle sypiała. Dziewczynę nurtowało, dlaczego staruszka wymyka się, jakby popełniała jakiś grzech; była przecież wolna, w swoim mieszkaniu w Lark House mogła przyjmować, kogo chciała.

Irina oczywiście zaraziła Seta podejrzewaniem dotyczącym mężczyzny ze zdjęcia. Pilnowała się, żeby nie wspominać mu o swoich przypuszczeniach, ale podczas częstych wizyt w Lark House chłopak sam zwrócił uwagę na cykliczne zniknięcia babci. Kiedy o nie wypytywał, Alma odpowiadała, że jeździ trenować z terrorystami, eksperymentować z ayahuascą albo sarkastycznym tonem, jakim zwykle się do siebie zwracali, podawała jakiegokolwiek inne nedorzeczne wyjaśnienie. Seth uznał, że potrzebuje pomocy Iriny, żeby rozwikłać tę zagadkę – namawiał ją długo, bo dziewczyna przejawiała wobec Almy niewzruszoną lojalność. Zdołał ją jednak przekonać, że babci grozi niebezpieczeństwo. Powiedział, że Alma wprawdzie wygląda na silną jak na swój wiek, ale tak naprawdę jest delikatna, ma wysokie ciśnienie, szwankuje jej serce i cierpi na pierwsze objawy choroby Parkinsona, dlatego drżą jej dłonie. Nie zna szczegółów, bo Alma odmówiła poddania się stosownym badaniom, ale powinni jej pilnować i chronić przed niebezpieczeństwem.

– Człowiek chce dla osób, które kocha, bezpieczeństwa. Ale tym, czego człowiek chce dla samego siebie, jest niezależność. Twoja babcia nigdy by się nie zgodziła, żebyśmy ingerowali w jej prywatne życie, nawet po to, by ją chronić.

– Dlatego też musimy zrobić to tak, żeby się o niczym nie dowiedziała – wyjaśnił Seth.

Zdaniem Seta na początku 2010 roku nagle, w ciągu niespełna dwóch godzin, coś zaburzyło osobowość jego babci. Alma – artystka, która odniosła sukces, i wzór obowiązkowości – odsunęła się od świata, od rodziny i od przyjaciół, zamknęła w domu starców, do którego nie pasowała, i zaczęła ubierać się niczym uchodźczyni z Tybetu, jak mawiała jej synowa Doris. „Nagle spięcie w mózgu, jakież może być inny powód?”, dodawała. Ostatni raz widzieli dawną Almę, kiedy oznajmiła któregoś dnia po codziennym obiedzie, że idzie uciąć sobie drzemkę. O siedemnastej Doris zapukała do drzwi jej pokoju, żeby przypomnieć teściowej o wieczornym przyjęciu; zastała ją stojącą przy oknie ze wzrokiem zagubionym we mgle, boso, w samej bieliźnie. Z krzesła zwisała jej wspaniała długa suknia. „Powiedz Larry’emu, że nie wezmę udziału w gali i żeby nie liczył na mnie w żadnej sprawie do końca mojego życia”. Rzuciła to stanowczym tonem nieznoszącym sprzeciwu. Synowa zamknęła cicho drzwi i poszła przekazać wiadomość mężowi. Ta noc, najważniejsza w roku, była testem zdolności mobilizacyjnych rodziny, zbierali bowiem pieniądze dla Fundacji Belasców. Kelnerzy kończyli już nakrywać do stołów, kucharze przygotowywali bankiet, a muzycy orkiestry kameralnej ustawiali instrumenty. Co roku Alma wygłaszała krótkie przemówienie, zawsze mniej więcej takie samo, pozowała do kilku zdjęć z najwybitniejszymi darczyńcami i rozmawiała z prasą; jedynie tego od niej wymagano, reszta była w rękach jej syna Larry’ego. Teraz musieli sobie poradzić bez niej.

Następnego dnia doszło do pierwszych radykalnych zmian. Alma zaczęła pakować walizki; uznała, że bardzo niewiele z tego, co posiada, przyda jej się w nowym życiu. Musiała je uprościć. Najpierw poszła na zakupy, a potem spotkała się z księgowym i prawnikiem. Przyznała sobie rozsądną rentę, resztę

majątku przekazała Larry'emu, nie udzieliwszy mu żadnych wskazówek, co ma zrobić z pieniędzmi, i oznajmiła, że przeprowadza się do Lark House. Żeby przeskoczyć listę oczekujących, odkupiła kolejkę od pewnej antropolożki, która za odpowiednią sumę była gotowa zaczekać jeszcze kilka lat. Nikt z Belasców nie słyszał nigdy wcześniej o tym miejscu.

- To dom wypoczynkowy w Berkeley – wyjaśniła mętnie Alma.
- Dom starców? – uściślił zaalarmowany Larry.
- Mniej więcej. Przeżyję lata, które mi pozostały, bez zbędnych komplikacji i balastu.
- Balastu? Mam nadzieję, że nie myślisz o nas!
- A co powiemy ludziom? – zapytała zniecierpliwiona Doris.
- Że jestem stara i szalona. Nie miniecie się z prawdą – odpowiedziała Alma.

Kierowca odwiózł ją do Lark House z kotem i dwiema walizkami. Tydzień później Alma odnowiła prawo jazdy, którego nie potrzebowała przez kilkadziesiąt lat, i kupiła smarta w kolorze limonki, tak małego i lekkiego, że jakimś trzem dowcipnisiom udało się odwrócić go gołymi rękami, kiedy stał zaparkowany na ulicy. Zostawili go kołami do góry jak przebierającego kończynami żółwia. Alma wybrała właśnie to auto ze względu na krzykliwy kolor, dzięki któremu było widoczne dla innych kierowców, i rozmiar, który gwarantował, że jeśli nieszczęśliwie kogoś potrąci, ofiara przeżyje. To było jak prowadzenie czegoś pomiędzy rowerem a wózkiem inwalidzkim.

– Myślę, Irino, że babcia ma poważne problemy ze zdrowiem, ale jest dumna i dlatego zamknęła się w Lark House, żeby nikt nie zdał sobie z nich sprawy – orzekł Seth.

– Gdyby tak było, już by nie żyła. Poza tym tutaj w Lark House nikt się nie zamyka. To otwarty ośrodek, ludzie wchodzi i wychodzą, kiedy chcą. Dlatego nie przyjmują pacjentów z alzheimerem, którzy mogliby uciec i zabłądzić.

– Właśnie tego się obawiam. Babci może się przytrafić coś takiego podczas jednej z jej wycieczek.

– Zawsze wracała. Wie, dokąd jedzie, i nie sądzę, żeby podróżowała sama.

– W takim razie z kim? Z jakimś zalotnikiem? Chyba nie myślisz, że moja babcia włóczy się po hotelach z kochankiem! – zakpił Seth, ale poważny wyraz twarzy Iriny sprawił, że odechciało mu się śmiać.

– Dlaczego nie?

– To staruszka!

– Wszystko jest względne. Jest starszą panią, nie staruszką. W Lark House Alma może uchodzić za młodą. Zdaniem Hansa Voigta na starość należy się zakochać; to dobre dla zdrowia i zapobiega depresji.

– Jak to robią starzy ludzie? Chodzi mi o łóżko – zapytał Seth.

– Podejrzewam, że bez pośpiechu. Będziesz musiał zapytać o to babcie – zakpiła Irina.

Seth zdołał przeciągnąć dziewczynę na swoją stronę i wspólnie zaczęli kojarzyć pewne fakty. Raz w tygodniu do Almy przychodziło pudełko z trzema gardeniami, które kurier zostawiał w recepcji. Nie było wiadomo, kto je wysyła, brakowało też nazwy kwiaciarni, jednak Alma nie okazywała na ich widok zdziwienia ani ciekawości. Często też dostawała w Lark House żółte koperty, bez nadawcy, które wyrzucała po wyjęciu z nich mniejszej kopertki, także zaadresowanej na jej nazwisko, ale z wypisanym odręcznie adresem w Sea Cliff. Nikt z rodziny Belasców ani z personelu domowego nie otrzymywał takich kopert ani nie odsyłał ich do Lark House. Nie wiedzieli o istnieniu tych listów, dopóki nie

wspomniał o nich Seth. Młodzi ludzie nie zdołali się dowiedzieć, kto jest nadawcą, po co potrzebne były dwie koperty i dwa adresy dla jednego listu ani dokąd trafia ta niezwykła korespondencja. Irina nie znalazła żadnych śladów w mieszkaniu, a Seth w Sea Cliff, podejrzewali zatem, że Alma trzyma je w sejfie w swoim banku.

12 kwietnia 1996 r.

Kolejny niezapomniany miesiąc miodowy spędzony z Tobą, Almo! Dawno nie widziałem Cię tak szczęśliwej i odprężonej. W Waszyngtonie powitało nas magiczne widowisko tysiąca siedmiuset kwitnących drzew wiśni. Widziałem coś takiego w Kioto, wiele lat temu. Czy w Sea Cliff nadal kwitnie wiśnia, którą zasadził mój ojciec?

Dotknęłaś dłonią imion wyrytych w ciemnym kamieniu pomnika ofiar wojny w Wietnamie i powiedziałaś mi, że kamienie żyją, że można usłyszeć ich głosy, że martwi są uwięzieni w tej ścianie i wzywają nas, oburzeni własną ofiarą. Zastanawiałem się nad tym. Duchy są wszędzie, Almo, ale myślę, że są wolne i nie chowają urazy.

Ichi

# Polska dziewczynka

Żeby zaspokoić ciekawość Iriny i Seta, Alma Belasco zaczęła od przywołania – z jasnością umysłu, z jaką zapamiętuje się najważniejsze momenty życia – dnia, gdy pierwszy raz zobaczyła Ichimeiego Fukudę, a z czasem stopniowo opowiedziała im resztę jego życia. Poznała go w okazałym ogrodzie rezydencji w Sea Cliff wiosną 1939 roku. Była wtedy dziewczynką, która jadła mniej niż wróbelek, milczała przez cały dzień i płakała przez całą noc, ukryta we wnętrzu trzydrzwiowej szafy z lustrami w pokoju przygotowanym dla niej przez wujostwo, będącym symfonią błękitów. Błękitne były kotary, zasłony łóżka z baldachimem, belgijski dywan, ptaszki na papierowej tapecie i reprodukcje obrazów Renoira w złoconych ramach; błękitny był widok z okna, morze i niebo, kiedy przerzedzała się mgła. Alma Mendel opłakiwała wszystko, co na zawsze straciła, chociaż wuj i ciocia tak żarliwie twierdzili, że rozstanie z rodzicami i bratem jest przejściowe, iż mniej domyślna dziewczynka pewnie by im uwierzyła. Ostatni obraz rodziców, jaki zachowała w pamięci, to starszy mężczyzna, brodaty i surowy, ubrany na czarno, w długim płaszczu i kapeluszu, oraz dużo młodsza kobieta zgięta wpół od płaczu, stojący na nabrzeżu w Gdyni i machający do niej białymi chusteczkami. W miarę jak statek z żalnym rykiem odpływał w kierunku Londynu, stawali się coraz mniejsi i mniejsi, coraz bardziej rozmazani, a ona, uczepiona burty, nie była w stanie odpowiedzieć na ich pożegnanie. Drżąc w swoim podróżnym ubraniu, wmieszana w tłum innych pasażerów, którzy skupili się na rufie, by patrzeć, jak znika ich kraj, Alma próbowała zachować opanowanie, którego uczono ją od urodzenia. Z rosnącej odległości, jaka ich dzieliła, wyczuwała rozpacz rodziców, co wzmacniało jeszcze jej przeczucie, że już nigdy ich nie zobaczy. W nietypowym dla siebie geście ojciec objął matkę ramieniem, jakby chciał uniemożliwić jej rzucenie się do wody, ona zaś jedną ręką przytrzymała sobie kapelusz, broniąc go przed wiatrem, a drugą gorączkowo machała chusteczką.

Trzy miesiące wcześniej Alma stała z nimi na tym samym nabrzeżu i żegnała swojego o dziesięć lat starszego brata Samuela. Jej matkę kosztowało wiele łez zaakceptowanie decyzji męża, by wysłać go do Anglii na wypadek, gdyby jednak sprawdziły się nieprawdopodobne plotki o wybuchu wojny. To miało uchronić chłopaka przed poborem do wojska albo przed chojrackim zaciągnięciem się do armii na ochotnika. Mendlowie nie podejrzewali, że dwa lata później Samuel będzie walczył z Niemcami w Royal Air Force. Kiedy Alma patrzyła na brata, który wchodził na pokład z miną fanfaron rozpoczynającego właśnie swoją pierwszą przygodę, poczuła nagle przedsmak wiszącego nad jej rodziną zagrożenia. Brat był jakby latarnią morską jej życia, oświetlał jego najciemniejsze momenty, przepędzał jej lęki swoim triumfującym śmiechem, nieszkodliwymi żartami i piosenkami śpiewanymi przy akompaniamencie pianina. Samuel wprost uwielbiał Almę od momentu, gdy po urodzeniu wziął ją na rękę, różowy tłumoczek pachnący talkiem i miauczący jak kot; jego słabość do siostry w ciągu następnych siedmiu lat jeszcze się pogłębiła, aż nadszedł moment rozstania. Na wieść o wyjeździe Samuela Alma urządziła jedyną historyczną scenę w swoim życiu. Zaczęła od płaczu i krzyków, później rżąc, rzuciła się na podłogę, a skończyła w wannie z lodowatą wodą, w której bezlitośnie zanurzyły ją matka i guwernantka. Wyjazd chłopaka wywołał u niej przygnębienie i niepokój, bo podejrzewała, że to dopiero wstęp do drastycznych zmian. Słyszała, jak rodzice rozmawiali o Lillian, siostrze matki, która mieszka



w Stanach Zjednoczonych i jest żoną Isaaca Belasca, kogoś bardzo ważnego, jak dodawali za każdym razem, kiedy wypowiadali jego imię. Do tej pory dziewczynka nie miała pojęcia o istnieniu tej żyjącej gdzieś daleko ciotki i tego ważnego mężczyzny, zdziwiło ją więc, że nagle każą jej pisać do nich pocztówki staranną kaligrafią. Złowróźbny wydał jej się także fakt, że guwernantka włączyła do swoich lekcji historii i geografii Kalifornię, pomarańczową plamę na mapie po drugiej stronie kuli ziemskiej. Rodzice zaczęli, aż miną święta kończące rok, by powiadomić ją, że ona także na jakiś czas wyjedzie za granicę, żeby się tam uczyć, ale w odróżnieniu od brata nadal będzie mieszkała u rodziny, ze swoim wujostwem, Isaakiem i Lillian, oraz trojgiem kuzynów, w San Francisco.

Podróż z Gdyni do Londynu, a stamtąd transatlantykiem do San Francisco, trwała siedemnaście dni. Mendlowie zlecieli dowiezienie Almy całej i zdrowej do domu Belasców miss Honeycomb, angielskiej guwernantce dziewczynki. Miss Honeycomb była panną o manierycznej wymowie, pretensjonalnym sposobie bycia i zgorzkniałym wyrazie twarzy, traktowała z pogardą osoby, które uważała za stojące niżej od niej w hierarchii społecznej, i okazywała lepką służalczość swoim pracodawcom, niemniej w ciągu półtora roku pracy u Mendłów zdobyła ich zaufanie. Nikt z rodziny jej nie lubił, a już najmniej Alma, ale zdanie dziewczynki nie liczyło się przy wyborze guwernantek czy domowych nauczycieli, którzy udzielali jej lekcji w pierwszych latach życia. Aby mieć pewność, że kobieta z ochotą wyruszy w podróż, Mendlowie obiecali jej szczerą gratyfikację, którą miała otrzymać w San Francisco, kiedy Alma znajdzie się w domu wujostwa. Miss Honeycomb i Alma podróżowały w jednej z najlepszych kajut na statku; początkowo dokuczała im choroba morska, później nuda. Angielka odstawała od pasażerów pierwszej klasy, ale wolałaby wyskoczyć za burtę, niż spoufalać się z osobami ze swojej warstwy społecznej, toteż przez ponad dwa tygodnie rozmawiała jedynie ze swoją małą podopieczną. Na pokładzie były inne dzieci, jednak Almy nie zainteresowały żadne z organizowanych przez załogę zajęć dla najmłodszych pasażerów i z nikim nie nawiązała przyjaźni; dąsała się na guwernantkę, popłakiwała po kryjomu, bo pierwszy raz rozstała się z matką, czytała bajki i pisała melodramatyczne listy, które oddawała bezpośrednio kapitanowi, żeby wrzucił je do skrzynki w jakimś porcie, bo bała się, że jeśli wręczy je miss Honeycomb, skończą jako pokarm dla ryb. Jedynymi wartymi zapamiętania momentami tej powolnej przeprawy były przepłynięcie przez Kanał Panamski i bal przebierańców, podczas którego jakiś Apacz wpełznął do basenu miss Honeycomb przemienioną za pomocą prześcieradła w grecką westalkę.

Wujostwo i kuzyni Belascowie czekali na Almę w hałaśliwym porcie San Francisco pośród tak gęstego tłumu azjatyckich dokerów uwijających się przy statkach, aż miss Honeycomb pomyślała ze strachem, że przez pomyłkę dopłynęły do Szanghaju. Ciocia Lillian, w szarym karakułowym futrze i tureckim turbanie na głowie, niemal udusiła siostrzenicę, ściskając ją na powitanie, podczas gdy Isaac Belasco i jego kierowca próbowali zebrać w jednym miejscu czternaście skrzyń i pakunków przywiezionych przez podróżniczek. Dwie kuzynki, Martha i Sarah, przywitały nowo przybyłą chłodnym pocałunkiem w policzek i natychmiast zapomniały o jej istnieniu, nie ze złośliwości, ale dlatego, że jako panny na wydaniu szukały narzeczonego i ten cel przesłaniał im wszystko inne. Niełatwo im było zdobyć upragnionych małżonków mimo majątku i prestiżu Belasców, bo odziedziczyły po ojcu nos, a po matce pulchną figurę, za to bardzo niewiele z jego inteligencji i jej serdeczności. Kuzyn Nathaniel, jedyny męski potomek, urodzony sześć lat po swojej siostrze Sarah, niepewnie wkraczał w wiek dojrzewania. Wyglądał jak czapla: był blady, chudy, wysoki, skrępowany ciałem, któremu zawadzały łokcie i kolana, miał zamysłone oczy dużego psa. Podał Almie rękę ze wzrokiem wbitym w ziemię i wymamrotał słowa powitania, jak przykazali mu rodzice. Ona zaś uczepiła się tej dłoni niczym koła ratunkowego i próby chłopaka, żeby się od niej uwolnić, spełzły na niczym.

Tak zaczął się pobyt Almy w dużym domu w Sea Cliff, gdzie miała spędzić – z małymi przerwami – siedemdziesiąt lat. W pierwszych miesiącach 1939 roku wylała niemal cały zasób łez i potem już rzadko płakała. Nauczyła się przeżywać swoje troski w samotności, przekonana, że nikogo nie obchodzą cudze problemy i że przemilczane zgryzoty w końcu się rozplývają. Wcieliła w życie filozoficzne nauki ojca, człowieka o sztywnych, nienaruszalnych zasadach, który szczycił się tym, że sam zdobył wiedzę i nie jest nikomu nic winien, co nie było do końca prawdą. Uproszczony przepis na sukces, który Mendel wpajał swoim dzieciom od kołyski, polegał na tym, żeby nigdy nie narzekać, o nic nie prosić, dążyć do tego, by być we wszystkim najlepszym, i nikomu nie ufać. Alma przez kilkadziesiąt lat musiała dźwigać ten straszliwy wór kamieni, dopóki miłość nie pomogła jej pozbyć się kilku z nich. Stoicka postawa dopełniała tajemniczej aury otaczającej ją od dziecka na długo przed pojawieniem się sekretów, których musiała dochować.

Podczas wielkiego kryzysu lat trzydziestych Isaac Belasco zdołał uniknąć najgorszych skutków załamania gospodarczego, a nawet powiększył swój majątek. Kiedy inni tracili wszystko, on pracował po osiemnaście godzin dziennie w swojej kancelarii prawniczej i inwestował w przedsięwzięcia handlowe, które wówczas wyglądały na ryzykowne, ale na dłuższą metę okazały się trafione. Był poważny, małomówny i miał miękkie serce. Uważał, że ta miękkość graniczy ze słabością charakteru, dlatego uparcie starał się sprawiać wrażenie autorytarnego i nieprzejednanego, ale wystarczyło mieć z nim kilka razy do czynienia, żeby domyślić się jego wrodzonej dobroci. Uchodził za litościwego, co stało się przeszkodą w jego karierze prawniczej. Później, kiedy kandydował na stanowisko sędziego Sądu Najwyższego Kalifornii, przegrał wybory, bo przeciwnicy zarzucili mu zbyt dużą skłonność do wybaczenia, szkodzącą sprawiedliwości i bezpieczeństwu publicznemu.

Isaac przyjął Almę do swojego domu pełen dobrej woli, jednak wkrótce nocny płacz dziewczynki zaczął działać mu na nerwy. Był to zduszony, powstrzymywany szloch, niemal niesłyszalny zza grubych drzwi szafy z rzeźbionego mahoni, który jednak docierał do jego sypialni po drugiej stronie korytarza, gdzie usiłował czytać. Sądził, że dzieci, tak jak zwierzęta, mają wrodzoną zdolność do adaptacji i że dziewczynka wkrótce pogodzi się z rozstaniem z rodzicami albo oni też wyemigrują do Ameryki. Czuł, że nie jest w stanie jej pomóc, powstrzymywał go wstyd, jaki budziły w nim kobiece sprawy. Skoro nie rozumiał codziennych reakcji swojej żony i córek, jak miał zrozumieć zachowanie tej polskiej dziewczynki, która nie skończyła jeszcze ośmiu lat? Zrodziło się w nim przesądne podejrzenie, że łyzy siostrzenicy Lillian zwiastują jakąś straszliwą katastrofę. Blizny po wielkiej wojnie nadal znaczyły Europę; świeże było wspomnienie okaleczonej przez okopy ziemi, milionów zmarłych, wdów i sierot, rozkładających się rozszarpanych koni, śmiercionośnych gazów, much i głodu. Nikt nie chciał kolejnej takiej pożogi, ale Hitler już zaanektował Austrię, kontrolował część Czechosłowacji, a podżeganie do utworzenia imperium wyższej rasy nie mogło być dalej ignorowane jako urojenie szaleńca. Pod koniec stycznia Hitler przedstawił swój cel: uwolnić świat od zagrożenia, jakie stanowili Żydzi. Nie wystarczyło ich wypędzić, musieli zostać zgładzeni. Isaac Belasco sądził, że niektóre dzieci mają zdolności parapsychiczne, i nie zdziwiłoby go, gdyby Alma widziała w swoich koszmarach coś przerażającego i z wyprzedzeniem przeżywała straszliwą żałobę. Na co czekali jego szwagrowie, żeby opuścić Polskę? Od roku bezskutecznie naciskał, żeby to zrobili, jak tylu innych Żydów, którzy uciekali z Europy. Zaoferował im gościnę, chociaż Mendlowie mieli wystarczające środki i nie potrzebowali jego pomocy. Baruch Mendel odpowiedział mu, że nienaruszalność Polski została zagwarantowana przez Wielką Brytanię i Francję. Czuł się bezpieczny, chroniony przez swoje pieniądze i kontakty handlowe; jedyne co zrobił w obliczu nazistowskiej nagonki, to wysłał z kraju dzieci. Isaac Belasco nie znał

Mendla, ale z listów i telegramów jasno wynikało, że mąż jego szwagierki jest równie arogancki i niesympatyczny, jak uparty.

Minął niemal miesiąc, zanim Isaac zdecydował się interweniować w sprawie Almy, jednak nawet wtedy nie był gotów zrobić tego osobiście, uznał, że to obowiązek jego żony. Sypialnie małżonków dzieliły tylko drzwi, w dodatku zawsze uchylone, ale Lillian była nieco przygłucha i zażywała nalewkę z opium na sen, więc nigdy nie dowiedziałyby się o płaczu w szafie gdyby nie mąż. Wtedy nie było już z nimi miss Honeycomb – po przybyciu do San Francisco kobieta zainkasowała obiecaną premię i dwanaście dni później wróciła do swojego rodzinnego kraju, zniesmaczona prostackimi manierami, niezrozumiałym akcentem i demokracją Amerykanów, jak powiedziała, nie pomyślawszy, że jej komentarz może być obraźliwy dla Belasców, ludzi dystygowanych, którzy okazali jej dużo życzliwości. A kiedy Lillian, zawiadomiona listownie przez siostrę, przetrząsnęła podszewkę podróżnego płaszcza Almy w poszukiwaniu diamentów, które ukryli tam Mendlowie – bardziej z poszanowania tradycji niż żeby zabezpieczyć swoją córkę, ponieważ nie były to kamienie wielkiej wartości – niczego nie znalazła. Podejrzenie natychmiast padło na miss Honeycomb, Lillian zaproponowała nawet, by wysłać w pościg za Angielką jednego ze śledczych z kancelarii jej męża, ale Isaac uznał, że nie warto tego robić. Świat i rodzina przeżywały zbyt duży wstrząs, żeby przemierzać morza i kontynenty, polując na guwernantki; parę diamentów więcej czy mniej nie zaważy w żaden sposób na życiu Almy.

– Przyjaciółki, z którymi gram w brydza, powiedziały, że w San Francisco jest świetny psycholog dziecięcy – oznajmiła Lillian mężowi, kiedy dowiedziała się o stanie siostrzenicy.

– Co to takiego? – zapytał patriarcha, odrywając na moment wzrok od gazety.

– Wskazuje na to sama nazwa, Isaacu, nie udawaj głupiego.

– Czyżby któraś z twoich przyjaciółek знаła kogoś, kto ma na tyle niezrównoważone dziecko, żeby oddawać je w ręce psychologa?

– Na pewno, ale żadna za nic by się do tego nie przyznała.

– Dzieciństwo to z definicji nieszczęśliwy etap życia. Bajkę, w której jakoby dzieci zasługiwały na szczęście, wymyślił dla pieniędzy Walt Disney.

– Ależ ty jesteś uparty! Nie możemy pozwolić, żeby Alma wiecznie płakała niepocieszona. Trzeba coś zrobić.

– W porządku, Lillian. Ucieknijmy się do tego skrajnego rozwiązania, kiedy wszystko inne zawiedzie. Tymczasem mogłabyś dawać Almie po kilka kropli twojego syropu.

– No nie wiem, to może być obosieczna broń. Nie byłoby wskazane, żebyśmy uzależniali tak małą dziewczynkę od opium.

Przez kilka kolejnych dni dyskutowali o plusach i minusach psychologa i opium, aż wreszcie zdali sobie sprawę, że od trzech nocy w szafie panuje cisza. Nadstawiali ucha jeszcze przez dwie noce i przekonali się, że z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu dziewczynka odzyskała spokój i nie tylko przesypia całą noc, ale zaczęła też jeść jak normalne dziecko. Alma nie zapomniała o rodzicach ani o bracie, nadal pragnęła, żeby rodzina znów była razem, ale brakowało jej już łez, a ponadto poświęcała coraz więcej czasu rodzącym się przyjaźniom z dwiema osobami, które będą wielkimi miłościami jej życia: Nathanielem Belaskiem i Ichimeim Fukudą. Pierwszy niedługo miał skończyć trzynaście lat i był najmłodszym dzieckiem Belasców; drugi miał skończyć osiem, jak ona, i był najmłodszym synem ogrodnika.

Martha i Sarah, córki Belasców, zainteresowane wyłącznie modą, balami i potencjalnymi narzeczonymi, żyły w świecie tak innym niż Alma, że kiedy wpadały na nią w korytarzach rezydencji w Sea Cliff albo w jadalni podczas rzadkich kolacji z udziałem całej rodziny, aż podskakiwały ze zdziwienia, nie mogąc sobie przypomnieć, kim jest ta dziewczynka i co tu robi. Nathaniel z kolei nie mógł się od niej opędzić, bo Alma od pierwszego dnia deptała mu po piętach, zdecydowana zastąpić ukochanego brata Samuela tym strachliwym kuzynem. Choć dzieliło ich pięć lat, był najbliższym jej wiekiem członkiem klanu Belasców. Ze względu na jego nieśmiały, łagodny charakter miała z nim najlepszy kontakt. Dziewczynka wzbudzała w Nathanielu fascynację połączoną ze strachem. Wyglądała jak wyjęta z dagerotypu, z tym swoim nienagannym brytyjskim akcentem, którego nauczyła się od niecnej guwernantki, i powagą grabarza, była sztywna i kanciasta jak deska, pachniała naftaliną podróżnych kufrów, a biały kosmyk opadający filuternie na czoło kontrastował z głęboką czernią jej włosów i oliwkową cerą. Na początku Nathaniel próbował przed nią uciekać, ale nic nie zniechęcało Almy do podejmowania kolejnych nieporadnych prób nawiązania z nim przyjaźni, więc w końcu dał za wygraną, bo odziedziczył po ojcu dobre serce. Domyślał się, że kuzynka cierpi w milczeniu i dumnie to ukrywa, ale pod najrozmaitszymi pretekstami wymigiwał się od tego, by jej pomóc. Uważał Almę za smarkulę, łączyły ich tylko cieniutkie więzy krwi, sądził, że jest w San Francisco jedynie przejazdem, nawiązywanie z nią przyjaźni byłoby więc marnotrawieniem uczuć. Kiedy jednak po upływie trzech tygodni nic nie wskazywało na to, że odwiedziny kuzynki mają dobiec końca, stracił ten pretekst i poszedł zapytać matki, czy przypadkiem nie zamierzają jej adoptować. „Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie”, odpowiedziała Lillian i zadrżała. Wiadomości dochodzące z Europy były bardzo niepokojące, możliwość, że jej siostrzenica zostanie sierotą, nabierała w jej wyobraźni realnych kształtów. Z tonu tej odpowiedzi Nathaniel wywnioskował, że Alma zostanie u nich na czas nieokreślony, i uległ instynktownej miłości. Spał w innym skrzydle domu, nikt mu nie powiedział, że Alma płacze w szafie, ale w jakiś sposób to odkrył i wielokrotnie zakradał się nocą na palcach, żeby dotrzymać jej towarzystwa.

To Nathaniel przedstawił Almie Fukudów. Widziała ich z okien, ale do ogrodu zeszła dopiero z nadejściem wiosny, kiedy poprawiła się pogoda. Którejś soboty Nathaniel zawiązał jej oczy, obiecując niespodziankę, i przeprowadził ją za rękę przez kuchnię i pralnię do ogrodu. Kiedy zdjął opaskę i dziewczynka podniosła wzrok, zobaczyła, że znajduje się pod okrytą bujnym kwieciem wiśnią, chmurą różowej waty. Obok stał oparty na łopacie niski mężczyzna w roboczym kombinezonie i słomkowym kapeluszu, o azjatyckich rysach, opalonej skórze i szerokich ramionach. Urywana, trudna do zrozumienia angielszczyzną powiedział Almie, że to piękny widok, ale potrwa zaledwie kilka dni, bo wkrótce kwiaty spadną na ziemię niczym deszcz; piękniejsze niż ten widok jest wspomnienie kwitnącej wiśni, które przetrwa cały rok, aż do następnej wiosny. Tym mężczyzną był Takao Fukuda, japoński ogrodnik, który od lat pracował w posiadłości, jedyna osoba, przed którą Isaac Belasco zdejmował na znak szacunku kapelusz.

Nathaniel wrócił do domu, zostawiając kuzynkę w towarzystwie Takao, który pokazał jej cały ogród. Zaprowadził ją na tarasy na zboczu schodzącym od szczytu, na którym wznosił się dom, aż do samej plaży. Przeszli wąskimi ścieżkami ozdobionymi klasycznymi rzeźbami pokrytymi zieloną patyną wilgoci, między fontannami, egzotycznymi drzewami i bujną roślinnością; wyjaśnił jej, skąd pochodzą rośliny i jakiej wymagają opieki. W końcu dotarli do pergoli osłoniętej pnącymi różami, z widokiem na morze, wejście do zatoki po lewej i most Golden Gate – otwarty parę lat wcześniej – po prawej stronie. Widać było stamtąd kolonie odpoczywających na skałach uchatek, a jeśli ktoś cierpliwie wpatrywał się w horyzont, przy odrobinie szczęścia mógł dostrzec wieloryby, które nadpływały z północy, żeby wydać na świat potomstwo w wodach Kalifornii. Później Takao zabrał ją do szklarni, miniaturowej repliki

wiktoriańskiego dworca kolejowego z kutego żelaza i szkła. Wewnątrz, w przytłumionym świetle i wilgotnym ciepłe zapewnianym przez ogrzewanie i zraszacze, delikatne rośliny kiełkowały na tacach opatrzonych etykietkami z ich nazwą i datą, kiedy powinny zostać przesadzone. Między dwoma długimi stołami z surowego drewna Alma dostrzegła chłopca pracującego przy inspektach, który usłyszawszy, że wchodzi, wypuścił nożyce i stanął na baczność jak żołnierz. Takao podszedł do niego, szepnął coś w jakimś nieznanym Almie języku i potargał mu włosy. „Mój najmłodszy syn”, powiedział. Dziewczynka bez skrępowania przyglądała się ojcu i synowi, jakby byli przedstawicielami innego gatunku; nie przypominali Azjatów z ilustracji w Encyklopedii Britannica.

Chłopiec uklonił się na powitanie i przedstawił, pochylając głowę.

– Jestem Ichimei, czwarty potomek Takao i Heideko Fukudów. Czuję się zaszczycony, że mogę panienkę poznać.

– Jestem Alma, siostrzenica Isaaca i Lillian Belasców. Czuję się zaszczycona, że mogę pana poznać – odpowiedziała zbita z tropu, ale rozbawiona.

Ten formalny początek, który potem będą wspominać z czułością i humorem, nada ton ich długiej znajomości. Alma, wyższa i silniejsza, wydawała się starsza od chłopca. Drobną budową Ichimeiego mogła zmylić, bo bez trudu podnosił ciężkie worki z ziemią i pchał pod górę wyładowane taczki. Miał nieproporcjonalnie dużą głowę w porównaniu z resztą ciała, skórę o barwie miodu, czarne szeroko rozstawione oczy oraz sztywne, trudne do ujarzżenia włosy. Jeszcze wychodziły mu stałe zęby, a kiedy się uśmiechał, jego oczy przypominały dwie kreseczki.

Przez resztę tamtego poranka Alma chodziła krok w krok za Ichimeim, podczas gdy on wsadzał rośliny do dołków wykopanych przez ojca i opowiadał jej o sekretnym życiu ogrodu, o korzeniach splątanych pod ziemią, niemal niewidocznych owadach, mikroskopijnych kielkach w glebie, które w tydzień będą wysokie na pięćdziesiąt centymetrów. Opowiedział jej o chryzantemach, które akurat wyjmował ze szklarni, o tym, jak przesadza się je na wiosnę i jak kwitną na początku jesieni, czyniąc ogród kolorowym i wesołym, kiedy uschną już letnie kwiaty. Pokazał jej krzaczki róż pełne pąków i wyjaśnił, że należy usunąć niemal wszystkie i zostawić zaledwie kilka, żeby róże urosły duże i zdrowe. Wytłumaczył jej różnice pomiędzy roślinami nasiennymi a bulwiastymi, między tymi, które wymagają słońca, a tymi, które rosną w cieniu, między rodzimymi a przywiezionymi z daleka. Takao Fukuda, który obserwował dzieci kątem oka, podszedł i powiedział Almie, że Ichimei wykonuje te prace w ogrodzie, które wymagają najwięcej precyzji i delikatności, bo urodził się z „zielonymi palcami”, ma dobrą rękę do roślin. Chłopiec zaczerwienił się, słysząc tę pochwałę.

Od tego dnia Alma wyczekiwała niecierpliwie ogrodników, którzy zjawiali się w każdy weekend. Takao Fukuda zawsze przyprawdzał ze sobą chłopca, a czasami, jeśli miał więcej pracy, towarzyszyli mu także Charles i James, jego starsi synowie, albo Megumi, jedyna córka, o kilka lat starsza od Ichimeiego, którą interesowała wyłącznie nauka i nie bawiło jej brudzenie sobie rąk ziemią. Ichimei, cierpliwy i zdyscyplinowany, wypełniał swoje obowiązki, nie dopuszczając, by rozpraszała go obecność Almy. Liczył, że pod koniec dnia ojciec da mu pół godziny wolnego, żeby mogli się pobawić.

# Alma, Nathaniel i Ichimei

Dom w Sea Cliff był tak duży, a jego mieszkańcy tak bardzo zajęci, że nikt nie zwracał uwagi na zabawy dzieci. Jeśli nawet ktoś zauważył, że Nathaniel spędza mnóstwo czasu z dużo młodszą dziewczynką, jego ciekawość natychmiast wyparowywała, bo były inne, pilniejsze sprawy. Alma zarzuciła swoje i tak niewielkie zainteresowanie lalkami i nauczyła się grać w scrabble z pomocą słownika i w szachy wyłącznie dzięki determinacji, jako że strategia nigdy nie była jej mocną stroną. Nathaniela z kolei znudziło zbieranie znaczków i jeżdżenie na obozy skautów. Grali w sztukach teatralnych na dwoje czy troje aktorów, które pisał chłopiec i które natychmiast wystawiali na strychu. Brak widowni im nie przeszkadzał, same przygotowania były o wiele zabawniejsze niż efekt końcowy i nie zależało im na oklaskach – przyjemność polegała na wyklócaniu się o scenariusz i na ćwiczeniu ról. Stare ubrania, niepotrzebne zasłony, meble i sprzęty domowe, bardziej lub mniej zniszczone, stanowiły surowiec do produkcji strojów, rekwizytów i efektów specjalnych; reszty dopełniała wyobraźnia. Ichimei, który mógł wchodzić do domu Belasców, kiedy tylko chciał, także stanowił część trupy teatralnej – grał role drugoplanowe, bo był fatalnym aktorem. Rekompensował brak talentu scenicznego zadziwiającą pamięcią i zdolnościami rysowniczymi; potrafił bez zająknięcia wyrecytować długie tyrady zainspirowane ulubionymi powieściami Nathaniela od *Draculi* po *Hrabiego Monte Christo* i to on malował dekoracje. Jednak ta przyjaźń, która wyrwała Almę z głębokiej depresji spowodowanej poczuciem osierocenia i porzucenia, w jakiej na początku się pogрузyła, nie trwała zbyt długo.

W następnym roku Nathaniel poszedł do męskiego liceum wzorującego się na brytyjskim modelu nauczania. Z dnia na dzień jego życie uległo zmianie. Musiał stawić czoło bezwzględnej brutalności chłopców, którzy szykowali się, by zostać mężczyznami. Nie był na to gotowy: wyglądał jak dziesięcioletni dzieciak, a nie jak czternastolatek, nie doświadczył jeszcze bezlitosnego bombardowania hormonami, był zamknięty w sobie, ostrożny i na swoje nieszczęście chętny do czytania, a marny w sporcie. Nie stał się chełpliwym, okrutnym i wulgarnym chłopakiem jak jego rówieśnicy, bo nie leżało to w jego naturze. Na nic się zdało udawanie. W pierwszą środę po rozpoczęciu lekcji wrócił do domu z podbitym okiem i koszulą poplamioną krwią z nosa. Nie odpowiedział na pytania matki, a Almie wyjaśnił, że wpadł na maszt z flagą. Tej nocy zsiakał się do łóżka, pierwszy raz, odkąd sięgał pamięcią. Przerażony ukrył mokre prześcieradło w szybie kominka; zostało odkryte dopiero pod koniec września, kiedy po rozpaleniu ognia dom wypełnił się dymem. Lillian nie zdołała wyciągnąć z syna, co stało się z bielizną pościelową, ale odgadła przyczynę i postanowiła podjąć radykalne środki. Zjawiała się w gabinecie dyrektora szkoły, Szkota o czerwonych włosach i nosie pijaka, który przyjął ją rozparty za biurkiem, wśród ścian pokrytych panelami z ciemnego drewna, pod czujnym okiem zerkającego z portretu króla Jerzego VI. Rudzielec poinformował Lillian, że przemoc w odpowiednich proporcjach uważana jest za integralną część metody dydaktycznej obowiązującej w jego szkole; dlatego propagowane są brutalne sporty, konflikty uczniów rozstrzyga się na ringu w rękawicach bokserskich, a brak dyscypliny koryguje razami w pośladki, które sam osobiście wymierza. Ciosy czynią chłopców mężczyznami. Tak było zawsze i im wcześniej Nathaniel Belasco nauczy się zdobywać szacunek innych, tym lepiej dla niego. Dodał, że interwencja Lillian ośmiesza jej syna, ale jako że chodzi o nowego ucznia,

zrobi wyjątek i zapomni o całej sprawie. Lillian wyszła, złorzecząc, i udała się wprost na Montgomery Street do kancelarii męża. Gwałtownie wtargnęła do środka, ale i tam nie znalazła wsparcia.

– Nie mieszaj się w to, Lillian. Wszyscy chłopcy przechodzą takie rytuały inicjacyjne i prawie wszyscy uchodzą z tego z życiem – powiedział Isaac.

– Ciebie też bili?

– Oczywiście. I sama widzisz, że efekt wcale nie jest taki zły.

Cztery lata w szkole średniej byłyby dla Nathaniela niekończącą się udręką, gdyby nie ktoś, czyjej pomocy najmniej by się spodziewał. W tamten weekend, kiedy Ichimei zobaczył zadrapania i siniaki pokrywające ciało kolegi, zaprowadził go pod pergolę w ogrodzie i udzielił mu skutecznej lekcji sztuk walki, które uprawiał, odkąd nauczył się chodzić. Włożył mu w dłonie łopatę i nakazał, żeby spróbował zdzielić go nią w głowę. Nathaniel myślał, że chłopiec żartuje, i podniósł łopatę w powietrze niczym parasol. Ichimei musiał kilkakrotnie powtarzać instrukcje, by Nathaniel zrozumiał i zaatakował go na serio. Ani się obejrzał, a już stracił łopatę, wyleciał w powietrze i rąbnął plecami o włoskie płytki, którymi wyłożona była podłoga pergoli, na oczach osłupiałej Almy obserwującej z bliska całą scenę. W ten sposób Nathaniel dowiedział się, że powściągliwy Takao Fukuda w wynajętym garażu przy Pine Street uczy swoich synów i innych chłopców z japońskiej kolonii połączenia judo i karate. Powiedział o tym ojcu, który kiedyś coś słyszał o tych sportach, powoli zyskujących w Kalifornii popularność. Isaac Belasco udał się na Pine Street, nie licząc zbytnio, że Fukuda zdoła pomóc jego synowi, ale ogrodnik wyjaśnił mu, że piękno sztuk walki polega właśnie na tym, że nie wymagają one siły fizycznej, tylko skupienia i zwinności, by wykorzystać do obalenia przeciwnika jego własny ciężar i rozpęd. Nathaniel zaczął lekcje. Kierowca trzy razy w tygodniu woził go wieczorami do garażu, gdzie najpierw walczył z Ichimeim i młodszymi dziećmi, a później z Charlesem, Jamesem i innymi starszymi chłopcami. Przez kilka miesięcy czuł się połamany, aż w końcu opanował umiejętność upadania tak, by nie robić sobie krzywdy. Przestał bać się bójk. Nigdy nie wyszedł poza poziom dla początkujących, ale i tak umiał więcej niż jego starsi koledzy ze szkoły. Szybko przestali się nad nim znęcać, bo gdy tylko ktoś podchodził do niego w złych zamiarach, odstraszał go kilkoma gardłowymi okrzykami i przesadzoną choreografią pozorowanych ataków. Isaac Belasco nigdy nie zapytał o efekty lekcji, tak jak wcześniej udawał, że nie wie, iż jego syn dostaje lanie. Któregoś dnia jednak zawitał na Pine Street z ciężarówką i czterema robotnikami, którzy mieli położyć w garażu drewnianą podłogę. Takao Fukuda pozdrowił go serią oficjalnych ukłonów i również powstrzymał się od komentarzy.

Odkąd Nathaniel poszedł do liceum, skończyły się przedstawienia teatralne na strychu. Poza odrabianiem prac domowych i niestrudżonym wysiłkiem wkładanym w naukę samoobrony chłopca absorbowały niepokoje natury metafizycznej i pozowana udręka, której matka próbowała zaradzić, podając mu tran. Ledwo miał czas na partię scrabli czy szachów, jeżeli Alma zdołała go dopaść, zanim zamknął się w swoim pokoju, żeby porzepolić na gitarze. Odkrywał jazz i blues, ale gardził modnymi tańcami, bo na parkiecie spaliłby się ze wstydu, gdyby wyszedł na jaw jego brak poczucia rytmu, dziedziczny w rodzinie Belasców. Z mieszanką sarkazmu i zazdrości oglądał pokazy lindy hop, którymi starali się go zachęcić Alma i Ichimei. Dzieci używały porysowanych płyt i fonografu wyrzuconego przez Lillian, której zdaniem do niczego się już nie nadawał. Alma wyciągnęła go ze śmieci, a cierpliwy, skrupulatny Ichimei rozmontował i złożył swoimi delikatnymi palcami.

Szkoła średnia, która tak źle się dla Nathaniela zaczęła, w kolejnych latach nadal była dla niego torturą. Koledzy znudzili się co prawda organizowaniem zasadzek, żeby pobić chłopca, ale skazali go na

cztery lata kpin i izolacji; nie mogli mu wybaczyć jego ciekawości intelektualnej, dobrych ocen i niezdarności. Nigdy nie pozbył się wrażenia, że przyszedł na świat w niewłaściwym miejscu i czasie. Musiał uprawiać sporty będące filarem angielskiej edukacji, znosił ciągłe upokorzenia, kiedy jako ostatni dobiegał do mety albo kiedy nikt nie chciał go mieć w swojej drużynie. W wieku piętnastu lat wystrzelił w górę; trzeba było co dwa miesiące kupować mu nowe buty i wydłużać spodnie. Przestał być klasowym kurduplem, urosły mu nogi, ręce i nos, żebra odznaczały się przez koszulę, a jabłko Adama wyglądało na jego chudej szyi jak guz; uparł się, żeby chodzić w szaliku aż do lata. Nie cierpiał swojego profilu nieopierzonego sępa, starał się stawać w kącie, żeby patrzono na niego od przodu. Uniknął pryszczycy na twarzy, które nękały jego wrogów, ale nie kompleksów właściwych jego wiekowi. Nie podejrzewał, że za niespełna trzy lata jego ciało osiągnie właściwe proporcje, rysy twarzy złagodnieją i będzie przystojny niczym amant filmowy. Czuł się brzydki, nieszczęśliwy i samotny; rozważał nawet samobójstwo, jak wyznał Almie w przyływie bezlitosnej samokrytyki. „To byłoby marnotrawstwo, Nat. Lepiej skończ szkołę, idź na medycynę i wyjedź do Indii leczyć trędowatych. Pojadę z tobą”, odpowiedziała niezbyt przyjaźnie, bo w porównaniu z sytuacją jej rodziny problemy egzystencjalne kuzyna były śmiechu warte.

Różnica wieku między obojgiem nie rzucała się w oczy, bo Alma wcześniej dojrzała, a jej skłonność do samotnictwa sprawiła, że wydawała się starsza. Podczas gdy on wciąż żył w otchłani wieku młodzieńczego, jej charakter zdominowały powaga i siła narzucone przez ojca, które pielęgnowała jak najwyższe cnoty. Czuła się opuszczona przez kuzyna i przez życie. Podejrzewała, że po tym, jak poszedł do liceum, obudziła się w nim silna odraza wobec samego siebie. Ona także jej doświadczała, ale w odróżnieniu od chłopaka nie pozwalała sobie na próżność studiowania swojego wyglądu w lustrze w poszukiwaniu defektów ani na biadolenie nad własnym losem. Miała inne zmartwienia.

W Europie wojna rozpętała się niczym apokaliptyczny huragan, który ona oglądała jedynie na niewyraźnych czarno-białych migawkach w kronikach filmowych: urywane fragmenty bitew, twarze żołnierzy pokryte niezmywalną sadzą prochu i śmierci, samoloty zraszające ziemię bombami spadającymi z absurdalną elegancją, wybuchy ognia i dymu, ryczące tłumy wiwatujące na cześć Hitlera w Niemczech. Nie pamiętała już dobrze swojego kraju, domu, w którym się wychowała, ani języka dzieciństwa, ale rodzina była stale obecna w jej tęsknotach. Trzymała na szafce nocnej fotografię brata i ostatnie zdjęcie zrobione rodzicom na gdyńskim nabrzeżu, które całowała przed zaśnięciem. Sceny z kronik filmowych prześladowały ją w dzień, nękały w nocy, nie pozwalały jej zachowywać się jak dziewczynka, którą przecież była. Kiedy Nathaniel ubzdurał sobie, że jest nierozumianym geniuszem, jej jedynym powiernikiem został Ichimei. Chłopiec niewiele urósł – Alma przewyższała go o pół głowy – ale był mądry i zawsze znajdował sposób, by ją rozerwać, kiedy nie dawały jej spokoju przerażające obrazy wojny. Ichimei przyjeżdżał do domu Belasców tramwajem, na rowerze albo ogrodniczą furgonetką, gdy udało mu się namówić ojca lub braci, żeby go podrzucili; potem kierowca Lillian odwoził go do domu. Jeśli dzieci były skazane na dwa, trzy dni rozłąki, wymykały się nocą, żeby szeptem pogadać przez telefon. W trakcie tych ukradkowych rozmów nawet najbardziej banalne uwagi nabierały transcendentalnej głębi. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, żeby zapytać, czy mogą zadzwonić; sądzili, że aparat niszczy się od częstego używania i dlatego nie powinni z niego korzystać.

Belascowie pilnie śledzili wieści napływające z Europy, coraz bardziej sprzeczne i niepokojące. W okupowanej przez Niemców Warszawie żyło czterysta tysięcy Żydów stłoczonych w getcie na powierzchni około trzech kilometrów kwadratowych. Wiedzieli, że są wśród nich rodzice Almy, bo Samuel Mendel poinformował ich o tym w depeszy wysłanej z Londynu. Mendlom nie pomogły pieniądze. Na początku okupacji stracili swoje dobra w Polsce i dostęp do kont w Szwajcarii, musieli opuścić rodzinny dom, skonfiskowany i zamieniony na biura dla nazistów i kolaborantów; popadli



w nieprawdopodobną nędzę, w jakiej żyli również pozostali mieszkańcy getta. Zdali sobie wtedy sprawę, że nie mają wśród swoich ani jednego przyjaciela. To było wszystko, co zdołał ustalić Isaac Belasco. Nie dało się z nimi skontaktować, a starania o ich uwolnienie nie przyniosły efektów. Isaac wykorzystał swoje koneksje z wpływowymi politykami, w tym z dwoma senatorami z Waszyngtonu i sekretarzem wojny, z którym studiował na Harvardzie, jednak otrzymał w odpowiedzi jedynie mgliste obietnice. Nie spełnili ich, bo byli zajęci sprawami o wiele bardziej palącymi niż misja ratunkowa w warszawskim piekle. Amerykanie przyjęli postawę wyczekującą; nadal sądzili, że wojna po drugiej stronie Atlantyku ich nie dotyczy, pomimo zręcznej propagandy rządu Roosevelta mającej nastawić społeczeństwo przeciwko Niemcom. Za wysokim murem wyznaczającym granice getta w Warszawie Żydzi umierali z głodu i cierpieli z powodu terroru. Mówiono o masowych deportacjach, o mężczyznach, kobietach i dzieciach zapędzanych jak bydło do pociągów towarowych, które znikwały w ciemnościach nocy, o nazistowskich planach eksterminacji Żydów i innych niepożądanych jednostek, o komorach gazowych, piecach krematoryjnych i innych bestialstwach, niepotwierdzonych i dlatego uznawanych przez Amerykanów za nieprawdopodobne.

# Irina Bazili

W 2013 roku Irina Bazili uczciła trzecią rocznicę podjęcia pracy u Almy Belasco, opychając się ciastkami z kremem i wypijając dwie filiżanki gorącego kakao. Bardzo dobrze poznała swoją chlebodawczynię, choć w życiu tej kobiety nadal były sekrety, których ani ona, ani Seth nie zdołali odkryć, częściowo dlatego, że jeszcze nie zabrali się do tego na poważnie. Dzięki zawartości pudeł Almy, którą miała uporządkować, Irina dowiadywała się stopniowo, kim byli Belascowie. W ten sposób poznała Isaaca, mężczyznę o groźnym orlim nosie i łagodnym spojrzeniu; Lillian, niską, biuściastą kobietę o ładnej twarzy; ich córki Sarah i Marthę, brzydkie, ale ładnie ubrane; Nathaniela jako dziecko, chudego, o bezradnym wyglądzie, potem jako szczupłego i bardzo przystojnego młodzieńca, a na koniec jakby wyrzeźbionego dłutem przez wyniszczającą go chorobę. Widziała Almę jako dziewczynkę niedawno przybyłą do Ameryki; Almę w Bostonie, gdzie jako dwudziestojednoletnia panna studiowała sztukę, ubraną w czarny beret i prochowiec detektywa, w męskim stylu, który przyjęła, gdy tylko pozbyła się obrzydliwej jej zdaniem, niechcianej wyprawki od ciotki Lillian; jako matkę siedzącą pod pergolą w ogrodzie w Sea Cliff z trzymiesięcznym synkiem Larrym na rękach. Za nią stał mąż i trzymał dłoń na jej ramieniu, jakby pozowali do portretu rodziny królewskiej. Patrząc na małą Almę, można się było domyślić, jaką będzie kobietą: wyniosłą, z białym pasemkiem włosów, lekko wykrzywionymi ustami i zbyt dużymi uszami. Irina miała wkładać zdjęcia chronologicznie do albumów, zgodnie z instrukcjami Almy, która nie zawsze pamiętała, gdzie i kiedy fotografie zostały zrobione. Oprócz portretu Ichimeiego Fukudy w jej mieszkaniu było jeszcze tylko jedno zdjęcie oprawione w ramkę: przedstawiało rodzinę zebraną w salonie rezydencji w Sea Cliff w dniu, kiedy Alma obchodziła pięćdziesiąte urodziny. Mężczyźni mieli na sobie czarne smokingi, kobiety długie suknie; odziana w czarną satynę Alma wyglądała wyniośle niczym owdowiała cesarzowa, a jej synowa Doris, blada i zmęczona, włożyła na tę okazję kreację z szarego jedwabiu układającą się z przodu w fałdy, żeby ukryć drugą ciążę, oczekiwała bowiem narodzin córki, Pauline. Półtoraroczny Seth stał uczepony jedną ręką sukni babci, drugą ucha cocker-spaniela.

W czasie, który spędzały razem, relacja między Almą i Iriną zaczęła przypominać więź ciotki z bratanicą. Tak dopasowały swoje rutynowe zajęcia, że potrafiły godzinami przebywać razem w ograniczonej przestrzeni mieszkania, nie patrząc na siebie ani nie rozmawiając, pochłonięte każda swoją robotą. Były sobie nawzajem potrzebne. Irina uważała się za osobę uprzywilejowaną, bo zyskała zaufanie i wsparcie Almy, ta z kolei odczuwała wdzięczność za oddanie dziewczyny. Kobiecie schlebiało zainteresowanie Iriny jej przeszłością. Była od niej uzależniona w sprawach praktycznych, ale dzięki temu mogła zachować niezależność. Seth poradził jej kiedyś, żeby wróciła do domu rodzinnego w Sea Cliff, jeśli będzie potrzebowała opieki, albo żeby zatrudniła kogoś na stałe do pomocy; pieniędzy im na to nie brakowało. Alma miała niedługo skończyć osiemdziesiąt dwa lata, planowała jednak pożyć jeszcze dziesięć bez tego rodzaju wsparcia. Nie chciała, by ktokolwiek rościł sobie prawo do decydowania za nią.

– Ja też panicznie bałam się uzależnienia, Almo, ale zdałam sobie sprawę, że to nie takie straszne.

Człowiek przywyka i jest wdzięczny za pomoc. Nie mogę się samodzielnie ubrać ani wykąpać, mam kłopot z umyciem zębów i pokrojeniem kurczaka na talerzu, ale nigdy nie byłam bardziej zadowolona – powiedziała Catherine Hope, która zdołała zaprzyjaźnić się z Alną.

– Dlaczego, Cathy?

– Dlatego, że mam dużo wolnego czasu i pierwszy raz w życiu nikt niczego ode mnie nie oczekuje. Nie muszę niczego udowadniać, nie spieszę się, każdy dzień jest prezentem, maksymalnie go wykorzystuję.

Catherine Hope żyła jeszcze na tym świecie wyłącznie dzięki ogromnej sile woli i cudom chirurgii. Wiedziała, co to znaczy być kaleką i bezustannie cierpieć. Uzależnienie od innych nie postępowało w jej przypadku stopniowo, jak to zwykle bywa, lecz nastąpiło z dnia na dzień, z powodu niewłaściwego postawienia stopy. Wspinając się w górach, spadła i długo tkwiła uwięziona między skałami z połamanymi nogami i miednicą. Akcja ratunkowa była heroicznym wyczynem, w całości pokazano ją w telewizji, sfilmowaną z powietrza. Helikopter z którego wykonano dalekie ujęcia dramatycznych scen, nie zdołał zbliżyć się do głębokiej rozpadliny, w której Cathy leżała w stanie szoku i mocno krwawiła. Upłynęły cały dzień i cała noc, zanim dwaj alpiniści ryzykując życiem, odważnie spuścili się w głąb szczeliny, założyli jej uprząż i wyciągnęli ją na linach. Została zawieszona do szpitala wyspecjalizowanego w leczeniu urazów wojennych, gdzie poskładano jej połamane kości. Obudziła się ze śpiączki dwa miesiące później. Najpierw zapytała o córkę, a potem oświadczyła, że jest szczęśliwa, bo żyje. Tego samego dnia Dalajlama wysłał jej z Indii khatę, biały szal ceremonialny, ze swoim błogosławieństwem. Po czternastu ciężkich operacjach i latach intensywnej rehabilitacji Cathy musiała przyjąć do wiadomości, że już nigdy nie będzie chodzić. „Moje pierwsze życie dobiegło końca, teraz zaczynam drugie. Czasami dopadną mnie chwile przygnębienia albo rozgoryczenia, ale nie przejmuj się, nie będą trwały długo”, powiedziała córce. Bardzo pomogły jej zen i medytacja, którą praktykowała jeszcze przed wypadkiem; pozwalały znosić brak ruchu, który kogoś innego, przywykłego do uprawiania sportu i pełnego energii jak ona, doprowadziłby do szaleństwa. Dzięki temu zdołała też szybko odzyskać równowagę po stracie wieloletniego towarzysza życia, który w obliczu tragedii wykazał mniej męstwa niż ona i zerwał związek. Odkryła również, że może nadal praktykować medycynę, prowadząc konsultacje chirurgiczne ze studia połączonego dzięki kamerom telewizyjnym z salą operacyjną, ale jej ambicją był powrót do pracy z pacjentami, twarzą w twarz, tak jak wcześniej.

Kiedy wybrała życie w Lark House jako pensjonariuszka drugiej grupy, odbyła mnóstwo rozmów z ludźmi, którzy stali się jej nową rodziną, i stwierdziła, że będzie miała aż nadto okazji, by pracować w swoim zawodzie. Już tydzień po przyjeździe snuła plany założenia bezpłatnej kliniki bólu przeznaczonej dla osób nieuleczalnie chorych oraz poradni dla łżejszych przypadków. W Lark House korzystano z usług lekarzy z zewnątrz; Catherine Hope przekonała ich, że nie zamierza z nimi rywalizować, będą się uzupełniać. Hans Voigt użyczył jej sali na klinikę i zaproponował zarządowi Lark House, by wypłacał jej pensję, ale ona wolała, by zwolniono ją z wnoszenia comiesięcznych opłat, co było na rękę obu stronom. Cathy – jak ją nazywano – szybko stała się matką, która witała nowych pensjonariuszy, słuchała zwierzeń, pocieszała strapionych, towarzyszyła umierającym, ale też rozdawała marihuanę. Połowa mieszkańców dostawała na nią recepty od lekarza, a Cathy wydawała lek w swojej klinice. Była także szczodra dla tych, którzy recept nie mieli, a brakowało im pieniędzy, żeby kupić marihuanę od dilera. Nierzadko można było zobaczyć przed jej drzwiami kolejkę chętnych, którzy przychodzili po trawkę oferowaną w rozmaitych postaciach, nawet jako przepyszne biszkopty czy cukierki. Hans Voigt nie interweniował, nie chciał pozbawiać swoich podopiecznych nieszkodliwego środka przynoszącego ulgę; wymagał jedynie, żeby nie palono na korytarzach i w innych miejscach publicznych, bo skoro obowiązywał zakaz palenia tytoniu, byłoby niesprawiedliwe, gdyby nie dotyczył

on marihuany. Trochę dymu wydostawało się jednak przewodami od ogrzewania albo klimatyzacji, dlatego psy i koty chodziły czasami nieco skołowane.

W Lark House Irina pierwszy raz od czternastu lat poczuła się bezpiecznie. Odkąd przyleciała do Stanów Zjednoczonych, nigdy nie przebywała tak długo w jednym miejscu. Wiedziała, że spokój nie będzie trwał wiecznie, dlatego rozkoszowała się tym czasem odprężenia w swoim życiu. Nie wszystko było sielanką, ale w porównaniu z problemami z przeszłości obecne wydawały się bez znaczenia. Powinna na przykład usunąć zęby mądrości, ale jej ubezpieczenie nie pokrywało leczenia dentystycznego. Wiedziała też, że Seth Belasco się w niej kocha i że będzie coraz trudniej utrzymać go na dystans, nie tracąc przy tym jego cennej przyjaźni. Hans Voigt, który dawniej zawsze był wyluzowany i traktował wszystkich przyjaźnie, w ciągu ostatnich miesięcy stał się tak porywczy, że niektórzy pensjonariusze rozważali na potajemnych spotkaniach, w jaki sposób go usunąć, nie sprawiając mu przy okazji przykrości. Catherine Hope sądziła, że powinni dać mu trochę czasu, i ta opinia na razie przeważała. Dyrektor dwukrotnie przeszedł operację usuwania hemoroidów z niezbyt dobrym skutkiem, co sprawiło, że chodził rozdrażniony. Powodem do zmartwień wymagającym pilniejszego rozwiązania była dla Iriny inwazja myszy w starym domu w Berkeley, w którym mieszkała. Słyszała ich drapanie między popękаныmi ścianami i pod parkietem. Pozostali lokatorzy za namową Tima, jej współnika, postanowili rozstawić pułapki, bo trucie wydawało im się nieludzkie. Irina argumentowała, że potrzaski są równie okrutne, a do tego ktoś musi jeszcze wyciągać z nich trupy, ale nikt jej nie słuchał. Timowi zrobiło się żal małego gryzonia, który przeżył w jednej z pułapek; uratował go i dał Irinie. Należał do osób, które żywią się warzywami i orzechami, bo nie tolerują krzywdzenia zwierząt, a już na pewno nie podłości, jaką jest ich gotowanie. Irina zabandażowała myszy łapkę, umieściła gryzonia w pudełku wyłożonym watą i troszczyła się o niego do czasu, aż przewyciężył strach, zaczął chodzić i w końcu wrócił do swoich.

Niektóre obowiązki w Lark House męczyły Irinę, na przykład biurokracja towarzystw ubezpieczeniowych, walka z krewnymi pensjonariuszy, którzy skarżyli się na byle drobiazgi, by złagodzić poczucie winy, że porzucili bliską osobę, a także obowiązkowa nauka obsługi komputera, bo kiedy tylko coś opanowała, postęp technologiczny sprawiał, że znowu zostawała w tyle. Nie narzekała natomiast na swoich podopiecznych. Zgodnie z tym, co usłyszała od Cathy w dniu, kiedy zaczęła pracę w Lark House, nigdy też nie odczuwała nudy. „Istnieje różnica pomiędzy starością i starczością. To nie kwestia wieku, tylko zdrowia fizycznego i umysłowego – wyjaśniła jej lekarka. – Starzy ludzie mogą jeszcze zachować niezależność, natomiast starcy potrzebują pomocy i opieki, aż w końcu przychodzi taki moment, że są jak dzieci”. Irina dużo się nauczyła i od starych, i od starców. Prawie wszyscy byli sentymentalni, nie stronili od zabawy, nie bali się śmieszności; śmiała się z nimi, niekiedy płakała nad ich losem. Prawie wszyscy mieli ciekawe życie albo je sobie wymyślili. Jeśli wyglądali na bardzo zagubionych, to dlatego, że na ogół źle słyszeli. Irina pilnowała, żeby wymieniali baterie w aparatach słuchowych. „Co jest najgorsze w starzeniu się?”, pytała. Odpowiadali, że nie myślą o swoim wieku. Kiedyś dojrzewali, potem kończyli trzydzieści lat, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, i nie myśleli o upływie czasu. Dlaczego mieliby robić to teraz? Niektórzy byli bardzo upośledzeni motorycznie, chodzenie i ruch kosztowały ich wiele trudu, ale i tak nie mieli ochoty nigdzie się wybierać. Inni byli roztargnieni, skołowani, cierpieli na zaniki pamięci, jednak tymi dolegliwościami bardziej przejmowali się ich opiekunowie i rodziny niż oni sami. Catherine Hope zależało, by pensjonariusze drugiej i trzeciej grupy pozostawali aktywni, a Irina miała sprawić, by się czymś interesowali, zajmowali, byli na bieżąco. „W każdym wieku potrzebny jest jakiś cel w życiu. To najlepsze lekarstwo na wiele dolegliwości”, twierdziła Cathy. Dla niej celem zawsze było pomaganie innym, po wypadku nic się pod tym względem nie zmieniło.

W piątkowe poranki Irina towarzyszyła najbardziej wojowniczym pensjonariuszom podczas ich ulicznych protestów, pilnowała, żeby nie przesadzili. Uczestniczyła również w czuwaniach w różnych szlachetnych intencjach, a także w zajęciach klubu robótek ręcznych: wszystkie kobiety, które potrafiły posługiwać się drutami, z wyjątkiem Almy Belasco, dziergały swetry dla uchodźców z Syrii. Motywem przewodnim tych akcji był pokój; mogli się nie zgadzać co do różnych spraw, ale nie w kwestii pokoju. W Lark House mieszkało dwustu czterdziestu czterech pozbawionych złudzeń demokratów: głosowali za reelekcją Baraka Obamy, ale krytykowali go za brak zdecydowania, niezamknięcie więzienia w Guantanamo, deportowanie latynoskich imigrantów, drony... Nie brakowało powodów, by słać listy do prezydenta i Kongresu. Garstka republikanów pilnowała się, żeby nie wyrażać głośno swoich poglądów.

Do obowiązków Iriny należało również umożliwianie podopiecznym praktyk duchowych. Wiele starszych osób wychowanych w tradycji religijnej szukało w nich pociechy, nawet jeśli przez sześćdziesiąt lat odrzucali Boga. Inni znajdowali pokrzepienie w alternatywnych, ezoterycznych i psychologicznych teoriach Ery Wodnika. Irina wyszukiwała im przewodników i mistrzów od medytacji transcendentalnej, nauczycieli cudotwórstwa, specjalistów od jin-jang, rozwoju intuicji, kabały, mistycznego tarota, animizmu, reinkarnacji, percepcji psychicznej, energii uniwersalnej i życia pozaziemskiego. Była odpowiedzialna za obchody świąt religijnych, mieszaniny rytuałów zaczerpniętych z rozmaitych wierzeń, żeby nikt nie czuł się wykluczony. W dzień przesilenia letniego prowadziła grupę staruszek do pobliskiego lasu, gdzie tańczyły w kręgu przy dźwięku tamburynów, boso, w wiankach na głowie. Strażnicy leśni znali je, przychodzili, żeby robić im zdjęcia, kiedy obejmowały drzewa i rozmawiały z Gają, Ziemią-Matką, oraz ze swoimi zmarłymi. Irina przestała się z nich po cichu naśmiewać, kiedy usłyszała swoich dziadków w pniu sekwoi, jednym z tych tysiącletnich gigantów, które łączą nasz świat ze światem duchów, o czym dowiedziała się od osiemdziesięcioletnich tancerek. Costea i Petruta nie byli zbyt rozmowni za życia, nie byli również tacy we wnętrzu sekwoi, ale to, co powiedzieli, przekonało wnuczkę, że nad nią czuwają. W dzień przesilenia zimowego Irina improwizowała obchody wewnątrz budynku, bo Cathy ostrzegła ją przed ryzykiem zapalenia płuc w razie świętowania w wilgotnym i zasypanym śniegiem lesie.

Pensja otrzymywana w Lark House ledwo starczyłaby na życie normalnej osobie, ale ambicje Iriny były tak skromne, a potrzeby tak ograniczone, że czasami zostawało jej trochę pieniędzy. Dochody z kapania psów i asystowania Almie, która zawsze szukała pretekstów, by zapłacić jej więcej, niż powinna, sprawiały, że czuła się bogata. Lark House stał się jej domem, a pensjonariusze, z którymi miała codziennie do czynienia, zastąpili jej dziadków. Wzruszali ją ci powolni, niezdarni, niedomagający, słabi staruszkowie... Zawsze życzliwie podchodziła do ich problemów, mogła powtarzać tysiące razy tę samą odpowiedź na to samo pytanie, lubiła pchać przed sobą wózek inwalidzki, dodawać otuchy, pomagać, pocieszać. Nauczyła się rozładowywać wybuchy agresji, które były niczym przelotne burze, nie odstraszały jej skąpstwo ani manie prześladowcze, na które czasem cierpieli z powodu samotności. Starła się zrozumieć, co znaczy dźwigać na plecach brzemię zimy życia, czym są niepewność przy każdym stawianym kroku, zakłopotanie wywołane słowami, których się dobrze nie usłyszało, wrażenie, że inni bardzo się spieszą i za szybko mówią, pustka, słabość, zmęczenie i obojętność wobec wszystkiego, co nie dotyczyło ich osobiście, w tym wobec dzieci i wnuków, których brak nie ciążył im już tak jak kiedyś, i musieli się zdobyć na wysiłek, żeby sobie o nich przypomnieć. Zmarszczki, zdeformowane palce i słaby wzrok budziły w niej rozczulenie. Wyobrażała sobie, jaka ona będzie na starość.

Alma Belasco nie mieściła się w tej kategorii. Nią nie musiała się opiekować; przeciwnie, czuła, że

sama jest pod jej opieką i była wdzięczna za rolę bezradnej kuzynki, jaką wyznaczyła jej ta kobieta. Alma była pragmatyczką, agnostyczką i osobą z natury nieufną: żadnych szklanych kul, znaków zodiaku czy mówiących drzew. Przy niej Irina znajdowała wytchnienie od swoich wątpliwości. Chciała być taka jak Alma, żyć w rzeczywistości, którą można kierować, w której problemy mają przyczynę, skutek i rozwiązanie, w której nie istnieją przerażające istoty przyczajone w snach ani lubieżni wrogowie czyhający za każdym rogiem. Spędzone z nią godziny były cudowne, mogłaby nawet pracować u niej bez wynagrodzenia. Kiedyś to zaproponowała. „Mam nadmiar pieniędzy, a tobie ich brakuje. Nie wracajmy do tego”, odparła Alma nieznoszącym sprzeciwu tonem, jakim niemal nigdy się do niej nie zwracała.

# Seth Belasco

Alma Belasco niespiesznie zjadała śniadanie, oglądała w telewizji wiadomości, potem szła na zajęcia z jogi albo na godzinną przechadzkę. Po powrocie brała prysznic, ubierała się, a kiedy miała przyjść do niej sprzątaczką, udawała się do kliniki, by pomóc swojej przyjaciółce Cathy. Najlepszym lekarstwem na ból było znalezienie pacjentom zajęcia i zapewnienie im ruchu. Cathy ciągle potrzebowała w swojej klinice wolontariuszy, dlatego poprosiła Almę, by poprowadziła lekcje malowania na jedwabiu, wymagało to jednak przestrzeni i materiałów, na które nikt nie mógł tu sobie pozwolić. Cathy nie chciała się zgodzić, by Alma wzięła na siebie wszystkie koszty, powiedziała, że to źle wpływa na morale uczestników zajęć, bo nikt nie lubi być przedmiotem litości. W tej sytuacji Alma wykorzystwała dawne doświadczenia z Nathanielem i Ichimeim ze strychu w Sea Cliff i wystawiała z innymi pensjonariuszami improwizowane sztuki teatralne, które nic nie kosztowały, a wywoływały salwy śmiechu. Trzy razy w tygodniu chodziła do swojej pracowni, gdzie malowała z Kirsten. Rzadko korzystała ze stołówki w Lark House, wołała jadać kolacje w okolicznych restauracjach, gdzie była znanym gościem, albo w swoim mieszkaniu, jeśli synowa przysłała przez kierowcę jakieś ulubione danie teściowej.

Irina pilnowała, by w kuchni Almy nigdy nie zabrakło niezbędnych artykułów: świeżych owoców, płatków owsianych, mleka, chleba razowego, miodu. Do jej obowiązków należały również segregowanie dokumentów, pisanie pod dyktando, zakupy, wizyty w pralni, towarzyszenie Almie w załatwianiu sprawunków, zajmowanie się kotem, pilnowanie rozkładu zajęć oraz organizowanie jej dość ubogiego życia towarzyskiego. Alma i Seth często zapraszali Irinę na obowiązkowy niedzielny obiad w Sea Cliff, kurtuazyjny gest rodziny wobec matriarchini. Dla Seta, który wcześniej uciekał się do rozmaitych pretekstów, żeby przybyć w porze deseru, bo myślał, żeby się w ogóle nie pojawić, nie zaświtała w głowie nawet jemu, dzięki obecności Iriny rodzinne spotkania nabrały zupełnie innych barw. Nadal uparcie o nią zabiegał, ale ponieważ efekty tych starań pozostawiały wiele do życzenia, umawiał się również z dawnymi przyjaciółkami gotowymi znieść jego kaprysy. Nudził się z nimi, nie zdołał też wzbudzić zazdrości Iriny. Po co tracić naboje na strzelanie do sępów, jak mawiała jego babcia; było to jeszcze jedno zagadkowe powiedzonko, które krążyło w rodzinie Belasców. Na początku tych rodzinnych spotkań Alma cieszyła się, że widzi swoich najbliższych, zwłaszcza wnuczkę Pauline, jako że Seta widywała często, za to pod koniec cierpiała katusze, bo każdy temat stanowił okazję do sprzeczki, nie dlatego, że się nie kochali, ale dlatego, że mieli brzydki zwyczaj prowadzić kłótnie z powodu głupstw. Seth szukał tylko pretekstu, żeby sprowokować albo zgorszyć rodziców; Pauline, zawsze oddana jakiejś sprawie, na przykład walce z okaleczaniem narządów płciowych czy z ubojem zwierząt, szczegółowo wyłuszczała ją zebrany; Doris dokładała starań, by uraczyć ich najbardziej udanymi spośród swoich eksperymentów kulinarnych, prawdziwymi ucztami, a potem płakała u siebie w pokoju, bo nikt ich nie doceniał; poczciwy Larry dokonywał zaś iście ekwilibrystycznych sztuczek, żeby uniknąć scysji. Babcia wykorzystywała Irinę do łagodzenia napięć, ponieważ przy obcych Belascowie zachowywali się w cywilizowany sposób, nawet jeśli była to nic nieznacząca pracownica Lark House. Dom w Sea Cliff, z sześcioma sypialniami, dwoma salonami, biblioteką o ścianach wyłożonych książkami, podwójnymi schodami z marmuru i pałacowym ogrodem, wydawał się dziewczynie ekstrawaganckim luksusem. Nie

dostrzegając, że prawie stuletni budynek jest w coraz gorszym stanie, że waleczna czujność Doris ledwo pozwala utrzymać w ryzach rdzę atakującą ozdobne kraty, nie widziała wybruszonych podłóg i ścian, które wytrzymały kilka trzęsień ziemi, popękanych płyt kamiennych i śladów po termitach w drewnie. Dom stał w szczególnym miejscu, na wysokim cyplu między Oceanem Spokojnym i zatoką San Francisco. Gęsta mgła, która niczym lawina waty opadała o zmierzchu od strony morza, zwykle zasłaniała całkowicie most Golden Gate, ale rozpraszała się w godzinach porannych, ukazując zgrabną konstrukcję z czerwonego żelaza na tle usianego mewami nieba, tak blisko ogrodu Belasców, że wydawało się, iż można jej dotknąć ręką.

Na tej samej zasadzie, na jakiej Alma została przybraną ciotką Iriny, Seth odgrywał rolę kuzyna, bo nic nie wyszło z roli kochanka, w którą pragnął się wcielić. W ciągu trzech lat znajomości relacja młodych ludzi będąca wynikiem samotności Iriny, nieskrywanej namiętności Seta i ich zainteresowania Alną Belasco bardzo się zacieśniła. Inny mężczyzna, mniej uparty i mniej zakochany niż Seth, dawno by skapitulował, ale on nauczył się panować nad swoją porywcznością i dostosował do żółtawego tempa narzuconego przez Irinę. Pośpiech nic nie dawał, przy najmniejszym przejawie natarczywości dziewczyna się wycofywała, po czym mijały tygodnie, zanim Seth odzyskał utracone pozycje. Jeśli otarli się o siebie przypadkiem, ona szybko odskakiwała, a jeśli dotykał jej celowo – okazywała niepokój. Seth daremnie szukał przyczyn, które uzasadniałyby tę nieufność, daremnie, bo Irina zamknęła przed nim swoją przeszłość. Na pierwszy rzut oka nic nie zdradzało prawdziwego charakteru dziewczyny, która dzięki otwartości i uprzejmości zasłużyła sobie na miano najbardziej lubianej pracownicy Lark House, lecz on wiedział, że za tą fasadą kryje się płochliwa wiewióreczka.

W ciągu tych lat książka Seta nabierała kształtów bez wielkiego wysiłku z jego strony dzięki rozważaniom Iriny i materiałom, których dostarczała mu babcia. Almie przypadło zadanie skompilowania historii Belasców, jedynych krewnych, którzy zostali jej po tym, jak Mendlów z Polski zmiołła wojna, zanim zmartwychwstał jej brat Samuel. Belasców nie zaliczano może do najznakomitszych rodzin San Francisco (ale do najbardziej zamożnych już tak), za to ich korzenie sięgały czasów gorączki złota. Wśród przodków wyróżniał się David Belasco, reżyser i producent teatralny, impresario i autor ponad stu sztuk, który opuścił miasto w 1882 roku i odniósł sukces na Broadwayu. Isaac, pradziadek Seta, należał do gałęzi rodziny, która pozostała w San Francisco, zapuściła tu korzenie i zrobiła majątek dzięki rzetelnej kancelarii adwokackiej i żyłce do inwestycji.

Jak wszyscy mężczyźni z jego rodu, Seth został wspólnikiem kancelarii, choć brakowało mu instynktu wojownika właściwego poprzednim pokoleniom. Zrobił dyplom z poczucia obowiązku, a praktykował jako prawnik, ponieważ żał mu było klientów, a nie dlatego, że wierzył w wymiar sprawiedliwości czy że był zachłanny na pieniądze. Jego o dwa lata młodsza siostra Pauline lepiej nadawała się do wykonywania tego niewdzięcznego zawodu, lecz to nie zwalniało go z obowiązków wobec firmy. Miał już trzydzieści cztery lata, ale wcale nie zmądrzał, co wyrzucał mu ojciec. Trudniejsze sprawy nadal zostawiał siostrze, prowadził rozrywkowe życie, nie zważając na wydatki, i umawiał się z kilkoma przelotnymi sympatiami naraz, fruując jak motyl z kwiatka na kwiatek. Aby zrobić wrażenie na przyjaciółkach i nastraszyć rodziców, twierdził, że został stworzony do bycia poetą i do ścigania się na motocyklach, jednak nie zamierzał rezygnować ze stałych dochodów, jakie przynosiła kancelaria. Nie był cyniczny, ale za to leniwy w pracy i lekkomyślny niemal we wszystkim innym. Zdziwił się, kiedy odkrył, że w aktówce, w której powinien nosić dokumenty do sądu, przybywa tyle kartek rękopisu. Ta ciężka teczka ze skóry w karmelowym kolorze, z inicjałami dziadka wrytymi w złocie, była anachronizmem w dobie cyfryzacji, Seth nosił ją jednak, wierząc, że ma nadprzyrodzoną moc. Nie znajdował innego



wy tłumaczenia niekontrolowanego pęcznienia swego manuskryptu. Słowa spokojnie wędrowały po jego wyobraźni, a potem same pojawiały się w płodnym brzuchu aktówki. Miał już dwieście piętnaście stron zapisanych bełkotliwym tekstem. Nie zadawał sobie trudu, żeby go poprawiać, jego plan zakładał bowiem spisanie wszystkiego, co zdoła wyciągnąć od babki, dodanie tego, co sam znajdzie, a potem opłacenie anonimowego pisarza i sumiennego redaktora, którzy nadadzą książce odpowiednią formę i ostateczny kształt. Nie byłoby jednak tych kartek, gdyby nie nalegania Iriny, która chciała je czytać, i tupet, z jakim je krytykowała – to zmuszało go do regularnego produkowania kolejnych stron. W ten sposób ich liczba ciągle rosła, a on mimowolnie stawał się powieściopisarzem.

Seth był jedynym członkiem rodziny, za którym Alma tęskniła, choć nigdy by się do tego nie przyznała. Jeśli przez kilka dni nie dzwonił ani jej nie odwiedzał, wpadała w zły humor i szybko wymyślała jakiś pretekst, żeby ściągnąć go do Lark House. Wnuczek nigdy nie kazał na siebie czekać. Wpadał jak wichur, z kaskiem motocyklowym pod pachą, potarganymi włosami, czerwonymi policzkami i jakimś drobnym prezentem dla babci i dla Iriny: ciasteczkami przekładanymi masą kajmakową, mydełkiem migdałowym, papierem do rysowania, filmem o zombie w innej galaktyce. Jeśli nie zastawał dziewczyny, nie umiał ukryć rozczarowania, ale Alma udawała, że tego nie zauważa. Witał babkę klepieniem w ramię, a ona odpowiadała mruknięciem. Zawsze tak robili; byli dla siebie jak towarzysze przygód – szczerzy, połączeni nicią porozumienia, nieokazujący uczuć, bo ich uzewnętrznianie uznawali za kicz. Rozmawiali długo, ze swadą rozplotkowanych kumoszek: zaczynali od szybkiego przeglądu ostatnich wiadomości, łącznie z tymi, które dotyczyły rodziny, po czym zaraz przechodzili do tego, co naprawdę ich interesowało. Zamykali się w mitologicznej przeszłości złożonej z nieprawdopodobnych epizodów i anegdot, wydarzeń i ludzi z czasów sprzed narodzin Setha. W obecności wnuka Alma stawała się pełną fantazji narratorką; przywoływała zachowany obraz domu w Warszawie, w którym spędziła pierwsze lata życia, jego ciemne pokoje pełne olbrzymich mebli i służbę w uniformach przemycającą pod ścianami ze wzrokiem wbitym w podłogę, ale dodawała na przykład wymyślonego przez siebie kucyka o sierści koloru pszenicy, z długą grzywą, który w czasach głodu został przerobiony na sztufadę. Wskrzesała pradziadków z rodziny Mendlów i zwracała im wszystko, co zrabowali naziści, sadzała ich do stołu paschalnego ze srebrnymi świecznikami i sztucami, francuskimi kieliszkami, bawarską zastawą i obrusami haftowanymi przez zakonnice z jakiegoś hiszpańskiego klasztoru. Była tak przekonująca, opisując najtragiczniejsze epizody, że Seth i Irina czuli się tak, jakby towarzyszyli Mendlom w drodze do Treblinki. Jechali z nimi wagonem towarowym pośród setek innych nieszczęśników, zrozpaczonych, spragnionych wody, pozbawionych powietrza i światła, wymiotujących, robiących pod siebie, dogorywających. Wchodzili razem z nimi, nago, do budzącej grozę komory i razem z nimi znikali w dymie wylatującym z kominów. Alma opowiadała również o pradziadku Isaacu Belascu, o tym, jak umarł pewnej wiosny, w nocy, kiedy rozpętała się gradowa burza, która całkowicie zniszczyła jego ogród, i o tym, że miał dwa pogrzeby, bo w czasie pierwszego nie starczyło miejsca dla wszystkich pragnących okazać mu szacunek. Przez cmentarz przedefilowały setki białych, czarnych, Azjatów i Latynosów, którzy coś mu zawdzięczali, rabin musiał więc powtórzyć ceremonię. Mówiła również o prababci Lillian, aż do śmierci zakochanej w mężu, która oślepla w dniu, kiedy owdowiała; lata, jakie jej pozostały, spędziła w ciemnościach, bo lekarze nie potrafili znaleźć przyczyny utraty wzroku. Wspominała o Fukudach i o wywożeniu Japończyków jak o traumie z dzieciństwa, nie poświęcała jednak zbyt wiele miejsca swojemu związkowi z Ichimeim Fukudą.

# Fukudowie

Takao Fukuda mieszkał w Stanach Zjednoczonych od dwudziestego roku życia, ale nie przejawiał chęci do asymilacji. Jak wielu *issei*, japońskich imigrantów w pierwszym pokoleniu, nie miał ochoty stopić się w amerykańskim tyglu kulturowym, w przeciwieństwie do przedstawicieli innych ras przybyłych tam z czterech stron świata. Był dumny ze swojej kultury i języka, które zachował w nienaruszonym stanie i bezskutecznie usiłował przekazać swoim dzieciom, oczarowanym wspaniałością Ameryki. Podziwiał wiele rzeczy na tym olbrzymim terytorium, gdzie horyzont stapał się z niebem, ale nie opuszczało go poczucie wyższości. Nie okazywał go jednak poza domem, bo oznaczałoby to niewybaczalny brak szacunku wobec kraju, który udzielił mu gościny. W miarę upływu lat nieubłagane coraz bardziej ulegał złudzeniom wywołanym nostalgią, a powody, dla których opuścił Japonię, traciły ostrość; w końcu zaczął idealizować anachroniczne obyczaje, które niegdyś skłoniły go do emigracji. Raziły go poczucie wyższości i materializm Amerykanów, w jego oczach były przejawem nie charakteru i praktyczności, lecz wulgarności. Cierpiał, widząc, jak jego dzieci hołdują indywidualizmowi i naśladują prostackie zachowania białych. Chociaż cała czwórka urodziła się w Kalifornii, płynęła w nich japońska krew zarówno ze strony ojca, jak i matki, nic więc nie usprawiedliwiała ich obojętnego podejścia do przodków i braku poszanowania dla hierarchii. Nie znali swojego miejsca w szeregu, jakie wyznaczył każdemu z nich los; zarazili się niedorzecznymi ambicjami Amerykanów, dla których nie było rzeczy niemożliwych. Takao wiedział, że dzieci zdradzają go także w drobnych sprawach: piły piwo do utraty przytomności, mamlą gumę niczym przeżuwacze i tańczyły w rytm modnych gorączkowych melodii, z wypomadowanymi włosami, obuci w al caponki. Charles i James na pewno szukali ciemnych kątów, żeby obłąpać w nich panienki wątpliwych obyczajów, jednak Takao wierzył, że Megumi nie dopuściłaby się podobnych nieprzyzwoitości. Jego córka naśladowała groteskowy styl ubierania się amerykańskich dziewcząt i czytała po kryjomu czasopisma rozpisujące się o romansach i życiu filmowej hałustry, których zabronił jej kupować, ale była dobrą uczennicą i – przynajmniej na pozór – okazywała mu szacunek. Takao sprawował kontrolę jedynie nad Ichimeim, choć wiedział, że wkrótce i on wymknie mu się z rąk i stanie obcym człowiekiem jak jego bracia. Taka była cena życia w Ameryce.

W 1912 roku Takao Fukuda porzucił rodzinę i wyemigrował z przyczyn metafizycznych, jednak ten czynnik stopniowo tracił znaczenie w jego wspomnieniach i Takao często zastanawiał się, dlaczego podjął tak drastyczną decyzję. Kiedy Japonia otworzyła się na zagraniczne wpływy, wielu młodych ludzi wyjeżdżało z kraju w poszukiwaniu lepszych perspektyw, ale w rodzinie Fukudów uważano opuszczenie ojczyzny za niewybaczalną zdradę. Wyrósłi w wojskowej tradycji, przez wieki przelewali krew za cesarza. Takao, jako jedyny chłopak spośród czwórki rodzeństwa, które przeżyło zarazy i nieszczęśliwe wypadki z dzieciństwa, był depozytariuszem honoru Fukudów, odpowiedzialnym za rodziców i siostry oraz za oddawanie czci przodkom przed domowym ołtarzykiem i podczas wszystkich świąt religijnych. Jednak w wieku piętnastu lat odkrył oomoto, drogę bogów, nową religię wywodzącą się z szintoizmu i święcącą w tym czasie sukcesy w Japonii, i poczuł, że wreszcie znalazł to coś, co pokieruje w życiu jego krokami. Według duchowych przywódców oomoto – niemal wyłącznie kobiet – może istnieć wielu bogów, ale w gruncie rzeczy wszyscy są tym samym i nieważne, pod jakimi imionami czy jakimi

rytuałami się ich czci; bogowie, religie, prorocy i posłańcy, którzy pojawiali się w ciągu dziejów, mają to samo źródło – Najwyższego Boga Wszechświata, Jedyne Ducha, który przenika wszelkie istnienie. Z pomocą istot ludzkich bóg stara się oczyścić wszechświat i odbudować jego harmonię, a kiedy to zadanie zostanie wykonane, bóg, ludzkość i przyroda będą zgodnie współistniały zarówno na ziemi, jak i w sferze duchowej. Takao oddał się całej swojej wierze. Oomoto głosiło pokój osiągalny jedynie dzięki osobistej prawości, chłopak rozumiał więc, że jego przeznaczeniem nie może być kariera wojskowa, pisana mężczyznom z jego rodu. Wyemigrowanie gdzieś daleko wydawało mu się jedynym rozwiązaniem, bo pozostanie i zrezygnowanie z wojska byłoby postrzegane jako niewybaczalne tchórzostwo, najgorszy afront, jaki mógł wyrządzić swojej rodzinie. Usiłował wyjaśnić to ojcu, ale tylko złamał mu serce. Niemniej wykladał swoje racje tak żarliwie, że w końcu mężczyzna pogodził się z tym, że straci syna. Młodzi, którzy wyjeżdżali, już nigdy nie wracali. Hańbę zmywało się krwią. Ojciec powiedział Takao, że lepsza byłaby śmierć z własnej ręki, jednak takie rozwiązanie stało w sprzeczności z zasadami oomoto.

Takao przybył na kalifornijskie wybrzeże z dwiema zmianami ubrań, ręcznie pokolorowanym portretem rodziców i mieczem samuraja, który był w jego rodzinie od siedmiu pokoleń. Ojciec wręczył mu go w chwili pożegnania, bo nie mógł przekazać broni żadnej z córek, i chociaż chłopak zapewne nigdy nie użyłby miecza, należał mu się zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy. Katana, wykonana z najlepszej warstwowanej stali skuwanej szesnaście razy przez dawnych rzemieślników, z rzeźbioną rękojeścią ze srebra i brązu, umieszczona w drewnianej pochwie ozdobionej czerwoną laką i blaszkami ze złota, była jedynym skarbem, jaki posiadali Fukudowie. Takao ruszył w podróż ze swoim mieczem owiniętym dla lepszej ochrony w worki, ale długi zakrzywiony kształt trudno było pomylić z czymkolwiek innym. Mężczyźni, którzy podróżowali z nim w ładowni statku podczas męczącej przeprawy, traktowali go z należyty szacunkiem, bo broń wskazywała, że jej właściciel pochodzi z wielkiego rodu.

Po zejściu na ląd otrzymał natychmiast pomoc ze strony maleńkiej wspólnoty oomoto z San Francisco, a kilka dni później dostał pracę ogrodnika u jednego z rodaków. Z dala od pełnego dezaprobaty spojrzenia ojca, którego zdaniem żołnierz nie brudzi sobie rąk ziemią, ale krwią, z determinacją zaczął się uczyć zawodu i wkrótce wyrobił sobie renomę pośród żyjących z rolnictwa *issei*. Pracował niezmordowanie, żył skromnie i cnotliwie, jak nakazywała jego religia, toteż w ciągu dziesięciu lat zaoszczędził osiemset dolarów potrzebnych do sprowadzenia żony z Japonii. Swatka zaproponowała mu trzy kandydatki; wybrał pierwszą, bo spodobało mu się jej imię – Heideko. Takao wyszedł po nią na nabrzeże w swoim jedynym garniturze z trzeciej ręki, wyświeconym na łokciach i pośladkach, ale dobrze uszytym, w wypolerowanych butach i kapeluszu panama, który kupił w Chinatown. Przybyła z kraju narzeczona okazała się o dziesięć lat młodszą od niego wieśniaczką. Miała mocną budowę ciała, łagodną twarz, silny charakter, cięty język i – o czym mógł się od razu przekonać – była dużo mniej uległa, niż twierdziła swatka. Kiedy minęło pierwsze zdziwienie, Takao uznał tę siłę charakteru za zaletę.

Heideko przybyła do Kalifornii bez wielkich złudzeń. Na statku, gdzie dzieliła niewielką przestrzeń z kilkunastoma innymi dziewczynami w identycznej sytuacji, nasłuchiwała się wstrząsających opowieści o niewinnych dziewczicach takich jak ona, które stawiały czoło niebezpieczeństwu oceanu, żeby w Ameryce wyjść za mąż za zamożnych młodzieńców, tymczasem w porcie czekali na nie starzy nędzarze, a w najgorszym wypadku alfonsi, którzy sprzedawali je do burdeli albo jako niewolnice do nielegalnych fabryk. Heideko nie spotkało takie rozczarowanie, bo Takao Fukuda wysłał jej swoje ostatnie zdjęcie, nie kłamał też odnośnie do swojej sytuacji; uprzedził, że może jej zaoferować życie pełne wysiłku i pracy, ale godne i mniej uciążliwe niż to, które wiodła w swojej wiosce w Japonii. Mieli czwórkę dzieci, Charlesa, Megumi, Jamesa i Ichimeiego; ten ostatni przyszedł na świat wiele lat później,

w 1932 roku, kiedy Heideko sądziła już, że straciła płodność. Urodził się za wcześnie i był tak słaby, że spisali go na straty, dlatego przez pierwsze kilka miesięcy życia nie miał imienia. Matka wzmacniała go, jak mogła, naparami z ziół, akupunkturą i zimnymi kąpielami, aż jakimś cudem mu się poprawiło. Wtedy nadali mu japońskie imię, w odróżnieniu od jego braci, którzy otrzymali imiona anglosaskie, łatwe do wymówienia w Ameryce. Nazwali go Ichimei, co znaczy: życie, światło, blask lub gwiazda, zależnie od *kanji*, ideogramu używanego do jego zapisania. Chłopiec od trzeciego roku życia pływał jak ryba, najpierw w pobliskich basenach, potem w lodowatych wodach zatoki San Francisco. Ojciec kształtował mu charakter pracą fizyczną, miłością do roślin i sztukami walki.

W okresie, kiedy urodził się Ichimei, rodzina Fukudów z trudem brnęła przez najgorsze lata wielkiego kryzysu. Dzierżawili ziemię w okolicach San Francisco, uprawiali warzywa oraz owoce i zaopatrywali w nie lokalne targowiska. Takao dorabiał poza tym u Belasców, swoich pierwszych pracodawców, odkąd uniezależnił się od rodaka, który wprowadził go w arkana ogrodnictwa. Dobra reputacja Takao sprawiła, że Isaac Belasco skontaktował się z nim w sprawie założenia ogrodu w posiadłości, którą nabył w Sea Cliff, gdzie zamierzał zbudować dom dla swoich potomków na sto następnych lat, jak powiedział w żartach architektowi, nie podejrzewając nawet, że okaże się to prawdą. Jego kancelarii prawnej nigdy nie brakowało zysków, ponieważ reprezentowała kalifornijskie Zachodnie Towarzystwo Kolei i Żeglugi; Isaac był jedną z niewielu osób w firmie, która nie ucierpiała wskutek kryzysu gospodarczego. Swoje oszczędności w złocie zainwestował w łodzie rybackie, tartak, warsztaty mechaniczne, pralnię i inne tego rodzaju przedsięwzięcia. Chciał w ten sposób dać pracę nieszczęśnikom wystającym w kolejkach po talerz zupy w charytatywnych jadłodajniach, żeby ulżyć im w biedzie. Ten szczytny cel przyniósł mu niespodziewane zyski. Podczas gdy murarze wznosili dom zgodnie z chaotycznymi zachciankami jego żony, Isaac dzielił się z Takao marzeniami o odtworzeniu przyrody z innych szerokości geograficznych na skalistym wzgórzu wystawionym na mgłę i wiatr. W trakcie przenoszenia na papier tej szalonej wizji między Isaakiem Belaskiem i Takao Fukudą wytworzyła się więź oparta na wzajemnym szacunku. Razem przejrzeni katalogi, wybrali i zamówili na innych kontynentach drzewa i rośliny, które przysłano poowijane w mokre worki, z oryginalną ziemią przyczepioną do korzeni; razem odszyfrowali instrukcję i zmontowali sprowadzoną z Londynu szklarnię, element po elemencie, jak puzzle; razem też musieli utrzymać przy życiu ten eklektyczny rajski ogród.

Brak zainteresowania Isaaca Belasca życiem towarzyskim i większością rodzinnych spraw, w których zdawał się całkowicie na Lillian, kompensowała nieposkromiona fascynacja botaniką. Nie palił, nie pił, nie miał żadnych innych nałogów ani niepohamowanych zachcianek; nie potrafił docenić muzyki ani dobrej kuchni i gdyby Lillian mu na to pozwoliła, jadłby na stojąco ten sam gruboziarnisty chleb i cienką zupę co bezrobotni w czasach wielkiego kryzysu. Taki mężczyzna musiał być odporny na korupcję i próżność. Trawił go intelektualny niepokój, angażował się w obronę swoich klientów za pomocą prawnych sztuczek i miał skrywaną słabość do pomagania potrzebującym; jednak żadna z tych przyjemności nie równała się z ogrodnictwem. Jedna trzecia jego biblioteczki była poświęcona botanice. Ceremonialna przyjaźń z Takao Fukudą, oparta na wzajemnym podziwieniu i umiłowaniu przyrody, stała się kluczem do spokoju ducha Isaaca, balsamem na jego rozczarowanie prawem. W swoim ogrodzie zamieniał się w pokornego ucznia japońskiego mistrza, który odkrywał przed nim sekrety świata roślin, czasem niedokładnie wyjaśnione w książkach botanicznych. Lillian uwielbiała męża i troszczyła się o niego gorliwie niczym zakochana dziewczyna, ale nigdy nie pożyła go bardziej niż w chwilach, kiedy patrzyła z balkonu, jak pracuje ramię w ramię z ogrodnikiem. W roboczym kombinezonie, kaloszach i słomkowym kapeluszu, zlany potem w pełnym słońcu lub przemoczony przez mżawkę Isaac młodził

i w oczach Lillian znów był tym pełnym pasji chłopakiem, który uwiódł ją w wieku dziewiętnastu lat, albo świeżo upieczonym małżonkiem, który brał ją na schodach, zanim dotarli do łóżka.

Dwa lata po tym, jak Alma zamieszkała w ich domu, Isaac Belasco zawiązał z Takao Fukudą spółkę – zamierzali założyć szkółkę kwiatów i roślin dekoracyjnych. Marzyli, że będzie najlepsza w Kalifornii. Najpierw musieli kupić kilka działek na nazwisko Isaaca, żeby obejść ustawę wydaną w 1913 roku, zabraniającą *issei* uzyskiwania obywatelstwa, posiadania ziemi i nabywania własności. Dla Fukudy to była życiowa szansa, a dla Belasca mądra inwestycja, jak te z dramatycznych lat wielkiego kryzysu. Nigdy nie interesowały go wahania na giełdzie papierów wartościowych, wołał inwestować w źródła zatrudnienia. Przystępując do spółki, mężczyźni uzgodnili, że kiedy Charles, najstarszy syn Takao, osiągnie pełnoletniość i Fukudowie będą mogli odkupić udziały Belasca po obowiązującej wówczas cenie, przepiszą na niego interes i rozwiążą spółkę. Charles, urodzony w Stanach Zjednoczonych, był obywatelem amerykańskim. Dżentelmeńska umowa została przypieczętowana zwykłym uściskiem dłoni.

Do ogrodu Belasców nie docierały pogłoski o oszczerczej kampanii przeciwko Japończykom, których propaganda oskarżała o nieuczciwe konkurowanie z amerykańskimi rolnikami i rybakami, o zagrożenie cnotcie białych kobiet z powodu niezaspokojonego popędu i o deprawowanie społeczeństwa wschodnimi, antychrześcijańskimi obyczajami. Alma dowiedziała się o tych uprzedzeniach dopiero dwa lata po przyjeździe do San Francisco, kiedy Fukudowie zmienili się z dnia na dzień w „żółte niebezpieczeństwo”. Ona i Ichimei byli już wtedy nierozłącznymi przyjaciółmi.

W wyniku niespodziewanego ataku Cesarstwa Japońskiego na Pearl Harbor w grudniu 1941 roku zostało trafionych osiemnaście okrętów amerykańskiej floty morskiej, zabitych dwa i pół tysiąca osób, a rannych tysiąc; w niespełna dwadzieścia cztery godziny zmieniła się izolacjonistyczna mentalność Amerykanów. Prezydent Roosevelt wypowiedział wojnę Japonii, a kilka dni później Hitler i Mussolini, sojusznicy Imperium Wschodzącego Słońca, wypowiedzieli ją Stanom Zjednoczonym. Kraj ogłosił stan mobilizacji, by wziąć udział w konflikcie, który od wielu miesięcy zalewał krwią Europę. Powszechne przerażenie, jakie wzbudził wśród Amerykanów japoński atak, podsyciła jeszcze historyczna kampania prasy ostrzegającej przed zbliżającą się inwazją żółtków na wybrzeże Pacyfiku. Zaostrzyło to istniejącą od ponad wieku nienawiść do Azjatów. Japończycy od lat mieszkający na terenie Ameryki, ich dzieci i wnuki byli podejrzewani o szpiegostwo i współpracę z wrogiem. Wkrótce zaczęły się obławy i zatrzymania. Wystarczyło znalezienie na łódce krótkofalówki, jedyne go środka komunikacji rybaków z lądem, żeby zatrzymać właściciela. Dynamit stosowany przez wieśniaków do usuwania pniaków i kamieni z pastwisk przeznaczonych pod zasiew uważano za dowód działalności terrorystycznej. Konfiskowano wszystko, od śrutówek po kuchenne noże i narzędzia, a także lornetki, aparaty fotograficzne, figurki religijne, odświętne kimono i dokumenty w obcym języku. Dwa miesiące później, powołując się na względy bezpieczeństwa wojskowego, Roosevelt podpisał rozkaz przesiedlenia wszystkich osób pochodzenia japońskiego z wybrzeża Pacyfiku – ze stanów: Kalifornia, Oregon i Waszyngton – gdzie żółte oddziały mogłyby dokonać inwazji, której tak się obawiano. Strefami wojskowymi ogłoszono Arizone, Idaho, Montanę, Nowadę i Utah. Wojsko dostało trzy tygodnie na budowę niezbędnej infrastruktury.

W marcu San Francisco przebudziło się oklejone zawiadomieniami o przesiedlaniu japońskiej ludności, których znaczenia Takao i Heideko nie zrozumieli, dopóki nie wyjaśnił im go ich syn Charles. Po pierwsze nie wolno im było przebywać bez specjalnego pozwolenia w promieniu więcej niż ośmiu kilometrów od swoich domów, musieli też przestrzegać nocnej godziny policyjnej, od dwudziestej do

szóstej rano. Władze przeszukiwały mieszkania i konfiskowały dobra, aresztowano wpływowych mężczyzn, którzy mogliby podjudzać do zdrady – przywódców wspólnot, dyrektorów przedsiębiorstw, nauczycieli, liderów religijnych. Wywieziono ich nie wiadomo dokąd; zostały tylko przerażone żony i dzieci. Japończycy musieli szybko sprzedać za bezcen to, co posiadali, i zamknąć swoje sklepy. Wkrótce odkryli, że ich konta bankowe zostały zablokowane; byli bankrutami. Szkółka Takao Fukudy i Isaaca Belasca nie ujrzała światła dziennego.

W sierpniu przesiedlono ponad sto dwadzieścia tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci; starców wyciągano ze szpitali, niemowlaki z sierocińców, umyślowo chorych z zakładów psychiatrycznych, żeby internować ich w dziesięciu obozach na izolowanych obszarach w głębi kraju. W miastach pozostawały po nich widmowe dzielnice o wyludnionych ulicach i pustych domach, po których błąkały się porzucone zwierzęta i zdezorientowane duchy przodków, przybyłe do Ameryki wraz z imigrantami. Wszystkie te posunięcia miały na celu obronę wybrzeża Pacyfiku, ale także samych Japończyków, narazonych na gniew reszty społeczeństwa; miało to być tymczasowe rozwiązanie, przeprowadzane w humanitarny sposób. Tak brzmiał oficjalny dyskurs, ale język nienawiści już się rozpanoszył. „Żmija zawsze pozostaje żmiją, niezależnie od tego, gdzie złoży jaja. Amerykański Japończyk urodzony z japońskich rodziców, wychowany w japońskiej tradycji, żyjący w otoczeniu przeniesionym z Japonii, poza nielicznymi wyjątkami nieuchronnie wyrasta na Japończyka, a nie na Amerykanina. Wszyscy są wrogami”. Wystarczyło mieć pradziadka urodzonego w Japonii, żeby zaliczać się do kategorii żmij.

Gdy tylko Isaac Belasco dowiedział się o ewakuacji, poszedł do Takao, by zaoferować mu pomoc i zapewnić, że ich nieobecność potrwa krótko, jako że decyzja o przesiedleniu jest sprzeczna z konstytucją i łamie zasady demokracji. Japoński wspólnik odpowiedział mu głębokim ukłonem, wielce poruszony serdecznością przyjaciela, tym bardziej że w ostatnich tygodniach jego rodzina doświadczyła ze strony białych samych obelg, pogardy i agresji. „*Shikata ga nai*, nic na to nie poradzimy”, odpowiedział. Tak brzmiała dewiza jego rodaków wobec przeciwności losu. Ponieważ Belasco nalegał, odważył się poprosić go o szczególną przysługę – żeby pozwolił mu zakopać miecz Fukudów w ogrodzie w Sea Cliff. Zdołał go ukryć przed policjantami, którzy przeszukali ich dom, ale nie znalazł dla niego bezpiecznego miejsca. Miecz był symbolem odwagi jego przodków i krwi przelanej za cesarza, nie należało go narażać na zniewagi.

Jeszcze tej samej nocy Fukudowie, ubrani w białe kimono wyznawców oomoto, przyjechali do Sea Cliff, gdzie Isaac i jego syn Nathaniel powitali ich w ciemnych garniturach i jarmułkach, które wkładali rzadko, tylko kiedy udawali się do synagogi. Ichimei przyniósł swojego kota w koszyku przykrytym ścierką i wręczył go Almie, żeby przez jakiś czas się nim opiekowała.

– Jak się wabi? – zapytała dziewczynka.

– Neko. Po japońsku to znaczy kot.

Lillian i jej dwie córki w jednym z salonów na parterze podały Heideko i Megumi herbatę. Alma, która nie rozumiała, co się dzieje, ale miała świadomość powagi chwili, śledziła mężczyzn, przemykając się w cieniu drzew z kocim koszykiem w ramionach. W świetle lamp parafinowych zeszli tarasowatym zboczem do miejsca na wprost morza, gdzie wcześniej wykopali rowek. Na przedzie kroczył Takao z owiniętym w biały jedwab mieczem w dłoniach, za nim jego pierworodny syn Charles z metalową pochwą, której wykonanie zlecili, by chronić broń, a dalej James i Ichimei; pochod zamykali Isaac i Nathaniel Belascowie. Takao, który nawet nie próbował ukryć łez, modlił się przez kilka minut, po czym włożył miecz do pochwy trzymanej przez najstarszego syna i upadł na kolana, dotykając czołem ziemi. Charles i James spuszczały katanę do dołu, a Ichimei rzucał na nią garściami ziemię. Następnie

zasypali rów i wygładzili powierzchnię łopatami. „Jutro zasadzę tu białe chryzantemy, żeby oznaczyć to miejsce”, powiedział Isaac Belasco zachrypniętym ze wzruszenia głosem, pomagając Takao wstać z kolan.

Alma nie zdobyła się na odwagę, by podbiec do Ichimeiego, bo domyślała się, że istnieje jakiś ważny powód wykluczenia kobiet z tej ceremonii. Zaczekała, aż mężczyźni ruszą do domu, dopadła chłopca i zaciągnęła go w ciemny kąt. Ichimei wyjaśnił jej, że przez jakiś czas nie będzie przyjeżdżał w soboty ani żadnego innego dnia, że potrwa to może kilka tygodni albo miesięcy i że nie będą też mogli rozmawiać przez telefon. „Dlaczego? Dlaczego?”, krzyknęła Alma, potrząsając przyjacielem, ale chłopiec nie potrafił jej odpowiedzieć. On także nie wiedział, dlaczego ani dokąd muszą wyjechać.

# Żółte niebezpieczeństwo

Fukudowie zabili okna deskami i zamknęli drzwi wejściowe na kłódkę. Mieli opłacony wynajem za cały rok, a dodatkowo jeszcze wpłaconą zaliczkę, żeby kupić dom, gdy tylko będą mogli zarejestrować go na Charlesa. Oddali to, czego nie zdołali albo nie chcieli sprzedać, bo spekulanci oferowali im dwa czy trzy dolary za przedmioty warte dwadzieścia razy więcej. Mieli zaledwie kilka dni, żeby rozdysponować swoje dobra, spakować po jednej walizce na osobę, zabrać to, co byli w stanie unieść, i stawić się w miejscu, skąd odjeżdżały autobusy hańby. Musieli się internować dobrowolnie, w przeciwnym razie zostaliby aresztowani i oskarżeni o szpiegostwo i zdradę w czasach wojny. Dołączyli do setek innych rodzin, które zmierzały wolnym krokiem, ubrane w swoje najlepsze stroje – kobiety w kapeluszach, mężczyźni w krawatach, dzieci w lakierkach – w stronę Centrum Kontroli Ludności Cywilnej, do którego zostały wezwane. Ludzie oddawali się w ręce władz, bo nie było innego wyjścia, ale też by w ten sposób okazać lojalność Stanom Zjednoczonym i wyrazić dezaprobatę dla ataku Japonii. Przywódcy japońskiej wspólnoty przekonywali, że to jest ich wkład w wojenny trud, i mało kto protestował przeciwko takiemu podejściu. Fukudowie zostali przydzieleni do obozu o nazwie Topaz, na pustynnym obszarze w Utah, ale dowiedzieli się o tym dopiero we wrześniu; wcześniej czekali przez sześć miesięcy na hipodromie.

Przyzwyczajeni do powściągliwości *issei* posłuchali rozkazów bez szemrania, ale nie zdołali zapobiec temu, by niektórzy młodzi z drugiego pokolenia, *nisei*, otwarcie się zbuntowali; ci zostali oddzieleni od rodzin i wywiezieni do Tule Lake, obozu o zaostrowym rygorze, gdzie przez cały okres trwania wojny byli traktowani jak przestępcy. Na ulicach miast biali mieszkańcy byli świadkami przejmującej procesji znajomych im osób: właściciele sklepów, gdzie codziennie robili zakupy, rybaków, ogrodników i stolarzy, z którymi mieli do czynienia, szkolnych kolegów swoich dzieci, sąsiadów. Większość przyglądała im się w milczeniu, z zażenowaniem, ale nie brakowało także rasistowskich obelg i szyderczych żartów. Dwie trzecie osób przesiedlonych w tych dniach urodziło się w kraju, było obywatelami amerykańskimi. Japończycy czekali godzinami w długich kolejkach do biur policjantów, którzy wciągali ich na listę i wręczali im identyfikatory do powieszenia na szyi, z takim samym numerem, jak ten naklejony na ich bagażu. Grupa kwaków, przeciwnych rozwiązaniu, które uważali za rasistowskie i niechrześcijańskie, rozdawała oczekującym wodę, kanapki i owoce.

Takao Fukuda już wsiadał do autobusu ze swoją rodziną, kiedy pojawił się Isaac Belasco, trzymając za rękę Almę. Wykorzystał swój autorytet, żeby zastraszyć policjantów i żołnierzy, którzy chcieli go powstrzymać. Był głęboko wstrząśnięty, bo nie mógł nie porównywać tego, co działo się kilka przecznic od jego domu, z tym, co prawdopodobnie spotkało jego szwagrostwo w Warszawie. Utorował sobie drogę łokciami, żeby mocno przytulić przyjaciela i wręczyć mu kopertę z pieniędzmi, którą Takao bezskutecznie próbował zwrócić, podczas gdy Alma żegnała się z Ichimeim. „Pisz do mnie”, „Pisz do mnie”, powiedziały sobie dzieci, zanim smutny wąż autobusów wyruszył w drogę.

Po podróży, która wydała im się bardzo długa, choć trwała niewiele ponad godzinę, Fukudowie znaleźli się na hipodromie Tanforan w mieście San Bruno. Władze ogrodziły teren drutem kolczastym,



w pośpiechu zaadaptowały stajnie i zbudowały baraki mające pomieścić osiem tysięcy osób. Rozkaz przesiedlenia został wydany tak szybko, że nie starczyło czasu na wykończenie pomieszczeń ani wyposażenie obozów w niezbędne udogodnienia. Kiedy zgasty silniki autobusów, więźniowie zaczęli wysiadać, taszcząc dzieci i pakunki, pomagając starszym. Szli w milczeniu, w zwartych grupkach, niepewnie, nie rozumieli krzyków dobiegających z rozstrojonych głośników. Deszcz zamienił drogę w bajoro, zalewał ludzi i bagaże.

Uzbrojeni strażnicy rozdzielili mężczyzn i kobiety, żeby poddać ich kontroli lekarskiej. Internowani zostali następnie zaszczepieni przeciwko tyfusowi. W kolejnych godzinach Fukudowie próbowali odnaleźć swoje rzeczy w stercie wymieszanych pakunków, potem rozlokowali się w przydzielonej im pustej stajni. Z sufitu zwisały pajęczyny, w pomieszczeniu były karaluchy i myszy, podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu i słomy; w powietrzu wciąż unosił się zapach zwierząt wymieszany z kreozotem, którym usiłowano zdezynfekować boksy. Na każdą osobę przypadało łóżko polowe, worek i dwa koce wojskowe. Otepiały ze zmęczenia i głęboko upokorzony Takao usiadł na podłodze z łokciami na kolanach i głową ukrytą w dłoniach. Heideko zdjęła kapelusz i buty, włożyła kaptcie, podwinęła rękawy i zabrała się do roboty. Nie dała dzieciom czasu na narzekanie; najpierw kazała im rozstawić polówki i pozamiatać, potem wysłała Charlesa i Jamesa po kawałki desek i belek, które zauważyła w drodze do stajni – resztki z zaimprovizowanego placu budowy – z myślą o skleceniu półek na nieliczne naczynia kuchenne, które ze sobą zabrali. Megumi i Ichimeiemu zleciła wypełnienie worków słomą, żeby zgodnie z otrzymanymi instrukcjami zrobić z nich materace, a sama ruszyła na obchód obozu. Chciała przywitać się z innymi kobietami i wybadać strażników i policjantów, którzy byli równie zdezorientowani jak umieszczeni pod ich nadzorem Japończycy i zastanawiali się, jak długo będą musieli tutaj zostać. Jedynymi oczywistymi wrogami, jakich Heideko odkryła podczas tej pierwszej inspekcji, byli koreańscy tłumacze – uznała, że są nieprzyjaźni w stosunku do przesiedlonych, za to przymilni wobec amerykańskich oficerów. Zorientowała się, że obóz nie dysponuje wystarczającą liczbą pryszniców i latryn, a te, które są, nie mają drzwi, że kobietom dano do dyspozycji tylko cztery wanny i że nie wystarczy dla wszystkich ciepłej wody. Zostało im odebrane prawo do intymności. Heideko stwierdziła natomiast, że nie będą chodzili głodni: widziała ciężarówkę z zaopatrzeniem, dowiedziała się też, że stołówki wydają trzy posiłki dziennie, począwszy od tego wieczoru.

Na kolację składały się ziemniaki, kiełbaski i chleb, ale kiełbaski skończyły się, zanim przyszła kolej Fukudów. „Wróćcie później”, szepnął im jeden z Japończyków serwujących posiłki. Heideko i Megumi zaczekały, aż stołówka opustoszeje, i zdobyły puszkę mielonki oraz jeszcze trochę ziemniaków, które zaniósł do swojego boksu. Tamtej nocy Heideko zaczęła układać w głowie listę zasad, których należało się trzymać, żeby pobyt na hipodromie był w miarę znośny. Na pierwszym miejscu figurowało wyżywienie, a na ostatnim – w nawiasie, bo miała poważne wątpliwości, czy jej się to uda – zmiana tłumaczy. Nie zmrużyła oka przez całą noc, a gdy pierwszy promień poranka wcisnął się przez szpary w deskach stajni, potrząsnęła mężem, który także nie spał i leżał nieruchomo. „Jest tu dużo do zrobienia, Takao. Potrzebujemy przedstawicieli do negocjacji z władzami. Włóż marynarkę i idź zwołać mężczyzn”.

W Tanforanie od początku nie brakowało problemów, ale do końca tygodnia przesiedleni zdążyli się zorganizować, wybrać w demokratycznym głosowaniu swoich przedstawicieli, wśród których jako jedyna kobieta znalazła się Heideko Fukuda, podzielić dorosłych według zawodów i umiejętności – na nauczycieli, rolników, stolarzy, kowali, księgowych, lekarzy... – otworzyć szkołę bez ołówków i zeszytów oraz ułożyć program zajęć sportowych i innych, żeby jakoś rozerwać młodzież, która umierała z nudów i z frustracji. Życie upływało na staniu w kolejkach, w dzień i w nocy, do wszystkiego: do

prysznic, do szpitala, do pralni, do posługi religijnej, do odbioru poczty i do stołówki wydającej posiłki w trzech turach; trzeba się było uzbroić w cierpliwość, by uniknąć zamieszania i bójek. Obowiązywała godzina policyjna, sprawdzano listę obecności dwa razy dziennie i zabraniano posługiwania się japońskim, zadanie niemożliwe do wykonania dla *issei*. Żeby nie dopuścić do interwencji strażników, sami internowani dbali o utrzymanie porządku i kontrolowali wichrzycieli, ale nikt nie mógł powstrzymać plotek, które przechodziły niczym tornado i czasami wzbudzały panikę. Ludzie próbowali być dla siebie uprzejmi, aby ciasnota, bałagan i upokorzenie nie dawały im się tak we znaki.

Sześć miesięcy później, 11 września, zaczęto wywozić przesiedlonych pociągami. Nie wiedzieli, dokąd jadać. Spędzili jeden dzień i dwie noce w rozklekotanych, dusznych wagonach o niewystarczającej liczbie ustępów, bez światła nocą, oglądając wymarłe krajobrazy, których nie rozpoznawali i które wielu podróżnych brało za Meksyk, aż wreszcie zatrzymali się na stacji w Delcie, w stanie Utah. Stamtąd pojechali ciężarówkami i autobusami do Topazu, Klejnotu Pustyni, jak nazwano obóz, prawdopodobnie bez cienia ironii. Internowani byli półżywi z wyczerpania, brudni i roztrzęsieni, ale przynajmniej niegłodni i niespragnieni, bo rozdawano im kanapki, a w każdym wagonie stały kosze z pomarańczami.

Obóz Topaz, położony w pustynnej, bezludnej części kraju, smaganej wiatrem i nękanej przez burze pyłowe, na wysokości prawie tysiąca czterystu metrów, był ohydny miejscem o identycznych niskich budynkach, przypominającym zaimprovizowaną bazę wojskową otoczoną drutem kolczastym, z wysokimi wieżami strażniczymi i uzbrojonymi żołnierzami. Pozostałe obozy dla internowanych Japończyków na zachodzie Stanów Zjednoczonych wyglądały podobnie, wszystkie znajdowały się na pustynnych terenach, by zniechęcić do prób ucieczki. W zasięgu wzroku nie było ani jednego drzewa, żadnych zarośli, nigdzie śladu zieleni. Tylko szeregi ciemnych baraków ciągnące się aż po horyzont. Rodziny trzymały się za ręce, żeby nikogo nie zgubić w tym zamęcie. Każdy miał potrzebę skorzystania z latryny, ale nikt nie wiedział, gdzie ją znaleźć. Rozmieszczenie tych ludzi zajęło strażnikom – którzy także nie rozumieli instrukcji – kilka godzin, w końcu jednak zdołali wszystkich rozlokować.

Obłok kurzu ograniczał widoczność i przeszkadzał w oddychaniu. Fukudowie z trudem odnaleźli wyznaczone im miejsce. Każdy barak składał się z sześciu pomieszczeń o wymiarach cztery na siedem metrów, po jednym na rodzinę, oddzielonych ściankami z dykty; w każdym sektorze – było ich w sumie czterdzieści dwa – znajdowało się dwanaście baraków, stołówka, pralnia, prysznic i ustępy. Obóz zajmował olbrzymi obszar, osiem tysięcy przesiedlonych mieszkało na powierzchni nieznacznie przekraczającej dwa kilometry kwadratowe. Wkrótce więźniowie przekonali się, że temperatura oscyluje tu między żarem ogniska latem a kilkoma stopniami na minusie zimą. Latem, poza straszliwym upałem, musieli znosić nieprzerwaną inwazję komarów i burze pyłowe, które zasłaniały niebo i paliły płuca. Wiatr wiał z równą siłą o każdej porze roku, niosąc smród kloacznych ścieków, które tworzyły rozlewisko kilometr od obozu.

W Topazie Japończycy szybko się zorganizowali, podobnie jak na hipodromie Tanforan. Po kilku tygodniach mieli już szkoły, przedszkola, ośrodki sportowe i gazetę. Z kawałków drewna, kamieni i pozostałości z placu budowy powstawało rękodzieło: biżuteria ze skamieniałych muszli i pestek brzoskwini, szmaciane lalki, zabawki z patyków. Stworzyli bibliotekę z podarowanych książek, grupy teatralne i zespoły muzyczne. Ichimei przekonał ojca, żeby mimo bezlitosnego klimatu i zasadowej gleby zasadzili warzywa w skrzynkach. Takao zapalił się do tego pomysłu i wkrótce inni poszli w jego ślady. Kilku *issei* postanowiło utworzyć ozdobny ogród; wykopali też dół, wypełnili go wodą i w ten sposób powstał stawik, w którym bawiły się dzieci. Ichimei wystrugał swoimi magicznymi palcami drewnianą

zagliwkę, którą puszczał na wodzie, a zaledwie cztery dni później w wyścigach brały już udział dziesiątki łódeczek. Kuchnię w poszczególnych sektorach zajmowali się sami internowani, którzy dokonywali cudów, mając do dyspozycji jedynie suchy prowiant i konserwy dostarczane z okolicznych miejscowości, a później warzywa, które zdołali zebrać w następnym roku, podlewając sadzonki łyżką. Nie byli przyzwyczajeni do spożywania tłuszczów ani cukru, więc zgodnie z przewidywaniami Heideko wielu zachorowało. Wzdłuż baraków ciągnęły się kolejki do toalet; potrzeba była tak pilna, a cierpienia tak straszne, że nikt już nie czekał, aż zapadnie zmrok, by w ten sposób zaradzić brakowi prywatności. Latryny zapchały się odchodami tysięcy pacjentów, a biały personel oraz japońscy lekarze i pielęgniarki prowadzący polowy szpital nie nadążali z udzielaniem pomocy.

Kiedy skończyły się resztki drewna do produkcji mebli i przydzielono zajęcia tym, których zżerała niecierpliwość, większość przesiedleńców dopadła beczynność. Czas w tym miejscu jak z koszmaru, pilnowanym z bliska przez znudzonych wartowników na wieżach, a z daleka przez majestatyczne góry Utah, ciągnął się w nieskończoność. Wszystkie dni wyglądały tak samo, żadnej roboty, wieczne kolejki, czekanie na pocztę, spędzanie całych godzin na grze w karty, wymyślanie mrówczych prac, powtarzanie tych samych rozmów i wyświechtanych słów, które traciły sens. Pradawne zwyczaje stopniowo zanikały, rodzice i dziadkowie patrzyli, jak rozmywa się ich autorytet, małżonkowie miotali się w pułapce życia pozbawionego intymności, rodziny zaczęły się rozpadać. Nie mogły nawet zasiąść wspólnie do kolacji, jadało się w rozgardiaszu zbiorowych stołówek. Chociaż Takao nalegał, żeby Fukudowie spożywali posiłki razem, jego synowie woleli jeść z innymi chłopcami w ich wieku, a Megumi trudno było upilnować – wyrosła na piękność o rumianych policzkach i błyszczących oczach. Jedynymi osobami odpornymi na spustoszenia powodowane przez życie w takich warunkach były dzieci, które włóczyły się stadami, udając, że są na wakacjach, zaabsorbowane drobnymi psotami i wymyślonymi przygodami.

Wcześniej nadeszła zima. Kiedy spadł śnieg, każdej rodzinie przydzielono piecyk węglowy, który stał się centrum życia towarzyskiego, oraz rozdano wojskową odzież z demobilu. Zielone mundury, wypłowiałe i za duże, były równie deprymujące jak zamarznęty krajobraz i czarne baraki. Kobiety zaczęły robić kwiaty z papieru do swoich kwater. Nocą nie sposób było wygrać z wiatrem, który odrywał kawałki lodu, wciskał się z gwizdem w szpary i zrywał dachy. Fukudowie, tak jak reszta internowanych, spali we wszystkich swoich ubraniach, owinięci każdy w dwa przydziałowe grube koce, przytuleni do siebie na łózkach polowych, by dzielić się ciepłem i nawzajem pokrzepiać. Już kilka miesięcy później, latem, spali niemal nago i budzili się pokryci popielatym piaskiem drobnym jak talk. Mimo to czuli się szczęściarzami, bo byli razem. Inne rodziny zostały rozdzielone; mężczyźni zabrano do jednego obozu, tak zwanego przesiedleńczego, a kobiety i dzieci – do innego. Mijały niekiedy dwa czy trzy lata, zanim ponownie się spotkali.

Wymiana korespondencji między Almą a Ichimeim od początku napotykała przeszkody. Dochodziła z kilkutygodniowym opóźnieniem, i to nie z winy poczty, ale z powodu poślizgu, jaki mieli urzędnicy w Topazie, którzy nie nadążali z czytaniem setek listów piętrzących się codziennie na ich biurkach. Listy Almy, których treść nie zagrażała bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych, szły dalej bez wykreśleń, za to listy Ichimeiego docierały tak poszatowane przez cenzurę, że dziewczynka musiała domyślać się sensu zdań pokreślonych paskami czarnego tuszu. Podejrzane były opisy baraków, jedzenia, latryn, zachowania strażników, a nawet klimatu. Za radą innych, nawykłych do tego rodzaju rozczarowań, Ichimei przeplatał swoje listy pochwałami pod adresem Amerykanów i patriotycznymi zachwyty, dopóki obrzydzenie do samego siebie nie zmusiło go do zaniechania tej taktyki. Wtedy zaczął rysować. Nauka czytania i pisania kosztowała go więcej trudu niż innych, w wieku dziesięciu lat nie opanował jeszcze do końca liter, myliły mu się, nie przestrzegał też zasad ortografii, za to od zawsze miał dobre oko i pewną rękę, jeśli chodzi

o rysowanie. Jego obrazki bez problemów przechodziły przez cenzurę i w ten sposób Alma poznawała szczegóły życia w Topazie, jakby oglądała je na zdjęciach.

3 grudnia 1986 r.

Wczoraj rozmawialiśmy o Topazie, ale nie powiedziałem Ci o najważniejszym, Almo: nie wszystko było złe. Świątowaliśmy, uprawialiśmy sport i mieliśmy dostęp do sztuki. Jedliśmy indyka w Święto Dziękczynienia, ozdabialiśmy baraki na Boże Narodzenie. Z zewnątrz przysyłano nam paczki ze słodyczami, zabawkami i książkami. Moja mama przez cały czas pracowała nad nowymi projektami, wszyscy ją szanowali, także biali. Megumi była zakochana i podekscytowana swoją pracą w szpitalu. Ja malowałem, doglądałem ogrodu, naprawiałem zepsute przedmioty. Lekcje były tak krótkie i łatwe, że nawet ja dostawałem dobre oceny. Bawiłem się niemal przez cały dzień; było dużo dzieci i setki bezpańskich psów, bardzo do siebie podobnych, o krótkich łapach i szorstkiej sierści. Najbardziej cierpieli mój ojciec i James.

Po wojnie ludzie z obozów rozjechali się po kraju. Młodzi się usamodzielnili, dobiegło końca życie w odosobnieniu w marnej imitacji Japonii. Staliśmy się częścią Ameryki.

Myślę o Tobie. Kiedy się zobaczymy, zrobię Ci herbatę i porozmawiamy.

Ichi

# Irina, Alma i Lenny

Alma i Irina jadły razem obiad w złotawym świetle zabytkowej witrażowej kopuły The Rotunda przy Union Square, restauracji będącej częścią sklepu Neimana Marcusa. Chodziły tam głównie z powodu *popovers*, miękkiego, gąbczastego, lekkiego pieczywa, które podawano prosto z pieca, i różowego szampana, który najbardziej lubiła Alma. Irina zamawiała lemoniadę i wznosiły toast za beztrioskie życie. W milczeniu, żeby nie urazić staruszki, Irina wznosiła także toast za pieniądze Belasców, które pozwalały jej na tę chwilę luksusu przy spokojnej muzyce, pośród eleganckich klientek sklepu, wysmukłych modelek paradujących w strojach znanych projektantów, by skusić gości do zakupów, i usłużnych kelnerów w zielonych krawatach. Był to wytworny świat, całkowite przeciwieństwo jej wioski w Mołdawii, ubogiego dzieciństwa i traumatycznego okresu dojrzewania. Jadły powoli, smakując potrawy inspirowane kuchnią azjatycką i sięgając po kolejne *popovers*. Przy drugim kieliszku szampana wspomnienia Almy zawsze ożywały. Tym razem wróciła do Nathaniela, swojego męża, obecnego w wielu jej opowieściach; zdołała zachować go żywego w pamięci przez trzydzieści lat. Seth słabo pamiętał dziadka przypominającego bezkrwisty szkielet o płomiennym spojrzeniu leżący pośród puchowych poduszek. Miał zaledwie cztery lata, kiedy pełne cierpienia spojrzenie Nathaniela wreszcie zgłosiło, ale nie zapomniał zapachu leków i eukaliptusowych oparów unoszących się w jego pokoju. Alma opowiedziała Irinie, że Nathaniel był równie dobrym człowiekiem jak jego ojciec, Isaac Belasco, i że kiedy zmarł, znalazła w jego papierach setki przedawnionych weksli na pożyczki, których spłaty nigdy nie wyegzekwował, oraz dokładne instrukcje dotyczące darowania długów licznym wierzycielom. Nie była przygotowana, by zająć się sprawami, które zaniedbał podczas wyniszczającej choroby.

– W ciągu całego swojego życia nigdy nie zajmowałam się finansami. Ciekawe, prawda?

– Miała pani szczęście. Niemal wszyscy ludzie, których znam, mają problemy finansowe. Mieszkańcy Lark House ledwo wiążą koniec z końcem, niektórych nie stać nawet na leki.

– Nie mają ubezpieczenia zdrowotnego? – zapytała zdziwiona Alma.

– Ubezpieczenie pokrywa tylko część kosztów, nie całość. Jeśli nie pomaga im rodzina, pan Voigt musi się uciekać do specjalnych funduszy Lark House.

– Porozmawiam z nim. Dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałaś?

– Nie może pani rozwiązywać wszystkich problemów.

– Nie, ale Fundacja Belasców może się zająć parkiem przy Lark House. Voigt zaoszczędzi masę pieniędzy, które będzie mógł wykorzystać na pomoc dla najbardziej potrzebujących pensjonariuszy.

– Pan Voigt padnie zemdlony w pani ramiona, kiedy mu to pani zaproponuje.

– Co za okropność! Mam nadzieję, że nie.

– Niech pani dalej opowiada. Co pani zrobiła po śmierci męża?

– Byłam bliska zatonięcia w morzu papierów, kiedy pomyślałam o Larrym. Mój rozsądny syn żył sobie w cieniu, nikt nie zauważył, że wyrósł na rozważnego i odpowiedzialnego człowieka.

Larry Belasco ożenił się młodo, w pośpiechu i bez pompy z powodu choroby ojca, a także dlatego, że jego narzeczona Doris była w widocznej ciąży. Alma przyznała, że w tamtym okresie pochłaniała ją opieka nad mężem i chociaż mieszkali pod jednym dachem, ledwo znalazła czas, by lepiej poznać synową. Bardzo ją jednak kochała, bo pomijając jej liczne zalety, Doris uwielbiała Larry'ego i była matką Setha, psotnego smarkacza, który skakał po domu jak kangur, przepędzając panujący w nim smutek, oraz Pauline, spokojnej dziewczynki, która bawiła się sama i zdawała się niczego nie potrzebować.

– Tak jak nigdy nie musiałam zajmować się finansami, nie musiałam również parć się pracami domowymi. Moja teściowa mimo swojej ślepoty do ostatniej chwili kierowała domem w Sea Cliff, a potem mieliśmy majordomusa. Wyglądał jak karykatura postaci z angielskich filmów. Facet był strasznie sztywny, zawsze podejrzewaliśmy, że sobie z nas kpi.

Opowiedziała Irinie, że ów majordomus pracował w Sea Cliff przez jedenaście lat, a odszedł, kiedy Doris odważyła się udzielić mu rad dotyczących jego obowiązków. „Ona albo ja”, powiedział Nathanielowi, który już nie wstawał z łóżka i miał za mało siły, żeby walczyć z podobnymi problemami, ale to on zatrudniał pracowników. Wobec takiego ultimatum Nathaniel wybrał swoją nowo nabytą synową, która pomimo młodego wieku i siódmego miesiąca ciąży okazała się kompetentną gospodynią. W czasach Lillian prowadzenie domu opierało się na dobrej woli i improwizacji, a jedynymi zauważalnymi zmianami wprowadzonymi przez majordomusa były opóźnienia w podawaniu do stołu kolejnych dań i niezadowolona mina kucharza, który go nie trawił. Pod batutą nieprzejednanej Doris rezydencja stała się przykładem przesadnej wykwintności, z którą nikt nie czuł się zbyt komfortowo. Irina widziała rezultaty jej skuteczności: kuchnia była nieskazitelnym laboratorium, dzieci nie miały wstępu do salonów, szafy pachniały lawendą, pościel krochmalono, codzienne posiłki składały się z fantazyjnych dań w mikroskopijnych ilościach, a bukiety kwiatów były wymieniane raz w tygodniu przez zawodową florystkę, jednak zamiast przydawać domowi odświeżonego wyglądu, sprawiały, że panowała w nim podniosła atmosfera właściwa uroczystościom pogrzebowym. Jediną rzeczą, jaką uszanowała magiczna pałeczka tej wróżki ogniska domowego, był pokój Almy, która napawała Doris pełnym respektu lękiem.

– Kiedy zachorował Nathaniel, Larry przejął kierowanie kancelarią Belasców – ciągnęła Alma. – Od początku bardzo dobrze sobie radził. Po śmierci męża powierzyłam mu rodzinne finanse, a sama zajęłam się wskrzeszaniem przymierającej fundacji. Miejskie parki stopniowo usychały, pełne śmieci, igieł i zużytych kondomów. Opanowali je żebracy ze swoimi budkami z kartonów i wózkami wypchanymi po brzegi odrażającymi tobołami. Nie mam pojęcia o roślinach, ale z miłości do teścia i męża zajęłam się ogrodnictwem. Dla nich to była święta misja.

– Wygląda na to, że wszyscy mężczyźni w pani rodzinie mieli dobre serce. Mało jest takich ludzi na świecie.

– Jest wielu dobrych ludzi, Irino, ale są dyskretni. Za to ci źli robią dużo hałasu, dlatego łatwiej ich zauważyć. Nie znasz dobrze Larry'ego, ale jeśli kiedyś będziesz czegokolwiek potrzebowała, a mnie nie będzie pod ręką, zgłoś się do niego bez wahania. Mój syn jest dobrym człowiekiem, na pewno cię nie zawiedzie.

– Jest taki poważny, chyba nie odważyłabym się go niepokoić.

– Zawsze był poważny. Kiedy miał dwadzieścia lat, przypominał pięćdziesięciolatka, ale jakby zamroził się w tym wieku i już się bardziej nie zestarzał. Zwróć uwagę, że na wszystkich zdjęciach ma taką samą zmartwioną minę i opuszczone ramiona.

Hansa Voigta, który wprowadził prosty system oceniania pracy personelu przez mieszkańców Lark House, intrygowało, dlatego Irina zawsze dostaje najwyższe noty. Przypuszczał, że jej sekret polega na wysłuchiwanie po tysiąc razy tych samych opowieści, jakby słyszała je pierwszy raz, historii, które starszycy powtarzali, żeby uporządkować swoją przeszłość i stworzyć akceptowalny obraz samych siebie, wymazując wyrzuty sumienia i akcentując swoje zalety, prawdziwe bądź wymyślone. Nikt nie chce zakończyć życia z banalną przeszłością. Jednak recepta Iriny była bardziej złożona; dziewczyna traktowała każdego ze starszyców z Lark House jak replikę swoich dziadków, Costei i Petruży, których wzywała nocą przed zaśnięciem, prosząc, by towarzyszyli jej w mroku, jak robili to, gdy była małym dzieckiem. To oni ją wychowali. Obrabiali niewielki kawałek nieurodzajnej ziemi w zapadłej dziurze w Mołdawii, gdzie nie docierały płomienie postępu. Większość mieszkańców nadal żyła z roli, uprawiała ziemię takimi samymi metodami jak ich przodkowie sto lat wcześniej. Irina miała dwa lata, kiedy w 1989 roku runął mur berliński, i cztery, kiedy ostatecznie rozpadł się Związek Radziecki, a jej kraj stał się niepodległą republiką; dla niej te dwa wydarzenia nic nie znaczyły, za to jej dziadkowie ubolewali nad nimi wespół ze swoimi sąsiadami. Wszyscy byli zgodni co do tego, że za komuny panowała taka sama bieda, ale przynajmniej mieli co jeść i czuli się bezpieczni, niepodległość zaś przyniosła im jedynie ruinę i opuszczenie. Ci, którzy mieli okazję, wyjeżdżali, wśród nich Radmila, matka Iriny. We wsi zostali sami starcy i dzieci, których rodzice nie mogli ze sobą zabrać. Irina pamiętała dziadków zgarbionych od ciężkiej pracy przy uprawie ziemniaków, pomarszczonych od sierpniowego słońca i styczniowych mrozów, skrajnie wyczerpanych, niemal pozbawionych sił i całkowicie – nadziei. Wyciągnęła z tego wniosek, że wieś jest zgubna dla zdrowia. Ona była dla dziadków powodem do dalszej walki, ich jedyną radością, poza czerwonym winem domowej roboty, miksturą cierpką jak rozpuszczalnik do farb, która pozwalała im na moment zapanować nad samotnością i poczuciem beznadziei.

O świcie, przed pójściem pieszo do szkoły, Irina przynosiła ze studni wiadra wody, a wieczorem, przed kolacją składającą się z zupy i chleba, rąbała drewno do pieca. Teraz ważyła pięćdziesiąt kilogramów w zimowym ubraniu i botkach, ale miała siłę żołnierza i była w stanie podnieść Cathy – swoją ulubioną klientkę – niczym noworodka, żeby przenieść ją z wózka inwalidzkiego na kanapę czy na łóżko. Mięśnie zawdzięczała właśnie wiadrom wody i siekierze, a szczęśliwy fakt, że żyje, świętej Paraskiewie, patronce Mołdawii, pośrednicze między ziemią a łaskawymi istotami w niebie. W dzieciństwie wieczorami modliła się na kolanach razem z dziadkami przed ikoną świętej; prosili o plony ziemniaków i zdrowie dla kur, o ochronę przed przestępcami i wojskowymi, modlili się za swoją kruchą republiką i za Radmilę. Dla dziewczynki święta w niebieskiej szacie, ze złotą aureolą i krzyżem w dłoni, była bardziej ludzka niż matka z wyblakłego zdjęcia. Irina nie tęskniła za nią, ale dla zabawy wyobrażała sobie, że któregoś dnia Radmila wróci z workiem pełnym prezentów. Nie miała od niej żadnych wiadomości aż do ósmego roku życia, kiedy dziadkowie dostali trochę pieniędzy wysłanych z daleka przez córkę, które wydawali z rozważą, żeby nie wzbudzać zazdrości sąsiadów. Irina poczuła się oszukana, bo matka nie przysłała jej niczego specjalnego, nawet listu; koperta zawierała jedynie pieniądze i dwa zdjęcia przedstawiające nieznaną kobietę o tlenionych włosach i twardym spojrzeniu, wcale niepodobną do młodej dziewczyny z fotografii, którą dziadkowie postawili obok ikony świętej Paraskiewy. Później przekazy pieniężne przychodziły dwa, trzy razy w roku, czyniąc biedę dziadków nieco bardziej znośną.

Dramat Radmili niewiele różnił się od losów tysięcy innych mołdawskich dziewcząt. W wieku szesnastu lat zaszła w ciążę z rosyjskim żołnierzem, który był przejazdem w okolicy ze swoim pułkiem i o którym już więcej nie usłyszała; urodziła Irinę, bo nie powiodły się próby wywołania poronienia,

i gdy tylko mogła, uciekła jak najdalej. Wiele lat później, żeby przestrzec córkę przed niebezpieczeństwami tego świata, Radmila po dwóch szklankach wódki i z trzecią w dłoni opowie Irinie szczegóły swojej odysei.

Któregoś dnia do wioski przyjechała kobieta z miasta rekrutująca młode dziewczyny ze wsi do pracy za granicą jako kelnerki. Oferowała Radmili niewyobrażalną szansę, jaka trafia się tylko raz w życiu – paszport, przejazd, łatwą pracę i dobre zarobki. Zapewniła ją, że już dzięki samym napiwkom zaoszczędzi wystarczająco dużo pieniędzy, żeby w niespełna trzy lata kupić sobie dom. Głucha na desperackie przestrogi rodziców Radmila wsiadła do pociągu ze stręczycielką, nie podejrzewając, że skończy w szponach tureckich sutenerów, w burdelu w Aksaray, dzielnicy Stambułu. Więzili ją tam przez dwa lata, musiała obsługiwać trzydziestu, czterdziestu mężczyzn dziennie, żeby spłacić dług za przejazd, który nigdy się nie zmniejszał, bo pobierali od niej pieniądze za mieszkanie, jedzenie, prysznic i prezerwatywy. Dziewczyny, które stawiały opór, były przywoływane do porządku pięścią i nożem, przypalane albo znajdowane o świcie martwe w jakimś zaułku. Nie mogły uciec bez pieniędzy i dokumentów, żyły w zamknięciu, nie znały języka, dzielnicy, a tym bardziej miasta; nawet gdy niektórym udawało się uciec alfonsom, czekali na nie policjanci, stali klienci burdelu, których musiała obsługiwać za darmo. „Jedna dziewczyna wyskoczyła przez okno z trzeciego piętra i została do połowy sparaliżowana, ale nie zwolniło jej to od wykonywania pracy – powiedziała Radmila Irinie melodramatyczno-dydaktycznym tonem, który przybierała, opowiadając o tym ponurym okresie swojego życia. – Ponieważ nie kontrolowała zwieraczy i cała się brudziła, mężczyźni mieli ją za połowę ceny. Inna zaszła w ciążę i obsługiwała klientów na materacu z dziurą na środku, w którą wpuszczała brzuch; za nią płacili więcej, bo wierzyli, że wydymanie ciężarnej kobiety leczy rzeżączkę. Kiedy alfonsi potrzebowali nowych twarzy, sprzedawali nas do innych burdeli i tak upadałyśmy coraz niżej, aż zeszyłyśmy na samo dno piekła. Mnie uratował ogień i mężczyzna, który się nade mną zlitował. Którejś nocy wybuchł pożar, rozprzestrzenił się na sąsiednie domy. Pojawili się dziennikarze z kamerami, więc policja nie mogła udawać, że nas nie widzi; aresztowali dziewczyny trzęsące się z zimna na ulicy, ale nie zabrali ani jednego z tych przeklętych stręczycieli i klientów. Pokazali nas w telewizji, nazwali rozpustnicami; uznano nas za winne świństwo, które wyprawiano w Aksaray. Mieli nas deportować, ale znajomy policjant pomógł mi uciec i zdobył dla mnie paszport”. Po licznych perypetiach Radmila dotarła do Włoch, gdzie najpierw pracowała, sprzątając biura, a potem jako robotnica w fabryce. Miała chore nerki, organizm wyniszczony podłym życiem, narkotykami i alkoholem, ale wciąż była młoda i zachowała alabastrową skórę, jaka cechowała także Irinę. Zakochał się w niej amerykański technik, wzięli ślub, po czym zabrał ją ze sobą do Teksasu, gdzie później wylądowała również jej córka.

Kiedy Irina widziała ostatni raz swoich dziadków, tamtego ranka 1999 roku, gdy odprowadzili ją na pociąg, który miał ją zawieźć do Kiszyniowa, pierwszego przystanku w jej długiej podróży do Teksasu, Costea miał sześćdziesiąt dwa lata, a Petruta o rok mniej. Byli dużo bardziej wyniszczeni niż którykolwiek z dziewięćdziesięcioparoletnich mieszkańców Lark House, którzy starzeli się powoli, z godnością i pełnym uzębieniem, własnym lub sztucznym. Irina przekonała się jednak, że proces ten u wszystkich przebiega tak samo: człowiek posuwa się krok za krokiem ku końcowi, jedni szybciej, inni wolniej, a po drodze traci wszystko. Nie można nic ze sobą zabrać na drugą stronę. Kilka miesięcy później Petruta pochyliła głowę nad talerzem ziemniaków z cebulą, które właśnie podała do stołu, i już się nie obudziła. Costea przeżył z nią czterdzieści lat, doszedł więc do wniosku, że nie warto żyć dalej samemu. Powiesił się na belce w spichlerzu, gdzie trzy dni później znaleźli go sąsiedzi, przywołani szczekaniem psa i beczeniem niewydojonej kozy. Irina dowiedziała się o wszystkim kilka lat później z ust sędziego z sądu dla nieletnich w Dallas. Ale nie chciała o tym mówić.



Wczesną jesienią jedno z samodzielnych mieszkań w Lark House zajął Lenny Beal. Nowy lokator przybył w towarzystwie Sofii, białej suki z czarną plamą wokół oka, która nadawała jej wygląd pirata. Pojawienie się Lenny'ego było wiekopomnym wydarzeniem, ponieważ nie mógł się z nim równać żaden z nielicznych męskich lokatorów Lark House. Ci albo mieli partnerki, albo należeli do trzeciej grupy i leżeli w pieluchach, bliscy wstąpienia do Raju, a sporadyczni dostępni wdowcy w większości nie interesowali żadnej z kobiet. Lenny Beal miał osiemdziesiąt lat, ale nikt nie dałby mu więcej niż siedemdziesiąt; był najbardziej pożądanym okazem, jaki widziano tutaj od dziesięcioleci, ze swoimi siwymi włosami, których starczało na krótki kucyk na karku, z niesamowitymi lazurowymi oczami i młodzieżowym stylem – pogniecionymi lnianymi spodniami i płóciennymi butami noszonymi na bose stopy. Omal nie wywołał zamieszek pośród kobiet; jego obecność podziałała jak wpuszczenie tygrysa w to stęsknione damskie towarzystwo. Nawet sam Hans Voigt, ze swoim bogatym doświadczeniem administratora, zastanawiał się, co tu robi ktoś taki jak Lenny Beal. Dojrzały i dobrze zakonserwowany mężczyźni jak on zawsze mieli do dyspozycji jakąś młodszą kobietę – drugą czy trzecią żonę – która się nimi opiekowała. Przyjął go z całym entuzjazmem, na jaki mógł się zdobyć, torturowany piekącymi hemoroidami. Catherine Hope próbowała mu pomóc akupunkturą w swojej klinice bólu, gdzie trzy razy w tygodniu przyjmował chiński lekarz, ale poprawa następowała powoli. Dyrektor pomyślał, że pewnie nawet najbardziej zbolełe damy, te, które spędzały dni w fotelu ze wzrokiem zagubionym w próżni, wspominając przeszłość, bo terażniejszość umykała im albo pędziła tak szybko, że jej nie rozumiały, powrócą do życia za sprawą Lenny'ego Beala. Miał rację. Z dnia na dzień pojawiły się błękitne peruki, perły i pomalowane paznokcie, nowość wśród pań ze słabością do buddyzmu i ekologii, gardzących wszystkim co sztuczne. „No ładnie! Przypominamy dom starców z Miami”, powiedział Cathy. Pensjonariusze robili zakłady, próbując odgadnąć, kim był wcześniej nowy współlokator: aktorem, projektantem ubrań, importerem orientalnej sztuki czy może profesjonalnym tenisistą. Aby ukrócić spekulacje, Alma Belasco powiedziała Irinie, że Lenny Beal był dentystą, w nadziei że dziewczyna rozpowszechni tę informację, ale nikt nie chciał uwierzyć, że mógł zarabiać na życie grzebaniem w zębach.

Lenny Beal i Alma Belasco poznali się trzydzieści lat wcześniej. Kiedy doszło do ich spotkania w Lark House, padli sobie w ramiona podczas powitalnego przyjęcia, a kiedy się rozdzielili, mieli wilgotne oczy. Irina nie widziała nigdy wcześniej takiego przyływu wzruszenia u Almy i gdyby jej podejrzenia odnośnie do japońskiego kochanka nie były tak mocne, pomyślałaby, że to Lenny jest mężczyzną od potajemnych schadzek. Natychmiast zadzwoniła do Setha, żeby przekazać mu wiadomość.

– Mówisz, że to przyjaciel babci? Nigdy nie słyszałem, żeby o nim wspominała. Sprawdź, kto to taki.

– Jak?

– Od tego mam śledczych.

Śledczymi Setha Belasca były dwa zresocjalizowane zbiry o zakazanych gębach, jeden biały, drugi czarnoskóry, które zajmowały się zbieraniem informacji o sprawach, zanim te zostały wniesione do sądu. Seth wyjaśnił wszystko Irinie na najświeższym przykładzie. Chodziło o marynarza, który pozwał Towarzystwo Żeglugi za wypadek przy pracy. W jego wyniku – jak zapewniał – został sparaliżowany. Seth mu nie uwierzył. Jego opryszki zaprosiły inwalidę do klubu o wątpliwej reputacji, upiły go i nakręciły filmik, jak tańczy salsę z panienką do towarzystwa. Tym dowodem Seth zamknął usta adwokatowi drugiej strony, doszli do porozumienia i oszczędzili sobie męczącego procesu. Wyznał Irinie, że w skali zasad moralnych jego śledczych to ostatnie zadanie uchodziło za dopuszczalne; inne były bardziej szemrane.

Dwa dni później Seth zadzwonił do dziewczyny, żeby umówić się z nią w pizzerii, do której często chodzili, ale Irina wykapała przez weekend pięć psów i czuła się bogata. Zaproponowała więc, żeby tym razem poszli do jakiejś przyzwoitej restauracji; Alma obudziła w niej potrzebę białego obrusa. „Ja płacę”, powiedziała. Seth przyjechał po nią na motorze i z niedozwoloną prędkością, lawirując między samochodami, zawiózł ją do włoskiej dzielnicy. Kiedy dotarli na miejsce, mieli włosy przylizane z powodu kasków i ciekące nosy. Irina zrozumiała, że jej strój nie jest adekwatny do poziomu lokalu – nigdy nie była odpowiednio ubrana – a lekceważące spojrzenie *maître* potwierdziło jej podejrzenia. Na widok cen w karcie niemal spadła z krzesła.

– Nie bój się, płaci kancelaria – uspokoił ją Seth.

– To będzie nas kosztowało więcej niż wózek inwalidzki!

– Po co ci wózek inwalidzki?

– To takie porównanie. W Lark House są dwie staruszki, które nie mogą sobie pozwolić na wózki, a ich potrzebują.

– Bardzo mi przykro, Irino. Polecam ci ostrygi z truflami. Oczywiście zakrapiane dobrym białym winem.

– Dla mnie coca-cola.

– Do ostryg musi być chablis. Tu nie mają coca-coli.

– W takim razie woda mineralna ze skórką cytryny.

– Jesteś alkoholiczką po odwyku? Możesz mi o tym powiedzieć, nie musisz się wstydzić, to choroba, jak cukrzyca.

– Nie jestem alkoholiczką, ale od wina boli mnie głowa – odpowiedziała Irina, która nie zamierzała dzielić się z nim swoimi najgorszymi wspomnieniami.

Przed pierwszym daniem podano im po łyżce czarniawej pianki przypominającej smocze wymiociny – prezent od szefa kuchni – którą Irina nieufnie włożyła do ust, podczas gdy Seth wyjaśniał jej, że Lenny Beal jest bezdietnym kawalerem i że zrobił specjalizację z ortodoncji w klinice dentystycznej w Santa Barbara. Nie znalazł w jego życiorysie niczego znaczącego, poza tym, że był wybitnym sportsmenem i kilka razy brał udział w triathlonie Ironman, otwartych zawodach pływackich, rowerowych i biegowych, które szczerze mówiąc, wyglądały na mało przyjemne. Seth wymienił jego nazwisko w rozmowie z ojcem, któremu wydaje się, że Beal był przyjacielem Almy i Nathaniela, ale nie ma pewności; pamięta jak przez mgłę, że widział go w Sea Cliff, kiedy Nathaniel leżał chory. Larry powiedział, że wówczas przez rezydencję przewinęło się wielu wiernych przyjaciół, żeby towarzyszyć jego ojcu w ostatnich chwilach, a Lenny Beal mógł być jednym z nich. Chwilowo Seth nie miał więcej informacji na jego temat, natomiast odkrył coś dotyczącego Ichimeiego.

– Rodzina Fukudów podczas drugiej wojny światowej przez trzy i pół roku mieszkała w obozie koncentracyjnym – powiedział.

– Gdzie?

– W Topazie, w samym sercu pustyni w Utah.

Irina słyszała jedynie o niemieckich obozach koncentracyjnych w Europie, ale Seth wszystko jej wyjaśnił i pokazał zdjęcie z Japońsko-Amerykańskiego Muzeum Narodowego. Podpis pod oryginalną fotografią wskazywał, że przedstawia ona Fukudów. Powiedział, że jego asystent szuka imion i wieku każdego z nich na listach przesiedlonych do Topazu.

# Więżniowie

W ciągu pierwszego roku pobytu w Topazie Ichimei często wysyłał Almie rysunki, z czasem robił to jednak coraz rzadziej, albowiem cenzorzy nie nadawali z czytaniem listów i w końcu ograniczyli przesiedlonym ilość wychodzącej korespondencji. Szkice, które Alma pieczołowicie przechowywała, były najlepszym świadectwem tego etapu życia Fukudów: rodzina stłoczona wewnątrz baraku, dzieci, które odrabiały lekcje, klęcząc na podłodze i wykorzystując ławki jako stoły, kolejki ludzi przed latrynami, mężczyźni grający w karty, kobiety piorące bieliznę w wielkich nieckach. Więżniom skonfiskowano aparaty fotograficzne, a ci nieliczni, którym udało się je ukryć, nie mieli jak wywołać negatywów. Zezwalano jedynie na oficjalne, optymistyczne zdjęcia pokazujące humanitarne traktowanie Japończyków w Topazie, atmosferę luzu i radości: dzieci grające w bejsbol, młodzież tańczącą w rytm modnej muzyki, ludzi śpiewających hymn narodowy w czasie porannego wciągania flagi na maszt, żadnych drutów kolczastych, wieżyczek strażniczych czy żołnierzy w pełnym uzbrojeniu. A jednak jeden z amerykańskich strażników zaproponował, że zrobi Fukudom zdjęcie. Był nim Boyd Anderson, który zapałał miłością do Megumi, gdy zobaczył ją pierwszy raz w szpitalu, gdzie pracowała jako wolontariuszka, a dokąd on trafił po zranieniu sobie ręki podczas otwierania konserwy mięsnej.

Anderson miał dwadzieścia trzy lata, jasną karnację jak jego szwedzcy przodkowie, był wysoki, prostoduszny i miły. Należał do tych nielicznych białych, którzy cieszyli się zaufaniem przesiedlonych. Kiedy zobaczył Megumi w białym fartuchu, serce zabiło mu mocniej, mimo że w Los Angeles niecierpliwie czekała na jego powrót narzeczona. Młoda pielęgniarka oczyściła ranę, a kiedy lekarz założył dziewięć szwów, zabandażowała rękę z zawodową precyzją, nie patrząc Boydowi w twarz, za to on uważnie jej się przyglądał, oszołomiony do tego stopnia, że nawet nie czuł bólu podczas zabiegu. Od tego dnia krążył wokół niej, ostrożnie, bo nie chciał nadużywać swojej pozycji przedstawiciela władzy, przede wszystkim jednak dlatego, że mieszanie ras było dla białych zakazane, a dla Japończyków – odrażające. Megumi, ze swoją twarzą jak księżyc i delikatnością, z jaką poruszała się po tym świecie, mogła przebierać pomiędzy najbardziej pożądanymi chłopakami w Topazie, ale czuła ten sam niedozwolony pociąg co strażnik i walczyła z tym samym rasistowskim potworem, błagając niebiosa, żeby skończyła się wojna, by rodzina wróciła do San Francisco, a ona mogła wyrwać ze swojej duszy tę grzeszną pokusę. W tym samym czasie Boyd prosił Boga, by wojna nie skończyła się nigdy.

Czwartego lipca w Topazie świętowano Dzień Niepodległości, podobnie jak sześć miesięcy wcześniej Nowy Rok. Za pierwszym razem skończyło się to wielką kłapą, bo obóz był nadal w budowie, a ludzie nie pogodzili się jeszcze z tym, że zostali więźniami, jednak w lipcu 1943 roku przesiedleni dołożyli starań, by pokazać, że są patriotami, a Amerykanie – że są do nich przyjaźnie nastawieni, i nie przeszkodziły im w tym ani tumany kurzu wzniesane przez wiatr, ani upał, którego nie wytrzymały nawet jaszczurki. Świętowano wspólnie, w miłej atmosferze, pośród flag, przy mięsie z rusztu, ciastach, a nawet piwie dla mężczyzn, którzy chociaż raz nie musieli pić obrzydliwego likieru wyrabianego nielegalnie ze sfermentowanych brzoskwiń z puszki. Boyd Anderson znalazł się wśród osób wyznaczonych do robienia zdjęć. Chodziło o zamknięcie ust wrednym dziennikarzom, którzy pisali

o nieludzkim traktowaniu ludności pochodzenia japońskiego. Korzystając z okazji, strażnik poprosił Fukudów, by mu pozwali. Potem wręczył jedną odbitkę Takao, drugą po kryjomu Megumi, swoją natomiast kazał powiększyć i wyciął z niej samą dziewczynę. To zdjęcie towarzyszyło mu wszędzie, nosił je w portfelu osłonięte plastikiem, z nim został pochowany pięćdziesiąt dwa lata później. Fotografia przedstawiała Fukudów stojących przed czarnym niskim budynkiem: Takao, z opuszczonymi ramionami i smutną miną, małą i zadziorną Heideko, Jamesa odwróconego bokiem, jakby pozował z musu, Megumi w kwiecie swoich osiemnastu lat i jedenastoletniego Ichimeiego, chudego, z kępą sterczących sztywno włosów i strupami na kolanach.

Na tym jedynym rodzinnym zdjęciu z Topazu brakowało Charlesa. Tamtego roku najstarszy syn Takao i Heideko zaciągnął się do wojska, bo uznał to za swój obowiązek, a nie dlatego, żeby uciec z obozu, jak mawiali o ochotnikach młodzi ludzie, którzy nie godzili się na pobór. Trafił do 442. pułku piechoty, złożonego wyłącznie z *nisei*. Ichimei wysłał Almie rysunek brata stojącego na baczność przed flagą, z paroma linijkami nieocenzurowanego tekstu wyjaśniającego, że na kartce nie zmieściło się pozostałych siedemnastu chłopaków w mundurach, którzy mieli jechać na wojnę. Rysował z taką łatwością, że kilkoma kreskami zdołał oddać poczucie wielkiej dumy Charlesa, dumy sięgającej korzeniami odległej przeszłości, minionych pokoleń samurajów z jego rodziny, którzy szli na pole bitwy przekonani, że już nie wrócą, zdecydowani nigdy się nie poddać i umrzeć z honorem – to dawało im nadludzką odwagę. Isaac Belasco, który zawsze oglądał rysunki Ichimeiego, zwrócił Almie uwagę na ironię losu, polegającą na tym, że ci młodzi ludzie godzili się ryzykować życie w obronie interesów kraju, który więził ich rodziny w obozach dla internowanych.

W dniu, w którym James Fukuda skończył siedemnaście lat, przyszli po niego dwaj uzbrojeni żołnierze. Zabrali go bez słowa wyjaśnienia, ale Takao i Heideko przeczuwali to nieszczęście, bo ich drugi syn zawsze był trudnym dzieckiem, a od kiedy ich internowano, bezustannie sprawiał problemy. Fukudowie, podobnie jak niemal wszyscy przesiedleni, zaakceptowali swoją sytuację z filozoficzną rezygnacją, ale James i inni *nisei*, japońscy Amerykanie, stale protestowali, najpierw łamiąc przepisy, kiedy tylko mogli, później nawołując do buntu. Na początku Takao i Heideko przypisywali to wybuchowemu charakterowi chłopaka, tak różniącego się od swojego brata Charlesa, potem wybrykom wieku dorastania, a w końcu złemu towarzystwu. Kierownik obozu nie raz uprzedzał ich, że nie będzie tolerował zachowania Jamesa; karał go aresztem w celi za sprzeczki, bezczelność i niszczenie mienia będącego własnością federalną, ale żaden z tych wybryków nie zasługiwał na więzienie. Nie licząc wyskoków kilku młodocianych *nisei*, takich jak James, w Topazie panował wzorowy porządek, nigdy nie dochodziło do poważniejszych przestępstw. Najcięższym wykroczeniem były strajki i protesty po tym, gdy jeden ze strażników zabił staruszką, który podszedł zbyt blisko ogrodzenia z drutu i nie usłyszał rozkazu, by się zatrzymał. Dyrektor miał dotąd na względzie młody wiek Jamesa, miękkł też dzięki dyskretnemu wstawiennictwu Boyda Andersona.

Władze przygotowały kwestionariusz, w którym jedyną akceptowalną odpowiedzią było „tak”. Musieli go wypełnić wszyscy przesiedleni powyżej szesnastego roku życia. Podchwytliwe pytania dotyczyły lojalności wobec Stanów Zjednoczonych (mężczyźni mieli walczyć w armii tam, gdzie ich pošlą, a kobiety w oddziałach pomocniczych) i wypowiedzenia posłuszeństwa cesarzowi japońskiemu. Dla *issei* takich jak Takao oznaczało to zrzeczenie się narodowości bez prawa do otrzymania obywatelstwa amerykańskiego, ale prawie wszyscy zaakceptowali takie warunki. Natomiast niektórzy spośród młodych *nisei* odmówili wypełnienia ankiety, bo byli Amerykanami i poczuli się znieważeni. Nazwano ich No-No, zostali uznani przez władze za niebezpiecznych i potępieni przez społeczność

japońską, która od niepamiętnych czasów nienawidziła awantur. Jednym z No-No był James. Kiedy go arestowano, głęboko zawstydzony ojciec zamknął się w kwaterze przydzielonej jego rodzinie i wychodził z niej tylko po to, by skorzystać ze wspólnej latryny. Ichimei przynosił mu jedzenie, a potem stawał w kolejce drugi raz, żeby samemu zjeść posiłek. Heideko i Megumi, które także cierpiały z powodu hańby, jaką okrył ich James, starały się prowadzić normalne życie, znosząc z podniesionym czołem złośliwe plotki, potępiające spojrzenia rodaków i szykany ze strony władz obozu. Fukudowie, nawet Ichimei, byli wielokrotnie przesłuchiwanie, ale nie doświadczyli cięższych prześladowań dzięki Boydowi Andersonowi, który awansował i chronił ich jak mógł.

– Co będzie z moim bratem? – zapytała go Megumi.

– Nie wiem. Mogą go wysłać do Tule Lake w Kalifornii albo do Fort Leavenworth w Kansas, to zależy od Federalnego Departamentu Więziennictwa. Myślę, że nie wypuszczą go, dopóki nie skończy się wojna – odparł Boyd.

– Tutaj mówią, że No-No będą rozstrzeliwani za szpiegostwo...

– Nie wierz we wszystko, co usłyszysz, Megumi.

To wydarzenie nieodwołalnie wpłynęło na stan ducha Takao. W ciągu pierwszych miesięcy w Topazie uczestniczył w życiu wspólnoty, godzinami pracował w warzywnikach i wyrabiał rzeźbione meble z desek po skrzynkach zdobytych w kuchni. Kiedy w ograniczonej przestrzeni baraku nie mieścił się już żaden nowy mebel, Heideko zachęciła go, by robił je dla innych rodzin. Chciał uczyć dzieci dzudo, ale odmówiono mu pozwolenia na lekcje. Wojskowy komendant obozu bał się, że będzie wpajał swoim uczniom wywrotowe idee i zagrozi bezpieczeństwu żołnierzy. Takao nadal jednak potajemnie ćwiczył z synami. Żył z nadzieją, że ich uwolnią, liczył dni, tygodnie, miesiące, zaznaczając je w kalendarzu. Bez przerwy myślał o niezrealizowanym marzeniu założenia z Isaakiem Belaskiem szkółki kwiatów i roślin, o pieniądzach, które zaoszczędził i stracił, o domu, który spłacał latami, a którego zwrotu domagał się teraz właściciel. „Dziesiątki lat wysiłku, pracy i wypełniania obowiązków po to, by skończyć za drutami, zamknięty jak przestępca”, mawiał rozgoryczony. Nie był towarzyski. Wszystko go irytowało: tłum, niekończące się kolejki, hałas, brak prywatności.

Za to Heideko rozkwitała w Topazie. W porównaniu z innymi Japonkami była krnąbrną żoną, stawiała czoło mężowi, biorąc się pod boki. Do tej pory poświęcała życie rodzinie, dzieciom i ciężkiej pracy na roli, nie podejrzewając, że drzemie w niej ukryta potrzeba działalności społecznej. W obozie nie miała czasu na rozpacz czy nudę, ciągle rozwiązywała cudze problemy, starała się uzyskać od władz rzeczy na pozór niemożliwe. Jej dzieci były zamknięte i bezpieczne za ogrodzeniem, nie musiała ich pilnować, robiło to osiem tysięcy par oczu i oddział żołnierzy. Głównym przedmiotem jej troski był teraz Takao. Wspierała go, żeby się całkowicie nie załamał; brakowało jej już pomysłów na prace, które mogłaby podsunąć mężowi, by wypełnić mu czas i nie zostawić go zbyt wiele na rozmyślanie. Postarzał się, wyraźnie było teraz widać, że jest między nimi dziesięć lat różnicy. Przymusowa ciasnota w barakach oznaczała kres namiętności, która kiedyś osładzała cierpkie momenty wspólnego życia; czułość zamieniła się u niego w rozgoryczenie, a u niej w cierpliwość. Ze wstydu przed dziećmi, z którymi dzielili pokój, starali się nie dotykać w wąskim łóżku, przez co powoli zanikała bliskość charakteryzująca niegdyś ich związek. Takao zasklepił się w swojej urazie, tymczasem Heideko odkrywała powołanie do przewodzenia i służenia innym.

W ciągu niespełna dwóch lat Megumi Fukuda otrzymała trzy propozycje małżeństwa i nikt – z wyjątkiem Ichimeiego, który pełnił rolę posłańca między siostrą a Boydem Andersonem – nie potrafił

sobie wytłumaczyć, dlaczego je odrzuciła. Dziewczyna chciała w życiu dwóch rzeczy: zostać lekarzem i wyjść za Boyda, w tej kolejności. Bez najmniejszego wysiłku skończyła w Topazie szkołę średnią, ale wyższa uczelnia była już poza jej zasięgiem. Cóż z tego, że niektóre uniwersytety na wschodzie kraju przyjmowały niewielką liczbę studentów pochodzenia japońskiego, wybranych w obozach dla internowanych spośród najlepszych, i że mieli oni nawet prawo do rządowego wsparcia finansowego. Ponieważ James, skaza na honorze Fukudów, był notowany, ona nie mogła się ubiegać o przyjęcie. Nie mogła też porzucić rodziny; pod nieobecność Charlesa czuła się odpowiedzialna za młodszego brata i rodziców. Odbywała więc praktykę w szpitalu razem z lekarzami i pielęgniarkami z obozu, zwerbowanymi spośród więźniów. Jej mentorem był biały pięćdziesięciokilkuletni doktor, niejaki Frank Delillo, śmierdzący potem, tytoniem i whisky, przegrany, jeśli chodzi o życie prywatne, ale kompetentny i całkowicie oddany pracy. Wziął Megumi pod swoje skrzydła już pierwszego dnia, kiedy stawiała się w szpitalu w plisowanej spódniczce i wykrochmalonej bluzce, by – jak to określiła – zaoferować swoje usługi jako uczennica. Oboje niedawno przybyli do Topazu. Megumi zaczęła od wynoszenia nocników i zmywania naczyń, ale wykazywała tyle dobrej woli i talentu, że Delillo szybko mianował ją swoją asystentką.

– Będę studiowała medycynę, jak tylko skończy się wojna – oznajmiła.

– To może potrwać dłużej, niż się spodziewasz, Megumi. Ostrzegam, że zostanie lekarzem będzie cię kosztowało mnóstwo wysiłku. Jesteś kobietą, w dodatku Japonką.

– Jestem Amerykanką, tak jak pan – odparła.

– No dobrze, niech ci będzie. Trzymaj się mnie, czegoś się zawsze nauczysz.

Megumi potraktowała to dosłownie. Nie odstępowała Franka Delilla na krok i w końcu sama zszywała rany, zakładała łubki na złamane kości, leczyła oparzenia i asystowała przy porodach. Nie miała do czynienia z bardziej skomplikowanymi przypadkami, bo te poważniejsze odsyłano do szpitali w Delcie albo Salt Lake City. Praca pochłaniała jej dziesięć godzin dziennie, ale w niektóre wieczory starała się spotykać na trochę z Boydem Andersonem, kryta przez Franka Delillo, jedyną osobę oprócz Ichimeiego, która została dopuszczona do tajemnicy. Pomimo ryzyka przez dwa lata kochali się potajemnie; sprzyjało im szczęście. Suchy, jałowy teren nie oferował miejsc, w których można by się zaszyć, ale młodzi *nisei* jakoś sobie radzili, wynajdując sprytne preteksty, aby uniknąć dozoru rodziców i natrętnych spojrzeń. Inaczej było jednak w przypadku Megumi, albowiem Boyd w mundurze, hełmie i z karabinem nie mógł kryć się niczym królik w pojedynczych chaszczach, jakie mieli do dyspozycji. Koszary, biura i kwatery białych były odgradzone od obozu i Megumi nie miałyby tam wstępu, gdyby nie interwencja sił nadprzyrodzonych w postaci Franka Delilla, który nie tylko załatwił jej przepustkę pozwalającą przechodzić przez punkty kontrolne, ale jeszcze we właściwych momentach wynosił się ze swojego pokoju. Tam właśnie, w bałaganie i brudzie, w jakim żył Delillo, wśród pełnych niedopałków popielniczek i pustych butelek, Megumi straciła dziewictwo, a Boyd znalazł się w siódmym niebie.

Zamiłowanie do ogrodnictwa zaszczipione Ichimeiemu przez ojca jeszcze się w Topazie pogłębiło. Wielu spośród przesiedlonych, którzy wcześniej żyli z rolnictwa, od samego początku postawiło na uprawę warzyw i nawet jałowy krajobraz i nieubłagany klimat nie były w stanie ich od tego odwieść. Podlewali rośliny rękami, licząc każdą kroplę wody, chronili je latem papierowymi daszkami, a w najchłodniejszych okresach zimy ciepłym ognisk i w ten sposób udawało im się wydrzeć pustyni warzywa i owoce. W stołówkach nigdy nie brakowało jedzenia, można było napełnić po brzegi talerz i wziąć dokładkę, ale bez silnej determinacji tych rolników jadłospis składałby się wyłącznie z produktów paczkowanych i konserw. Mówili, że nic dobrego dla zdrowia nie może wyrosnąć w słoiku.

Rano Ichimei chodził do szkoły, a resztę dnia spędzał w warzywnikach. Wkrótce jego imię zastąpiono przydomkiem „Zielone Palce”, bo wszystko, czego dotykał, kiełkowało i rosło. Nocami, nastawszy się dwukrotnie w kolejce do stołówki, raz dla ojca, raz dla siebie, starannie opracował bajki i teksty szkolne wysyłane małym *nisei* przez mieszkających gdzieś daleko nauczycieli. Był dzieckiem uczynnym, ale skłonny do zamyśleń, mógł siedzieć godzinami nieruchomo, zapatrzony w fioletowe góry na tle kryształowego nieba, skupiony na własnych myślach i emocjach. Mówiono o nim, że ma powołanie do bycia mnichem i że w Japonii zostałby nowicjuszem w klasztorze zen. Mimo iż religia oomoto odrzucała prozelityzm, Takao uparcie wpajał swoją wiarę Heideko i dzieciom, ale tylko Ichimei przyjął ją z prawdziwym zapalem, bo odpowiadała jego charakterowi i poglądom na życie, które wyznawał od dziecka. Praktykował oomoto z ojcem i małżeństwem *issei* z innego baraku. W obozie odbywały się nabożeństwa buddyjskie i różnych Kościołów chrześcijańskich, ale nie oomoto, bo wyznawali je tylko oni. Czasami towarzyszyła im Heideko, ale robiła to bez większego przekonania. Charles i James nigdy nie interesowali się wierzeniami ojca, a Megumi, ku przerażeniu Takao i zdumieniu Heideko, przeszła na chrześcijaństwo. Tłumaczyła to objawieniem Jezusa we śnie.

– Skąd wiesz, że to był Jezus? – zbeształ ją poblady z wściekłości Takao.

– A kto inny chodzi w koronie cierniowej? – odpowiedziała.

Musiła uczęszczać na lekcje religii prowadzone przez prezbiteriańskiego pastora i przejść konfirmację w trakcie krótkiej prywatnej uroczystości, na której byli tylko ciekawski Ichimei i Boyd Anderson, poruszony do głębi tym dowodem miłości. Oczywiście pastor domyślił się, że nawrócenie dziewczyny ma więcej wspólnego ze strażnikiem niż z chrześcijaństwem, ale nie zgłosił zastrzeżeń. Pobłogosławił ich, zadając sobie w myślach pytanie, w jakim zakątku wszechświata ta para mogłaby znaleźć dla siebie miejsce.

# Arizona

W grudniu 1944 roku, kilka dni przed wydaniem jednogłośnego wyroku Sądu Najwyższego orzekającego, że żaden obywatel Stanów Zjednoczonych, niezależnie od tego, z jakiej kultury się wywodzi, nie może być więziony bez powodu, komendant wojskowy Topazu, eskortowany przez dwóch żołnierzy, wręczył Heideko Fukudzie złożoną w trójkąt flagę i przypiął do piersi Takao purpurową wstążkę z medalem. Żałobna skarga trąbki ścisnęła za gardło setki osób, które zebrały się wokół rodziny, żeby oddać cześć Charlesowi Fukudzie, poległemu w walce. Heideko, Megumi i Ichimei płakali, natomiast na twarzy Takao malował się nieodgadniony wyraz. W ciągu lat spędzonych w obozie dla internowanych jego oblicze zastygło, przybierając postać hieratycznej maski wyrażającej dumę, ale jego przygarbiona sylwetka i ponure milczenie zdradzały, że jest wrakiem człowieka. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat nie cieszyły go już pączki roślin, stracił subtelne poczucie humoru, entuzjazm, z jakim budował przyszłość dzieci, dyskretną czułość, jaką okazywał Heideko. Bohaterska ofiara Charlesa, starszego syna, przyszłej podpory rodziny, kiedy Takao nie będzie mógł dłużej pełnić tej roli, była ciosem, który go zniszczył. Charles zginął we Włoszech, jak setki japońskich Amerykanów z 442. pułku piechoty nazywanego Batalionem Purpurowego Serca z powodu niezwykle wysokiej liczby medali za odwagę. Ten pułk, złożony wyłącznie z *nisei*, był najczęściej odznaczanym w historii armii Stanów Zjednoczonych, ale dla Fukudów nigdy nie będzie to stanowiło żadnej pociechy.

Czternastego sierpnia 1945 roku Japonia podpisała kapitulację; zaczęto likwidować obozy dla internowanych. Fukudowie dostali dwadzieścia pięć dolarów i bilety na pociąg jadący w głąb Arizony. Tak jak pozostali przesiedleńcy, nigdy nie wspomnieli publicznie o latach upokorzeń, kiedy kwestionowano ich lojalność i patriotyzm. Życie bez honoru było niewiele warte. *Shikata ga nai*. Nie zezwolono im na powrót do San Francisco, zresztą nic ich tam nie wzywało. Takao stracił prawo do odnajmowania domu i dzierżawy ziemi, którą uprawiał. Nic nie zostało z jego oszczędności ani z pieniędzy, które wręczył mu Isaac Belasco w momencie wyjazdu. Z jego piersi wydobywał się nieustannie odgłos, który przypominał pracujący silnik; bez przerwy kasłał i z trudem wytrzymywał ból w plecach. Nie czuł się na siłach, by wrócić do ciężkiej pracy na roli, jedyne zajęcie dostępne dla kogoś takiego jak on. Sądząc po jego chłodnej postawie, niepewna sytuacja rodziny mało go obchodziła; smutek zamienił się w obojętność. Gdyby nie troskliwość Ichimeiego, który zmuszał go do jedzenia i wszędzie mu towarzyszył, siedziałby w kącie, paląc bezustannie tytoń, aż w końcu by umarł. W tym czasie żona i córka pracowały w fabryce na długich zmianach, co ledwo wystarczało na skromne utrzymanie rodziny. *Issei* mogli wreszcie uzyskać obywatelstwo, ale nawet to nie pomogło Takao otrząsnąć się z przygnębienia. Przez trzydzieści pięć lat chciał mieć te same prawa co każdy Amerykanin, a teraz, gdy nadszedł ten moment, pragnął już tylko wrócić do Japonii, swojej pokonanej ojczyzny. Heideko próbowała zaprowadzić go do Krajowego Urzędu Imigracyjnego, żeby się zarejestrował, ale w końcu poszła sama, bo skąpe zdania wypowiedane przez męża sprowadzały się do pomstowania na Stany Zjednoczone.

Megumi znowu musiała odłożyć decyzję o podjęciu studiów medycznych i marzenia o ślubie, lecz



Boyd Anderson, przeniesiony do Los Angeles, nie zapomniał o niej ani na chwilę. Ustawy o małżeństwie i wspólnym zamieszkiwaniu osób różnych ras zostały wprawdzie zniesione prawie we wszystkich stanach, ale związek taki jaki ich nadal budził zgorzniecie. Żadne nie odważyło się na wyznanie rodzicom, że są ze sobą od ponad trzech lat. Dla Takao Fukudy byłby to kataklizm; nigdy nie zaakceptowałaby związku córki z białym, tym bardziej z takim, który patrolował ogrodzone drutem kolczastym więzienie w Utah. Musiałby się jej wyrzec, straciłby także i ją. Stracił już na wojnie Charlesa i deportowanego do Japonii Jamesa, od którego nie spodziewał się otrzymać żadnych wiadomości. Rodzice Boyda Andersona, imigranci szwedzcy w pierwszym pokoleniu, osiedli w Omaha, żyli z prowadzenia mleczarni, ale zbankrutowali w latach trzydziestych i w końcu zostali zarządcami cementarza. Byli ludźmi o nieposzlakowanej uczciwości, bardzo religijnymi, tolerancyjnymi, jeśli chodzi o kwestie rasowe, ale syn nie chciał mówić im o Megumi, dopóki ta nie zgodzi się przyjąć od niego obrączki.

Każdego poniedziałku Boyd zaczynał nowy list i codziennie dodawał do niego kolejne akapity, inspirowane *Sztuką pisania listów miłosnych*, podręcznikiem modnym wśród żołnierzy, którzy wrócili z wojny, zostawiwszy narzeczone pod innymi szerokościami geograficznymi, a w piątek nadawał go na pocztę. Ten metodyczny mężczyzna postawił sobie za cel, by w co drugą sobotę dzwonić do Megumi, choć nie zawsze mu się to udawało, z kolei w niedziele grał na wyścigach konnych. Nie odczuwał nieodpartej potrzeby właściwej nałogowym graczom, kaprysy losu działały mu na nerwy i źle wpływały na wrzody żołądka, ale przypadkowo odkrył, że ma farta w wyścigach, więc wykorzystywał go do powiększania swoich mizernych dochodów. Nocami studiował mechanikę, bo zamierzał zakończyć karierę wojskową i otworzyć warsztat na Hawajach. Uważał, że to najlepsze miejsce do osiedlenia z powodu licznej wspólnoty Japończyków, którzy uniknęli hańby w postaci internowania, mimo że to tam właśnie nastąpił atak Japonii. W swoich listach starał się przekonać Megumi o zaletach Hawajów, gdzie mogliby wychowywać dzieci w atmosferze mniejszej nienawiści rasowej, ale ona nie myślała o dzieciach. Długo i wytrwale korespondowała z dwójką chińskich lekarzy, badając możliwości studiowania medycyny wschodniej, skoro zabraniano jej studiowania tej zachodniej. Szybko odkryła, że również i w tym przypadku fakt, iż jest kobietą i Japonką z pochodzenia, stanowi przeszkodę nie do pokonania, o czym uprzedzał ją jej mentor Frank Delillo.

W wieku czternastu lat Ichimei poszedł do szkoły średniej. Ponieważ Takao był sparaliżowany melancholią, a Heideko znała zaledwie kilka słów po angielsku, rola opiekunki przypadła Megumi. Kiedy poszła go zapisać, pomyślała, że brat będzie się czuł w szkole jak u siebie w domu, bo budynek był równie brzydki, a teren równie niegościnnie jak w Topazie. Przyjęła ich dyrektorka placówki, miss Brody, która w latach wojny zaangażowała się w przekonywanie polityków i opinii publicznej, że dzieci z rodzin japońskich mają takie samo prawo do edukacji jak każdy Amerykanin. Zebrała tysiące książek, które wysyłała do obozów dla internowanych. Ichimei oprawił wiele z nich i doskonale je pamiętał, bo każda miała na karcie tytułowej jakąś uwagę zapisaną przez miss Brody. Chłopiec wyobrażał sobie tę dobrodziejkę jako dobrą wróżkę z bajki o Kopciuszku, tymczasem ujrzał masywną kobietę o ramionach drwała i głosie herolda.

– Mój brat ma zaległości w nauce. Nie jest dobry z czytania ani z pisania; z liczenia też nie – powiedziała zawstydzona Megumi.

– Powiedz mi, w czym w takim razie jesteś dobry? – zapytała miss Brody, zwracając się wprost do chłopca.

– W rysowaniu i sadzeniu roślin – odparł szeptem Ichimei ze wzrokiem wbitym w noski swoich butów.

– Doskonale! Właśnie tego tu potrzebujemy – wykrzyknęła miss Brody.

Przez pierwszy tydzień inne dzieci bombardowały Ichimeiego wyzwiskami nawiązującymi do jego rasy, rozpowszechnionymi w czasie wojny, których on nie poznał, zamknięty w Topazie. Nie wiedział też, że Japończyków nienawidzono bardziej niż Niemców, nie oglądał historyjek obrazkowych, w których Azjatów przedstawiano jako degeneratów i brutali. Znosił szyderstwa z właściwym sobie opanowaniem, ale pierwszy dryblas, który podniósł na niego rękę, poszybował w powietrze dzięki chwytowi dzudo. Temu samemu, który wykorzystał kilka lat wcześniej, by ukazać Nathanielowi Belascowi zalety sztuk walki. Wysłano go za karę do gabinetu dyrektorki. „Dobra robota, chłopcze”, powiedziała. Mistrzowski chwyt Ichimeiego sprawił, że przez cztery lata spędzone w szkole publicznej już nikt nigdy go nie zaatakował.

16 lutego 2005 r.

Wybrałem się do Prescott w Arizonie odwiedzić miss Brody. Kończyła dziewięćdziesiąt pięć lat, przyjechało wielu byłych uczniów, żeby razem świętować jej urodziny. Czuje się bardzo dobrze jak na swój wiek, wystarczy powiedzieć, że poznała mnie od razu, gdy tylko mnie zobaczyła. Dasz wiarę? Ile dzieci przeszło przez jej szkołę? Jak ona to robi, że wszystkie pamięta? Pamiętała, że malowałem plakaty na uroczystości szkolne i że w niedziele pracowałem w jej ogrodzie. Byłem najgorszym uczniem w ogólniaku, beznadziejnym przypadkiem, ale ona stawiała mi stopnie na wyrost. Dzięki miss Brody nie jestem całkowitym analfabetą i mogę do Ciebie pisać, moja Przyjaciółko.

Ten tydzień, kiedy nie mogliśmy się zobaczyć, bardzo mi się dłużył. Deszcz i zimno sprawiły, że wydawał mi się szczególnie smutny. Do tego nie zdołałem zdobyć gardenii, żeby Ci je wysłać. Wybacz mi. Zadzwoń do mnie, proszę.

Ichi

# Boston

W pierwszym roku rozłąki Alma żyła, czekając na listy, ale z czasem przywykła do milczenia przyjaciela, tak jak przywykła do milczenia rodziców i brata. Wujostwo próbowali chronić ją przed złymi wiadomościami docierającymi z Europy, zwłaszcza tymi, które dotyczyły losu Żydów. Alma pytała o rodzinę, dostawała jednak odpowiedzi tak wymyślne, że opowieści o wojnie nabierały cech legend o królu Arturze, które czytała z Ichimeim pod ogrodową pergolą. Zdaniem ciotki brak listów spowodowany był problemami z pocztą w Polsce, a w przypadku jej brata Samuela – obowiązującymi w Anglii środkami bezpieczeństwa. Samuel wykonywał tajne, ważne i niebezpieczne misje w Royal Air Force, tak utrzymywała Lillian; był skazany na bezwzględną anonimowość. Po cóż miałyby mówić siostrzenicy, że samolot jej brata strącono we Francji? Isaac pokazywał Almie postępy i odwroty wojsk alianckich, zaznaczając je na mapie szpilkami, ale nie miał odwagi powiedzieć jej prawdy o rodzicach. Od kiedy Mendlowie zostali pozbawieni dóbr i zamknięci w haniebnym getcie w Warszawie, nie docierały od nich żadne wiadomości. Isaac wspierał hojnymi datkami organizacje, które próbowały pomóc mieszkańcom getta, wiedział więc, że od lipca do września 1942 roku naziści deportowali ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy Żydów. Wiedział również, że tysiące ludzi umierały codziennie z powodu wycieńczenia i chorób. Mur zwieńczony drutem kolczastym, oddzielający getto od reszty miasta, nie był całkowicie szczelny; skoro na jego teren były przemywane żywność i leki, a na zewnątrz wydostawały się przerażające zdjęcia umierających z głodu dzieci, istniały także sposoby komunikacji. Ponieważ żadna z prób podjętych w celu zlokalizowania rodziców Almy nie przyniosła rezultatu, a samolot Samuela się rozbił, należało przypuszczać, że wszyscy troje nie żyją, Isaac Belasco postanowił jednak oszczędzić bólu siostrzenicy żony, dopóki nie będzie miał niepodważalnych dowodów.

Przez jakiś czas można było odnieść wrażenie, że Alma przywykła do wujostwa, kuzynów i domu w Sea Cliff, ale w okresie dojrzewania znów stała się milczącą dziewczynką, jak po przyjeździe do Kalifornii. Wcześniej się rozwinęła, a pierwszy atak hormonów przypadł pod nieobecność Ichimeiego, który zniknął. Miała dziesięć lat, kiedy się rozstali, obiecując sobie, że będą utrzymywali łączność w myślach i za pośrednictwem poczty; jedenaście, kiedy listy zaczęły przychodzić coraz rzadziej, dwanaście, kiedy dotarło do niej, że odległość jest przeszkodą nie do pokonania, i pogodziła się z utratą Ichimeiego. Bez szemrania wypełniała swoje obowiązki w znieawidzonej szkole i zachowywała się zgodnie z oczekiwaniami adopcyjnej rodziny, usiłując pozostać niezauważona, żeby uniknąć czułościowych pytań, które rozpętałyby w niej burzę skrywanego w sercu buntu i bólu. Nathaniel był jedyną osobą, której nie zdołała zwieść swoim nienagannym zachowaniem. Chłopak jakimś szóstym zmysłem wyczuwał, kiedy jego kuzynka siedzi zamknięta w szafie. Przychodził do niej na palcach z drugiego końca domu, błagał ją szeptem – żeby nie obudzić swojego ojca, który miał dobry słuch i lekki sen – by wyszła z kryjówki, przykrywał ją kołdrą w łóżku i siedział przy niej, dopóki nie zasnęła. On także bardzo ostrożnie szedł przez życie, choć w jego sercu szalała burza. Odliczał miesiące do skończenia liceum i rozpoczęcia studiów prawniczych na Harvardzie, bo nawet nie przyszło mu do głowy, żeby sprzeciwić się planom ojca. Matka chciała, żeby uczył się w Szkole Prawniczej w San Francisco, a nie na drugim końcu kontynentu, ale Isaac Belasco utrzymywał, że chłopak powinien

wyjechać daleko, jak on, kiedy był w jego wieku. Jego syn musiał stać się menschem, odpowiedzialnym, porządnym człowiekiem.

Alma poczuła się osobiście dotknięta decyzją Nathaniela o wyjeździe na Harvard i dorzuciła kuzyna do listy tych, którzy ją opuścili: najpierw brat i rodzice, potem Ichimei, a teraz on. Wyciągnęła z tego wniosek, że jej przeznaczeniem jest utrata osób, które najbardziej kocha. Nadal trzymała się kurczowo Nathaniela, jak pierwszego dnia na nabrzeżu w San Francisco.

- Będę do ciebie pisał – zapewnił chłopak.
- To samo powiedział mi Ichimei – odparła ze złością.
- Ichimei jest w obozie dla internowanych, Almo. Ja będę na Harvardzie.
- To jeszcze dalej, w Bostonie, prawda?
- Będę przyjeżdżał, żeby spędzać z tobą każde wakacje, obiecuję ci.

Kiedy przygotowywał się do podróży, Alma chodziła za nim po domu jak cień, wymyślając preteksty, żeby go zatrzymać, a kiedy to nie przyniosło skutku, zaczęła wynajdywać powody, żeby go mniej kochać. W wieku ośmiu lat zadurzyła się w Ichimeim żywiołową dziecięcą miłością, Nathaniela zaś pokochała spokojną miłością wieku dojrzałego. Każdy z nich odgrywał w jej sercu inną rolę, czuła, że są jej jednakowo niezbędni; była pewna, że bez Ichimeiego i bez Nathaniela nie zdołałaby przeżyć. Pierwszego darzyła miłością zachłanną, musiała go bez przerwy widzieć, wymykali się razem do ogrodu w Sea Cliff, schodzącego aż do plaży, pełnego kryjówek doskonale nadających się do poznawania niezawodnego języka czułości. Odkąd Ichimei wyjechał do Topazu, żywiła się wspomnieniami z ogrodu i ze stron swojego dziennika, wypełnionych po brzegi zapisanymi drobnym maczkiem westchnieniami. Już w tym wieku zdradzała pierwsze oznaki wręcz fanatycznej stałości w uczuciach. Natomiast nie przyszłoby jej do głowy, żeby ukrywać się w ogrodzie z Nathanielem. Kochała go zazdrośnie i sądziła, że zna chłopaka jak nikt inny. Spali, trzymając się za ręce, w te noce, kiedy wyciągał ją z szafy; był jej powiernikiem, jej najlepszym przyjacielem. Kiedy pierwszy raz odkryła ciemne plamy na swojej bieliźnie, zaczekała, drżąc z przerażenia, aż Nathaniel wróci ze szkoły, żeby zaciągnąć go do łazienki i pokazać mu niepodważalny dowód na to, że wykrwawia się od dołu. Nathaniel miał z grubsza pojęcie o przyczynie, ale nie o środkach zaradczych, i to on musiał zapytać o nie matkę, bo Alma nie miała odwagi. Chłopak wiedział o wszystkim, co spotykało dziewczynkę. Dała mu zapasowe kluczyki do swoich dzienników, ale nie musiał ich czytać, żeby być na bieżąco.

Alma skończyła szkołę średnią rok przed Ichimeim. Wtedy już całkowicie stracili kontakt, ale nadal czuła jego obecność, bo w nieprzerwanym monologu swojego dziennika zwracała się właśnie do niego, bardziej z przyzwyczajenia i lojalności niż z tęsknoty. Pogodziła się z tym, że już go nie zobaczy, ale z braku innych przyjaciół karmiła swoją miłość godną bohaterki dramatu wspomnieniem potajemnych zabaw w ogrodzie. Podczas gdy on pracował niczym wyrobnik od wschodu do zachodu słońca na polu buraków, ona niechętnie chodziła na bale debutantek, na które zaciągała ją ciocia Lillian. Przyjęcia odbywały się w domu wujostwa, a także na wewnętrznym dziedzińcu hotelu Palace, budynku o półwiecznej historii, z cudownym szklanym dachem, olbrzymimi kryształowymi żyrandolami i tropikalnymi palmami w donicach z portugalskiego fajansu. Lillian postanowiła dobrze wydać Alnę za mąż, przekonana, że pójdzie jej łatwiej niż z wyswataniem własnych, niezbyt atrakcyjnych córek, tymczasem okazało się, że dziewczyna sabotuje jej najsprytniejsze plany. Isaac Belasco niezwykle rzadko wtrącał się w życie kobiet ze swojej rodziny, tym razem jednak nie mógł milczeć.

– Lillian, nie godzi się tak polować na narzeczonego!

– Jaki ty jesteś naiwny, Isaacu! Myślisz, że ożeniłbyś się ze mną, gdyby moja matka nie zarzuciła ci pętli na szyję?

– Alma to smarkula. Wychodzenie za mąż przed dwudziestym piątym rokiem życia powinno być zabronione.

– Dwudziestym piątym! W tym wieku nigdzie nie znajdzie dobrej partii, wszyscy będą zajęci! – zapewniła go Lillian.

Siostrzenica chciała studiować gdzieś daleko i Lillian w końcu ustąpiła; uznała, że rok czy dwa studiów nikomu nie zaszkodzi. Uzgodnili, że Alma pojedzie do żeńskiej szkoły w Bostonie, w ten sposób Nathaniel będzie mógł chronić ją przed niebezpieczeństwami i pokusami tego miasta. Lillian przestała jej prezentować potencjalnych kandydatów na męża i zaczęła przygotowywać wyprawkę złożoną z okrągłych jak talerz spódnic i bliźniaków z angory w pastelowych kolorach, które były co prawda w modzie, ale nie leżały dobrze na kościstej nastolatce o twardych rysach twarzy takiej jak Alma.

Dziewczyna uparła się, żeby jechać sama, mimo obaw ciotki, która wolałaby ją wysłać z jakąś szacowną osobą i wciąż szukała kogoś, kto wybierałby się w tamtą stronę. Poleciała samolotem linii Braniff International Airways do Nowego Jorku, gdzie miała złapać pociąg do Bostonu. Kiedy wysiadła z samolotu, zobaczyła czekającego na lotnisku Nathaniela. Rodzice zawiadomili go telegramem o podróży Almy, postanowił więc odebrać ją z Nowego Jorku, żeby towarzyszyć jej w drodze do Bostonu. Kuzyni uściskali się, dając upust uczuciu, które wzbierało w nich przez siedem miesięcy, od ostatniej wizyty Nathaniela w San Francisco. Przekazywali sobie bezładnie najświeższe wiadomości o rodzinie, podczas gdy czarnoskóry tragarz w uniformie ładował bagaże Almy na wózek, żeby zawieźć je w ślad za nimi do taksówki. Nathaniel policzył walizki i pudła na kapelusze, po czym zapytał kuzynkę, czy przywiozła ubrania na sprzedaż.

– Nie masz prawa mnie krytykować, ty zawsze byłeś dandysem – odpowiedziała.

– Jakie masz plany?

– Takie, jak napisałam ci w liście, kuzynie. Wiesz, że uwielbiam twoich rodziców, ale dusiłam się w ich domu. Muszę się uniezależnić.

– Rozumiem. Za pieniądze mojego taty?

Almie umknął ten szczegół. Pierwszym krokiem do niezależności było dla niej zdobycie dyplomu ukończenia jakichkolwiek studiów. Nie ustaliła jeszcze, jakie jest jej powołanie.

– Twoja mama szuka mi męża. Nie mam odwagi jej powiedzieć, że wyjdę za Ichimeiego.

– Ocknij się wreszcie, Almo, Ichimei zniknął z twojego życia dziesięć lat temu.

– Osiem. Nie dziesięć.

– Wybij go sobie z głowy. Nawet gdyby, co mało prawdopodobne, się pojawił i był tobą zainteresowany, dobrze wiesz, że nie mogłabyś za niego wyjść.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Bo reprezentuje inną rasę, inną klasę społeczną, inną kulturę, inną religię, inny status materialny. Mam dalej wymieniać powody?

– W takim razie zostanę starą panną. A ty, Nat, masz jakąś sympatię?

– Nie, ale jeśli będę miał, dowiesz się pierwsza.

– To nawet dobrze. Moglibyśmy udawać, że jesteśmy parą.

– Po co?

– Żeby zniechęcić każdego głupka, który się do mnie zbliży.

Wygląd kuzynki bardzo się zmienił w ciągu ostatnich miesięcy – nie była już licealistką w podkolanówkach, za sprawą nowych strojów można ją było zaliczyć do kategorii eleganckich kobiet, ale na Nathanielu, jej powierniku, nie zrobiły wrażenia papieros, granatowy kostium, kapelusz ani wiśniowe rękawiczki i buty. Alma wciąż była rozpieszczoną dziewczynką. Wczepiła się w niego wystraszona tłumami i hałasem Nowego Jorku i nie puściła jego ręki, dopóki nie znalazła się w hotelowym pokoju. „Zostań ze mną na noc, Nat”, poprosiła z taką samą przerażoną miną, jaka pojawiała się na jej twarzy w dzieciństwie w szafie na szloch, ale on utracił już niewinność i teraz spanie z kuzynką nabrałoby innego znaczenia. Następnego dnia przetransportowali niewygodne bagaże na dworzec i wsiedli w pociąg do Bostonu.

Alma wyobrażała sobie, że uczelnia w Bostonie będzie bardziej liberalnym przedłużeniem liceum, gdzie nauka szła jej jak po maśle. Chciała jak najszybciej pokazać się w nowych strojach, włączyć się razem z Nathanielem w życie bohemy, bywać w tutejszych kawiarniach i barach, a w wolnym czasie chodzić na niektóre zajęcia, żeby nie zawieść wujostwa. Wkrótce odkryła, że nikt nie zwraca na nią uwagi, bo są setki dziewczyn dużo bardziej wyrafinowanych niż ona, że jej kuzyn zawsze znajduje wymówki, by wystawić ją do wiatru, i że nie jest wystarczająco przygotowana, by zmierzyć się ze studiami. Jako współlokatorka trafiła jej się pulchna dziewczyna z Wirginii, która przy pierwszej okazji przedstawiła biblijne dowody na wyższość białej rasy. Jej zdaniem czarni, żółci i czerwonoskórzy pochodzą od małp, Adam i Ewa byli biali, a Jezus mógł być Amerykaninem, ale nie miała co do tego pewności. Nie pochwaliała postępowania Hitlera, musiała jednak przyznać, że w kwestii Żydów nie brakowało mu racji; są rasą przeklętą, bo zabili Jezusa. Alma poprosiła o przeniesienie do innego pokoju. Procedura trwała dwa tygodnie, nowa współlokatorka skupiała w sobie wszelkie manie i fobie, ale przynajmniej nie była antysemitką.

Przez pierwsze trzy miesiące dziewczyna czuła się całkowicie zagubiona, nie potrafiła się zorganizować, przerastały ją nawet najprostsze sprawy, takie jak posiłki, pranie, przejazdy czy plan zajęć; wcześniej zajmowały się tym najpierw guwernantki, a potem oddana ciocia Lillian. Nigdy nie pościeliła swojego łóżka ani nie uprasowała sobie bluzki, od tego były pomoce domowe. Nie musiała też pilnować wydatków, bo w domu wujostwa nie mówiło się o pieniądzach. Zdziwiła się, kiedy Nathaniel wyjaśnił, że jej kieszonkowe nie uwzględnia chodzenia do restauracji, herbaciarni, na manikiur, do fryzjera czy masażysty. Raz w tygodniu kuzyn zjawiał się u niej z notesem i ołówkiem i uczył ją podliczać wydatki. Obiecywał mu, że się poprawi, ale tydzień później znowu była na minusie. Czuła się obco w tym wielkopańskim, wyniosłym mieście; koleżanki wykluczały ją ze swojego kręgu, a chłopcy lekceważyli, ale nie pisała o tym w listach do wujostwa, a za każdym razem, kiedy Nathaniel radził jej, żeby wróciła do domu, powtarzała mu, że wszystko jest lepsze od poniżenia, jakim byłby powrót z podkulonym ogonem. Zamykała się w łazience, jak kiedyś w szafie, i odkręcała wodę, żeby zagłuszyć obelgi, którymi obrzucała swoją złą gwiazdę.

W listopadzie zima zwała się na Boston całym swoim ciężarem. Chociaż Alma spędziła siedem pierwszych lat życia w Warszawie, nie pamiętała tamtejszego klimatu; nie była przygotowana na to, co zgotowały jej kolejne miesiące. Smagane gradem, zawieją i śniegiem miasto straciło kolory, zniknęło światło, wszystko stało się szare i białe. Życie toczyło się za zamkniętymi drzwiami, jak najbliżej

kaloryferów, a i tak wszyscy drżeli z zimna. Niezależnie od tego, ile ubrań włożyłaby na siebie Alma, mróz siekał jej skórę i przenikał kości, gdy tylko wychyliła nos na dwór. Spuchły jej przemarznięte dłonie i stopy, kaszel i katar trwały w nieskończoność. Musiała zbierać całą swoją silną wolę, żeby rano wyjść z łóżka, opatulić się jak Eskimos i stawić czoło pogodzie, by przejść z jednego budynku uczelni do drugiego, szurając nogami po lodzie, przyklejona do ściany, żeby nie przewrócił jej wiatr. Ulice były nieprzejezdne, rano samochody pokrywały góry śniegu, z którymi właściciele walczyli szuflami i łopatami. Ludzie chodzili skuleni, zakutani w wełnę i futra, zniknęły dzieci, zwierzęta domowe i ptaki.

I właśnie wtedy, gdy Alma pogodziła się wreszcie ze swoją porażką i wyznała Nathanielowi, że jest gotowa zadzwonić do wujostwa i błagać, żeby wyciągnęli ją z tej lodówki, poznała Verę Neumann, artystkę plastyczkę i kobietę interesu, która udostępniała swoją sztukę zwykłym ludziom na chustach, pościeli, obrusach, zastawach stołowych, ubraniach, jednym słowem, na każdej rzeczy, na której można było coś namalować albo nadrukować. Vera zarejestrowała swoją markę w 1942 roku i w ciągu kilku lat stworzyła dla niej rynek zbytu. Alma przypominała sobie jak przez mgłę, że ciocia Lillian rywalizowała ze swoimi przyjaciółkami, która pierwsza pokaże się w nadchodzącym sezonie w apasce czy sukience z nowymi wzorami Very, ale nie wiedziała niczego o artystce. Żeby uciec przed zimnem, któregoś dnia między zajęciami pod wpływem nagłego impulsu postanowiła wysłuchać wygłaszanej przez nią pogadanki. Znalazła się w głębi wypełnionej po brzegi sali o ścianach oklejonych malowanymi tkaninami. Wszystkie kolory, które uciekły z Bostonu przed zimą, były uwięzione w tych murach, odważne, kapryśne, fantastyczne.

Publiczność przyjęła prelegentkę owacją na stojąco, a Alma po raz kolejny uświadomiła sobie swoją ignorancję. Nie przypuszczała, że projektantka apaszek jej ciotki jest taką sławą. Vera Neumann nie rzucała się w oczy, miała metr pięćdziesiąt wzrostu i była niepozorną osobką ukrytą za ogromnymi okularami w czarnej oprawce, które zakrywały jej pół twarzy, jednak gdy tylko otworzyła usta, nikt już nie miał wątpliwości, że to olbrzymka. Alma ledwo mogła ją dojrzeć na podium, ale słyszała każde jej słowo. Siedziała z żołądkiem ściśniętym jak pięść i jasnym przeczuciem, że to jest decydujący moment w jej życiu. W ciągu godziny i piętnastu minut ta ekscentryczna, inteligentna, malutka kobietka, zagorzała feministka, wstrząsnęła publicznością relacjami ze swoich niezmordowanych podróży, źródła inspiracji dla jej kolekcji: po Indiach, Chinach, Gwatemali, Islandii, Włoszech i reszcie planety. Opowiadała o swojej filozofii, o technikach, jakie stosuje, o komercjalizacji i dystrybucji swoich produktów, o przeszkodach, jakie musiała pokonać po drodze.

Tej nocy Alma zadzwoniła do Nathaniela, żeby pośród entuzjastycznych okrzyków poinformować go o swoich planach na przyszłość: pójdzie w ślady Very Neumann.

– Czyje?!

– Osoby, która zaprojektowała pościel i obrusy twoich rodziców, Nat. Nie zamierzam tracić czasu na zajęciach, które do niczego mi się nie przydadzą. Postanowiłam studiować rysunek i malarstwo na uniwersytecie. Będę chodziła do Very na warsztaty, a potem jak ona przemierzę cały świat.

Kilka miesięcy później Nathaniel skończył studia prawnicze i wrócił do San Francisco, jednak Alma nie chciała mu towarzyszyć mimo nacisków ze strony ciotki Lillian, żeby przyjechała do Kalifornii. Przetrzymała cztery bostońskie zimy, nie wspominając więcej o klimacie, szkicując i malując bez wytchnienia. Brakowało jej lekkiej ręki Ichimeiego do rysowania i zuchwałości Very Neumann w doborze kolorów, więc postanowiła zastąpić te niedostatki talentu dobrym smakiem. Już wtedy jasno widziała, jaką obierze drogę. Jej projekty miały być dużo bardziej eleganckie niż te Very, bo nie zamierzała trafiać w powszechny gust i odnosić handlowego sukcesu, chciała tworzyć dla przyjemności.

Pomysł, że miałyby zarabiać pracą na życie, nigdy nie przyszedł jej do głowy. Żadnych apaszek po dziesięć dolarów czy hurtowo produkowanej pościeli i serwetek; zamierzała malować albo robić nadruki tylko na niektórych sztukach odzieży, wyłącznie z jedwabiu najwyższej jakości, a na każdej miał figurować jej podpis. To, co wyjdzie z jej rąk, będzie tak ekskluzywne i drogie, że przyjaciółki cioci Lillian będą się zabijały, żeby to zdobyć.

W ciągu tych lat przezwyciężyła strach, jaki budziło w niej to imponujące miasto, nauczyła się po nim poruszać, pić drinki, nie tracąc przy tym zupełnie głowy, i nawiązywać przyjaźnie. W końcu czuła się do tego stopnia bostonką, że kiedy jeździła na wakacje do Kalifornii, miała wrażenie, że jest w jakimś zacofanym państwie z innego kontynentu. Zdobyła także kilku adoratorów na tanecznych parkietach, gdzie przydały jej się frenetyczne ćwiczenia z Ichimeim z czasów dzieciństwa, i bez ceregieli odbyła pierwszy stosunek płciowy w krzakach podczas pikniku. Tym samym zaspokoila ciekawość i pozbyła się kompleksu bycia dziewicą po dwudziestce. Później miała jeszcze dwa czy trzy podobne spotkania z różnymi chłopakami, niewartymi zapamiętania, które utwierdziły ją w postanowieniu, żeby poczekać na Ichimeiego.



# Zmartwychwstanie

Kilka tygodni przed rozdaniem dyplomów Alma zadzwoniła do Nathaniela do San Francisco, żeby ustalić szczegóły związane z podróżą Belasców do Bostonu. Była pierwszą kobietą w rodzinie, która miała otrzymać tytuł uniwersytecki, fakt, że skończyła rysunek i historię sztuki – niezbyt popularne dyscypliny – nie umniejszał jej zasług. Nawet Martha i Sarah postanowiły wziąć udział w uroczystości, między innymi dlatego, że zamierzały potem zatrzymać się w Nowym Jorku na zakupy, za to wuj Isaac miał być nieobecny; kardiolog zabronił mu latać samolotem. Wujek był gotów zlekceważyć zalecenie, bo Alma była bardziej bliska jego sercu niż własne córki, ale Lillian mu na to nie pozwoliła. W rozmowie z kuzynem dziewczyna wspomniała mimochodem, że wydaje jej się, iż od kilku dni ktoś za nią chodzi. Nie przywiązywała do tego większej wagi, uznała, że to pewnie wyobraźnia podsuwa jej te obawy, jako że denerwowała się przed końcowymi egzaminami, ale Nathaniel chciał koniecznie znać szczegóły. Kilka anonimowych telefonów, ktoś – męski głos z obcym akcentem – pytał, czy to ona, po czym się rozłączał; nieprzyjemne wrażenie, że ktoś ją obserwuje i śledzi; nieznajomy mężczyzna wypytywał o nią koleżanki, a z opisu, jaki podały jej przyjaciółki, wynikało, że to ten sam człowiek, którego parokrotnie widziała kilka dni wcześniej w sali wykładowej, na korytarzu, na ulicy. Nathaniel, podejrzliwy jak przystało na adwokata, poradził jej, żeby w ramach przewidzianych prawem środków ostrożności złożyła pisemne zgłoszenie na policji kampusu; gdyby coś się wydarzyło, będzie istniał dowód, że miała takie podejrzenia. Zakazał jej też chodzenia samej nocą. Alma go nie posłuchała.

Był to okres ekstrawaganckich imprez, którymi studenci żegnali się z uniwersytetem. Pośród muzyki, alkoholu i tańców Alma zapomniała o złowieszczym cieniu, który sobie wyobraziła, aż do piątku przed uroczystością rozdania dyplomów. Większą część nocy spędziła na szalonej imprezie, wypijała za dużo alkoholu i utrzymywała się w pionie tylko dzięki kokainie – do obu tych używek miała słabą głowę. O trzeciej nad ranem hałaśliwa grupka młodych ludzi odwiozła ją kabrioletem i zostawiła przed drzwiami akademika. Zataczając się, rozczochrana, z butami w dłoni, Alma zaczęła szukać klucza w torebce, ale zanim zdołała go znaleźć, padła na kolana i zwymiotowała. Wkrótce nie miała już czego zwracać, ale suche torsje trwały jeszcze przez kilka długich minut. Po jej twarzy spływały łzy. W końcu spróbowała wstać, mokra od potu i ze skurczami żołądka, drżąc i pojękując z bólu. Nagle w ręce wbiła jej się para szponów, poczuła, że podnoszą ją z chodnika i stawiają na nogi. „Almo Mendel, powinnaś się wstydzić!” Nie rozpoznała głosu z telefonu. Zgięła się wpół, ponownie pokonana przez mdłości, ale szpony chwyciły ją mocniej. „Puść mnie, puść mnie!”, wybełkotała, wierzgając nogami. Uderzenie w policzek przywróciło jej na chwilę odrobinę trzeźwości, ujrzała męską sylwetkę, ciemną twarz poprzecinaną kreskami jak blizny, ogoloną czaszkę. Nie wiedzieć czemu poczuła ogromną ulgę, zamknęła oczy i poddała się zgubnym skutkom pijaństwa oraz złowieszczemu żelaznemu uściskowi nieznajomego, który przed chwilą ją uderzył.

W sobotę Alma obudziła się o siódmej rano na tylnym siedzeniu samochodu owinięta grubym kocem, który drapał jej skórę. Cuchnęła wymiocinami, moczem, papierosami i alkoholem. Nie wiedziała, gdzie jest, nie pamiętała też nic z tego, co wydarzyło się poprzedniej nocy. Usiadła, a kiedy chciała poprawić

ubranie, zorientowała się, że straciła sukienkę i halkę, miała na sobie tylko stanik, majtki, pas i pończochy – podarte – i była boso. W jej głowie dzwoniły bezlitosne dzwony, drżała z zimna, czuła suchość w ustach i strach. Położyła się, skulona, jęcząc i wzywając Nathaniela.

Chwilę później poczuła, że ktoś nią potrząsa. Z trudem podniosła powieki i próbowała skupić na czymś wzrok. Zobaczyła sylwetkę mężczyzny, który otworzył drzwi i pochyłał się nad nią.

– Kawa i aspiryna. To ci trochę pomoże – powiedział i podał jej papierowy kubek oraz dwie tabletki.

– Niech pan mnie zostawi, muszę iść – wyjąkała, z trudem poruszając szorstkim językiem i próbując wstać.

– Nie możesz nigdzie iść w takim stanie. Za kilka godzin przyjedzie twoja rodzina. Jutro jest uroczystość wręczenia dyplomów. Wypij kawę. A gdybyś chciała wiedzieć, jestem twoim bratem Samuelem.

Tak zmartwychwstał Samuel Mendel, jedenaście lat po tym, jak zginął na północy Francji.

Po wojnie Isaac Belasco uzyskał niezbite dowody na to, jak potoczyły się losy rodziców Almy w nazistowskim obozie zagłady w pobliżu Treblinki na wschodzie Polski. Niewiele wiadano o tym, co wydarzyło się w tym piekle, ale Agencja Żydowska szacowała, że od lipca 1942 do października 1943 roku zginęło tam osiemset czterdzieści tysięcy ludzi, z czego osiemset tysięcy stanowili Żydzi. Jeśli zaś chodzi o Samuela Mendla, Isaac dowiedział się, że jego samolot został strącony na obszarze Francji okupowanym przez Niemców. Według brytyjskich rejestrów wojskowych nikt nie ocalał. Alma od wielu lat nie miała wiadomości od swojej rodziny, uznała ją za martwą na długo przed tym, zanim potwierdził to wujek Isaac. Kiedy się o wszystkim dowiedziała, wbrew temu, czego można było oczekiwać, nie płakała po nich, bo przez minione lata tak kontrolowała swoje uczucia, że straciła umiejętność ich wyrażania. Isaac i Lillian uznali, że należy jakoś symbolicznie zamknąć tę tragiczną przeszłość, dlatego zabrali Almę do Europy. Na cmentarzu we francuskiej wsi, gdzie spadł samolot Samuela, umieścili tablicę pamiątkową z jego imieniem, nazwiskiem, datą urodzenia i śmierci. Nie uzyskali pozwolenia na wjazd do kontrolowanej przez Sowieców Polski; pielgrzymkę w to miejsce Alma odbędzie dużo później. Chociaż od zakończenia wojny minęły już cztery lata, Europa wciąż była w gruzach, rzesze ludzi przemieszczały się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu ojczyzny. Alma była jedyną ocalałą z całej rodziny. Doszła do wniosku, że nie starczy jej życia, by zapłacić za ten przywilej.

Wstrząśnięta deklaracją nieznanego, który twierdził, że jest Samuelem Mendlem, Alma usiadła, połknęła aspirynę i trzema łykami wypła kawę. Ten mężczyzna nie przypominał chłopaka o rumianych policzkach i figlarnych oczach, którego pożegnała na nabrzeżu w Gdyni. Jej prawdziwym bratem było tamto mgliste wspomnienie, a nie człowiek, którego miała przed sobą, wychudzony, oschły, o twardym spojrzeniu, okrutnych ustach, skórze spalonej słońcem i twarzy naznaczonej głębokimi brzdami oraz kilkoma bliznami.

– Skąd mam wiedzieć, że jesteś moim bratem?

– Znikąd. Ale nie traciłbym na ciebie czasu, gdybym nim nie był.

– Gdzie są moje ubrania?

– W pralni. Będą gotowe za godzinę. Mamy czas, żeby porozmawiać.

Samuel opowiedział jej, że ostatnią rzeczą, którą zobaczył, kiedy zestrzelono jego samolot, był świat widziany z góry, który nie przestawał wirować. Miał jedynie pewność, że nie zdołał wyskoczyć na spadochronie, bo wtedy trafiłby w ręce Niemców. Nie potrafił jasno wytłumaczyć, jak ocalał, kiedy jego maszyna rozbiła się i zaczęła płonąć. Przypuszczał, że kiedy spadała, wyrzuciło go z fotela, wylądował na koronie drzewa i zawisł na gałęzi. Niemiecki patrol znalazł ciało drugiego pilota i więcej nie szukał. Uratowało go dwóch działaczy francuskiego ruchu oporu; miał połamane kości i cierpiał na amnezję. Kiedy zobaczyli, że jest obrzezany, przekazali go żydowskim partyzantom. Ukrywali go miesiącami w jaskiniach, stajniach, piwnicach, opuszczonych fabrykach i domach dobrych ludzi gotowych mu pomóc, często zmieniał miejsce pobytu, aż zrosły mu się połamane kości, przestał być ciężarem i mógł przyłączyć się do grupy, żeby walczyć. Mgła, która przesłaniała mu umysł, rozwiewała się dużo dłużej, niż goiły kości. Dzięki mundurowi, który miał na sobie, kiedy go znalezione, wiedział, że przybył z Anglii. Rozumiał angielski i francuski, ale odpowiadał po polsku; minęły miesiące, zanim znów mógł się posługiwać innymi językami, którymi władał wcześniej. Ponieważ towarzysze nie znali jego imienia, przewali go Pocięta Twarz, z powodu blizn, ale on postanowił przybrać nazwisko Jeana Valjeana, bohatera powieści Wiktora Hugo, którą przeczytał podczas rekonwalescencji. Uczestniczył ze swoimi towarzyszami w potyczkach, które zdawały się do niczego nie prowadzić. Siły niemieckie były tak skuteczne, ich poczucie dumy tak olbrzymie, a pragnienie władzy i krwi tak niezaspokojone, że akcje sabotażowe grupy Samuela nie były w stanie nawet zadrapać pancerza potwora. Partyzanci żyli w ciemnościach, przemieszczali się jak zdesperowane szczury, świadomość porażki i beznadziei nie opuszczała ich ani na moment, ale alternatywa nie istniała. Witali się jednym tylko słowem: zwycięstwo. Żegnali się w ten sam sposób: zwycięstwo. Zakończenie było do przewidzenia – Samuel został schwytany i zesłany do Auschwitz.

Pod koniec wojny ocalały z obozu koncentracyjnego Jean Valjean zdołał potajemnie wsiąść na statek płynący do Palestyny, dokąd, mimo oporu Wielkiej Brytanii, która sprawowała kontrolę w regionie i chciała uniknąć konfliktu z Arabami, przybywały fale żydowskich uchodźców. Wojna zrobiła z niego samotnego wilka, który nigdy nie traci czujności. Zadowalał się romansami z przypadkowymi kobietami, aż w końcu jedna z nich, towarzyszka z Mosadu, izraelskiej agencji szpiegowskiej, do której wstąpił, rzetelna, odważna agentka, oznajmiła mu, że zostanie ojcem. Nazywała się Anat Rakoczy, wyemigrowała z Węgier z ojcem, tylko oni ocaleli z licznej rodziny. Stosunki łączące Samuela i Anat były serdeczne, ale pozbawione miłości i bez planów na przyszłość, odpowiadały im obojgu i nie zmieniłoby niczego, gdyby nie niespodziewana ciąża. Anat sądziła, że jest bezpłodna z powodu głodu, bicia, gwałtów i eksperymentów medycznych, którym była poddawana. Kiedy okazało się, że to, co wydyma jej brzuch, nie jest guzem, lecz dzieckiem, uznała to za boski żart. Powiedziała kochankowi o ciąży, dopiero gdy była w szóstym miesiącu. „No proszę! A już myślałem, że w końcu trochę przytyłaś”, odparł, ale nie potrafił ukryć radości. „Najpierw trzeba sprawdzić, kim jesteś, żeby to dziecko wiedziało, jakie są jego korzenie. Nazwisko Valjean brzmi melodramatycznie”, stwierdziła Anat. Samuel przekładał z roku na rok decyzję o poznaniu swojej tożsamości, ale Anat natychmiast zabrała się do dzieła z taką samą wytrwałością, z jaką wyszukiwała dla Mosadu kryjówki nazistowskich zbrodniarzy, którzy uciekli przed procesem norymberskim. Zaczęła od Auschwitz, ostatniego miejsca pobytu Samuela przed zawieszeniem broni, i krok po kroku odkrywała jego przeszłość. Pojechała ze swoim dużym brzuchem do Francji, żeby porozmawiać z jednym z niewielu działaczy żydowskiego ruchu oporu, jacy pozostali jeszcze w tym kraju. Pomógł jej odnaleźć bojowników, którzy uratowali pilota angielskiego samolotu; nie było łatwo, bo po wojnie okazało się nagle, że wszyscy Francuzi są bohaterami ruchu oporu. W końcu Anat wylądowała w Londynie i przejrzała archiwa Royal Air Force, w których znalazła kilka zdjęć młodych mężczyzn przypominających z wyglądu jej kochanka. Nie było innego tropu, którego mogłaby się ucześcić.

Zadzwoiła do Samuela i przeczytała mu pięć nazwisk. „Któreś brzmi znajomo?”, zapytała. „Mendel! Jestem pewien. Mam na nazwisko Mendel”, odpowiedział mężczyzna, z trudem powstrzymując szloch, który dławił mu gardło.

– Mój syn skończył cztery lata, ma na imię Baruch, jak nasz ojciec. Baruch Mendel – powiedział Almie Samuel, siedzący obok niej na tylnym fotelu samochodu.

– Ożeniłeś się z Anat?

– Nie. Usiłujemy razem mieszkać, ale nie jest łatwo.

– Wiesz o mnie od czterech lat i do tej pory nie pomyślałeś, żeby mnie odwiedzić? – zapytała Alma z wyrzutem.

– Po co miałem cię szukać? Brat, którego znałaś, zginął w katastrofie lotniczej. Nic nie zostało z chłopaka, który zaciągnął się w Anglii do sił powietrznych. Znam tę historię, bo Anat uparcie mi ją powtarza, ale nie czuję, żeby była moja, to pusta opowieść, pozbawiona znaczenia. Prawdę mówiąc, nie pamiętam cię, ale musisz być moją siostrą, bo Anat nigdy nie myli się w takich sprawach.

– Ja za to pamiętam, że miałam brata, który się ze mną bawił i grał na pianinie, ale nie jesteś do niego podobny.

– Nie widzieliśmy się przez wiele lat i już ci powiedziałem, że nie jestem tym samym człowiekiem.

– Dlaczego postanowiłeś teraz przyjechać?

– Nie przyleciałem do ciebie, przysłano mnie z misją, ale nie mogę o tym mówić. Wykorzystałem podróż, żeby przyjechać do Bostonu, bo Anat uważa, że Baruch potrzebuje cioci. Jej ojciec zmarł kilka miesięcy temu. Nie został nikt ani z jej rodziny, ani z mojej, poza tobą. Nie zamierzam niczego ci narzucać, Almo, chcę jedynie, żebyś wiedziała, że żyję i że masz bratanka. Anat kazała ci to przekazać – powiedział.

Podał jej kolorowe zdjęcie chłopca z rodzicami. Anat Rakoczy trzymała syna na kolanach; była szczupłą, bladą kobietą w okrągłych okularach. Obok z rękami założonymi na piersi siedział Samuel. Dziecko miało wyraziste rysy twarzy i kędzierzawe, ciemne włosy swojego ojca. Na odwrocie zdjęcia Samuel zapisał adres w Tel Awiwie.

– Przyleć nas odwiedzić, żeby poznać Barucha – powiedział na pożegnanie, po tym jak odebrał z pralni jej sukienkę i odwiózł siostrę do akademika.

# Miecz Fukudów

Agonia ciągnęła się tygodniami. Takao Fukuda jakoś nie mógł umrzeć, mimo że miał przeżarte rakiem płuca, rzeził i z trudem łapał powietrze jak ryba wyjęta z wody. Ledwo wydobywał z siebie głos, a próby pisemnej komunikacji kończyły się fiaskiem, bo tak osłabł, że jego spuchnięte drżące dłonie nie były w stanie kreślić delikatnych japońskich znaków. Nie chciał jeść, wystarczała chwila nieuwagi kogoś z rodziny czy pielęgniarki, a wyrywał sobie sondę, przez którą go żywiono. Wkrótce popadł w odrętwienie, ale Ichimei, który na zmianę z matką i siostrą czuwał przy nim w szpitalu, wiedział, że jest świadomy i że cierpi. Poprawiał mu poduszki, by utrzymać go w półsiedzącej pozycji, ocierał pot, smarował połuszczoną skórę balsamem, kładł kawałeczki lodu na język, opowiadał o roślinach i ogrodach. Podczas jednego z takich momentów bliskości zauważył, że usta ojca bez przerwy się poruszają, jakby próbowały wymówić słowa, które brzmiały jak nazwa papierosów, jednak myśl, że w tych okolicznościach Takao ma jeszcze ochotę palić, wydała się Ichimeiemu tak niedorzeczna, że natychmiast ją odrzucił. Przez całe popołudnie próbował odszyfrować, co usiłuje przekazać mu ojciec. „Kemi Morita? To mówisz, tato? Chcesz ją zobaczyć?”, zapytał wreszcie. Takao przytaknął ostatkiem sił. Chodziło mu o duchową przywódczynię oomoto, kobietę potrafiącą ponoć porozumiewać się z duchami, którą Ichimei znał, bo często jeździł na spotkania nielicznych wspólnot swojej religii.

– Tata chce, żebyśmy sprowadzili Kemi Moritę – powiedział Ichimei siostrze.

– Mieszka w Los Angeles.

– Ile oszczędności nam zostało? Moglibyśmy kupić jej bilet.

Kiedy przyjechała Kemi Morita, Takao już się nie ruszał ani nie otwierał oczu. Jediną oznaką, że żyje, był szum respiratora; Takao trwał zawieszony w próżni. Megumi udało się pożyczyć samochód od koleżanki z fabryki i pojechała po kapłankę na lotnisko. Kobieta wyglądała jak dziesięcioletnie dziecko w białej piżamie. Jej siwe włosy, pochylone do przodu ramiona i sposób, w jaki powłóczyła nogami, kontrastowały z gładką twarzą bez zmarszczek, pogodną maską w kolorze brązu.

Kemi Morita podeszła małymi kroczkami do łóżka i wzięła Takao za rękę; uniosł powieki, ale dopiero po chwili rozpoznał swoją mistrzynię duchową. Niemal niedostrzegalny grymas ożywił jego wyniszczoną twarz. Ichimei, Megumi i Heideko wycofali się w głąb sali, kiedy Kemi szeptała archaiczną japońszczyzną jakąś długą modlitwę czy wiersz. Później przyłożyła ucho do ust konającego. Po upływie kilku długich minut Kemi pocałowała Takao w czoło i odwróciła się do jego rodziny.

– Są tu matka, ojciec i dziadkowie Takao. Przybyli z bardzo daleka, by przeprowadzić go na drugą stronę – powiedziała po japońsku, wskazując na nogi łóżka. – Takao jest gotowy na odejście, ale najpierw musi przekazać wiadomość Ichimeiemu. Oto ona: „Katana Fukudów leży zakopana w ogrodzie nad morzem. Nie może tam zostać. Musisz ją odzyskać i umieścić w należnym jej miejscu, na ołtarzu przodków naszej rodziny”.

Ichimei wysłuchał tego zgięty w głębokim skłonie, przykładając złożone dłonie do czoła. Nie pamiętał dokładnie nocy, kiedy zakopali miecz Fukudów, lata zamazały tamtą scenę, ale Heideko i Megumi

wiedziały, o jaki ogród nad morzem chodzi.

– Takao prosi także o ostatniego papierosa – dodała Kemi Morita przed wyjściem.

Po powrocie z Bostonu Alma odkryła, że podczas jej kilkuletniej nieobecności rodzina Belasców zmieniła się bardziej, niż można było wywnioskować z listów. Przez pierwsze dni czuła się niepotrzebna, jakby bawiła u nich przejazdem, zastanawiała się, jakie jest jej miejsce w tej rodzinie i co ma, do diabła, zrobić ze swoim życiem. San Francisco wydawało jej się prowincjonalne; żeby wyrobić sobie nazwisko jako malarka, powinna wyjechać do Nowego Jorku, gdzie żyłaby w otoczeniu znanych artystów, bliżej europejskich wpływów.

Belascowie mieli już troje wnucząt, trzymiesięcznego synka Marthy i bliźniaczki Sarah, które wskutek jakiegoś genetycznego figla wyglądały jak Skandynawki. Nathaniel wziął na siebie prowadzenie firmy ojca, mieszkał sam w penthousie z widokiem na zatokę, a wolny czas spędzał, pływając żaglówką. Był małomówny i miał niewielu przyjaciół. W wieku dwudziestu siedmiu lat nadal opierał się agresywnej kampanii matki, która chciała mu znaleźć odpowiednią żonę. Kandydatek nie brakowało, bo Nathaniel pochodził z dobrej rodziny, był bogaty, przystojny, stał się menschem, jak chciał jego ojciec, i wszystkie panny na wydaniu z żydowskiej kolonii miały go na oku. Ciocia Lillian niewiele się zmieniła, wciąż była tą samą dobrotliwą i aktywną kobietą co wcześniej, ale pogłębiły się jej problemy ze słuchem, krzyczała zamiast mówić i miała pełno siwych włosów, których nie farbowała, bo nie chciała wyglądać młodziej, wręcz przeciwnie. Jej mężowi jakby przybyło nagle dwadzieścia lat, wydawało się, że dzieląca ich niewielka różnica wieku uległa potrojeniu. Isaac przeszedł zawał serca i chociaż wrócił do zdrowia, był osłabiony. Żeby utrzymać wewnętrzną dyscyplinę, codziennie chodził na dwie godziny do biura, ale przekazał wszystkie sprawy Nathanielowi; całkowicie porzucił życie towarzyskie, które nigdy go nie pociągało, dużo czytał, podziwiał widok na morze i zatokę roztaczający się spod pergoli w ogrodzie, hodował sadzonki w szklarni, studiował prawnicze i botaniczne pisma. Zmiękł mu charakter, najdrobniejsze wzruszenie sprawiało, że wilgotniały mu oczy. Lillian nie opuszczał strach, był jak kolec wbity w żołądek. „Przysięgnij mi, że nie umrzesz przede mną, Isaacu”, żądała w chwilach, kiedy brakowało mu tchu i włókł się do łóżka, żeby paść na nie zeszywniały i biały jak prześcieradło. Lillian nie znała się na gotowaniu, zawsze miała do pomocy kucharza, ale odkąd mąż zaczął podupadać na zdrowiu, sama przygotowywała mu niezawodne zupy według przepisów odziedziczonych po matce, zapisanych ręcznie w zeszycie. Zmusiła go do odwiedzenia kilkunastu lekarzy, towarzyszyła mu podczas konsultacji, żeby nie mógł ukrywać przed nią swoich dolegliwości, podawała lekarstwa. Uciekała się też do środków ezoterycznych. Wzywała Boga, nie tylko o świcie i po zmroku, jak należało, ale o każdej porze: *Szema Israel, Adonai Elohenu, Adonai Ehad*. Dla lepszej ochrony Isaac spał z tureckim szklanym okiem proroka i ręką Fatimy z malowanego mosiądzu zawieszonymi na oparciu łóżka; na jego komodzie zawsze paliła się świeczka, obok dwóch Biblii, hebrajskiej i chrześcijańskiej, stały buteleczki ze święconą wodą, którą jedna ze służących przywiozła z kaplicy Świętego Judy.

– Co to jest? – zapytał Isaac, gdy na jego szafce nocnej pojawił się szkielet w kapeluszu.

– Baron Samedi. Przesłali mi go z Nowego Orleanu. To bóstwo śmierci, ale także zdrowia – poinformowała Lillian.

W pierwszym odruchu Isaac chciał wyrzucić za jednym zamachem wszystkie te fetysze, które wdarły się do jego pokoju, ale zwyciężyła miłość do żony. Postanowił przymknąć na nie oko, skoro miało to pomóc Lillian, która nieubłaganie zsuwała się w otchłań paniki. Nie mógł zaoferować jej innej pociechy. Sam obserwował z przerażeniem, jak pogarsza się jego stan fizyczny, bo zawsze był silny i zdrowy,

myślał, że jest niezniszczalny. Czuł w kościach straszliwe zmęczenie i jedynie silna wola pozwalała mu wypełniać obowiązki, które sobie narzucił. Należało do nich pozostanie przy życiu, żeby nie zawieść żony.

Powrót Almy tchnął w niego energię. Nie miał skłonności do okazywania uczuć, ale słabe zdrowie uczyniło go wrażliwym i musiał bardzo pilnować, żeby nie wylał się strumień czułości, którą w sobie nosił. Tylko Lillian w chwilach intymności dostrzegała tę cechę osobowości swojego męża. Syn Nathaniel był jakby laską, na której wspierał się Isaac, jego najlepszym przyjacielem, współnikiem i powiernikiem, ale nigdy nie miał potrzeby, by o tym mówić. Obaj uważali to za oczywiste, a wyrażenie uczuć słowami wprowadziłoby ich w zakłopotanie. Marthę i Sarah traktował z życzliwością dobrotliwego patriarchy, ale wyznał w tajemnicy Lillian, że nie lubi swoich córek, uważał je za małoduszne. Lillian także za nimi nie przepadała, ale za żadne skarby by się do tego nie przyznała. Wnukami Isaac cieszył się na odległość. „Zaczekajmy, aż trochę podrosną, jeszcze nie są osobami”, mówił żartem, by się usprawiedliwić, ale w głębi duszy tak właśnie czuł. Do Almy jednak zawsze miał słabość.

Kiedy w 1939 roku siostrzenica żony przybyła z Polski i zamieszkała w Sea Cliff, Isaac tak ją pokochał, że później odczuwał przepętnioną poczuciem winy radość z powodu zniknięcia jej rodziców, gdyż dzięki temu miał możliwość zastąpienia ich w sercu dziewczynki. Nie zamierzał jej wychowywać, jak czynił to w przypadku własnych dzieci, chciał ją jedynie chronić, dzięki czemu mógł ją bez przeszkód kochać. Zaspokajanie potrzeb Almy zostawił Lillian, sam zaś dla zabawy wyzywał dziewczynkę na intelektualne pojedynki i próbował zarazić swoim zamiłowaniem do botaniki i geografii. To właśnie podczas pokazywania jej książki o ogrodach wpadł na pomysł założenia Fundacji Belasców. Miesiącami rozważali razem różne możliwości, zanim pomysł nabrał konkretnych kształtów, i to Alma – która miała wówczas trzynaście lat – wymyśliła, żeby tworzyć ogrody w najbiedniejszych dzielnicach miasta. Isaac ją podziwiał; zafascynowany obserwował rozwój jej umysłu, rozumiał jej samotność i wzruszał się, gdy szukała jego towarzystwa. Kiedy dziewczynka siadała przy nim z dłonią na jego kolanie, żeby pooglądać razem telewizję czy przejrzeć książki ogrodnicze, ciężar i ciepło tej małej rączki były dla niego cennym podarunkiem. On z kolei głaskał ją po włosach, kiedy przechodziła obok – pod warunkiem że nikt go nie widział – i kupował słodczyce, żeby zostawiać je Almie pod poduszką. Młoda kobieta, która wróciła z Bostonu, z geometryczną fryzurą, pomalowanymi na czerwono ustami, poruszająca się zdecydowanym krokiem, nie była strachliwą Almą, która spała przytulona do kota, bo bała się być sama. Szybko jednak pokonali chwilowe skrepowanie i odbudowali subtelną relację, jaka łączyła ich przez ponad dekadę.

– Pamiętasz Fukudów? – zapytał Isaac dziewczynę kilka dni po jej powrocie.

– Jak mogłabym ich nie pamiętać! – wykrzyknęła Alma zdziwiona.

– Wczoraj dzwonił do mnie jeden z synów.

– Ichimei?

– Tak. To ten najmłodszy, prawda? Zapytał, czy możemy się spotkać, bo musi ze mną porozmawiać. Mieszkają w Arizonie.

– Wujku, Ichimei jest moim przyjacielem, nie widziałam go, odkąd internowali ich rodzinę. Mogę uczestniczyć w tym spotkaniu?

– Z tego, co zrozumiałem, chodzi o jakąś prywatną sprawę.

– Kiedy przyjedzie?

– Zawiadomię cię, Almo.

Dwa tygodnie później Ichimei w prostym ciemnym garniturze i czarnym krawacie stawiał się

w rezydencji w Sea Cliff. Alma czekała na niego z bijącym sercem. Zanim zdążył dotknąć dzwonka, otworzyła drzwi i rzuciła mu się w ramiona. Nadal była od niego wyższa, więc niemal powaliła go na ziemię. Ichimeiego zaskoczył jej widok, a do tego publiczne okazywanie uczuć było źle odbierane przez Japończyków. Zbity z tropu nie wiedział, jak zareagować na taką wylewność, ale ona nie dała mu czasu na zastanowienie; wzięła go za rękę i pociągnęła do środka, z wilgotnymi oczami powtarzając jego imię, a gdy tylko przekroczyli próg, pocałowała go w same usta. Isaac Belasco siedział w bibliotece, w swoim ulubionym fotelu, trzymając na kolanach kota Ichimeiego, Neko, który miał już szesnaście lat. Widział całą scenę i wzruszony schował się za gazetą. Po jakimś czasie Alma przyprowadziła mu gościa. Zostawiła ich samych i zamknęła drzwi.

Chłopak w kilku słowach opowiedział Isaacowi dzieje swojej rodziny, które ten już znał, bo po telefonie Ichimeiego postarał się zebrać jak najwięcej informacji o Fukudach. Nie tylko wiedział o losie, jaki spotkał Takao i Charlesa, o deportowaniu Jamesa i o biedzie, w jakiej żyli wdowa i dwoje pozostałych dzieci, ale podjął już w związku z tym pewne kroki. Jedyną nową wiadomością, jaką przekazał mu Ichimei, była prośba Takao dotycząca miecza.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci Takao. Był moim przyjacielem i mistrzem. Przykro mi również z powodu tego, co spotkało Charlesa i Jamesa. Miejsce, w którym leży katana twojej rodziny, czeka nietknięte. Możesz ją zabrać, kiedy tylko zechcesz, ale została zakopana w podniosłej atmosferze i myślę, że twój ojciec pragnąłby, żeby odkopano ją równie uroczyście.

– To prawda, proszę pana. Na razie nie mam gdzie jej umieścić. Mógłbym ją tu zostawić? Nie na długo, mam nadzieję.

– Twój miecz przynosi zaszczyt temu domowi. Spiesz się, żeby go zabrać?

– Jego miejsce jest na ołtarzu moich przodków, ale na razie nie mamy domu ani ołtarza. Mieszkamy z mamą i siostrą w pensjonacie.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia dwa.

– Jesteś pełnoletni, zostałeś głową rodziny. Do ciebie należy przejęcie interesu, który prowadziłem z twoim ojcem.

Isaac wyjaśnił zdumionemu Ichimeiemu, że w 1941 roku wszedł z Takao Fukudą w spółkę z zamiarem założenia szkółki kwiatów i roślin ozdobnych. Wojna przeszkodziła w realizacji planów, ale żaden z nich nie zerwał słownej umowy, jaką zawarli, zatem nadal obowiązywała. Isaac znalazł odpowiedni płaski teren w Martinez, na wschód od zatoki San Francisco, i kupił go po bardzo korzystnej cenie. Chodziło o dwa hektary żyznej i dobrze nawodnionej ziemi oraz skromny, ale porządny dom, w którym Fukudowie mogliby zamieszkać, dopóki nie znajdą czegoś lepszego. Ichimei będzie musiał bardzo ciężko pracować, żeby rozkręcić interes, tak jak zostało uzgodnione z Takao.

– Ziemię już mamy. Zainwestuję w przygotowanie terenu i zasadzenie roślin, reszta należy do ciebie. W miarę możliwości będziesz spłacał swoją część z tego, co sprzedasz, bez pośpiechu i bez odsetek. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, przepisujemy firmę na twoje nazwisko. Na razie teren należy do Spółki Belasco, Fukuda i Synowie.

Isaac nie powiedział, że zarejestrował spółkę i kupił ziemię przed niespełna tygodniem. Ichimei odkrył to cztery lata później, kiedy poszedł przepisać firmę na siebie.



Fukudowie wrócili do Kalifornii i zamieszkali w Martinez, czterdzieści pięć minut drogi od San Francisco. Pracując od świtu do zmierzchu, Ichimei, Megumi i Heideko zebrali pierwszy plon kwiatów. Przekonali się, że nie mogli wymarzyć sobie lepszej ziemi i klimatu, pozostawało im jedynie wprowadzić kwiaty na rynek. Heideko udowodniła przy okazji, że ma najwięcej odwagi i energii z całej rodziny. W Topazie obudził się w niej duch walki i organizacji; w Arizonie to ona była podporą rodziny, bo Takao ledwo oddychał z powodu papierosów i ataków kaszlu. Kochała męża z dziką lojalnością, nie kwestionowała miejsca, jakie przypadło jej w udziale jako żonie, ale to, że owdowiała, było dla niej wyzwoleniem. Kiedy wróciła z dziećmi do Kalifornii i w jej rękach znalazły się dwa hektary możliwości, bez wahania stanęła na czele firmy. Na początku nawet Megumi musiała posłusznie brać łopatę i grabie, żeby pracować w polu, chociaż myślami wybiegała w przyszłość niemającą nic wspólnego z rolnictwem. Ichimei kochał rośliny, miał też żelazną wolę niezbędną do ciężkiej pracy, brakowało mu natomiast praktycznego zmysłu i nosa do robienia pieniędzy. Był idealistą, marzycielem wykazującym inklinację do rysunku i poezji, stworzonym bardziej do medytacji niż do handlu. Pojechał sprzedać kwiaty do San Francisco dopiero wtedy, kiedy matka kazała mu oczyścić paznokcie z ziemi, włożyć garnitur, białą koszulę oraz kolorowy krawat – żadnej żałoby – załadować furgonetkę i ruszyć do miasta.

Odwiedzili razem jedna po drugiej najbardziej eleganckie kwaciarnie San Francisco z listy sporządzonej przez Megumi. Heideko zostawała w samochodzie, świadoma swojego wyglądu japońskiej wieśniaczki i słabego angielskiego, a Ichimei, z uszami czerwonymi ze wstydu, proponował towar. Krępowało go wszystko, co miało związek z pieniędzmi. Zdaniem Megumi brat nie nadawał się do życia w Ameryce, był dyskretny, ponury, bierny i pokorny; gdyby to od niego zależało, chodziłby w opasce na biodrach i zebrał z miską o jedzenie, jak mnisi i prorocy w Indiach.

Tamtego wieczoru Heideko i Ichimei wrócili z San Francisco pustą furgonetką. „Pojechałam z tobą pierwszy i ostatni raz, synu. Jesteś odpowiedzialny za tę rodzinę. Nie możemy jeść kwiatów, musisz się nauczyć je sprzedawać”, powiedziała Heideko. Ichimei próbował przekazać te obowiązki siostrze, ale Megumi była już jedną nogą za progiem. Kiedy zorientowali się, jak łatwo uzyskać dobrą cenę za kwiaty, obliczyli, że mogliby spłacić ziemię w ciągu czterech, pięciu lat, o ile zadowalaliby się tym, co niezbędne, i nie spotkałoby ich żadne nieszczęście. A kiedy Isaac Belasco zobaczył plony, obiecał, że załatwi im kontrakt z hotelem Fairmont, słynącym z niezwykle efektownych bukietów ze świeżych kwiatów zdobiących hol recepcji i salony.

W końcu, po trzynastu latach nieszczęść, rodzina rozwijała skrzydła; wówczas Megumi oznajmiła, że skończyła trzydziestkę i pora, by poszła własną drogą. Do tego czasu Boyd Anderson ożenił się i rozwiódł, został ojcem dwójki dzieci i kolejny raz poprosił Megumi, żeby przyleciała do niego na Hawaje, gdzie świetnie prosperował dzięki warsztatowi mechanicznemu i flocie ciężarówek. „Zapomnij o Hawajach. Jeśli chcesz być ze mną, to tylko w San Francisco”, odpowiedziała. Postanowiła studiować pielęgniarstwo. W Topazie przyjęła kilka porodów; za każdym razem, kiedy brała na ręce noworodka, wpadała w ekstazę – tak właśnie wyobrażała sobie boskie objawienie. Dopiero od niedawna ten dział położnictwa, zdominowanego przez lekarzy i chirurgów, zaczynało powierzać akuszerkom, a ona chciała być w awangardzie. Została przyjęta na kurs pielęgniarstwa i zdrowia kobiet, który miał tę zaletę, że był nieodpłatny. Przez następne trzy lata Boyd Anderson nadal niespiesznie zabiegał na odległość o jej względy, przekonany, że kiedy Megumi dostanie wreszcie swój dyplom, wyjdzie za niego i przeprowadzi się na Hawaje.

27 listopada 2005 r.

Nie do wiary, że Megumi postanowiła przejść na emeryturę. Tyle kosztowało ją zdobycie dyplomu i tak kocha swój zawód, że myśleliśmy, iż nigdy nie zrezygnuje z pracy. Obliczyliśmy, że w ciągu czterdziestu pięciu lat sprowadziła na świat jakieś pięć tysięcy pięćset dzieci. Mówi, że to jej wkład w wyż demograficzny. Skończyła osiemdziesiąt lat, jest wdową od dziesięciu i ma pięcioro wnucząt, najwyższy czas, żeby odpoczęła, ale ubzdurała sobie, że otworzy punkt gastronomiczny. Nikt z rodziny tego nie rozumie, bo moja siostra nie potrafi nawet usmażyć jajka. Miałem kilka wolnych godzin na malowanie. Tym razem nie odtworzę pejzażu z Topazu. Maluję ścieżkę w górach na południu Japonii, w pobliżu bardzo starej, położonej na odludziu świątyni. Musimy wrócić razem do Japonii, chciałbym pokazać Ci tę świątynię.

Ichi

# Miłość

Rok 1955 nie przyniósł Ichimeiemu wyłącznie wysiłku i potu. Był dla niego także rokiem miłości. Alma porzuciła plan powrotu do Bostonu, by zostać drugą Verą Neumann i podróżować po świecie. Miała już tylko jeden cel w życiu: być z Ichimeim. Spotykali się niemal codziennie o zmierzchu, po zakończeniu pracy na polu, w motelu przy szosie, dziewięć kilometrów od Martinez. Alma zawsze przyjeżdżała pierwsza i płaciła za pokój pakistańskiemu recepcjoniście, który mierzył ją od stóp do głów wzrokiem wyrażającym głęboką pogardę. Ona patrzyła mu w oczy dumnie i zuchwale, aż mężczyzna spuszczał wzrok i wręczał jej klucz. Identyczna scena powtarzała się od poniedziałku do piątku.

W domu Alma oznajmiła, że chodzi na wieczorne zajęcia na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Dla Isaaca Belasca, który szczycił się swoimi postępowymi poglądami i mógł robić interesy, a nawet przyjaźnić się z pracującym dla niego ogrodnikiem, byłoby nie do przyjęcia, żeby ktoś z jego rodziny utrzymywał intymne stosunki z jednym z Fukudów. Lillian postanowiła zaś, że Alma wyjdzie za mąż za menscha z diaspory żydowskiej, jak Martha i Sarah, to nie podlegało dyskusji. Jedyną osobą wtajemniczoną w sprawy Almy był Nathaniel, ale on także nie popierał tego związku. Dziewczyna nie powiedziała mu o hotelu, a on nie pytał, bo wolał nie znać szczegółów. Nie mógł dłużej lekceważyć Ichimeiego jako kaprysu kuzynki, z którego – jak sądził – wyleczy się, gdy tylko znowu go zobaczy; liczył jednak na to, że Alma zrozumie w którymś momencie, że nie mają ze sobą nic wspólnego. Z relacji, jaka w dzieciństwie łączyła jego samego z Ichimeim, zapamiętał tylko lekcje sztuk walki przy Pine Street. Odkąd poszedł do liceum i skończyły się przedstawienia teatralne na strychu, bardzo rzadko go widywał, choć Ichimei często przyjeżdżał do Sea Cliff, żeby bawić się z Alną. Kiedy Fukudowie wrócili do San Francisco, kilkakrotnie spotkał się z nim na krótko, gdy z polecenia ojca przekazywał mu pieniądze na szkółkę. Nie rozumiał, co u licha, widzi w nim jego kuzynka – był bezbarwny, przechodził niezauważony, nie miał w sobie nic z silnego, pewnego siebie mężczyzny, który mógłby ujarzmić tak skomplikowaną kobietę jak Alma. Nathaniel żywił przekonanie, że miałby o Ichimeim takie samo zdanie, nawet gdyby nie był on Japończykiem; rasa nie miała tu nic do rzeczy, chodziło o charakter. Chłopakowi brakowało owej dawki ambicji i agresywności niezbędnej u mężczyzny, którą on sam zdołał rozwinąć siłą woli. Doskonale pamiętał szkolne lata strachu i katuszy oraz ogromny wysiłek, jaki musiał włożyć, żeby opanować zawód wymagający niegodziwości, której nie miał w sobie. Czuł wdzięczność do ojca, że namówił go, by poszedł w jego ślady, bo jako prawnik zahartował się, stał się samowystarczalny i mógł ruszyć do przodu. „To ty tak uważasz, Nat, ale nie znasz Ichimeiego, nie znasz też samego siebie”, odpowiadała mu Alma, kiedy przedstawiał jej swoje teorie na temat męskości.

Wspomnienie szczęśliwych miesięcy, kiedy spotykała się z Ichimeim w motelu, w którym nie mogli gasić światła z powodu prowadzących nocny tryb życia karaluchów wylazących z kątów, podtrzymywało Alnę na duchu przez kolejne lata, gdy z krańcową bezwzględnością próbowała wyrwać z siebie miłość i pożądanie, by zastąpić je pokutą wierności. Przy Ichimeim odkryła niezliczone niuanse miłości i rozkoszy, od niepohamowanej, naglącej żądzy po święte chwile, kiedy paraliżowało ich wzruszenie

i trwali nieruchomo w łóżku, twarzą w twarz, patrząc sobie długo w oczy, wdzięczni za swoje szczęście, pokorni, bo sięgnęli samego dna swoich dusz, oczyszczeni, bo wyzbyli się całej sztuczności i leżeli razem całkowicie bezbronni, w takim uniesieniu, że nie umieli już odróżnić radości od smutku, zachwytu nad życiem od słodkiej pokusy, by umrzeć tu i teraz i już nigdy się nie rozstawać. Alma, oderwana od świata przez namiętą miłość, ignorowała wewnętrzny głos, który przywoływał ją do porządku i żądał od niej rozważań, ostrzegając przed konsekwencjami. Żyli tylko dla tych spotkań, nie było jutra ani wczoraj, liczył się jedynie ten brudny pokój z zablokowanym oknem, zapachem wilgoci, wytartą pościelą i nieustającym warkotem wentylatora. Istnieli tylko oni dwoje, pierwszy namiętny pocałunek po przekroczeniu progu, nim zamknęli drzwi na klucz, pieszczoty na stojąco, zdejmowanie ubrań, które rzucali gdzie popadnie, nagie drżące ciała, ciepło, smak i zapach ukochanej osoby, dotyk skóry i włosów, cudowne wrażenie zatracenia się w rozkoszy aż do utraty sił, drzemka w objęciach partnera, by za chwilę znów poczuć, jak odradza się pożądanie, wrócić do żartów, śmiechów i wyznań, do cudownego świata bliskości. Zielone palce Ichimeiego, zdolne przywrócić do życia konającą roślinę czy naprawić po omacku zegarek, odkryły przed Alną jej własną naturę, dziką i wygłodniałą. Lubiła go zaskakiwać, prowokować, patrzeć, jak czerwieni się zawstydzony i rozbawiony. Ona była śmiała, a on ostrożny, zakrywał jej usta, kiedy krzyczała, osiągając orgazm. Z łatwością przychodziło jej wymyślanie całej litanii romantycznych, namiętnych, pochlebnych i sprośnych słów, które szeptała mu do ucha albo pisała pospiesznie w listach; on zachowywał powściągliwość właściwą swojemu charakterowi i kulturze.

Alma oddała się bez reszty beztroskiej radości kochania. Zastanawiała się, jak to możliwe, że nikt nie zauważa jej świetlistej cery, bezdennej głębi mrocznego spojrzenia, lekkiego kroku, omdlewającego głosu, płomiennej energii, której nie potrafiła ani nie chciała kontrolować. W tamtym czasie zapisała w dzienniku, że unosi się w powietrzu i czuje na skórze coś jakby bąbelki wody gazowanej, które jeżą jej włoski z rozkoszy; że jej serce powiększyło się jak balon i zaraz pęknie, ale w tym ogromnym napompowanym sercu mieści się tylko Ichimei, reszta ludzkości uległa zatarciu; że ogląda się nago w lustrze, wyobrażając sobie, że to Ichimei patrzy na nią zza szkła, podziwia jej długie nogi, jej silne dłonie, jej jędrne piersi o ciemnych sutkach, jej płaski brzuch z cienką linią czarnych włosów schodzących od pępka do wzgórka łonowego, jej pomalowane usta, jej skórę beduinki; że śpi z twarzą wtuloną w jego koszulę przesiąkniętą zapachem ogrodu, próchnicy i potu; że zatyka sobie uszy, aby przywołać spokojny, miękki głos Ichimeiego, jego niepewny śmiech, tak różny od jej własnego, przesadnego i donośnego, jego rady, by zachowali ostrożność, jego wyjaśnienia dotyczące roślin, słowa miłości wypowiedane po japońsku, bo po angielsku wydawały mu się pozbawione treści, jego okrzyki zaskoczenia, kiedy pokazywała mu swoje szkice i opowiadała o planach pójścia w ślady Very Neumann. Ani przez chwilę nie żałował, że on sam, obdarzony prawdziwym talentem, mógł poświęcać malowaniu zaledwie kilka godzin po ogłupiającej pracy na polu, zanim ona pojawiła się w jego życiu, zabierając mu cały wolny czas i połykając całe jego powietrze. Alma odczuwała niezaspokojoną potrzebę czucia się kochaną.

# Ślady przeszłości

Na początku Alma Belasco i Lenny Beal, przyjaciel świeżo przybyły do Lark House, postanowili korzystać z życia kulturalnego San Francisco i Berkeley. Chodzili do kina, do teatru, na koncerty i wystawy, próbowali dań w egzotycznych restauracjach i chodzili na spacer z psem. Pierwszy raz od trzech lat Alma wróciła do rodzinnej łoży w operze, ale jej przyjaciel pogubił się w zawłościach pierwszego aktu i zasnął podczas drugiego w momencie, w którym Tosce udaje się wbić kuchenny nóż w serce Scarpaii. Zrezygnowali z opery. Lenny miał wygodniejszy samochód niż Alma, więc często jeździli do Napy, by cieszyć się sielskim krajobrazem winnic i degustować wina, albo do Bolinas, by pooddychać słonym powietrzem i skosztować ostryg. W końcu jednak zmęczyły ich te próby zachowania na siłę młodości i aktywności, stopniowo ulegali pokusie nicnierobienia. Liczne wypadki, które wymagały przemieszczania się, szukania miejsca do zaparkowania i stania, zastąpili oglądaniem filmów w telewizji, słuchaniem muzyki w mieszkaniu jednego z nich czy odwiedzinami u Cathy z butelką różowego szampana, idealnie pasującego do czarnego kawioru, który córka lekarki, stewardesa Lufthansy, przywoziła ze swoich podróży. Lenny współpracował z kliniką bólu, ucząc pacjentów robienia masek z rozmoczonego papieru i cementu dentystycznego do sztuk teatralnych Almy. Popołudniami czytali w bibliotece, jedynym miejscu publicznym, w którym było w miarę cicho. Hałas stanowił niedogodność życia we wspólnocie. Czasami jedli kolację w stołówce Lark House pod czujnym okiem kobiet, które zazdrościły Almie, że to jej dopisało takie szczęście. Irina czuła się odsunięta na bok, choć czasami ją ze sobą zabierali; staruszka już mogła się bez niej obejść. „To tylko twoje wymysły, Irino. Lenny wcale z tobą nie rywalizuje”, pocieszał ją Seth, ale sam też się martwił, bo jeśli babcia skróci dziewczynie czas pracy, on będzie miał mniej sposobności, by ją spotykać.

Tamtego wieczoru Alma i Lenny siedzieli w ogrodzie, wspominając przeszłość, co robili dość często. Nieopodal Irina myła Sofię wodą z gumowego węża. Kilka lat wcześniej Lenny przeczytał w internecie o organizacji, która ratowała w Rumunii psy włóczące się żalosznymi sforami, przywoziła je do San Francisco i oddawała do adopcji ludziom skłonny do tego rodzaju dobroczynności. Pysk Sofii i czarna plamka wokół oka zachwyciły go tak bardzo, że niewiele myśląc, wypełnił formularz online, wysłał wymaganych pięć dolarów i następnego dnia pojechał ją odebrać. W opisie zapomniano zaznaczyć, że suczce brakuje jednej łapy. Z pomocą trzech pozostałych prowadziła normalne życie; następstwem jej wypadku było to, że niszczyła jedną z nóg tych przedmiotów, które miały ich cztery, na przykład krzesła czy stołów. Lenny rozwiązał problem dzięki niewyczerpanemu zapasowi plastikowych lalek. Kiedy tylko suczka pozbawiała którąś z nich ręki lub nogi, dostawała następną. Słabością jej charakteru była nielojalność wobec pana. Zapałała miłością do Catherine Hope: wystarczyła chwila nieuwagi, by ruszała biegiem, mknęła niczym strzała w poszukiwaniu lekarki i wskakiwała jej na kolana. Lubiła jeździć na wózku inwalidzkim.

Sofia stała spokojnie pod płynącym z węża strumieniem, a Irina przemawiała do niej po rumuńsku, żeby nie dać po sobie poznać, że przysłuchuje się rozmowie Almy i Lenny'ego z zamiarem przekazania jej treści Sethowi. Czuła się podle, że ich szpieguje, ale zgłębianie tajemnic tej kobiety było teraz ich

wspólną pasją. Wiedziała od Almy, że jej przyjaźń z Lennym zaczęła się w 1984 roku, tym samym, w którym zmarł Nathaniel Belasco, i trwała jedynie kilka miesięcy, ale za sprawą różnych okoliczności była tak intensywna, że kiedy los połączył ich ponownie w Lark House, potrafili do niej wrócić, jakby nigdy się nie rozstawali. Alma opowiadała akurat Lenny'emu, że w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat zrezygnowała z roli matriarchini Belasców, zmęczona wypełnianiem od dziecka obowiązków wobec ludzi i przestrzeganiem zasad. Mieszkała w Lark House od trzech lat i coraz bardziej jej się tu podobało. Dodała, że narzuciła sobie pobyt w tym miejscu jako pokutę, by jakoś zapłacić za przywileje, z których zawsze korzystała, za próżność i materializm. Najlepiej byłoby, gdyby spędziła resztę życia w klasztorze zen, ale nie była wegetarianką, a medytowanie przyprawiało ją o bóle pleców, dlatego zdecydowała się na Lark House ku przerażeniu syna i synowej, którzy z dwojga złego woleliby widzieć ją z ogoloną głową w Dharamsali. W Lark House żyła wygodnie, nie musiała rezygnować z niczego istotnego, a w razie potrzeby miała trzydzieści minut drogi do Sea Cliff. Do domu rodzinnego – którego nigdy nie traktowała jako własny, bo najpierw należał do teściów, a potem do syna i synowej – wracała jednak tylko na rodzinne obiady. Na początku nie rozmawiała z nikim w Lark House, jakby mieszkała sama w hotelu drugiej kategorii, ale z czasem nawiązała kilka przyjaźni, a od kiedy pojawił się Lenny, stale miała towarzystwo.

– Mogłaś wybrać coś lepszego, Almo.

– Nie potrzebuję niczego więcej. Brakuje mi tu tylko kominka zimą. Lubię patrzeć na ogień, jest jak falowanie morza.

– Znam pewną wdowę, która spędziła ostatnie sześć lat na wycieczkowcach. Kiedy tylko statek zawija do ostatniego portu, rodzina daje jej kolejny bilet na podróż dookoła świata.

– Dlaczego taki pomysł nie przyszedł do głowy mojemu synowi i jego żonie? – zaśmiała się Alma.

– Ma to tę zaletę, że jeśli umierasz na pełnym morzu, kapitan wyrzuca ciało za burtę, a rodzina zaoszczędza na pogrzebie – dodał Lenny.

– Tutaj mi dobrze. Odkrywam, kim jestem bez drogich strojów i ozdób; to dość powolny proces, ale zbawienny. Wszyscy powinni tak robić pod koniec życia. Gdybym była zdyscyplinowana, spróbowałabym wyprzedzić wnuczka i sama spisać własne wspomnienia. Mam czas, swobodę i ciszę, czego zawsze brakowało mi w rozgardiaszu poprzedniego życia. Przygotowuję się do śmierci.

– Dużo ci jeszcze brakuje, Almo. Wyglądasz wspaniale.

– Dziękuję. To pewnie zasługa miłości.

– Miłości?

– Powiedzmy, że mam kogoś. Wiesz, o kim mówię: o Ichimeim.

– Nie do wiary! Ile to już czasu jesteście razem?

– Zaczekaj, niech no policzę... Kocham go, odkąd oboje mieliśmy po jakieś osiem lat, ale kochankami jesteśmy od pięćdziesięciu ośmiu, od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku, z kilkoma dłuższymi przerwami.

– Dlaczego wyszłaś za Nathaniela? – zapytał Lenny.

– Bo chciał mnie chronić, a ja potrzebowałam wtedy jego ochrony. Przypomnij sobie, jaki był szlachetny. Nat pomógł mi się pogodzić z tym, że istnieją siły potężniejsze od mojej woli, potężniejsze nawet od miłości.

– Chciałbym poznać Ichimeiego. Daj znać, kiedy przyjedzie cię odwiedzić.

– Nasz związek jest nadal tajemnicą – odparła z rumieńcem na twarzy.

– Dlaczego? Twoja rodzina by cię zrozumiała.

– Nie chodzi o Belasców, ale o rodzinę Ichimeiego. O szacunek dla jego żony, dzieci i wnuków.

– Po tylu latach jego żona musi o wszystkim wiedzieć.

– Nigdy nie dała tego po sobie poznać. Nie chciałabym, żeby cierpiała z mojego powodu, Ichimei by mi tego nie wybaczył. Poza tym ma to także dobre strony.

– Jakie?

– Po pierwsze nigdy nie musieliśmy się zmagać z problemami domowymi, takimi jak dzieci, pieniądze i masa innych kłopotów, które mają normalne pary. Spotykamy się wyłącznie po to, żeby się kochać. Poza tym takiego potajemnego związku trzeba bronić, jest kruchy i cenny. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

– Oboje urodziliśmy się o pół wieku za wcześnie. Jesteśmy specjalistami od zakazanych związków.

– Mieliśmy z Ichimeim szansę, kiedy byliśmy bardzo młodzi, ale ja się nie odważyłam. Nie potrafiłam zrezygnować z poczucia bezpieczeństwa, uległam konwenansom. To były lata pięćdziesiąte, świat wyglądał zupełnie inaczej. Pamiętasz?

– Jak mam nie pamiętać? Taki związek był prawie niemożliwy, żałowałabyś swojej decyzji. Uprzedzenia w końcu by was zniszczyły, zabiłyby waszą miłość.

– Ichimei wiedział o tym, dlatego nigdy nie poprosił, żebym to zrobiła.

Po długiej przerwie, w czasie której siedzieli pochłonięci obserwowaniem kolibrów zapamiętałe machających skrzydełkami nad krzewem fuksji, a Irina specjalnie zwlekała z wytarciem i wyszczotkowaniem Sofii, Lenny powiedział Almie, że żałuje, iż nie widział jej przez prawie trzydzieści lat.

– Dowiedziałem się, że mieszkasz w Lark House. To był zbieg okoliczności, który sprawia, że muszę uwierzyć w przeznaczenie. Wpisałem się na listę oczekujących przed kilkanaście laty, na długo przed tym, zanim ty tu przyjechałaś. Zwlekałem z wizytą, bo nie chciałem odgrzebywać martwych wspomnień – powiedział.

– Nie są martwe. Są teraz bardziej żywe niż kiedykolwiek. To przychodzi z wiekiem: historie z przeszłości nabierają życia i przywierają do nas. Cieszę się, że spędzimy razem najbliższe lata.

– To nie będą lata, tylko miesiące. Mam guza mózgu, którego nie da się zoperować, zostało mi mało czasu, niedługo pojawią się bardziej widoczne objawy.

– Boże mój, tak mi przykro!

– Dlaczego? Dostyc się już nażyłem. Przy bardziej agresywnym leczeniu mógłbym przetrwać trochę dłużej, ale nie warto się temu poddawać. Jestem tchórzem, boję się bólu.

– Dziwne, że cię przyjęli do Lark House.

– Nikt tutaj nie wie, co mi dolega, i nie ma potrzeby tego rozgłaszać, bo nie będę zajmował tu długo miejsca. Odejdę, kiedy mi się pogorszy.

– Skąd będziesz to wiedział?

– Na razie nękają mnie bóle głowy, jestem osłabiony, trochę ociężały. Nie mam już odwagi jeździć na rowerze, co było moją życiową pasją, bo kilka razy się przewróciłem. Wiesz, że trzykrotnie przejechałem na rowerze całe Stany Zjednoczone, od Pacyfiku aż po Atlantyk? Zamierzam cieszyć się czasem, który mi

jeszcze pozostał. Potem przyjdą wymioty, trudności z chodzeniem i z mówieniem, stracę wzrok, pojawią się konwulsje... Ale nie będę tak długo czekał. Muszę działać, dopóki mam jasny umysł.

– Jak szybko mija nam życie!

Iriny nie zdziwiły słowa Lenny'ego. W gronie najbardziej przytomnych mieszkańców Lark House dyskutowano o dobrowolnej śmierci jak o czymś naturalnym. Alma twierdziła, że na ziemi jest zbyt wielu starców, którzy żyją dłużej, niż wymaga tego biologia, i dłużej niż jest to w stanie znieść gospodarka, nie ma więc sensu zmuszać ich, żeby byli więźniami obolałego ciała albo trawionego demencją umysłu. „Niewielu starców jest zadowolonych, Irino. Większość żyje w biedzie, nie dopisuje im zdrowie, nie mają rodziny. To najbardziej niepewny i trudny etap życia, trudniejszy niż dzieciństwo, bo w miarę upływu czasu sytuacja jedynie się pogarsza, a na końcu czeka już tylko śmierć”. Irina rozmawiała o tym z Cathy, która uważała, że niedługo zostanie zagwarantowana możliwość wybrania eutanazji i będzie ona prawem, a nie przestępstwem. Cathy wiedziała, że niektórzy pensjonariusze Lark House zaopatrzyli się już w niezbędne środki, by zapewnić sobie godne odejście, ale choć rozumiała powody ich decyzji, ona sama nie miała zamiaru umrzeć w taki sposób. „Ból nie opuszcza mnie ani na chwilę, Irino, ale jeśli coś innego przyciąga moją uwagę, da się wytrzymać. Najgorsza była rehabilitacja po operacjach. Nawet morfina nie łagodziła cierpienia, pomagała mi tylko świadomość, że to nie będzie trwało wiecznie. Wszystko jest przejściowe”. Irina przypuszczała, że z racji swojego zawodu Lenny ma do dyspozycji substancje bardziej skuteczne niż te, które przychodziły z Tajlandii zawinięte w szary papier bez etykietek.

– Jestem spokojny, Almo – ciągnął Lenny. – Korzystam z życia, cieszę się zwłaszcza czasem, który spędzam z tobą. Przygotowuję się od dawna, śmierć mnie nie zaskoczy. Nauczyłem się obserwować swoje ciało. Ciało informuje nas o wszystkim, problem w tym, że trzeba go słuchać. Poznałem swoje choroby, zanim je zdiagnozowano, i wiem, że żadne leczenie nic nie da.

– Boisz się? – zapytała Alma.

– Nie. Myślę, że po śmierci jest tak jak przed urodzeniem. A ty?

– Trochę... Wyobrażam sobie, że po śmierci nie ma kontaktu z tym światem, żadnego cierpienia, osobowości, pamięci, jakby Alma Belasco nigdy nie istniała. Coś może zostaje: duch, istota bycia. Wyznam ci, że boję się oddzielenia od ciała, mam nadzieję, że wtedy będzie ze mną Ichimei albo że przyjdzie po mnie Nathaniel.

– Jeśli, jak powiedziałaś, duch nie ma kontaktu z tym światem, to nie wiem, jak miałby po ciebie przyjść Nathaniel – skomentował Lenny.

– Masz rację. To sprzeczność – powiedziała Alma ze śmiechem. – Tak mocno trzymamy się życia! Mówisz, że jesteś tchórzem, ale trzeba dużo samozaparcia, żeby się ze wszystkim pożegnać i przekroczyć próg, nie wiedząc, co jest po drugiej stronie.

– Dlatego tu przyjechałem. Nie sądzę, żebym umiał zrobić to sam. Pomyślałem, że jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc, jedyną, którą mogę poprosić, żeby przy mnie była, kiedy przyjdzie pora umrzeć. Czy proszę o zbyt wiele?

22 października 2002 r.

Wczoraj, kiedy wreszcie mogliśmy się spotkać, by świętować nasze urodziny, zauważyłem, że jesteś w złym nastroju. Powiedziałaś, że nagle, nie wiadomo jak,



dobiliśmy siedemdziesiątki. Boisz się, że ciało nas zawiedzie, boisz się tego, co nazywasz brzydotą starości, choć jesteś teraz piękniejsza niż wtedy, kiedy miałaś dwadzieścia trzy lata. Nie jesteśmy starzy dlatego, że skończyliśmy siedemdziesiątkę. Zaczynamy się starzeć w momencie narodzin, zmieniamy z każdym dniem, życie jest ciągłym upływaniem. Ewoluuujemy. Jedyna różnica polega na tym, że jesteśmy teraz trochę bliżej śmierci. Co w tym złego? Miłość i przyjaźń się nie starzeją.

Ichi

# Światło i cień

Systematyczne ćwiczenie polegające na przypominaniu sobie różnych faktów z myślą o książce wnuka dobrze robiło Almie Belasco, zagrożonej właściwym jej wiekowi osłabieniem pamięci. Wcześniej gubiła się w labiryncie zdarzeń i kiedy próbowała wydobyć z niego konkretny fakt, nie była w stanie tego zrobić. Teraz, żeby móc udzielać Sethowi zadowolających odpowiedzi, zaczęła rekonstruować przeszłość według pewnego porządku zamiast przeskakiwać z jednego wątku na drugi, jak zwykła czynić w rozmowach z Lennym Bealem. Wyobrażała sobie pudła w różnych kolorach, inne na każdy rok jej życia, do których wrzucała swoje doświadczenia i odczucia. Układała te wirtualne pudła jedno na drugim w wielkiej trzydrzwiowej szafie w domu wujostwa, w której w wieku siedmiu lat wypłakała morze łez. Były wypełnione po brzegi smutkami i wyrzutami sumienia; znajdowały się w nich, dobrze ukryte, obawy i fantazje dzieciństwa, nieczne postęпки młodości, zmartwienia, cierpienia, namiętności i miłości wieku dojrzałego. Lekkodusznie – bo próbowała wybaczyć sobie wszystkie błędy z wyjątkiem tych, przez które cierpieli inni – sklejała fragmenty swojej biografii, doprawiała je odrobiną fantazji, pozwalając sobie na przesadę i fałsz, bo przecież Seth nie mógł zakwestionować zawartości jej własnej pamięci. Robiła to raczej w ramach ćwiczenia wyobraźni niż z chęci okłamywania kogokolwiek. Ichimeiego jednak zachowała dla siebie, nie wiedząc, że Irina i Seth badają za jej plecami to, co miała w życiu najcenniejszego i najbardziej sekretnego, jedyną tajemnicę, której nie mogła wyjawic, bo gdyby to zrobiła, Ichimei by zniknął, a wtedy straciłaby powód, by dalej żyć.

W tym locie ku przeszłości Irina była jej drugim pilotem. Przez jej ręce przechodziły fotografie i inne dokumenty, ona je segregowała, ona kompletowała albumy. Pytania dziewczyny ułatwiały Almie obranie właściwego kierunku, kiedy zbaczała w jakiś ślepy zaułek. W ten sposób jej życie ożywało i nabierało wyraźnych kształtów. Irina zanurzyła się w przeszłości Almy, jakby obie były bohaterkami powieści z czasów wiktoriańskich: kobieta ze starego rodu i jej dama do towarzystwa w pułapce nudy odwiecznych herbatek w wiejskiej rezydencji. Starsza pani uważała, że wszyscy mają jakiś wewnętrzny ogród, w którym mogą znaleźć schronienie, ale Irina nie chciała zaglądać do swojego, wolała zastąpić go ogrodem Almy, o wiele przyjemniejszym. Poznała melancholijną dziewczynkę, która przyjechała z Polski; potem młodą Almę z Bostonu, artystkę i żonę; wiedziała, jak wyglądały jej ulubione suknie i kapelusze, pierwsza pracownia malarska, gdzie eksperymentowała z pędzlami i kolorami, zanim wyrobiła sobie własny styl, jej stare walizki z wytartej skóry, oblepione kalkomaniami, od dawna przez nikogo nieużywane. Te obrazy i doświadczenia były przejrzyste, wyraźne, jakby sama żyła w tamtych czasach i towarzyszyła Almie w każdym z tamtych momentów. Wydawało jej się cudowne, że moc wskrzeszenia wspomnień, jaką mają słowa i fotografie, wystarczy, by uczynić je realnymi i by ona mogła je sobie przywłaszczyć.

Alma Belasco była kiedyś kobietą energiczną, aktywną, nietolerującą zarówno własnych, jak i cudzych słabości. Jednak z upływem lat złagodniała; miała więcej cierpliwości do innych i do samej siebie. „Jeśli nic mnie nie boli, to znaczy, że obudziłam się martwa”, mawiała rano, kiedy rozciągała powoli mięśnie, żeby uniknąć skurczów. Jej ciało nie funkcjonowało tak jak dawniej, musiała obmyślać całe

strategie, by stronić od schodów albo odgadywać znaczenie zdań, których nie dosłyszała. Wszystko kosztowało ją teraz więcej wysiłku i zajmowało jej więcej czasu, niektórych rzeczy po prostu nie mogła robić, na przykład prowadzić samochodu nocą, tankować paliwa, odkręcać butelek z wodą, dźwigać toreb z zakupami. Do tego potrzebowała Iriny. Za to jej umysł pozostał jasny, o ile nie uległa pokusie narobienia we wspomnieniach odrobiny bałaganu; terażniejszość pamiętała równie dobrze jak przeszłość. Nie miała problemów z koncentracją ani z logicznym rozumowaniem. Nadal była w stanie rysować, zachowała wyczucie kolorów. Chodziła do pracowni, jednak niewiele malowała, bo szybko się męczyła, wołała zostawić to Kirsten i pomocnikom. Nie mówiła o swoich ułomnościach, stawiała im czoło w sposób naturalny, ale Irina je znała. Fascynacja staruszków własnymi chorobami i dolegliwościami, które nikogo nie interesowały, nawet lekarzy, budziła w Almie odrazę. „Panuje powszechne przekonanie, którego nikt nie ma odwagi wyrazić publicznie, że my, starzy, jesteśmy zbędni, że zabieramy miejsce i środki, które należą się ludziom produktywnym”, mawiała. Nie potrafiła rozpoznać wielu osób na zdjęciach, ludzi mało znaczących z jej przeszłości, i te odbitki można było wyrzucić. Na innych, które Irina wklejała do albumów, dało się prześledzić różne etapy jej życia, upływ lat, obeerzecz urodziny, przyjęcia, wakacje, uroczystości rozdania dyplomów, śluby. To były szczęśliwe chwile, nikt nie fotografował cierpienia. Alma rzadko pojawiała się na zdjęciach, dopiero na początku jesieni Irina mogła powiedzieć więcej o tym, jaką była kobietą, dzięki portretom zrobionym przez Nathaniela. Należały do dziedzictwa Fundacji Belasców, zostały odkryte przez świątek artystyczny San Francisco. To z ich powodu jedna z gazet nazwała Almę „najlepiej sfotografowaną kobietą w mieście”.

Rok wcześniej, przed Bożym Narodzeniem, jedno z włoskich wydawnictw opublikowało wybór zdjęć Nathaniela Belasca w luksusowej szacie graficznej. Kilka miesięcy później pewien obrotowy amerykański agent zorganizował dwie wystawy tych fotografii, w Nowym Jorku i w San Francisco, w najbardziej prestiżowej galerii przy Geary Street. Alma odmówiła udziału w tych przedsięwzięciach, nie chciała też rozmawiać z prasą. Powiedziała, że woli być traktowana jako modelka z tamtych czasów niż jako staruszka z obecnych, ale Irinie wyznała, że nie jest to kwestia próżności, tylko rozsądku. Nie miała siły rozgrzebywać tego fragmentu swojej przeszłości; bała się tego, co było niewidoczne gołym okiem, a co mógł obnażyć aparat fotograficzny. Jednak nieustępliwość Setha przełamała ostatecznie jej opór. Wnuk kilkakrotnie odwiedził galerię i był pod wielkim wrażeniem; nie zamierzał dopuścić, by Alma straciła okazję obejrzenia wystawy. Uznał to za uwłaczanie pamięci Nathaniela Belasca.

– Zrób to, babciu, dla dziadka, będzie się przewracał w grobie, jeśli nie pójdiesz. Jutro po ciebie przyjadę. Powiedz, proszę, Irinie, żeby pojechała z nami. Czeka was niespodzianka.

Miał rację. Irina przejrzała album włoskiego wydawnictwa, ale nic nie zapowiadało, że olbrzymie portrety zrobią na niej takie wrażenie. Wczesnym popołudniem – uznali, że wtedy w galerii nie będzie zwiedzających – Seth zawiózł je mercedesem benz należącym do rodziny, bo we trójkę nie mieścili się w samochodzie Almy ani na jego motorze. Rzeczywiście, wpadli tylko na jakiegoś włóczkę leżącego na chodniku przed drzwiami, a w środku spotkali parę australijskich turystów. Pracownica galerii, chińska porcelanowa laleczka, próbowała im coś sprzedać, więc nawet nie zwróciła uwagi na nowych gości.

Nathaniel Belasco fotografował żonę od roku 1977 do 1983 jednym z pierwszych polaroidów robiących zdjęcia w formacie 20×24 cale, zdolnych uchwycić z wielką precyzją najdrobniejsze szczegóły. Belasco nie należał do słynnych fotografików swojego pokolenia, sam określał siebie mianem amatora, ale był w gronie nielicznych, którzy mieli wystarczająco dużo pieniędzy, aby kupić sobie porządny aparat. Poza tym trafił na wyjątkową modelkę. Zaufanie Almy do męża poruszyło Irinę; patrząc na portrety, na utrwalony na nich rytuał, poczuła wstyd, jakby dopuszczała się profanacji. Artysta i jego modelka tworzyli jedność, łączył ich niemożliwy do rozplątania węzeł i właśnie z tej symbiozy powstały

fotografie zmysłowe, ale pozbawione ładunku erotycznego. Na niektórych zdjęciach Alma stała naga, w niedbałej pozie, jakby nieświadoma tego, że jest obserwowana. Na innych kobieca postać ukazana w eterycznej, pełnej tajemniczych fluidów, półprzezroczystej mgiełce jakby tonęła w marzeniach mężczyzny trzymającego aparat. Na jeszcze innych, bardziej realistycznych, pozowała Nathanielowi z beznamiętną ciekawością kobiety stojącej przed lustrem, pozbawionej zahamowań, czującej się dobrze w swojej skórze, z widocznymi na nogach żyłami, z blizną po cesarskim cięciu i twarzą naznaczoną pięćdziesięcioma latami życia. Irina nie byłaby w stanie wyrazić słowami własnej konsternacji, ale zrozumiała skrupuły Almy: nie chciała pokazywać się publicznie za pośrednictwem bezlitosnego obiektywu swojego męża, z którym, jak się wydawało, łączyło ją uczucie znacznie bardziej skomplikowane i perwersyjne niż zwykła małżeńska miłość. Z białych ścian galerii spoglądała na nich powiększona, uległa Alma. W Irinie wzbudzała jakiś lęk, była nieznajomą. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło; Seth, który czuł chyba to samo, wziął ją za rękę. Pierwszy raz jej nie cofnęła.

Turyści poszli sobie, niczego nie kupiwszy, więc chińska laleczka przypuściła teraz atak na nich. Przedstawiła się jako Mei Li i zaczęła zanudzać ich wyuczoną przemową na temat aparatu Polaroid, techniki Nathaniela Belasca i przyświecającego mu zamysłu, światła i cieni oraz wpływu malarstwa flamandzkiego, której Alma wysłuchiwała rozbawiona, milcząco potakując głową. Mei Li nie skojarzyła kobiety o siwych włosach z modelką na portretach.

W następny poniedziałek po dyżurze w Lark House Irina poszła do Almy, żeby zabrać ją do kina. Miały jeszcze raz obejrzeć *Lincolna*. Lenny Beal wyjechał na kilka dni do Santa Barbara, więc Irina odzyskała chwilowo swoją pozycję attaché kulturalnego, jak nazywała ją Alma, zanim w Lark House pojawił się Lenny i bezprawnie przywłaszczył sobie ten przywilej. Kilka dni wcześniej wyszły w połowie seansu, bo Alma poczuła ukłucie w piersi tak bolesne, że aż krzyknęła. Musiały opuścić salę. Staruszka przepędziła biletera, który chciał zawołać pomoc, bo perspektywa jazdy karetką i pobytu w szpitalu wydała jej się gorsza niż śmierć na miejscu. Irina zawiozła ją do Lark House. Od jakiegoś czasu Alma dawała jej kluczyki od swojego śmiesznego samochodu, bo dziewczyna odmawiała ryzykowania życia jako pasażerka. Zuchwałość Almy w ruchu ulicznym rosła, w miarę jak coraz gorzej widziała i coraz bardziej drżały jej ręce. Po drodze ból minął, ale dotarła do ośrodka wyczerpana, poszarzała na twarzy, z posiniałymi paznokciami. Irina pomogła jej położyć się do łóżka i nie prosząc o pozwolenie, wezwała Catherine Hope, której ufała bardziej niż oficjalnemu lekarzowi zakładu. Cathy szybko przyjechała na swoim wózku, zbadała chorą z dokładnością i troską, jakie wkładała we wszystko, co robiła, po czym stwierdziła, że Alma powinna jak najprędzej pójść do kardiologa. Tego wieczoru Irina przygotowała sobie zaimprovizowane łóżko na kanapie, która okazała się wygodniejsza niż materac na podłodze w jej pokoju w Berkeley, i została u Almy na noc. Kobieta przespała ją spokojnie, z Neko przytulonym do jej stóp, ale obudziła się przygaszona i pierwszy raz, odkąd Irina ją poznała, postanowiła spędzić dzień w łóżku. „Jutro zmusisz mnie, żebym wstała, słyszysz? Żadnego wylegiwania się z filiżanką herbaty i dobrą książką. Nie chcę żyć w piżamie i w kapciach. Jeśli stary człowiek położy się raz do łóżka, już nigdy z niego nie wstanie”. Zgodnie z tym, co powiedziała, następnego dnia zadała sobie trud, by zacząć dzień jak zawsze, nie wspominając słowem o swojej dwudziestoczterogodzinnej słabości, a Irina, która miała inne rzeczy na głowie, szybko zapomniała o całym zajściu. Wprawdzie Catherine Hope postawiła sobie za cel nie dać przyjaciółce spokoju, dopóki nie pójdzie do specjalisty, ale Almie udało się odłożyć wizytę na później.

Obejrzały film bez żadnych incydentów i wyszły z kina zakochane w *Lincolnie* i w grającym go aktorze. Alma była zmęczona, postanowiły więc udać się prosto do mieszkania zamiast iść do restauracji,

jak wcześniej planowały. Po powrocie starsza pani z westchnieniem obwieściła, że jest jej zimno, i położyła się do łóżka, a Irina przygotowała dla niej na kolację płatki owsiane na mleku. Oparta o poduszki, z babcinym szalem na ramionach, Alma wyglądała tak, jakby ważyła pięć kilogramów mniej i miała dziesięć lat więcej niż kilka godzin wcześniej. Irina uważała ją za niezniszczalną, dlatego aż do tego wieczoru nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej podopieczna zmieniła się w ciągu ostatnich miesięcy. Straciła na wadze, z powodu sińców pod oczami jej zniszczona twarz przypominała mordkę szopa. Nie chodziła już wyprostowana, nie stawiała mocno kroków, chwiała się, wstając z krzesła, wisiała na ramieniu Lenny'ego na ulicy, czasami budziła się wystraszona bez powodu albo była zagubiona, jakby trafiła do nieznanego kraju. Tak rzadko chodziła do pracowni, że postanowiła zwolnić pomocników, a dla Kirsten kupowała komiksy i cukierki, żeby ją pocieszyć pod swoją nieobecność. Emocjonalne bezpieczeństwo gwarantowały Kirsten rutynowe zajęcia i stałe uczucia; była zadowolona, kiedy nic się nie zmieniało. Mieszkała w pokoju nad garażem u brata i bratowej, rozpieszczana przez trzech bratanków, których kiedyś pomagała wychowywać. W dni robocze wsiadała w południe do tego samego autobusu i wysiadała dwie przecznicie od pracowni. Otwierała ją swoim kluczem, wietrzyła, sprzątała, siadała na krześle reżysera filmowego z jej własnym nazwiskiem, które podarowali jej bratankowie na czterdzieste urodziny, i zjadała przyniesioną w plecaku kanapkę z kurczakiem albo tuńczykiem. Potem przygotowywała płótna, pędzle i farby, gotowała wodę na herbatę i czekała ze wzrokiem utkwionym w drzwi. Jeśli Alma nie zamierzała przyjść, dzwoniła do niej na komórkę, rozmawiały przez chwilę, zlecała jej jakąś pracę, która miała zająć ją do piątej, kiedy to zamykała studio i szła na przystanek, żeby wrócić do domu.

Rok wcześniej Alma liczyła na to, że dotrwa bez wielkich zmian do dziewięćdziesiątki, ale teraz nie była już tego taka pewna: podejrzewała, że zbliża się jej koniec. Kiedyś czuła, jak śmierć przechadza się po dzielnicy, potem słyszała, jak szepce po kątach Lark House, a teraz zaglądała do jej mieszkania. W wieku sześćdziesięciu lat myślała o niej jak o czymś abstrakcyjnym, co jej nie dotyczy; w wieku siedemdziesięciu – jak o dalekim krewnym, o którym łatwo zapomnieć, bo się o nim nie mówi, mimo że kiedyś nieubłaganie przyjdzie nas odwiedzić. Po osiemdziesiątce jednak zaczęła się z nią oswajać i rozmawiać o niej z Iriną. Widziała ją tu i ówdzie, pod postacią powalonego drzewa w parku, osoby wyłysiałej z powodu raka, swoich rodziców przechodzących na drugą stronę ulicy – mogła ich rozpoznać, bo wyglądali tak jak na zrobionej w Gdyni fotografii. Czasami pod postacią jej brata Samuela, który po raz drugi odszedł z tego świata, tym razem cicho, we własnym łóżku. Wuj Isaac Belasco ukazywał się jej jako krzepki mężczyzna, którym był, zanim wysiadło mu serce, a ciotka Lillian przychodziła od czasu do czasu przywitać się z nią w półśnie o świcie taka, jaka była pod koniec swojego życia: ubrana na liliowo staruszka, ślepa, głucha, ale szczęśliwa, bo myślała, że mąż prowadzi ją za rękę. „Iрино, spójrz na ten cień na ścianie, czy nie wygląda jak postać mężczyzny? To musi być Nathaniel. Nie martw się, dziecko, nie jestem obłąkana, wiem, że to tylko moja wyobraźnia”. Opowiadała jej o Nathanielu, o jego dobroci, o tym, że miał talent do rozwiązywania problemów i stawiania czoła kłopotom, że był i nadal jest jej aniołem stróżem.

– Tak się tylko mówi, Irino, nie ma osobistych aniołów.

– Oczywiście, że są! Gdybym nie miała dwóch aniołów stróżów, już bym nie żyła albo popełniłabym jakieś przestępstwo i teraz siedziałabym w więzieniu.

– Ależ ty masz pomysły! W tradycji żydowskiej aniołowie są posłańcami Boga, a nie ochroniarzami ludzi, ale ja mam swojego własnego ochroniarza: Nathaniela. Zawsze się o mnie troszczył, najpierw jako starszy brat, potem jako doskonały mąż. Nigdy nie będę w stanie spłacić długu wdzięczności.

– Byliście małżeństwem prawie trzydzieści lat; macie syna i wnuki, pracowaliście razem w Fundacji

Belasców, pani opiekowała się nim w czasie jego choroby, stała przy nim do końca. Na pewno on też myślał, że nie będzie mógł odpłacić się za to, co pani dla niego zrobiła.

– Nathaniel zasługiwał na dużo więcej miłości, niż mu dałam.

– To znaczy, że kochała go pani bardziej jak brata niż jak męża?

– Przyjaciela, kuzyna, brata, męża... Nie wiem, jaka to różnica. Kiedy się pobraliśmy, krążyły plotki, bo byliśmy ciotecznym rodzeństwem, uważano to za kazirodztwo, chyba nadal tak się uważa. Myślę, że nasza miłość zawsze była kazirodcza.

# Agent Wilkins

W drugi piątek października w Lark House pojawił się Ron Wilkins, pytając o Irinę Bazili. Był agentem FBI, sześćdziesięcioletnim Afroamerykaninem, korpulentnym, o siwych włosach i żywej gestykulacji. Zdziwiona Irina zapytała, jak ją znalazł, na co Wilkins odparł, że jego praca wymaga przecież bycia dobrze poinformowanym. Nie widzieli się od trzech lat, ale nieraz rozmawiali przez telefon. Wilkins dzwonił od czasu do czasu ciekawy, co u niej słychać. „Wszystko dobrze, niech się pan nie martwi. Przeszłość została z tyłu, już nawet nie pamiętam tego, co było”, brzmiała nieodmiennie odpowiedź dziewczyny, ale oboje wiedzieli, że to nieprawda. Kiedy Irina poznała Wilkinsa, wyglądał tak, jakby jego garnitur miał za chwilę pęknąć pod naporem mięśni sztangisty. Jedenaście lat później mięśnie zastąpił tłuszcz, ale nadal robił wrażenie człowieka masywnego i energicznego jak za młodych lat. Opowiedział jej, że jest dziadkiem, i pokazał zdjęcie wnuczka, dwuletniego chłopca o dużo jaśniejszej skórze niż on. „Ma ojca Holendra”, wyjaśnił, choć Irina o nic nie zapytała. Dodał, że osiągnął wiek, w którym mógłby przejść na emeryturę, a zgodnie z przepisami nawet powinien, ale jest przyśrubowany do swojego krzesła. Nie potrafił się wycofać, nadal tropił przestępstwa, którym poświęcił większość życia.

Agent zjawił się w Lark House późnym rankiem. Siedzieli na drewnianej ławce w ogrodzie i pili wodnistą kawę, której zawsze można było sobie nalać w bibliotece i która nikomu nie smakowała. Delikatna mgiełka unosiła się z ziemi zwilżonej nocną rosą, a blade jesienne słońce zaczynało ogrzewać powietrze. Mogli tu spokojnie porozmawiać na osobności. Niektórzy pensjonariusze byli już na swoich porannych zajęciach, ale większość wstawiała późno. Widzieli tylko Victora Vikasheva, szefa ogrodników, Rosjanina o wyglądzie tatarskiego wojownika pracującego w Lark House od dziewiętnastu lat, który podśpiewywał sobie w ogrodzie, i Cathy, która przemknęła na swoim elektrycznym wózku, jadąc w stronę kliniki bólu.

– Mam dobre wieści, Elisabeto – oznajmił Wilkins Irinie.

– Od lat nikt nie nazywał mnie Elisabetą.

– Oczywiście. Wybacz.

– Proszę pamiętać, że teraz jestem Iriną Bazili. Sam mi pan pomógł wybrać to imię.

– Opowiadaj, dziecko. Jak ci się układa? Chodzisz na terapię?

– Bądźmy realistami. Wie pan, ile zarabiam? Nie stać mnie na psychologa. Hrabstwo finansuje tylko trzy sesje, które już wykorzystałam, ale jak pan widzi, jeszcze nie popełniłam samobójstwa. Prowadzę normalne życie, pracuję, zamierzam też zrobić kurs internetowy. Chcę się nauczyć masażu terapeutycznego; to dobry zawód dla kogoś o tak silnych dłoniach jak moje.

– Jesteś pod opieką lekarza?

– Tak. Biorę leki antydepresyjne.

– Gdzie mieszkasz?

– W Berkeley, w tanim pokoju o przyzwoitym metrażu.

– Ta praca jest w sam raz dla ciebie, Irino. Masz tutaj spokój, nikt cię nie niepokoi, jesteś bezpieczna. Mówiono mi o tobie w samych superlatywach. Odbyłem rozmowę z dyrektorem, powiedział, że jesteś jego najlepszą pracownicą. Masz chłopaka?

– Miałam, ale umarł.

– Co ty mówisz! Mój Boże! Tylko tego ci brakowało, dziecko, bardzo mi przykro. Jak umarł?

– Chyba ze starości; miał ponad dziewięćdziesiąt lat. Ale są tu inni wiekowi panowie gotowi zostać moimi narzeczonymi.

Wilkins nie uznał tego za zabawne. Przez chwilę siedzieli w milczeniu; dmuchali na kawę w papierowych kubkach i popijali ją małymi łydkami. Irinę przytłoczyło nagłe uczucie smutku i samotności, jakby spłynęły na nią myśli tego dobrego człowieka, mieszając się z jej własnymi. Miała ściśnięte gardło. W telepatycznym odruchu Ron Wilkins objął ją ramieniem i przyciągnął do swojej szerokiej piersi. Pachniał słodkawymi perfumami, niepasującymi do takiego chłopiska. Irina poczuła wydzielane przez Wilkinsa ciepło piecyka, szorstką powierzchnię jego kurtki na policzku, pokrzepiający ciężar jego ramienia. Trwała w tej odprężającej pozycji przez kilka minut, bezpieczna, wdychając jego zapach godny kurtyzany, on zaś poklepywał ją po plecach, jakby pocieszał własnego wnuka.

– Jakie wieści mi pan przynosi? – zapytała Irina, kiedy się już trochę uspokoiła.

– Chodzi o odszkodowanie. Istnieje stare prawo, o którym nikt nie pamięta, na mocy którego ofiary takie jak ty dostają odszkodowania. Dzięki temu mogłabyś opłacić terapię, której naprawdę potrzebujesz, swój kurs, a jeśli nam się poszczęści, nawet wpłacić zaliczkę na jakieś małe mieszkanie.

– To tak wygląda tylko w teorii, proszę pana.

– Niektóre osoby już dostały odszkodowania.

Wyjaśnił, że choć jej przypadek nie jest świeży, dobry adwokat mógłby udowodnić, że poniosła poważne szkody wskutek tego, co się stało, że cierpi na syndrom stresu pourazowego, potrzebuje pomocy psychologicznej i leków. Irina przypomniała mu, że winowajca nie posiada dóbr, które mogłyby zostać skonfiskowane w celu wypłacenia jej odszkodowania.

– Aresztowano innych mężczyzn z tej siatki, Irino. Mężczyzn mających władzę i pieniądze.

– Ci mężczyźni niczego mi nie zrobili. Jest tylko jeden winny.

– Posłuchaj mnie, moje dziecko. Musiałaś zmienić tożsamość i miejsce zamieszkania, straciłaś matkę, szkolnych kolegów i inne osoby, które znałaś, żyjesz praktycznie w ukryciu, przeprowadziłaś się do innego stanu. To, co się stało, nie należy do przeszłości, można powiedzieć, że wciąż się dzieje, a winnych jest wielu.

– Też tak kiedyś myślałam, ale uznałam, że nie będę wiecznie ofiarą, zaczęłam nowy rozdział. Teraz jestem Iriną Bazili i mam nowe życie.

– Przykro mi, że muszę ci o tym przypominać, ale nadal jesteś ofiarą. Niektórzy oskarżeni z chęcią wypłaciliby ci odszkodowanie, żeby uniknąć skandalu. Upoważnisz mnie do podania twojego nazwiska prawnikowi specjalizującemu się w takich sprawach?

– Nie. Po co to rozgrzebywać?

– Przemyśl to, dziecko. Przemyśl dobrze i zadzwoń do mnie na ten numer – powiedział agent, podając jej swoją wizytówkę.



Irina odprowadziła Rona Wilkinsa do wyjścia i schowała wizytówkę, choć nie miała zamiaru z niej skorzystać. Sama sobie poradziła, nie potrzebowała pieniędzy, które uważała za brudne i które oznaczałyby, że znów będzie poddawana tym samym przesłuchaniom i zmuszana do podpisywania zeznań zawierających plugawe szczegóły; nie chciała rozgrzebywać przed sądem rozżarzonych węgli z przeszłości. Teraz była pełnoletnia, żaden sędzia nie oszczędziłby jej stanięcia twarzą w twarz z oskarżonymi. A prasa? Przerazało ją, że o wszystkim mogłyby się dowiedzieć osoby, na których jej zależy, jej nieliczni przyjaciele, staruszkowie z Lark House, Alma, a przede wszystkim Seth Belasco.

O szóstej po południu Cathy zadzwoniła do Iriny na komórkę i zaprosiła ją na herbatę do biblioteki. Usiadły w kącie przy oknie, z dala od przejścia. Cathy nie lubiła herbaty z kondomów, jak nazywała torebki serwowane w Lark House, miała własny czajnik, porcelanowe filiżanki oraz niewyczerpane zapasy sypanej herbaty jakiejś francuskiej marki i maślanych ciasteczek. Irina poszła do kuchni nastawić wodę w czajniku, nie próbowała jednak pomagać Cathy przy reszcie przygotowań, jako że był to ważny dla niej rytuał i wypełniała go sama pomimo drżenia rąk. Nie mogła podnieść do ust delikatnej porcelany, musiała używać plastikowego kubka i słomki, ale cieszył ją widok filiżanki odziedziczonej po babci w dłoniach jej gościa.

– Kim był ten czarnoskóry mężczyzna, który przytulał cię dziś rano w ogrodzie? – zapytała Cathy, gdy omówiły już ostatni odcinek serialu telewizyjnego o więźniarkach, który obie pilnie śledziły.

– To tylko przyjaciel, którego dawno nie widziałam... – wymamrotała Irina, dolewając sobie herbaty, żeby ukryć zdenerwowanie.

– Nie wierzę ci, Irino. Obserwuję cię od jakiegoś czasu i wiem, że coś zżera cię od środka.

– Mnie? Co też pani wymyśliła! Już mówiłam, to tylko przyjaciel.

– Ron Wilkins. W recepcji podali mi jego nazwisko. Poszłam zapytać, kto cię odwiedził, bo odniosłam wrażenie, że ta wizyta cię zdenerwowała.

Lata bezruchu i straszliwy wysiłek, jaki włożyła w to, by przeżyć, sprawiły, że Cathy się skurczyła. Kiedy siedziała na wielkim elektrycznym wózku, przypominała dziewczynkę, a mimo to promieniowała ogromną siłą i dobrocią, którą zawsze wykazywała, a którą wypadek jeszcze spotęgował. Nieschodzący z ust uśmiech i krótkie włosy nadawały jej psotny wygląd, który kontrastował z mądrością pradawnego mnicha. Cierpienie fizyczne uwolniło ją od nieuniknionych obciążeń własnej osobowości i oszlifowało jej duszę niczym diament. Wylewy krwi do mózgu nie umniejszyły jej inteligencji, ale – jak sama mówiła – zmieniły instalację elektryczną i w rezultacie rozbudziła się u niej intuicja, dzięki której widziała to, co niewidzialne.

– Zbliź się, Irino – powiedziała.

Dłonie Cathy, małe, zimne, o palcach zniekształconych wskutek złamań, uczepliły się ramienia dziewczyny.

– Wiesz, co najbardziej pomaga w nieszczęściu? Rozmowa. Nikt nie może być sam na świecie. Jak myślisz, dlaczego stworzyłam klinikę bólu? Bo ból dzielony z innymi jest łatwiejszy do zniesienia. Klinika pomaga pacjentom, jednak najbardziej pomaga mnie. Wszyscy żyjemy z demonami ukrytymi w mrocznych zakątkach duszy, ale jeśli wyciągniemy je na światło dzienne, demony stają się mniejsze, słabsze, milkną, a w końcu zostawiają nas w spokoju.

Irina daremnie próbowała uwolnić się od tych przypominających szczytce palców. Szare tęczęwki Cathy przez długi czas wbijały się w jej oczy z takim współczuciem i sympatią, że nie mogła jej odtrącić.

Uklękła na podłodze, położyła głowę na sękatych kolanach lekarki i pozwoliła, by głaskały ją jej zeszywniałe dłonie. Nikt jej tak nie dotykał, odkąd rozstała się z dziadkami.

Cathy powiedziała, że w życiu najważniejsze jest rozliczenie się z przeszłością, pełne zaangażowanie się w rzeczywistość, włożenie całej energii w terażniejszość, i że należy to zrobić teraz, natychmiast. Po wypadku zrozumiała, że nie można czekać. Stan, w jakim się znalazła, pozwolił jej na uzupełnienie własnych przemyśleń, na lepsze poznanie samej siebie. Być, istnieć, kochać światło słoneczne, ludzi, ptaki. Ból odchodził i wracał, mdłości odchodziły i wracały, rozstrój żołądka odchodził i wracał, ale z jakiegoś powodu nie zaprzętała sobie tym na długo myśli. Za to świadomie cieszyła się każdą kroplą wody pod prysznicem, dotykiem przyjaznych dłoni myjących jej włosy, cudownym chłodem lemoniady w letni dzień. Nie myślała o przyszłości, jedynie o trwającym dniu.

– Próbuję ci powiedzieć, Irino, że nie powinnaś trwać zakotwiczona w przeszłości i bać się przyszłości. Masz tylko jedno życie, ale to wystarczy, jeśli dobrze je przeżyjesz. Jediną rzeczywistością jest terażniejszość, dzisiaj. Na co czekasz, pocuj się wreszcie szczęśliwa! Liczy się każdy dzień. Już ja coś o tym wiem!

– Szczęście nie jest dla wszystkich, Cathy.

– Ależ jest! Wszyscy rodzimy się szczęśliwi. Po drodze życie nam się komplikuje, ale możemy je wyprostować. Szczęście nie jest wybuchowe i hałaśliwe, jak przyjemność czy radość. Jest milczące, spokojne, delikatne, to wewnętrzny stan zadowolenia, i żeby go osiągnąć, trzeba na początek pokochać siebie samego. Powinnaś siebie kochać, jak kocham cię ja i jak kochają cię wszyscy, którzy cię znają, zwłaszcza wnuk Almy.

– Seth mnie nie zna.

– To nie jego wina, każdy widzi, że biedak od lat próbuje się do ciebie zbliżyć. Nie zdołał tego zrobić tylko dlatego, że się ukrywasz. Opowiedz mi o tym Wilkinsie.

Irina Bazili miała oficjalną przeszłość, którą stworzyła przy pomocy Rona Wilkinsa i z której korzystała, by zaspokajać ludzką ciekawość, kiedy nie dało się uniknąć tego tematu. Wersja ta zawierała prawdę, ale nie całą, jedynie jej akceptowalną część. Kiedy miała piętnaście lat, sąd przydzielił jej psycholożkę, która zajmowała się nią przez kilka miesięcy, dopóki Irina nie stwierdziła, że nie chce już więcej rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Postanowiła przyjąć inne nazwisko, wyjechać do innego stanu i zmieniać miejsca zamieszkania tyle razy, ile razy będzie zmuszona zaczynać od nowa. Psycholożka powtarzała jej, że traumy nie znikają dlatego, że się je zlekceważy. Są niczym wytrwała Meduza, która czeka w ciemnościach i przy pierwszej okazji atakuje swoimi włosami z węży. Zamiast walczyć Irina zdezerterowała; od tamtej pory jej życie było nieustanną ucieczką, aż w końcu trafiła do Lark House. Szukała zapomnienia w pracy, w wirtualnych światach gier wideo i w powieściach fantasy, w których nie była Iriną Bazili, ale odważną heroiną o magicznych mocach. Pojawienie się Wilkinsa kolejny raz zburzyło ten kruchy urojony świat. Koszmary z przeszłości były niczym kurz, który osiadł na drodze, wystarczył najmniejszy podmuch wiatru, żeby podniósł się w postaci tumanów. Pokonana zrozumiała, że pomoc jej zdoła tylko Catherine Hope ze swoją złotą tarczą.

Miała dziesięć lat, kiedy w 1997 roku dziadkowie otrzymali od Radmili list, który odmienił jej losy. Matka obejrzała w telewizji program o handlu kobietami i zdała sobie sprawę, że kraje takie jak Mołdawia zaopatrują w młode ciała arabskie emiraty i europejskie burdele. Przebiegł ją dreszcz, gdy przypomniła sobie lata, które spędziła w rękach bestialskich alfonsów w Turcji. Postanowiła nie

dopuszczyć, by jej córkę spotkał ten sam los, przekonała więc męża, amerykańskiego elektryka, którego poznała we Włoszech i który zabrał ją ze sobą do Teksasu, żeby pomógł dziewczynce wyemigrować do Stanów Zjednoczonych. W liście obiecywała, że Irina będzie miała wszystko, czego zapragnie, najlepsze szkoły, hamburgery, frytki, lody, pojedą nawet do Disneyworldu. Dziadkowie przykazali dziewczynce, żeby nikomu o niczym nie mówiła, by uniknąć zawiści i nieprzychylnych spojrzeń, którymi zwykle są karane pyszałki, podczas gdy oni będą starać się dla niej o wizę. Formalności zajęły im dwa lata. Kiedy w końcu przyszły bilety i paszport, Irina skończyła dwanaście lat, ale wyglądała jak niedożywiona ośmiolatka; była niska, bardzo szczupła i miała niesforne białe włosy. Tyle marzyła o Ameryce, że z czasem zdała sobie sprawę z otaczających ją nędzy i brzydoty, których wcześniej nie dostrzegała, bo nie miała ich z czym porównać. Jej wioska wyglądała jak po bombardowaniu, połowa domów była pozabijana deskami albo w ruinie, po nieutwardzonych drogach błąkały się sfory wygłodniałych psów, puszczone luzem kury grzebały w śmieciach, a na progach chałup siedzieli starcy, paląc czarny tytoń w milczeniu, bo wszystko już zostało powiedziane. W ciągu tych dwóch lat Irina pożegnała się osobno z każdym z drzew i wzgórz, z ziemią i z niebem, które według jej dziadków przetrwały niezmiennie od czasów komunizmu i zawsze będą takie same. Pożegnała się w duchu z sąsiadami i kolegami ze szkoły, pożegnała się z osłem, kozą, kotami i psem, które były z nią przez całe dzieciństwo. Wreszcie pożegnała się z Costeą i Petrutą.

Dziadkowie spakowali do kartonowego pudła ubrania Iriny i nowy obrazek świętej Paraskiewy, który kupili na straganie z dewocjonaliami w pobliskiej wiosce. Może wszyscy troje podejrzewali, że już więcej się nie zobaczą. Od tamtego momentu, bez względu na miejsce, w którym się znalazła, choćby miała w nim spędzić tylko jedną noc, Irina zawsze ustawiała ołtarzyk z obrazkiem świętej i jedynym zdjęciem dziadków, jakie posiadała. Ręcznie retuszowana fotografia została zrobiona w dniu ich ślubu; mieli na sobie tradycyjne stroje, Petruta haftowaną spódnicę i koronkowy czepiec, Costea spodnie do kolan, krótki żakiet i szeroki pas, stali sztywni jak kije, niepodobni do siebie, bo praca jeszcze nie zgięła im pleców. Nie było dnia, żeby Irina nie modliła się do nich, działali bowiem więcej cudów niż święta Paraskiewa, byli jej aniołami stróżami, jak powiedziała kiedyś Almie.

Jakimś sposobem dziewczynka dotarła sama z Kiszyniowa do Dallas. Wcześniej podróżowała tylko raz, pociągiem razem z babcią, żeby odwiedzić w szpitalu w pobliskim mieście Costeę, kiedy operowali mu woreczek żółciowy. Nigdy nie widziała samolotu z bliska, tylko w powietrzu, a jej angielski ograniczał się do modnych piosenek, których nauczyła się na pamięć ze słuchu, nie rozumiejąc ich znaczenia. Obsługa linii lotniczych powiesiła jej na szyi plastikową saszetkę z nazwiskiem, paszportem i biletem. Podczas trwającego jedenaście godzin lotu Irina niczego nie zjadła ani nie wypła, bo nie wiedziała, że jedzenie w samolocie jest za darmo, a stewardesa jej o tym nie poinformowała. Podobnie było podczas kolejnych czterech godzin, które spędziła – bez pieniędzy – na lotnisku w Dallas. To ogromne, tętniące chaotycznym życiem miejsce było drzwiami do amerykańskiego snu. Matka i ojczym pomylili godzinę przylotu, jak tłumaczyli, kiedy wreszcie po nią przyjechali. Irina nie wiedziała, jak wyglądają, ale oni od razu rozpoznali jasnowłosą dziewczynkę ze zdjęcia, siedzącą na ławce z poprzewidywanym sznurkami kartonowym pudełkiem u stóp. Z tego spotkania Irina zapamiętała jedynie to, że oboje cuchnęli alkoholem, tym cierpkim zapachem, który dobrze знаła, bo dziadkowie i pozostali mieszkańcy jej wioski topili smutki w winie domowej produkcji.

Radmila i jej mąż Jim Robyns zawieźli nowo przybyłą do swojego domu, który wydał się Irinie luksusowy, choć był to zwykły drewniany budynek, bardzo zaniedbany, w robotniczej dzielnicy na południu miasta. Matka udekorowała prowizorycznie jeden z dwóch pokoi poduszkami w kształcie serca i pluszowym misiem z różowym balonem na sznurku przywiązany do jednej z łapek. Poradziła Irinie,

żeby spędzała przed telewizorem tyle czasu, ile da radę; to najlepszy sposób na nauczenie się angielskiego, ona sama tak robiła. Czterdzieści osiem godzin później zapisała ją do szkoły publicznej, gdzie przeważali czarnoskórzy i Latynosi, rasy, których dziewczynka nigdy dotąd nie widziała. Opanowanie kilku zdań po angielsku zajęło Irinie miesiąc, ale miała dobre ucho i wkrótce mogła uczestniczyć w lekcjach. Rok później mówiła już bez akcentu.

Jim Robyns był elektrykiem, należał do związku zawodowego, dostawał najwyższą możliwą stawkę za godzinę i podlegał ochronie w razie wypadku czy innych kłopotów, ale nie zawsze mógł liczyć na pracę. Elektryków zatrudniano na zmianę, poczynając od tego, który figurował na czele listy; potem przychodziła kolej drugiego, trzeciego i tak dalej. Ten, któremu kończyło się zlecenie, spadał na koniec listy, czasami czekał kilka miesięcy, aż znowu go wezwali, chyba że był w dobrych stosunkach z szefami związku. Radmila pracowała w sklepie, w dziale ubrań dziecięcych. Dojazd autobusem zajmował jej godzinę i piętnaście minut, powrót do domu – drugie tyle. Kiedy Jim Robyns miał zlecenie, widywały go bardzo rzadko, harował wtedy do upadłego; za nadgodziny płacono mu podwójną lub potrójną stawkę. W tych okresach nie pił ani nie brał narkotyków, bo wystarczyła chwila nieuwagi, by poraził go prąd, ale podczas długich miesięcy beczynności wlewał w siebie alkohol i mieszał tyle prochów, że trudno było uwierzyć, że wciąż trzyma się w pionie. „Mój Jim jest odporny jak byk, nic go nie powali”, mówiła z dumą Radmila. Towarzyszyła mu w popijawach, dopóki pozwalał jej na to organizm, ale nie miała tak mocnej głowy, więc alkohol szybko ścinał ją z nóg.

Już w pierwszych dniach pobytu Iriny w Ameryce ojczym dał jej do zrozumienia, jakie są jego zasady, jak się wyraził. Matka o nich nie wiedziała albo udawała, że nie wie, do czasu, aż dwa lata później w jej drzwiach stanął Ron Wilkins i pokazał jej odznakę FBI.

# Tajemnice

Po długich wahaniach, wskutek uporczywych błagań Iriny, Alma zgodziła się stanąć na czele Grupy Oderwania. Dziewczyna wpadła na pomysł jej utworzenia, kiedy zdała sobie sprawę, w jakim niepokoju żyją ci spośród mieszkańców Lark House, którzy są przywiązani do rzeczy materialnych, podczas gdy ci, którzy mają mniej, są bardziej zadowoleni z życia. Była świadkiem, jak Alma rezygnuje z tylu rzeczy, że w końcu Irina zaczęła się bać, iż będzie musiała pożyczać jej własną szczoteczkę do zębów, dlatego pomyślała, że ona najlepiej poprowadzi grupę. Pierwsze spotkanie miało odbyć się w bibliotece. Chęć udziału zgłosiło pięć osób, wśród nich Lenny Beal. Wszyscy przybyli punktualnie, ale Alma nie dotarła na zebranie. Czekali na nią piętnaście minut, aż wreszcie Irina poszła ją zawołać. Zastała puste mieszkanie i liścik, w którym staruszka informowała, że wyjeżdża na kilka dni, i prosiła, żeby dziewczyna zajęła się Neko. Kot chorował, nie mógł zostać sam. Ponieważ Irina miała zakaz przyprawiania zwierząt do swojego mieszkania, musiała przemycić go w torbie na zakupy.

Tego wieczoru Seth zadzwonił do niej na komórkę, żeby zapytać o babcię, bo odwiedził ją w porze kolacji, nie zastał jej i był tym zaniepokojony. Pomyślał, że może znowu źle się poczuła. Irina poinformowała go, że Alma jest na kolejnej ze swoich randek i zapomniała o zobowiązaniach; spotkały ją przez nią nieprzyjemności ze strony Grupy Oderwania. Seth, który umówił się z klientem w porcie w Oakland, był w pobliżu Berkeley, zaprosił więc Irinę na sushi. Uznał, że to najodpowiedniejsze danie do rozmów o japońskim kochanku. Dziewczyna leżała już w łóżku z Neko i grała w *Elder Scrolls V*, swoją ulubioną grę komputerową, mimo to ubrała się i wyszła. Restauracja była oazą orientalnego spokoju, ściany i meble wykonano z jasnego drewna, salę dzieliły przegrody z papieru ryżowego i oświetlały czerwone lampiony, których ciepły blask zachęcał do odprężenia.

– Jak myślisz, dokąd ona wyjeżdża, kiedy znika? – zapytał Seth, kiedy już złożyli zamówienie.

Irina nalala mu sake do ceramicznego naczynka. Alma powiedziała jej kiedyś, że zgodnie z japońskim zwyczajem należy obsłużyć współbiedniaka i poczekać, aż on obsłuży ciebie.

– Do hotelu w Point Reyes, jakąś godzinę i piętnaście minut drogi od San Francisco. To wiejskie chatki nad wodą, dość odosobnione miejsce, mają tam smaczne ryby i owoce morza, saunę, ładne widoki i romantyczne pokoje. O tej porze roku jest zimno, ale każdy apartament ma kominek.

– Skąd wiesz to wszystko?

– Z wyciągów z karty kredytowej Almy. Poszukałam hotelu w internecie. Przypuszczam, że tam spotyka się z Ichimeim. Chyba nie zamierzasz im przeszkadzać!

– Skąd ci to przyszło do głowy! Nigdy by mi tego nie wybaczyła. Ale mógłbym wysłać jednego z moich śledczych, żeby rzucił okiem...

– Nie!

– Nie, jasne, że nie. Ale przyznaj, Irino, że to niepokojące. Babcia jest osłabiona, może mieć kolejny atak, jak ten w kinie.

– Nadal jest panią własnego życia. Wiesz coś więcej o Fukudach?

– Tak. Przyszło mi do głowy, żeby zapytać tatę, i okazało się, że pamięta Ichimeiego.

Larry Belasco miał dwanaście lat, kiedy w 1970 roku jego rodzice wyremontowali dom w Sea Cliff i nabyli sąsiednią działkę, żeby powiększyć i tak już rozległy ogród, który po śmierci Isaaca Belasca popadł w zaniechanie i jeszcze całkiem nie odżył po wiosennych przymrozkach. Według Larry’ego pewnego dnia w drzwiach rezydencji stanął mężczyzna o azjatyckich rysach, w roboczym stroju i bejsbolówce, który odmówił wejścia do środka, tłumacząc, że ma zabłocone buty. Był to Ichimei Fukuda, właściciel szkółki kwiatów i roślin ozdobnych, którą kiedyś prowadził razem z Isaakiem Belaskiem, a która teraz należała już tylko do niego. Larry domyślił się, że matka zna tego człowieka. Jego ojciec powiedział Fukudzie, że nie ma pojęcia o ogrodach i że to Alma będzie podejmowała wszystkie decyzje, co zdziwiło chłopca, bo Nathaniel prowadził Fundację Belasców i przynajmniej teoretycznie znał się na roślinach. Z uwagi na rozmiary posiadłości i wielkie plany Almy minęło kilka miesięcy, zanim projekt został zrealizowany. Ichimei zmierzył teren, zbadał jakość podłoża, sprawdził temperaturę i kierunek wiatru, naszkicował jakieś linie i zapisał jakieś cyfry w bloku rysunkowym, podpatrywany z bliska przez zaintrygowanego Larry’ego. Wkrótce wrócił z grupą sześciu pracowników – samych Azjatów – i pierwszą ciężarówką ze sprzętem. Ichimei był spokojnym, powściągliwym mężczyzną, uważnym obserwatorem, sprawiał wrażenie, jakby nigdy się nie spieszył, niewiele mówił, a kiedy już się odzywał, robił to tak cicho, że Larry musiał podchodzić bliżej, żeby go usłyszeć. Rzadko sam zaczynał rozmowę czy udzielał odpowiedzi na pytania na swój temat, ale ponieważ zauważył zainteresowanie chłopca, dzielił się z nim swoją wiedzą o przyrodzie.

– Tata zdradził mi coś bardzo ciekawego. Zapewnił mnie, że Ichimei posiada aurę – dodał Seth.

– Co takiego?

– Aurę, niewidzialną aureolę. To krąg światła nad głową, jak u świętych z obrazów religijnych. U Ichimeiego ponoć jest widoczny. Tata powiedział, że nie zawsze można było go dostrzec, tylko czasami, zależało od światła.

– Żartujesz sobie.

– Mój tata nie żartuje, Irino. Aha, jeszcze jedno! Ten człowiek musi być kimś w rodzaju fakira, bo kontroluje swoje tętno i temperaturę ciała, potrafi rozgrzać jedną dłoń, jakby płonął z gorączki, i zamrozić drugą. Kilkakrotnie pokazał to mojemu ojcu.

– Tak powiedział ci ojciec czy zmyślasz?

– Przysięgam, że tak mi powiedział. Mój ojciec jest sceptykiem, nie wierzy w nic, czego sam nie mógłby sprawdzić.

Ichimei Fukuda skończył realizację zlecenia, dodając jako prezent mały ogródek japoński, który zaprojektował dla Almy. Wykonanie zlecił swoim pracownikom. Larry widywał go co jakiś czas, kiedy Ichimei przyjeżdżał nadzorować prace. Zauważył, że nigdy nie rozmawiał z Nathanielem, wyłącznie z Alną, którą traktował bardzo oficjalnie, przynajmniej w jego obecności. Zjawiał się z bukietem kwiatów pod drzwiami dla służby, zdejmował buty i wchodził do środka, witając się z jego matką lekkim ukłonem. Alma zawsze czekała na niego w kuchni i odpowiadała na pozdrowienie w taki sam sposób. Wkładała kwiaty do wazonu, on przyjmował zaproszenie na herbatę i przez chwilę dzielili ten powolny, milczący rytuał, przerwę w życiu obojga. Dwa lata później, kiedy Ichimei przestał przyjeżdżać do Sea Cliff, matka wyjaśniła Larry’emu, że wybrał się w podróż do Japonii.

– Czyżby byli w tamtym czasie kochankami? – zapytała Irina.

– Nie mogę spytać o to ojca. Zresztą i tak by nie wiedział. Nie wiemy niemal nic o własnych rodzicach. Ale założmy, że zgodnie z tym, co babcia powiedziała Lenny’emu Bealowi, byli kochankami w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku, rozstali się, kiedy Alma wyszła za Nathaniela, ponownie spotkali w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim i od tamtej pory są razem.

– Dlaczego w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim? – zapytała Irina.

– To tylko przypuszczenia, nie mam pewności. Wówczas zmarł mój pradziadek Isaac.

Seth opowiedział Irinie o dwóch pogrzebach Isaaca Belasca, o tym, że dopiero wtedy jego rodzina dowiedziała się o dobrych uczynkach patriarchy, o ludziach, których bronił za darmo jako adwokat, o pieniądzach, które dawał lub pożyczał osobom w tarapatach, o obcych dzieciach, którym zapewnił wykształcenie, i o szlachetnych inicjatywach, które wspierał finansowo. Seth odkrył, że Fukudowie wiele zawdzięczali Isaacowi Belascowi, darzyli go szacunkiem i kochali, z czego wywnioskował, że na pewno musieli być na jednym z pogrzebów. Zgodnie z rodzinną legendą, niedługo przed śmiercią Isaaca Fukudowie zabrali stary miecz, który był zakopany w Sea Cliff. W ogrodzie nadal była tabliczka, którą Isaac kazał umieścić, żeby oznaczyć tamto miejsce. Najprawdopodobniej Alma i Ichimei spotkali się właśnie wtedy.

– Od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego do dwa tysiące trzynastego roku... To nam daje pięćdziesiąt parę lat, mniej więcej o takim przedziale czasu Alma wspomniała Lenny’emu – obliczyła Irina.

– Jeżeli nawet dziadek Nathaniel podejrzewał, że jego żona ma kochankę, to udawał, że nie wie. W mojej rodzinie pozory są ważniejsze niż prawda.

– Dla ciebie też?

– Nie. Ja jestem czarną owcą. Dowód? Zakochałem się w dziewczynie bladej jak wampir z Mołdawii.

– Wampiry są z Transylwanii, Seth.

3 marca 2004 r.

W ostatnich dniach dużo myślałem o panu Isaacu Belascu, bo mój syn Mike skończył czterdzieści lat i postanowiłem przekazać mu katanę Fukudów; teraz to on ma obowiązek ją chronić. Twój wujek Isaac zadzwonił do mnie na początku 1962 roku i powiedział, że może nadszedł moment, by zabrać miecz, który od dwudziestu lat leży zakopany w ogrodzie w Sea Cliff. Pewnie już wtedy podejrzewał, że jest bardzo chory i zbliża się jego koniec. Przyjechali wszyscy, którzy ostali się z naszej rodziny, moja matka, moja siostra i ja. Towarzyszyła nam Kemi Morita, duchowa przywódczyni oomoto. Ty akurat byłaś z mężem w podróży. Może Twój wujek wybrał tę datę właśnie dlatego, żebyśmy się nie spotkali. Co o nas wiedział? Przypuszczam, że niewiele, ale był bardzo spostrzegawczy.

Ichi

Irina popijała sushi zieloną herbatą, a Seth wlewał w siebie więcej gorącej sake, niż powinien. Zawartość naczynka zniknęła po jednym łyku, a zajęta rozmową dziewczyna automatycznie dolewała mu

alkoholu. Nie zorientowali się nawet, że kelner z bandanką na czole ubrany w niebieskie kimono przyniósł im kolejną butelkę. Podczas deseru – lodów karmelowych – Irina zauważyła pijacki, błagalny wyraz twarzy Setha, znak, że nadszedł moment, by go pożegnać, nim sytuacja stanie się niezręczna, nie mogła jednak zostawić przyjaciela samego w takim stanie. Kelner zaproponował, że wezwie taksówkę, ale Seth odrzucił jego ofertę. Wyszedł, potykając się, wsparty na Irinie, a panujące na zewnątrz zimno jedynie wzmogło efekty sake.

– Wydaje mi się, że nie powinienem prowadzić... Mogę spędzić noc u ciebie? – wybełkotał, walcząc z płaczącym się językiem.

– Co zrobisz z motorem? Tu mogą ci go ukraść.

– Do diabła z motorem.

Przeszli dziesięć przecznic dzielących ich od mieszkania Iriny – droga zajęła im prawie godzinę, bo chłopak ledwo trzymał się na nogach. Chociaż Irina mieszkała wcześniej w gorszych miejscach, wstydziła się przed Sethem obdrapanej, brudnej rudery. Dzieliła ją z czternastoma innymi lokatorami gnieźdzącymi się w pokojach odgrodzonych ściankami ze sklejki, czasem bez okna i wentylacji. Był to jeden z domów o regulowanym czynszu, których właściciele nie mogli podnosić opłat. Nie zadawali więc sobie trudu, by utrzymywać budynki w dobrym stanie. Z farby na zewnątrz zostały pojedyncze płyty, żaluzje zwisały oderwane od zawiasów, a na podwórku piętrzyły się bezużyteczne graty: pęknięte opony, części rowerów, muszla klozetowa w kolorze awokado, która leżała tu od piętnastu lat. W środku śmierdziało mieszaniną kadzidła z paczulki i zjełczałej zupy kalafiorowej. Nikt nie sprzątał korytarzy ani wspólnych łazienek. Irina brała prysznic w Lark House.

– Dlaczego mieszkasz w tym chlewie? – zapytał Seth oburzony.

– Bo jest tanio.

– W takim razie jesteś dużo biedniejsza, niż myślałem.

– Nie wiem, co myślałeś. Prawie wszyscy są dużo biedniejsi od Belasców.

Pomogła mu zdjąć buty i popchnęła go na leżący na podłodze materac służący za łóżko. Pościel była czysta, jak wszystko w pokoju, bo dziadkowie nauczyli Irinę, że bieda nie usprawiedliwia niechlujstwa.

– Co to jest? – zapytał Seth, wskazując dzwonek wiszący na sznurku przechodzącym przez otwór w ścianie do sąsiedniego pokoju.

– Nic takiego, nie przejmuj się.

– Jak to nic takiego? Kto tam mieszka?

– Tim, kolega z kawiarni, w której pracowałam, i mój wspólnik od kąpania psów. Czasami męczą mnie koszmary, jeśli zaczynam krzyczeć, pociąga za sznurek, dzwoni dzwonek i wtedy się budzę. Taką mamy umowę.

– Dręczą cię koszmary, Irino?

– Oczywiście. Ciebie nie?

– Nie. Ale za to miewam sny erotyczne. Chcesz, żebym ci któryś opowiedział?

– Śpij, Seth.

Niespełna dwie minuty później Seth wykonał jej polecenie. Irina dała Neko lekarstwo, umyła się wodą z dzbanka w stojącej w kącie miednicy, zdjęła dzinsy i bluzkę, włożyła znoszony podkoszulek i skuliła się przy samej ścianie; od Setha dzielił ją kot. Trudno jej było zasnąć z powodu leżącego obok



mężczyzny, hałasów w domu i smrodu kalafiora. Jedyne okienko wychodzące na świat znajdowało się tak wysoko, że widziała tylko mały kawałek nieba. Czasami na chwilę przychodził przywitać się księżyc, zanim ruszył dalej swoją drogą, ale to nie była jedna z tych szczęśliwych nocy.

Kiedy Irinę obudziło słabe światło poranka wpadające do jej pokoju, zobaczyła, że Seta już nie ma. Dochodziła dziewiąta, półtorej godziny temu powinna była wyjść do pracy. Bolała ją głowa i wszystkie kości, jakby przez osmozę zaraziła się kacem po sake.

# Spowiedź

Alma nie wróciła do Lark House ani tego, ani następnego dnia, nie zadzwoniła też, żeby zapytać o Neko. Kot nie jadł, ledwie przełykał wodę, którą Irina wlewała mu do pyszczka strzykawką; lekarstwo nie skutkowało. Dziewczyna miała już poprosić Lenny'ego Beala, żeby zawiózł ją do weterynarza, kiedy w Lark House pojawił się Seth Belasco, świeży, ogolony, w czystym ubraniu i ze skruszoną miną, zawstydzony swoim zachowaniem z ubiegłej nocy.

- Właśnie się dowiedziałem, że sake zawiera siedemnaście procent alkoholu – powiedział.
- Masz swój motor? – przerwała mu Irina.
- Tak. Stał nietknięty tam, gdzie go zostawiliśmy.
- Wobec tego zawieź mnie do weterynarza.

Przyjął ich doktor Kallet, ten sam, który kilka lat wcześniej amputował łapę Sofii. To nie był zbieg okoliczności – weterynarz pracował jako wolontariusz w organizacji, która oddawała do adopcji rumuńskie psy. Lenny polecił go Almie. Doktor Kallet zdiagnozował u Neko niedrożność jelit; kot musiał zostać niezwłocznie zoperowany, ale Irina nie mogła podjąć tej decyzji sama, a komórka Almy nie odpowiadała. Sprawą zajął się Seth, zapłacił wymagane siedemset dolarów kaucji i powierzył kota pielęgniarce. Niedługo potem siedział z Iriną w kawiarni, w której dziewczyna pracowała, zanim zaczęła pomagać Almie. Obsłużył ich Tim, który po trzech latach nadal tkwił w tym samym miejscu.

Seth w dalszym ciągu cierpiał na rozstrój żołądka z powodu sake, ale odzyskał jasność umysłu i doszedł do wniosku, że nie może dłużej zwlekać, nadszedł czas, by zaopiekował się Iriną. Kochał ją inaczej niż wcześniej inne kobiety, nie czuł zaborczego pożądania, które nie pozostawiało miejsca na czułość. Pragnął jej, ale czekał, aż ona pierwsza wejdzie na wąską dróżkę erotyzmu. Jego cierpliwość na nic się zdała, uznał więc, że nadszedł moment, by otwarcie przejść do sedna albo ostatecznie zrezygnować z dziewczyny. Coś z przeszłości blokowało Irinę, nie było innego wytłumaczenia jej panicznego strachu przed bliskością. Kusilo go, żeby skorzystać z pomocy swoich śledczych, ale uznał, że Irina nie zasługuje na taką nielojalność. Zakładał, że jej tajemnica wyjdzie na jaw w którymś momencie, powstrzymywał się więc od zadawania pytań, miał już jednak dosyć tej wyrozumiałości. Na razie najpilniejszą sprawą było wyciągnięcie jej z mysiej nory, w której mieszkała. Przygotował argumenty, jakby miał stanąć przed ławą przysięgłych, ale kiedy usiadł naprzeciwko Iriny, spojrzał na jej twarz skrzata i żalną czapkę, cała mowa wyleciała mu z głowy, zaproponował więc wprost, żeby się do niego przeprowadziła.

- Moje mieszkanie jest wygodne, ma aż nadto metrów kwadratowych, miałybyś swój własny pokój i łazienkę. Za darmo.
- W zamian za co? – zapytała dziewczyna z niedowierzaniem.
- Za to, że będziesz dla mnie pracowała.
- A konkretnie w jakim charakterze?

– Przy książce o Belascach. Konieczne jest zebranie mnóstwa informacji, a ja nie mam na to czasu.

– Pracuję czterdzieści godzin tygodniowo w Lark House i dodatkowo dwanaście dla twojej babci, poza tym w weekendy kąpię psy, a noce zamierzam poświęcić na naukę. Mam mniej czasu niż ty, Seth.

– Mogłabyś rzucić to wszystko, poza pracą u babci, i zająć się moją książką. Miałabyś gdzie mieszkać i dostawałabyś przyzwoitą pensję. Chcę sprawdzić, jak to jest mieszkać z kobietą, nigdy tego nie próbowałem, a lepiej, żebym trochę poćwiczył.

– Widzę, że zaskoczyło cię, jak mieszkam. Nie chcę, żebyś się nade mną litował.

– Nie lituję się nad tobą. W tym momencie jestem na ciebie wściekły.

– Chcesz, żebym zostawiła swoją pracę, pewne zarobki, pokój ze stałym czynszem w Berkeley, który tak ciężko było mi zdobyć, żebym zamieszkała w twoim mieszkaniu i wylądowała na ulicy, kiedy się mną znudzisz. Bardzo korzystna propozycja.

– Niczego nie rozumiesz, Irino!

– Owszem, rozumiem. Chcesz mieć sekretarkę, a przy okazji kogoś do łóżka.

– Na Boga! Nie będę cię błagał, ale ostrzegam, że jestem bliski tego, żeby się wycofać i zniknąć z twojego życia. Wiesz, co do ciebie czuję, nawet moja babcia to widzi.

– Alma? Co ma z tym wspólnego twoja babcia?

– To był jej pomysł. Ja chciałem ci zaproponować, żebyśmy się pobrali, i tyle, ale ona powiedziała, że lepiej żebyśmy spróbowali pomieszkać razem przez rok czy dwa. W ten sposób ty miałabyś czas, żeby się do mnie przyzwyczaić, a moi rodzice, żeby oswoić się z myślą, że nie jesteś Żydówką i że jesteś biedna.

Irina już nie próbowała powstrzymać płaczu. Ukryła twarz w skrzyżowanych na stole ramionach, zamoczona bólem głowy, który nasilił się w ostatnich godzinach, i pogubiona w lawinie skrajnych uczuć: sympatii i wdzięczności wobec Seta, wstydu z powodu własnych zahamowań, obaw o swoją przyszłość. Ten mężczyzna proponował jej miłość jak z powieści, ale to nie było dla niej. Mogła kochać starszaków z Lark House, Almę Belasco, niektórych przyjaciół, na przykład swojego wspólnika Tima, który teraz przyglądał jej się zaniepokojony z powodu baru, swoich dziadków mieszkających w pniu sekwoi, Neko, Sofię i inne zwierzęta z ośrodka; mogła kochać Seta bardziej niż kogokolwiek innego w całym swoim życiu, ale i tak nie było to wystarczająco mocno.

– Co się z tobą dzieje, Irino? – zapytał, zbity z tropu.

– To nie ma nic wspólnego z tobą. Chodzi o sprawy z przeszłości.

– Opowiedz mi o nich.

– Po co? Są bez znaczenia – wymamrotała, wydmuchując nos w papierową serwetkę.

– Mają bardzo duże znaczenie. Wczoraj w nocy chciałem wziąć cię za rękę, a ty omal mnie nie uderzyłaś. Oczywiście miałaś rację, zachowałem się jak świnia. Wybacz mi. To się więcej nie powtórzy, obiecuję. Kocham cię od trzech lat, dobrze o tym wiesz. Na co czekasz, żeby mnie pokochać? Uważaj, mogę zdobyć inną dziewczynę z Mołdawii, są ich całe setki, gotowe wyjść za mąż w zamian za amerykańską wizę.

– Dobry pomysł.

– Ze mną będziesz szczęśliwa, Irino. Jestem najlepszym facetem pod słońcem, całkowicie nieszkodliwym.

- Żaden amerykański adwokat na motorze nie jest nieszkodliwy. Ale przyznaję, że świetny z ciebie gość.
- W takim razie przyjmujesz propozycję?
- Nie mogę. Gdybyś znał moje powody, uciekałbyś, aż by się kurzyło.
- Niech no zgadnę: przemysł egzotycznych zwierząt zagrożonych wymarciem? To bez znaczenia. Chodź obejrzeć moje mieszkanie, a potem zdecydujesz.

Mieszkanie Setha w nowoczesnym budynku przy The Embarcadero z portierem i fazowanymi lustrami w windzie było tak nieskazitelnie czyste, że miało się wrażenie, iż nikt w nim nie mieszka. Poza skórzaną kanapą w kolorze szpinaku, gigantycznym telewizorem, szklanym stolikiem z równo ułożonymi czasopismami i książkami oraz kilkoma duńskimi lampami nie było niczego więcej na tej saharze okien i pokrytych ciemnym parkietem podłóg. Żadnych dywanów, obrazów, ozdób ani roślin. W kuchni dominowały stół z czarnego granitu oraz błyszczący zestaw miedzianych garnków i patelni, które nieużywane zwisały na hakach z sufitu. Irina zajrzała z ciekawości do lodówki; znalazła tam sok pomarańczowy, białe wino i odtłuszczone mleko.

- Spożywasz czasami jakieś produkty w stanie stałym?
- Tak, w domu rodziców albo w restauracjach. Jak mawia matka, brakuje tu kobiecej ręki. Potrafisz gotować?
- Ziemniaki i kapustę.

Pokój, który – jak twierdził Seth – czekał na Irinę, był aseptyczny i męski jak reszta mieszkania, znajdowało się w nim jedynie szerokie łóżko z lnianą narzutą i poduszkami w trzech odcieniach kawy niepomagającymi w ożywieniu całości, szafka nocna i metalowe krzesło. Na ścianie o barwie piasku wisiało jedno z czarno-białych zdjęć Almy zrobionych przez Nathaniela, ale w odróżnieniu od pozostałych, które wydały się Irinie zbyt śmiałe, na tym widać było tylko pół twarzy śpiącej kobiety, otoczonej mglistą, senną aurą. Był to jedyny element dekoracyjny, jaki Irina zobaczyła na pustyni Setha.

- Od jak dawna tu mieszkasz? – zapytała.
- Od pięciu lat. Podoba ci się?
- Widok jest niesamowity.
- Ale mieszkanie wydaje ci się bardzo zimne – wywnioskował Seth. – No cóż, jeśli zechcesz dokonać zmian, będziemy musieli uzgodnić szczegóły. Żadnych frędzli ani pastelowych kolorów, nie pasują do mojej osobowości, ale jestem skłonny pójść na drobne ustępstwa, jeśli chodzi o wystrój. Niekoniecznie teraz, trochę później, kiedy zaczniesz mnie błagać, żebym się z tobą ożenił.

– Dziękuję, ale na razie odprowadź mnie do metra, muszę wrócić do domu. Chyba mam gripę, wszystko mnie boli.

– Co to, to nie, moja panno. Zamówimy chińszczyznę, obejrzymy jakiś film i zaczekamy, aż zadzwoni doktor Kallet. Dam ci aspirynę i zrobię herbatę, powinny pomóc. Szkoda, że nie mam rosołu, to niezawodne lekarstwo.

– Przepraszam, ale czy mogłabym wziąć kąpiel? Nie robiłam tego od lat, korzystam z pryszniców dla personelu w Lark House.

Popołudnie było słoneczne, z dużego okna przy wannie roztaczał się widok na gwarne miasto, ruch

uliczny, żaglówki na wodach zatoki, tłumy sunące po ulicach pieszo, na rowerach lub na rolkach, klientów przy stolikach stojących na chodniku pod pomarańczowymi markizami, wieżę zegarową Ferry Building. Dygocąc z zimna, Irina zanurzyła się po uszy w ciepłej wodzie i poczuła, że rozluźniają się jej zeszywniałe mięśnie i odprężają obolałe kości. Kolejny raz błogosławiła pieniądze i hojność Belasców. Seth powiadomił ją wkrótce przez drzwi, że przywieźli jedzenie, ale pławiła się jeszcze przez pół godziny. W końcu niechętnie włożyła ubranie. Chciało jej się spać i miała zawroty głowy. Dolatujący z pudełek zapach wieprzowiny w sosie słodko-kwaśnym, *chow mein*, i kaczkę po pekińsku przyprawił ją o mdłości. Zwinęła się na kanapie i zasnęła. Otworzyła oczy kilka godzin później, kiedy za oknami było już ciemno. Seth podłożył jej poduszkę pod głowę i otulił narzutą. Siedział w kącie kanapy, trzymając na kolanach jej stopy, i oglądał już drugi film – szpiegzy, międzynarodowe przestępstwa i czarne charaktery z rosyjskiej mafii.

– Nie chciałem cię budzić. Dzwonił Kallet i powiedział, że Neko pomyślnie przeszedł operację, ale ma dużego guza w śledzionie, a to początek końca – oznajmił.

– Biedak, mam nadzieję, że nie cierpi...

– Kallet nie pozwoli, żeby cierpiał, Irino. Co z twoim bólem głowy?

– Nie wiem. Jestem bardzo śpiąca. Nie dodałeś mi niczego do herbaty, prawda?

– Jasne, wrzuciłem ci ketaminę. Może połóż się do łóżka i porządnie wyśpij? Masz gorączkę.

Zaprowadził ją do pokoju ze zdjęciem Almy, zdjął jej buty, pomógł się położyć, przykrył ją i wrócił oglądać film. Nazajutrz Irina obudziła się późno. Wypociała i przespała gorączkę; czuła się lepiej, ale wciąż ledwo stała na nogach. Na czarnym stole w kuchni znalazła wiadomość od Setha: „Kawa jest gotowa do przefiltrowania, włącz ekspres. Babcia wróciła do Lark House, powiedziałem jej o Neko. Uprzedzi Voigta, że jesteś chora i nie przyjdiesz do pracy. Odpoczywaj. Zadzwoń później. Buziaki. Twój przyszły mąż”. Zostawił jej także karton rosółu z kluskami, opakowanie truskawek i papierową torbę ze słodkimi bułkami z pobliskiej cukierni.

Seth wrócił przed osiemnastą; przyjechał prosto z sądu, bo chciał jak najszybciej zobaczyć się z Iriną. Dzwonił do niej kilkakrotnie, żeby sprawdzić, czy sobie nie poszła, bał się jednak, że uciekła w ostatniej chwili pod wpływem nagłego impulsu. Kiedy o niej myślał, pierwszym obrazem, który przychodził mu do głowy, był zając gotowy rzucić się do ucieczki, a drugim jej blada twarz, rozchylone usta, okrągłe zdziwione oczy, kiedy z uwagą słuchała opowieści Almy, pochłaniając każde jej słowo. Gdy tylko otworzył drzwi, wyczuł obecność Iriny. Wiedział, że tu jest, jeszcze zanim ją zobaczył, apartament był zamieszkały, piasek ścian wydawał się cieplejszy, parkiet nabrał satynowego blasku, którego wcześniej nie widział, nawet powietrze stało się przyjemniejsze. Wyszła mu na spotkanie niepewnym krokiem, miała oczy zapuchnięte od snu i zmierzwione włosy, które przypominały białawą perukę. Seth otworzył ramiona, a ona pierwszy raz się w nich schroniła. Zwarli się w uścisku, który dla niej trwał wieczność, a dla niego tyle co jedno westchnienie; potem Irina zaprowadziła go za rękę na kanapę. „Musimy porozmawiać”, powiedziała.

Po wysłuchaniu zwierzeń dziewczyny Catherine Hope kazała jej obiecać, że opowie o wszystkim Sethowi, nie tylko po to, żeby wyrwać szkodliwą roślinę, która ją zatruwa, ale przede wszystkim dlatego, że chłopak zasługiwał na to, by poznać prawdę.

Pod koniec 2000 roku agent Ron Wilkins współpracował z dwoma śledczymi z Kanady przy poszukiwaniu źródła setek filmików i zdjęć krążących po internecie, przedstawiających mniej więcej

dziewięcioletnią dziewczynkę poddawaną tak brutalnej deprawacji i przemocy, że prawdopodobnie tego nie przeżyła. Materiały te cieszyły się dużą popularnością wśród kolekcjonerów specjalizujących się w dziecięcej pornografii, którzy kupowali do własnego użytku zdjęcia i filmy za pośrednictwem międzynarodowej siatki. Wykorzystywanie seksualne dzieci nie było niczym nowym, funkcjonowało przez wieki całkowicie bezkarnie, jednak teraz amerykańska policja dysponowała uchwalonym w 1978 roku prawem, w świetle którego dziecięca pornografia stała się przestępstwem ściganym w Stanach Zjednoczonych. Od tego czasu produkcja i dystrybucja fotografii i filmów uległy ograniczeniu, bo zyski nie kompensowały prawnych konsekwencji. Nastąpiła jednak era internetu i rynek rozwinął się w niekontrolowany sposób. Szacowano, że istnieje kilkaset tysięcy stron internetowych poświęconych dziecięcej pornografii, które mają ponad dwadzieścia milionów użytkowników, a połowa z nich mieszka w Stanach Zjednoczonych. Zadaniem policji było zdemaskowanie klientów, ale przede wszystkim walka z producentami. Sprawie dziewczynki o bardzo jasnych włosach, spiczastych uszach i z dołeczkiem w brodzie nadano kryptonim „Alice”. Materiał był świeży. Policja podejrzewała, że Alice może być starsza, niż się wydaje, producentom zależało bowiem, by ofiary wyglądały jak najmłodszej, zgodnie z oczekiwaniami klientów. Po piętnastu miesiącach intensywnej współpracy Wilkins i Kanadyjczycy trafili na ślad jednego z kolekcjonerów, chirurga plastycznego z Montrealu. Przeszukali jego dom i klinikę, skonfiskowali komputery i znaleźli ponad sześćset plików, wśród nich dwa zdjęcia i jeden filmik z Alice. Chirurg został aresztowany. Zgodził się na współpracę z władzami w zamian za łagodniejszy wyrok. Mając do dyspozycji uzyskane informacje i kontakty, Wilkins przystąpił do dzieła. Krzepki agent określał sam siebie mianem psa gończego, zwykł mawiać, że gdy już coś wywęszy, nic nie jest w stanie rozproszyć jego uwagi; pójdzie tym tropem aż do końca i nie spocznie, póki nie dopadnie zdobyczy. Podszywając się pod amatora dziecięcej pornografii, ściągnął kilka zdjęć Alice, przerobił je cyfrowo, żeby wyglądały na oryginały i żeby nie było widać twarzy dziewczynki – wtajemniczeni i tak ją rozpoznają. Dzięki nim zyskał dostęp do siatki, z której usług korzystał kolekcjoner z Montrealu. Wkrótce zdobył kilku potencjalnych nabywców. Miał już pierwszy trop, reszta była kwestią intuicji.

Pewnego listopadowego wieczoru 2002 roku Ron Wilkins zadzwonił do domu w ubogiej dzielnicy na południu Dallas. Drzwi otworzyła mu Alice. Od razu ją poznał, nie sposób było jej z nikim pomylić. „Przyszedłem porozmawiać z twoimi rodzicami”, powiedział z westchnieniem ulgi, bo jechał tu, nie mając pewności, czy dziewczynka żyje. Był to jeden z tych szczęśliwych okresów, kiedy Jim Robyns pracował w innym mieście, a mała mieszkała sama z matką. Agent pokazał odznakę FBI i nie czekając na zaproszenie, pchnął drzwi i wszedł do środka, prosto do salonu. Irina na zawsze zapamięta ten moment, jakby dopiero co go przeżyła, tego czarnoskórego olbrzyma o słodkim kwiatowym zapachu, spokojnym, głębokim głosem i dużych delikatnych dłoniach różowych na spodzie. „Ile masz lat?”, zapytał. Radmila była już przy drugim kieliszku wódki i trzeciej butelce piwa, ale uważała, że nadal jest trzeźwa, i próbowała się wtrącić, argumentując, że jej córka jest nieletnia i pytania powinny być kierowane do niej. Wilkins ruchem dłoni nakazał jej milczenie. „Skończę piętnaście”, odpowiedziała dziewczynka ledwo słyszalnym głosem, jakby przyłapano ją na jakimś uchybieniu, a mężczyznę przeszedł dreszcz, bo jego jedyna córka, światło jego życia, była w jej wieku. Alice miała ciężkie dzieciństwo, z powodu niedoboru białka późno się rozwinęła, przy swoim niskim wzroście i drobnych kościach śmiało mogła uchodzić za dużo młodszą dziewczynkę. Wilkins obliczył, że skoro teraz wygląda na dwanaście lat, na pierwszych nagraniach, które zaczęły krążyć po internecie, mogła uchodzić za dziewięcio-, dziesięcioletkę. „Pozwól mi porozmawiać na osobności z twoją mamą”, poprosił zawstydzony. Jednak w ciągu tych kilku minut Radmila weszła już w agresywne stadium pijaństwa i upierała się, krzycząc wniebogłosy, że jej córka może usłyszeć wszystko, co ma jej do powiedzenia policjant. „Prawda, Elisabeto?” Dziewczynka przytaknęła jak zahipnotyzowana ze wzrokiem wbitym w ścianę. „Bardzo mi

przykro, moje dziecko”, powiedział Wilkins i położył na stole kilka zdjęć. W ten sposób Radmila zobaczyła, co działo się pod jej własnym dachem od ponad dwóch lat, a czego nie chciała widzieć. Alice zaś odkryła, że miliony mężczyzn we wszystkich częściach świata obejrzały jej intymne zabawy z ojczymem. Od lat czuła się brudna, zła i winna; kiedy zobaczyła leżące na stole zdjęcia, chciała umrzeć. Nie było dla niej odkupienia.

Jim Robyns zapewnił ją, że takie zabawy z tatą czy z wujkami są normalne, że dużo chłopców i dziewczynek uczestniczy w nich z ochotą i są za nie wdzięczni. Te dzieci są szczególne. Ale nikt o tym nie mówi, to pilnie strzeżony sekret, nigdy nie powinna nikomu o nim wspominać, ani koleżankom, ani nauczycielkom, a tym bardziej panu doktorowi, bo ludzie powiedzą, że jest grzesznicą, że jest nieczysta, i zostanie sama, bez przyjaciół; odrzuci ją nawet własna matka, Radmila jest bardzo zazdrosna. Dlaczego się opiera? Chce dostawać prezenty? Nie? Dobrze, w takim razie będzie jej płacił, jakby była dorosłą kobietką, nie bezpośrednio, ale jej dziadkom. Osobiście będzie wysyłał pieniądze do Mołdawii w imieniu ich wnuczki; ona ma tylko pisać listy, ale nie może o niczym mówić Radmili – to też miał być ich sekret. Czasami starzy ludzie potrzebują dodatkowych pieniędzy, bo muszą naprawić dach czy kupić kolejną kozę. Nie ma problemu; on ma dobre serce, rozumie, że w Mołdawii żyje się ciężko, całe szczęście, że Elisabeta miała możliwość przyjazdu do Ameryki; niemniej powinna się nauczyć, że pieniędzy nie dostaje się za darmo, musi je zarobić, prawda? Ma się uśmiechać, to akurat nic jej nie kosztuje, wkładać ubrania, które on jej wybierze, podporządkowywać się sznurom i żelazu, pić dla rozluźnienia dzin, z sokiem jabłkowym, żeby nie poparzył jej gardła, szybko przyzwyczai się do jego smaku, może chce więcej cukru? Mimo alkoholu, narkotyków i strachu w którymś momencie dziewczynka zdała sobie sprawę, że w szopie z narzędziami – „domku” ich obojga, gdzie nikt inny nie miał wstępu, nawet jej matka – są kamery. Robyns przysiągł, że zdjęcia i nagrania są do prywatnego użytku, należą wyłącznie do niego, nikt ich nigdy nie zobaczy, schowa je na pamiątkę, żeby cieszyć się nimi jeszcze przez kilka lat, kiedy ona wyjedzie do college’u.

Jak bardzo będzie za nią tęsknił!

Obecność tego nieznanego Murzyna z dużymi dłońmi i smutnymi oczami oraz jej zdjęcia były dowodem na to, że ojczym ją okłamał. Wszystko, co wydarzyło się w domku, krążyło w internecie i nadal krąży, nie można tego usunąć ani zniszczyć, zawsze będzie istniało. W każdej minucie w jakimś miejscu na świecie ktoś będzie ją gwałcił, ktoś będzie się masturbował, patrząc na jej cierpienie. Przez resztę życia, dokądkolwiek pojedzie, ktoś będzie mógł ją rozpoznać. Nie było ucieczki. Horror nigdy się nie skończy. Zawsze kiedy poczuje zapach alkoholu czy smak jabłka, znowu znajdzie się w domku; zawsze będzie oglądała się za siebie, przemykała chyłkiem; zawsze będzie czuła odrazę, gdy ktoś jej dotknie.

Tamtej nocy, po wyjściu Rona Wilkinsa, dziewczynka zamknęła się w swoim pokoju sparaliżowana strachem i wstrętem, pewna, że kiedy wróci ojczym, zabije ją. Zagroził, że to zrobi, jeśli piśnie choćby słowo o ich zabawie. Śmierć była dla niej jedynym wyjściem, ale nie z jego rąk, nie powolna i okrutna, jaką często jej opisywał, za każdym razem dodając nowe szczegóły.

W tym czasie Radmila wlała w siebie resztę wódki, padła nieprzytomna i spędziła najbliższe dziesięć godzin na podłodze w kuchni. Kiedy przeszedł jej trochę kac, rzuciła się z pięściami na córkę, tę uwodzicielkę, tę dziwkę, która zdeprawowała jej męża. Trwało to krótko, bo akurat przyjechał radiowóz z dwoma policjantami i pracownicą opieki społecznej, wysłany przez Wilkinsa. Aresztowali Radmilę i zabrali dziewczynkę do dziecięcego szpitala psychiatrycznego, gdzie miała zostać, dopóki Sąd dla Nieletnich nie zdecyduje, co z nią zrobić. Już nigdy nie zobaczyła matki ani ojczyma.

Radmila zdążyła ostrzec Jima Robynsa, że jest poszukiwany, więc uciekł z kraju, ale nie spodziewał

się, że Ron Wilkins przez kolejne cztery lata będzie go szukał po całym świecie, aż w końcu znajdzie go na Jamajce i sprowadzi w kajdankach do Stanów Zjednoczonych. Ofiara nie musiała oglądać oprawcy podczas rozprawy, bo adwokaci wysłuchali jej zeznań na osobności, a sędzia zwolniła ją z obowiązku uczestnictwa w procesie. Od niej Irina dowiedziała się, że dziadkowie umarli, a przekazy pieniężne nigdy nie zostały wysłane. Jim Robyns dostał karę dziesięciu lat więzienia bez możliwości zwolnienia warunkowego.

– Zostały mu trzy lata i dwa miesiące. Kiedy wyjdzie na wolność, zacznie mnie szukać, a ja nie będę się miała gdzie ukryć – zakończyła Irina.

– Nie będziesz się musiała ukrywać. Dostanie zakaz zbliżania się do ciebie. Jeśli go złamie, wróci do więzienia. Będę przy tobie i dopilnuję, żeby przestrzegał zakazu. – Seth próbował ją uspokoić.

– Czy nie widzisz, że to niemożliwe? W każdej chwili ktoś z twojego otoczenia, współnik, przyjaciel, klient, twój własny ojciec, może mnie rozpoznać. W tej chwili jestem na wielu tysiącach monitorów.

– Nie, Irino, ty jesteś dwudziestosześcioletnią kobietą, a ta, która krąży po internecie, to Alice, dziewczynka, która już nie istnieje. Pedofile już nie są tobą zainteresowani.

– Mylisz się. Musiałam kilkakrotnie uciekać z różnych miejsc, bo prześladowuje mnie jakiś palant. Na nic się zdaje chodzenie z tym na policję, nie potrafią przeszkodzić gościowi w rozpowszechnianiu moich zdjęć. Myślałam, że jeśli przefarbuję sobie włosy na czarno i będę się malowała, pozostanę niezauważona, ale to nie zadziałało; mam charakterystyczną twarz, nie zmieniłam się za bardzo przez te lata. Nigdy nie zaznam spokoju, Seth. Skoro twoja rodzina odrzuciłaby mnie dlatego, że jestem biedna i nie jestem Żydówką, wyobrażasz sobie, co by powiedzieli, gdyby odkryli to?

– Powiemy im o wszystkim, Irino. Będzie ich trochę kosztowało, żeby zaakceptować taką prawdę, ale myślę, że w końcu pokochają cię jeszcze bardziej z powodu tego, co przeżyłaś. To bardzo dobrzy ludzie. Był w twoim życiu czas cierpienia; teraz powinien się zacząć czas zdrowienia i wybaczenia.

– Wybaczenia, Seth?

– Jeśli tego nie zrobisz, zniszczy cię żal. Niemal wszystkie rany goją się dzięki miłości. Musisz pokochać samą siebie i pokochać mnie. Umowa stoi?

– To samo powiedziała Cathy.

– Posłuchaj jej, ta kobieta dużo wie. Pozwól, żebym ci pomógł. Nie jestem żadnym mędrce, ale dobry ze mnie towarzysz i dałem ci wystarczająco dużo dowodów mojego uporu. Nigdy nie daję za wygraną. Pogódź się z tym, Irino, nie zamierzam zostawić cię w spokoju. Czujesz moje serce? Wzywa cię – szepnął, biorąc jej dłoń i przykładając ją sobie do piersi.

– Jest coś więcej.

– Jeszcze więcej?

– Odkąd agent Wilkins uratował mnie przed ojczymem, nikt mnie nie dotykał... Wiesz, co mam na myśli. Byłam sama i wolę, żeby tak zostało.

– No cóż, Irino, to będzie musiało się zmienić, ale nie ma pośpiechu. To, co zaszło, nie ma nic wspólnego z miłością i już nigdy więcej ci się nie przytrafi. Nie ma też nic wspólnego z nami. Kiedyś powiedziałaś mi, że starzy ludzie kochają się bez pośpiechu. Niezły pomysł. Będziemy się kochali jak para staruszków, co o tym myślisz?

– Nie sędzę, żeby nam się udało.

– W takim razie pójdziemy na terapię. No już, przestań płakać. Jesteś głodna? Uczesz się trochę,



pójdziemy coś zjeść i porozmawiamy o grzechach mojej babci, to zawsze poprawia nam humor.

# Tijuana

W szczęśliwych miesiącach 1955 roku, kiedy Alma i Ichimei mogli się kochać bez przeszkód w nędznym motelu w Martinez, kobieta wyznała, że jest bezpłodna. Było to nie tyle kłamstwo, ile pragnienie, nadzieja. Zrobiła to, żeby zachować spontaniczność w łóżku, bo wierzyła, że diafragma pozwoli jej uniknąć niespodzianek, a jej miesiączka była zawsze tak nieregularna, że ciocia Lillian zaprowadziła ją kilkakrotnie do ginekologa, który zdiagnozował u niej torbiele jajników mogące wpłynąć na jej płodność. Alma stale przekładała operację – jak tyle innych rzeczy – jako że macierzyństwo nigdy nie należało do jej priorytetów. Założyła, że na tym etapie swojej młodości w jakiś magiczny sposób nie zajdzie w ciążę. Takie wypadki zdarzały się kobietom z innej klasy społecznej, bez wykształcenia i środków do życia. Ponieważ nie pilnowała cykli, zdała sobie sprawę ze swojego stanu dopiero w dziesiątym tygodniu, ale zaufała szczęściu jeszcze na kolejne dwa. Pomyślała, że może to błąd w obliczeniach; jeśli jednak to było to, czego tak się bała, wystarczy intensywna gimnastyka, a problem rozwiąże się sam. Zaczęła jeździć wszędzie na rowerze, zaciekle pedałowując. Co chwila sprawdzała, czy na bieliźnie pojawiła się krew. Z biegiem dni jej strach narastał, ale nadal przyjeżdżała na spotkania z Ichimeim i kochała się z nim w tym samym gorączkowym popłochu, w jakim pedałowowała w górę i w dół z boczka. Wreszcie, kiedy nie mogła już dłużej ignorować nabrzmiałych piersi, porannych mdłości i napadów lęku, nie zwróciła się z tym do Ichimeiego, ale do Nathaniela, jak to robiła od czasu, gdy byli dziećmi. Żeby nie ryzykować, że wujostwo zorientują się, w czym rzecz, odwiedziła go w Kancelarii Prawniczej Belasco i Belasco, w biurze przy Montgomery Street, które istniało od czasów patriarchy rodu, otwartym w 1920 roku. Wyposażono je w majestatyczne meble i regały pełne prawniczych ksiąg oprawionych w ciemnozieloną skórę; było to mauzoleum prawa, gdzie perskie dywany tłumiły kroki i gdzie porozumiewano się konfidencjonalnym szeptem.

Nathaniel, w koszuli, z poluzowanym krawatem i potarganymi włosami, siedział za biurkiem otoczony stosami dokumentów i otwartych ksiąg, ale na widok kuzynki natychmiast wstał, żeby ją uściskać. Alma wtuliła twarz w jego szyję, czując głęboką ulgę, że może zrzucić swój dramat na tego mężczyznę, który nigdy jej nie zawiodł. „Jestem w ciąży” – tyle tylko zdołała powiedzieć. Nie wypuszczając jej z objęć, Nathaniel poprowadził ją do kanapy i usiedli obok siebie. Alma opowiedziała mu o miłości, o motelu i o tym, że ciąży nie jest winny Ichimei, ale ona sama, że gdyby Ichimei się dowiedział, na pewno nalegałby na ślub, by wziąć odpowiedzialność za dziecko. Dobrze to przemyślała, brakuje jej odwagi, by zrezygnować z tego, co zawsze miała, i zostać żoną Ichimeiego; uwielbia go, ale wie, że bieda zabije ich miłość. Ma do wyboru borykać się z problemami finansowymi w japońskiej wspólnocie, z którą nic jej nie łączy, albo nadal żyć bezpiecznie we własnym otoczeniu. Zwyciężył strach przed nieznanym; wstydzi się swojej słabości, Ichimei zasługuje na bezwarunkową miłość, to cudowny mężczyzna, mędrzec, święty, czysta dusza, delikatny, czuły kochanek, w którego ramionach jest szczęśliwa. Szeptła tę litanie nieskładnych słów, wydmuchując nos, żeby nie wybuchnąć płaczem i zachować resztki godności. Dodała, że Ichimei żyje w wymiarze duchowym, że zawsze będzie prostym ogrodnikiem zamiast rozwinąć swój ogromny talent artystyczny albo postarać się przekształcić swoją szkółkę kwiatów w dochodowy interes. Nic z tych rzeczy, nie ma większych aspiracji, wystarczy mu, że zarabia tyle, by się utrzymać, ma w nosie

dobrobyt i sukces, woli medytację i spokój, ale tego się nie je, a ona nie zamierza zakładać rodziny w drewnianej chatce z dachem z falistej blachy i żyć wśród rolników z łopata w dłoniach. „Wiem, Nathanielu, wybacz mi, ostrzegałeś mnie tysiące razy, ale ja cię nie słuchałam, miałaś rację, zawsze masz rację, teraz widzę, że nie mogę wyjść za Ichimeiego, ale nie mogę też przestać go kochać, bez niego uschłabym jak roślina na pustyni, umarłabym, od tej pory będę bardziej uważać, będziemy się zabezpieczać, to już się nie powtórzy, przysięgam, Nathanielu, przysięgam”. Mówiła dalej bez przerwy, dławiąc się usprawiedliwieniami i poczuciem winy. Nathaniel wysłuchiwał kuzynki bez słowa, aż w końcu Almie brakło powietrza, by dalej się użalać, i jej głos przeszedł w szept.

– Nie wiem, czy cię dobrze zrozumiałem. Jesteś w ciąży i nie masz zamiaru powiedzieć o tym Ichimeiemu... – podsumował Nathaniel.

– Nie mogę mieć dziecka bez ślubu. Musisz mi pomóc. Jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić.

– Aborcja? Jest nielegalna i niebezpieczna, Almo. Nie licz na mnie.

– Posłuchaj, wszystko dokładnie sprawdziłam. To bezpieczne, nie ma w tym ryzyka i kosztuje tylko sto dolarów, ale musisz ze mną pojechać do Tijuany.

– Do Tijuany? Aborcja jest nielegalna również w Meksyku. To szaleństwo!

– Tu jest znacznie bardziej ryzykowna. Tam lekarze wykonują zabiegi pod nosem policji, nikogo to nie obchodzi.

Alma pokazała mu kawałek papieru z numerem telefonu i wyjaśniła, że już dzwoniła do Tijuany, do niejakiego Ramona. Odebrał jakiś mężczyzna posługujący się bardzo złym angielskim, który zapytał, kto go polecił i czy zna warunki. Podawała mu nazwisko pośrednika, zapewniła, że zapłaci gotówką, po czym uzgodnili, że za dwa dni ma czekać o trzeciej po południu na umówionym rogu. Podjedzie po nią samochodem.

– Powiedziałaś temu Ramonowi, że będzie ci towarzyszył adwokat? – zapytał Nathaniel, godząc się w ten sposób milcząco na rolę, którą mu wyznaczyła.

Wyjechali następnego dnia o szóstej rano czarnym lincolnem należącym do rodziny Belasców, który lepiej się nadawał na piętnastogodzinną podróż niż sportowy samochód Nathaniela. Chłopak, wściekły, że został zmuszony do udziału w tej eskapadzie, początkowo trwał we wrogim milczeniu. Prowadził z zaciśniętymi ustami, zmarszczonymi brwiami, dłońmi obejmującymi kurczowo kierownicę i wzrokiem wbitym w szosę, ale zmiękł po tym, jak Alma pierwszy raz poprosiła go, by zatrzymał się na parkingu dla ciężarówek, bo chciała skorzystać z ubikacji. Siedziała tam pół godziny, a kiedy już miał po nią pójść, zobaczył, że wraca do samochodu zmieniona na twarzy. „Rano wymiotuję, Nat, ale potem mi przechodzi”, wyjaśniła. Przez resztę drogi próbował zająć ją rozmową, w końcu zaczęli śpiewać najłatwiej wpadające w ucho piosenki Pata Boone’a, jedyne, jakie znali. Później Alma położyła głowę na ramieniu Nathaniela i co chwila zapadała w drzemkę. W San Diego zatrzymali się w hotelu, żeby zjeść i odpocząć. Recepcjonista założył, że są małżeństwem, dał im więc pokój z podwójnym łóżkiem. Leżeli na nim, trzymając się za ręce, jak w dzieciństwie. Pierwszy raz od kilku tygodni Almy nie nękały koszmary, natomiast Nathaniel nie zmrużył oka aż do świtu, wdychał zapach włosów kuzynki, i rozmyślał o groźnych jej niebezpieczeństwach, smutny i zdenerwowany, jakby to on był ojcem dziecka. Wyobrażał sobie następstwa, żałował, że zgodził się na tę bezsensowną wyprawę zamiast przekupić jakiegoś lekarza w Kalifornii, gdzie wszystko można załatwić za odpowiednią cenę, tak samo jak w Tijuanie. Wraz

z pierwszym światłem, jakie pojawiło się w szczelinie między zasłonami, zmogło go zmęczenie; obudził się dopiero o dziewiątej, kiedy usłyszał Almę wymiotującą w łazience. Wyruszyli odpowiednio wcześniej, w razie gdyby mieli stać dłużej na granicy, by dotrzeć na czas na spotkanie z Ramonem.

Meksyk powitał ich swoim tradycyjnym kolorytem. Nigdy wcześniej nie byli w Tijuanie, spodziewali się sennej miejsciny, a trafili do wielkiego miasta, hałaśliwego, barwnego, pełnego ludzi, tętniącego ruchem ulicznym, gdzie rozklekotane autobusy i nowoczesne samochody ocierały się o wózki ciągnięte przez osły. W jednym sklepie można było kupić meksykańską żywność i amerykański sprzęt AGD, buty i instrumenty muzyczne, części zamienne i meble, ptaki w klatkach i tortille. Smród smażeniny i śmieci unosił się w powietrzu wprawianym w drganie muzyką ludową, głosami ewangelickich kaznodziejów i relacjami z meczów piłki nożnej płynącymi z radioodbiorników w barach i *taquerías*. Mieli kłopoty z orientacją: wiele ulic nie posiadało nazw ani numerów, musieli pytać o drogę co trzy, cztery przecznice, ale nie rozumieli udzielanych po hiszpańsku wskazówek, które prawie zawsze ograniczały się do niedbałego machnięcia ręką w dowolnym kierunku i słów: „Tam za rogiem, jeszcze tylko kawałeczek”. Zmęczeni zaparkowali lincolna przy stacji benzynowej i poszli dalej na piechotę, aż trafili na umówione miejsce, które okazało się skrzyżowaniem ruchliwych ulic. Czekali, trzymając się pod rękę, bacznie i bezczelnie obserwowani przez samotnego psa i grupę obdartych żebrzących dzieciaków. Jediną wskazówką, jaką Alma otrzymała od Ramona oprócz nazwy ulicy przecinającej skrzyżowanie, był sklep o niedorzecznej nazwie „Wiwat Zapata” z ubrankami do Pierwszej Komunii oraz obrazkami Matki Boskiej i katolickich świętych.

Po dwudziestu minutach czekania Nathaniel orzekł, że zostali oszukani i powinni wracać, ale Alma przypomniała mu, że punktualność nie jest zaletą mieszkańców tego kraju, i weszła do „Wiwat Zapata”. Gestykulując, poprosiła o udostępnienie telefonu i zadzwoniła na numer Ramona. Dopiero po dziewięciu sygnałach usłyszała głos mówiącej po hiszpańsku kobiety, z którą nie zdołała się porozumieć. Około czwartej po południu, kiedy Alma pogodziła się już z myślą, że muszą wracać, na rogu przystanął ford rocznik 1949 w kolorze zielonego groszku, z przyciemnionymi tylnymi szybami, jaki wcześniej opisał jej Ramón. Z przodu zobaczyli dwóch mężczyzn. Za kierownicą siedział młody chłopak ze śladami po ospie, fryzurą à la Elvis i bujnymi baczkami. Drugi mężczyzna wysiadł, żeby mogli wejść do środka, bo w samochodzie była tylko jedna para drzwi. Przedstawił się jako Ramón. Miał trzydzieści kilka lat, przylizany wąsik, wypomadowane zaczesane do tyłu włosy, białą koszulę, dzinsy i wysokie buty na obcasie, z wąskimi noskami. Obaj palili papierosy. „Pieniądze”, zażądał ten z wąsami, gdy tylko wsiedli do samochodu. Nathaniel wręczył mu dolary, Ramón przeliczył je i schował do kieszeni. Przez całą drogę, która Almie i Nathanielowi wydawała się długa, mężczyźni nie zamienili słowa. Pasażerowie byli pewni, że wożą ich w kółko, żeby stracili orientację, zbędny środek ostrożności, bo i tak nie znali miasta. Wczepiona w kuzyna Alma myślała o tym, jak wyglądałaby sytuacja, gdyby była sama, Nathaniel zaś bał się, że mężczyźni, którzy dostali już pieniądze, mogą ich w każdej chwili zastrzelić i wrzucić do jakiegoś wąwozu. Nikomu nie powiedzieli, dokąd jadą, minęłyby tygodnie albo i miesiące, zanim rodzina dowiedziałaby się, co ich spotkało.

W końcu ford zahamował. Kazali im czekać; młodzian z baczkami wszedł do domu, a Ramón został w samochodzie. Stali przed budynkiem wzniesionym tanim kosztem, podobnym do innych na tej ulicy, w dzielnicy, którą Nathaniel uznał za ubogą i brudną, wiedział jednak, że ocenia ją, porównując z San Francisco. Dwie minuty później chłopak wrócił. Polecili Nathanielowi wysiąść i zrewidowali go od stóp do głów. Kiedy zrobili taki ruch, jakby chcieli wziąć go pod rękę i gdzieś zaprowadzić, gwałtownie się uwolnił i rzucił po angielsku jakieś przekleństwo. Zaskoczony Ramón wykonał pojednawczy gest. „Spokojnie, brachu, wszystko w porządku”, powiedział i roześmiał się, pokazując dwa złote zęby.

Poczęstował go papierosem, którego Nathaniel przyjął. Drugi mężczyzna pomógł Almie wysiąść z samochodu. Weszli do budynku; nie przypominał jaskini zbójców, czego obawiał się Nathaniel, ale był skromnym rodzinnym domem, niskim, o małych oknach, gorącym i ciemnym. W pokoju zobaczyli dwójkę dzieci, które bawiły się na podłodze ołowianymi żołnierzami, stół, krzesła, osłoniętą plastikiem kanapę, pretensjonalną lampę z frędzlami i lodówkę, głośną jak silnik motorówki. W kuchni, skąd dochodził zapach smażonej cebuli, ubrana na czarno kobieta mieszała coś na patelni. Okazała gościom równie mało zainteresowania jak dzieci. Młodszy mężczyzna wskazał Nathanielowi krzesło i poszedł do kuchni, natomiast Ramón zaprowadził Almę krótkim korytarzykiem do innego pokoju zasłoniętego ozdobną meksykańską narzutą udającą drzwi.

– Niech pan zaczeka! – zatrzymał go Nathaniel. – Kto przeprowadzi zabieg?

– Ja – odparł Ramón, który chyba jako jedyny mówił trochę po angielsku.

– Zna się pan na medycynie? – zapytał Nathaniel, patrząc na jego dłonie o długich polakierowanych paznokciach.

Odpowiedzią znowu były sympatyczny śmiech i błysk złota, kolejne uspokajające gesty, kilka zdań wypowiedzianych łamanym angielskim: ma duże doświadczenie, to potrwa niespełna piętnaście minut, żaden problem. „Znieczulenie? Nie, przyjacielu, tu nic takiego nie mamy, ale to pomoże”, powiedział, podając Almie butelkę tequili. Ponieważ się wahała i patrzyła na nią nieufnie, Ramón pociągnął długi łyk, otarł szyjkę rękawem i ponownie podsunął butelkę kobiecie. Nathaniel zobaczył przerażenie na jej bladej twarzy i w jednej chwili podjął najważniejszą decyzję w swoim życiu.

– Rozmyśliliśmy się. Pobierzemy się i będziemy mieli to dziecko. Może pan zatrzymać pieniądze.

Alma miała mnóstwo czasu, by drobiazgowo przeanalizować swoje postępowanie z 1955 roku. Powróciła wtedy do rzeczywistości i bezskutecznie próbowała złagodzić uporczywe poczucie wstydu, które ją dręczyło, wstydu, że tak głupio zaszła w ciążę, że kochała Ichimeiego mniej niż samą siebie, że przeraźliwie bała się biedy, że uległa presji społecznej i uprzedzeniom rasowym, że zgodziła się na poświęcenie Nathaniela, że nie dorosła do roli nowoczesnej amazonki, którą udawała, że jest tchórzem, oportunistką – tu padało kilka innych epitetów, którymi się umartwiała. Była świadoma, że zrezygnowała z aborcji ze strachu przed bólem i śmiercią wskutek krwotoku albo infekcji, a nie z szacunku dla istoty, którą nosiła w swoim łonie. Ponownie przyjrzała się sobie w wielkim lustrze szafy, ale odnalazła nie wcześniejszą Almę, śmiałą i zmysłową dziewczynę, którą zobaczyłby Ichimeim, gdyby tam był, lecz tchórzliwą, kapryśną i egoistyczną kobietę. Daremnie próbowała wymyślić dla siebie jakieś usprawiedliwienie, nic jednak nie łagodziło poczucia, że straciła godność. Lata później, kiedy miłość do kogoś innej rasy i posiadanie nieślubnych dzieci staną się modne, Alma przyzna w głębi duszy, że jej najbardziej zakorzenione uprzedzenie dotyczyło klasy społecznej i że nigdy nie zdołała się go pozbyć. Pomimo wyczerpującej nerwowo podróży do Tijuany, która zniszczyła iluzję miłości i upokorzyła Almę do tego stopnia, że schroniła się za gigantyczną dumą, nigdy nie wątpiła, że postąpiła słusznie, ukrywając prawdę przed Ichimeim. Wyznanie jej byłoby równoznaczne z wystawieniem na widok publiczny własnego tchórzostwa.

Po powrocie z Tijuany umówiła się z Ichimeim o wcześniejszej niż zwykle godzinie w tym samym motelu co zawsze. Przyjechała tam z wyniosłą miną, uzbrojona w kłamstwa, ale w duszy płakała. Pierwszy raz Ichimeim był wcześniej. Czekał w jednym z obskurnych, opanowanych przez karaluchy pokoi, które oni rozświetlali płomieniem miłości. Nie widzieli się od pięciu dni. Od kilku tygodni coś zakłócało harmonię ich spotkań, coś groźnego; Ichimeim czuł, że otacza ich jak gęsta mgła, za to Alma niefrasobliwie

nie przywiązywała do tego wagi, zarzucając mu, że plecie bzdury z zazdrości. Chłopak zauważył, że zachowuje się inaczej, była niespokojna, mówiła za dużo i bardzo szybko, z minuty na minutę wpadała w inny nastrój, przechodziła od kokieterii i pieszczot do ponurego milczenia albo wybuchała niewytłumaczalnym gniewem. Oddalała się emocjonalnie, to nie ulegało dla niego wątpliwości, choć nagłe przyływy namiętności i zaciekłość, z jaką niekiedy dążyła do osiągnięcia orgazmu, wskazywałyby, że jest na odwrót. Czasami, kiedy odpoczywali objęci po zbliżeniu, miała mokre policzki. „To łyzy miłości”, mówiła, ale Ichimeiemu, który nigdy wcześniej nie widział, by płakała, wyglądało to na łyzy rozczarowania, a akrobacje seksualne wydawały mu się próbą odwrócenia jego uwagi. Nie tracąc swojej atawistycznej powściągliwości, usiłował wysondować, co dzieje się z Alną, ale ona odpowiadała na jego pytania szyderczym śmiechem albo prowokowała go jak prostytutka, czym sprawiała mu przykrość, choć tylko żartowała. Wymykała mu się niczym jaszczurka. W ciągu tych pięciu dni rozstania, które Alma usprawiedliwiła przymusową rodzinną podróżą do Los Angeles, Ichimei zamknął się w sobie, co zwykł od czasu do czasu czynić. Nadal uprawiał ziemię i z właściwym sobie oddaniem pielęgnował kwiaty, ale poruszał się, jakby był zahipnotyzowany. Matka, która znała go lepiej niż ktokolwiek inny, powstrzymała się od pytań i sama zawiozła zbiory do San Francisco. W ciszy i spokoju, pochylony nad roślinami plecami do słońca, Ichimei oddał się we władanie przeczuciom, które rzadko go zawodziły.

Kiedy Alma ujrzała go w hotelowym pokoju w świetle przenikającym przez zniszczone zasłony, poczucie winy wróciło. Przez bardzo krótką chwilę nienawidziła tego mężczyzny, który zmuszał ją do konfrontacji z najbardziej nikczemną wersją jej samej, ale natychmiast powróciła fala miłości i pożądania, która zawsze ogarniała ją w jego obecności. Czekał na nią, stojąc przy oknie, emanował niewzruszoną siłą wewnętrzną, pozbawiony próżności, czuły i delikatny, z malującym się na twarzy spokojem, z ciałem jakby wyrzeźbionym z drewna, sztywnymi włosami, zręcznymi palcami, oczami pełnymi czułości, uśmiechem, który wypływał z bardzo głęboka, z tym swoim sposobem kochania się z nią, jakby to był ich ostatni raz. Nie mogła spojrzeć mu w twarz, udała napad kaszlu, żeby stłumić niepokój, który palił ją od środka. „Co się dzieje, Almo?”, spytał, nie dotykając jej. Wtedy ona, niczym kauzyperda, wygłosiła starannie przygotowaną mowę o tym, że go kocha i będzie kochać przez resztę swoich dni, ale ten związek nie ma przyszłości, jest niemożliwy, że rodzina i przyjaciele zaczynają coś podejrzewać i zadawać pytania, że wywodzą się z dwóch bardzo różnych światów i każde z nich musi zaakceptować swoje przeznaczenie, że postanowiła kontynuować studiowanie sztuki w Londynie i że będą musieli się rozstać.

Ichimei wysłuchał jej wywodu ze stoickim spokojem, jakby był na to przygotowany. Po słowach Almy zapadła długa cisza, ona zaś pomyślała w tej przerwie, że mogliby jeszcze raz desperacko się kochać, żarliwie pożegnać; byłby to ostatni podarunek od zmysłów, zanim nieodwołalnie odetną się od marzenia, które pielęgnowali w sobie od czasów dzieciństwa, i niewinnych czułości w ogrodzie w Sea Cliff. Zaczęła rozpinąć bluzkę, ale Ichimei powstrzymał ją ruchem dłoni.

– Rozumiem, Almo – powiedział.

– Wybacz mi. Miałam tysiące wariackich pomysłów na to, żebyśmy nadal byli razem, na przykład znalezienie jakiejś kryjówki, gdzie moglibyśmy się kochać, zamiast tego odrażającego motelu, ale wiem, że to niemożliwe. Nie jestem w stanie już dłużej znosić tych tajemnic, kosztuje mnie to zbyt wiele nerwów. Musimy rozstać się na zawsze.

– Na zawsze to dużo czasu. Myślę, że spotkamy się jeszcze w bardziej sprzyjających okolicznościach albo w innym życiu. – Ichimei próbował nad sobą zapanować, ale załamał mu się głos, a jego serce zalał lodowaty smutek.

Objęli się, bezradni, osieroceni przez miłość. Nogi ugięły się pod Alną, mało brakowało, a przyłgnęłyby do twardej piersi kochanka, wyznałyby mu wszystko, nawet najgłębiej ukryte sekrety swojej hańby, zaczęłyby go błagać, by wzięli ślub, zamieszkali w jakiejś chacie i wychowywali mieszane dzieci, obiecałyby mu, że będzie uległą żoną i zrezygnuje ze swoich malowideł na jedwabiu, z dobrobytu w Sea Cliff i ze wspaniałej przyszłości, jaka należała jej się z racji urodzenia, zrezygnuje z wielu innych rzeczy tylko dla niego, z powodu wyjątkowej miłości, która ich łączy. Być może Ichimei domyślił się tego wszystkiego, ale w swojej dobroci nie dopuścił, by się tak umartwiała, i zamknął jej usta niewinnym, krótkim pocałunkiem. Nie przestając jej obejmować, poprowadził ją do drzwi, a potem do samochodu. Pocałował ją jeszcze raz, w czoło, po czym skierował kroki w stronę ogrodniczej furgonetki, nie odwracając się, by rzucić jej ostatnie spojrzenie.

11 lipca 1969 r.

Nasza miłość jest nieuchronna, Almo. Zawsze to wiedziałem, ale przez całe lata buntowałem się przeciwko temu, próbowałem wyrzucić Cię ze swoich myśli, jako że nigdy nie mógłbym wyrwać Cię ze swojego serca. Nie rozumiałem, dlaczego mnie porzuciłaś bez podania powodów. Czułem się oszukany. Ale dzięki pierwszej podróży do Japonii miałem czas, żeby się uspokoić, i w końcu przyjąłem do wiadomości, że w tym życiu Cię straciłem. Przestałem snuć bezsensowne domysły na temat tego, co między nami zaszło. Nie spodziewałem się, że los znowu nas połączy. Teraz, po czternastu latach rozłąki, w czasie których myślałem o Tobie każdego dnia, wiem, że nigdy nie będziemy małżonkami, ale wiem też, że nie możemy odrzucić tego, co tak silnie odczuwamy. Spróbuj przeżywać nasz związek tak, jakbyśmy byli w bańce mydlanej – chroniony przed muśnięciami świata, nienaruszony, do końca naszego życia i po śmierci. Od nas zależy, czy miłość będzie wieczna.

Ichi

# Najlepsi przyjaciele

Ślub Almy Mendel i Nathaniela Belasca był prywatną uroczystością, która odbyła się na tarasie domu w Sea Cliff. Dzień był początkowo ciepły i słoneczny, ale potem ochłodziło się i pociemniało; nieoczekiwanie napłynęły czarne chmury, które odzwierciedlały stan ducha młodej pary. Alma miała pod oczami worki koloru bakłażana, spędziła bezsenność noc, roztrząsając mnóstwo wątpliwości, a kiedy zobaczyła rabina, pobiegła do łazienki, wstrząsana spazmami strachu. Nathaniel zamknął się tam razem z nią, zmusił ją, by przemyła twarz zimną wodą, upomniął, by się opanowała i robiła dobrą minę do złej gry. „Nie zostałeś sama z tym wszystkim, Almo. Jestem z tobą i zawsze będę”, obiecał. Rabin, który początkowo sprzeciwiał się małżeństwu ze względu na pokrewieństwo pary, zaakceptował sytuację, ponieważ Isaac Belasco, najwybitniejszy członek jego gminy, wyjaśnił mu, że z powodu stanu Almy nie ma innego wyjścia, jak dać im ślub. Powiedział, że młodych od dzieciństwa łączy miłość, a ich uczucie zamieniło się w namiętność, kiedy Alma wróciła z Bostonu; to się zdarza, taka jest kondycja ludzka, a w obliczu faktu dokonanego pozostaje tylko udzielić im błogosławieństwa. Martha i Sarah wymyśliły, że aby uciszyć plotki, będą na przykład opowiadać, iż Alma została adoptowana w Polsce przez Mendlów, więc małżonków nie łączą więzy krwi, ale Isaac się temu sprzeciwił. Do popełnionego błędu nie można było dodawać jeszcze takiego prostackiego kłamstwa. W głębi duszy cieszył się ze związku dwóch osób, które oprócz żony kochał najbardziej na świecie. Wolał tysiąc razy, by Alma wyszła za Nathaniela i została na stałe przywiązana do rodziny, niż żeby poślubiła kogoś obcego i poszła własną drogą. Lillian przypomniała mu, że z kazirodczych związków rodzą się opóźnione w rozwoju dzieci, ale zapewnił ją, że to tylko ludowy przesąd. Naukowo uzasadnione obawy odnoszą się wyłącznie do zamkniętych wspólnot, w których osoby połączone więzami krwi wydają potomstwo przez kilka pokoleń. A tak nie było w przypadku Nathaniela i Almy.

Po ceremonii z udziałem rodziny, księgowego z kancelarii adwokackiej i służby domowej wszystkim obecnym podano uroczystą kolację w wielkiej jadalni, z której korzystano jedynie w szczególnych okazjach. Kucharka, jej pomocnica, pokojówki i kierowca nieśmiało zasiedli z państwem do stołu, obsługiwani przez dwóch kelnerów z Ernie's, najbardziej wykwintnej restauracji w mieście, która przygotowała przyjęcie. Na ten pomysł wpadł Isaac, by oficjalnie potwierdzić, że od tego dnia Alma i Nathaniel są małżonkami. Służbie domowej, która znała ich jako członków jednej rodziny, nie było łatwo przyzwyczać się do tej zmiany. Pokojówka pracująca u Belasców od czterech lat myślała wręcz, że są rodzeństwem, bo aż do tej pory nikomu nie przyszło do głowy, by powiedzieć jej, że są kuzynami. Kolacja zaczęła się w grobowym milczeniu, wszyscy siedzieli zakłopotani ze wzrokiem wbitym w talerze, ale zaczęli się ożywiać, w miarę jak dolewano wina, a Isaac zmuszał gości do wznoszenia kolejnych toastów za nowożeńców. Był wesoły i wylewny, ciągle napełniał swój kieliszek i kieliszki innych; wyglądał na zdrowszą i młodszą wersję starszaka, którym stał się w ostatnich latach. Lillian, zatroskana i wystraszona, że wysiądzie mu serce, trącała go pod stołem, żeby się uspokoił. Na koniec nowożeńcy pokroili tort z kremem i marcepanem tym samym srebrnym nożem, którym Isaac i Lillian podzielili podobny tort na swoim weselu wiele lat wcześniej. Pożegnali się z każdym z osobna i odjechali taksówką, bo kierowca wypił tak dużo, że popłakiwał na krześle, recytując coś po irlandzku –



swoim ojczyntym języku.

Pierwszą noc po ślubie spędzili przy szampanie i czekoladkach w udekorowanym kwiatami apartamencie dla nowożeńców hotelu Palace, gdzie kiedyś Alma cierpiała męki na swoich balach dla debutantek. Następnego dnia polecili do Nowego Jorku, a stamtąd na dwa tygodnie do Europy. Tę podróż Isaac Belasco na nich wymusił, bo żadne nie miało na nią ochoty. Nathaniel prowadził kilka spraw i nie chciał opuszczać kancelarii, ale ojciec kupił bilety, wcisnął mu je do kieszeni i przekonał go do wyjazdu argumentem, że miesiąc miodowy to obowiązek wynikający z tradycji; i tak krążyło już zbyt dużo plotek o pospiesznym ślubie kuzynów, żeby dawać pretekst do kolejnych.

Tej pierwszej nocy Alma rozebrała się w łazience, wróciła do pokoju w koszuli i jedwabnym szlafroku z koronką, kupionych naprędce przez Lillian razem z resztą wiana. Wykonała teatralny obrót, żeby popisać się przed Nathanielem, który czekał na nią ubrany, siedząc na ławeczce u stóp łóżka.

– Dobrze się przypatrz, Nat, bo nie będziesz miał drugiej okazji, żeby mnie w tym podziwiać. Koszula już mnie ciśnie w pasie. Nie sądzę, żebym mogła ją jeszcze kiedykolwiek włożyć.

Mąż wychwycił drżenie jej głosu, którego nie zdołała zamaskować tym kokieterijnym komentarzem. Przywołał ją do siebie klepieniem w siedzisko ławki. Alma zajęła miejsce obok niego.

– Nie mam złudzeń, Almo. Wiem, że kochasz Ichimeiego.

– Ciebie też kocham, Nat, nie umiem tego wytłumaczyć. W twoim życiu musiało być z tuzin kobiet, nie wiem, dlaczego nigdy mi żadnej nie przedstawiłeś. Kiedyś powiedziałeś, że jeśli się zakochasz, ja dowiem się o tym pierwsza. Po urodzeniu dziecka rozwiedziemy się i będziesz wolny.

– Nie zrezygnowałem dla ciebie z żadnego wielkiego romansu. Poza tym proponowanie rozwodu w pierwszą noc po ślubie wydaje mi się w bardzo złym guście.

– Nie kpij. Powiedz prawdę, czujesz do mnie jakiś pociąg? Mam na myśli pociąg do kobiety.

– Do tej pory zawsze traktowałem cię jak młodszą siostrę, ale to mogłoby się zmienić, kiedy będziemy mieszkać razem. Chciałabyś tego?

– Nie wiem. Jestem zagubiona, smutna, rozżłoszczona, mam mętlik w głowie i dziecko w brzuchu. Zrobiłeś marny interes, żeniąc się ze mną.

– To się dopiero okaże, ale chcę, żebyś wiedziała, że będę dobrym ojcem dla tego chłopca czy tej dziewczynki.

– Dziecko będzie miało azjatyckie rysy. Jak to wytłumaczymy?

– Nie będziemy nic wyjaśniać i nikt się nie odważy o to prosić. Głowa do góry i buzia w ciup, to najlepsza taktyka. Jedyntym, który ma prawo pytać, jest Ichimei Fukuda.

– Już się więcej z nim nie zobaczę. Dziękuję, po tysiackroć dziękuję za to, co dla mnie robisz. Jesteś najszlachetniejszą osobą na świecie, postaram się być godną ciebie żoną. Jeszcze kilka dni temu myślałam, że umrę bez Ichimeiego, ale teraz wierzę, że z twoją pomocą jakoś przeżyję. Nie zawiodę cię. Będę ci zawsze wierna, przysięgam.

– Sza! Nie obiecujmy czegoś, czego być może nie będziemy w stanie spełnić. Postaramy się przejść przez to razem, krok po kroku, dzień po dniu. To jedyntym, co możemy sobie nawzajem obiecać.

Isaac Belasco od razu odrzucił pomysł, by nowożeńcy zamieszkali we własnym domu, bo w Sea Cliff było aż nadto miejsca. Tak wielkie rezydencje budowano właśnie po to, by pod jednym dachem

mieszkało kilka pokoleń. Poza tym Alma musiała o siebie dbać, potrzebowała opieki, towarzystwa Lillian i kuzynek. Isaac uznał, że urządzenie domu i prowadzenie go wymagałoby niewspółmiernie dużego wysiłku. Użył szantażu emocjonalnego: chciał, by spędzili z nim tę niewielką resztę życia, jaka mu została, a potem mieszkali z owdowiałą Lillian. To okazało się argumentem nie do odrzucenia. Nathaniel i Alma zaakceptowali decyzję patriarchy; ona nadal spała w swoim błękitnym pokoju, gdzie jedyną zmianą były dwa łóżka zamiast jednego, oddzielone szafką nocną, on sprzedał swój penthouse i wrócił do domu rodziców. W jego dawnym kawalerskim pokoju pojawiły się biurko, książki, płyty i kanapa. Wszyscy w domu wiedzieli, że rozkład dnia małżonków nie sprzyja intymności. Alma wstawała w południe i wcześniej szła do łóżka, Nathaniel pracował jak galernik, wracał późno z kancelarii, zamykał się ze swoim książkami i płytami z muzyką klasyczną, kładł po północy, spał niewiele i wychodził, zanim ona się obudziła. W weekendy grał w tenisa, wbiegał truchtem na Mount Tamalpais, pływał żaglówką po zatoce, wracał spalony słońcem, spocony, wyciszony. Zauważono również, że sypia na kanapie w swoim gabinecie, ale przypisywano to temu, że żona potrzebowała odpoczynku. Nathaniel tak uprzejmie odnosił się do Almy, ona tak bardzo go potrzebowała, mieli do siebie tak duże zaufanie i sprawiali wrażenie tak pogodnie usposobionych, że tylko Lillian podejrzewała, iż coś tu nie gra.

– Jak się układa między tobą i moim synem? – zapytała po ich powrocie z podróży poślubnej, kiedy Alma była już w czwartym miesiącu ciąży.

– Dlaczego mnie, ciociu, o to pytasz?

– Bo kochacie się tak samo jak przedtem, nic się nie zmieniło. Małżeństwo bez namiętności jest jak jedzenie bez soli.

– Chcesz, żebyśmy publicznie obnosili się z naszą namiętnością? – spytała Alma ze śmiechem.

– Moja miłość do Isaaca to najcenniejsze, co mam, cenniejsze niż dzieci i wnuki. Tego samego pragnę dla was, żebyście byli zakochani jak my.

– Co każe ci przypuszczać, że nie jesteśmy?

– Przeżywasz najlepszy etap ciąży. Między czwartym a siódmym miesiącem kobieta czuje się silna, pełna energii, zmysłowa. Nikt o tym nie mówi, nie wspominają o tym lekarze, ale to jak czas rui. Tak było, kiedy spodziewałam się moich trojga dzieci: wprost narzucałam się Isaacowi. Skandaliczne zachowanie! U Nathaniela ani u ciebie nie widzę tego entuzjazmu.

– Skąd wiesz, co robimy za zamkniętymi drzwiami?

– Almo, nie odpowiadaj mi pytaniami!

Po drugiej stronie zatoki San Francisco Ichimei zamknął się w długotrwałym milczeniu, zatopiony w niespokojnych myślach wywołanych zdradzoną miłością. Przykładał się pilnie do pracy przy kwiatkach, które by go pocieszyć, wyrastały bardziej kolorowe i pachnące niż zwykle. Dowiedział się o ślubie Almy, bo Megumi przeglądała u fryzjera jakieś kolorowe czasopismo i w rubryce towarzyskiej zobaczyła zdjęcie odświętnie ubranych Almy i Nathaniela Belasców, którzy przewodniczyli dorocznemu bankietowi rodzinnej fundacji. Notatka pod fotografią informowała, że niedawno wrócili z podróży poślubnej do Włoch, zawierała też opis wspaniałej gali i eleganckiej sukni Almy, zainspirowanej drapowanymi tunikami starożytnej Grecji. Według czasopisma była to para, o której najczęściej pisano w ciągu całego roku. Nie podejrzewając, że wbije bratu włócznię w serce, Megumi wyrwała całą stronę i zabrała ją do domu. Ichimei przeczytał wszystko dokładnie, nie okazując żadnych emocji. Od kilku tygodni daremnie próbował zrozumieć, co w ciągu ostatnich miesięcy działo się z Almą w tym ich motelu miłości, jaka zdarza się raz na tysiąc lat. Uważał, że przeżył coś absolutnie nadzwyczajnego, namiętność godną

literatury, ponowne spotkanie dwóch dusz przeznaczonych do trwania razem w czasie, ale podczas gdy on przyjął to za cudowny pewnik, ona planowała ślub z innym. Tak monstrualne kłamstwo nie mieściło mu się w głowie, zapierało dech w piersiach. W środowisku Almy i Nathaniela Belasców małżeństwo stanowiło coś więcej niż połączenie dwóch osób, było całą strategią społeczną, ekonomiczną i rodzinną. Niemożliwe, by Alma oddawała się przygotowaniom, nie dając po sobie poznać, co zamierza. Dowody miał przed oczyma, ale on, ślepy i głuchy, ich nie widział. Teraz skojarzył fakty i znalazł wytłumaczenie niespójnego zachowania Almy w ostatnim czasie, tego, że była rozkojarzona, niezdecydowana, że stosowała różne wybiegi, żeby unikać odpowiedzi, zastawiała sprytne pułapki, by odwrócić jego uwagę, wyginała ciało, by kochać się, nie patrząc mu w oczy. Jej obłuda była tak wielka, sieć kłamstw tak zawiła i splątana, wyrządzona krzywda tak niepowetowana, że nie miał innego wyjścia, jak uznać, że w ogóle nie znał Almy, że była obcą osobą. Ukochana kobieta nigdy nie istniała, stworzył ją ze swoich snów.

Heideko Fukuda, zmęczona patrzeniem na syna nieobecnego duchem i zachowującego się jak lunatyk, zadecydowała, że nadszedł moment, by zabrać go do Japonii, żeby poszukał tam swoich korzeni, a przy odrobinie szczęścia znalazł też narzeczoną. Podróż miała mu pomóc zrzucić ciężar, który go przygniatał, a którego przyczyn ani ona, ani Megumi nie zdołały odkryć. Ichimei był za młody na zakładanie rodziny, ale osiągnął dojrzałość starca; należało jak najszybciej podjąć jakieś działania, żeby wybrać przyszłą synową, zanim chłopak ulegnie zgubnemu amerykańskiemu zwyczajowi brania ślubu z powodu miłosnych urojeń. Megumi całkowicie pochłaniały studia, ale zgodziła się nadzorować dwóch rodaków zatrudnionych do prowadzenia kwiatowego interesu w czasie ich podróży. Wpadła na pomysł, by Boyd Anderson w dowód miłości zostawił wszystko na Hawajach, przeprowadził się do Martinez i hodował kwiaty, Heideko jednak nadal wzdragała się przed wymówieniem imienia wytrwałego zalotnika i traktowała go, jakby nadal był strażnikiem obozu dla internowanych. Musiało upłynąć pięć lat, zanim odezwała się do białego diabła po narodzinach swojego pierwszego wnuka, Charlesa Andersona, syna Megumi i Boyda. Heideko zorganizowała podróż, nie pytając Ichimeiego o zdanie. Oznajmiła mu, że muszą dopełnić obowiązku i złożyć hołd przodkom Takao; obiecała to swojemu mężowi, kiedy umierał, żeby mógł spokojnie odejść. Takao nie zdołał uczynić tego za życia, teraz im przypadła w udziale ta pielgrzymka. Mieli odwiedzić sto świątyń, by złożyć ofiary i rozrzucić w każdej z nich szczyptę jego prochów. Ichimei zaprotestował czysto retorycznie, bo w głębi duszy było mu wszystko jedno, gdzie przebywa; położenie geograficzne nie miało wpływu na proces wewnętrzznego oczyszczania, który się w nim rozpoczął.

W Japonii Heideko oznajmiła synowi, że jeśli o nią chodzi, ma przede wszystkim zobowiązania nie wobec zmarłego męża, lecz wobec swoich starych rodziców, o ile jeszcze żyli, i rodzeństwa, których nie widziała od 1922 roku. Nie zaproponowała Ichimeiemu, by jej towarzyszył. Pożegnała go beztrąsko, jakby szła na zakupy, nie interesując się, jak syn da sobie w tym czasie radę. Ichimei oddał matce wszystkie pieniądze, jakie mieli. Odprowadził ją na dworzec, zostawił walizkę w przechowalni i ruszył w przeciwnym kierunku, w tym, co miał na sobie, ze szczoteczką do zębów i ceratowym woreczkiem, w którym były prochy ojca. Nie potrzebował mapy, bo wyuczył się swojej trasy na pamięć. Przez cały pierwszy dzień szedł z pustym żołądkiem, aż o zmierzchu dotarł do niewielkiego szintoistycznego sanktuarium. Położył się pod ścianą. Już zasypiał, kiedy podszedł do niego mędykant i powiedział, że w sanktuarium zawsze znajdują się herbata i ciastka ryżowe dla pielgrzymów. Tak miało wyglądać jego życie przez kolejne cztery miesiące. Szedł przez cały dzień, dopóki nie zmogło go zmęczenie, pościł, dopóki ktoś nie zaproponował mu czegoś do jedzenia, spał, gdzie zastała go noc. Nigdy nie musiał o nic prosić, nigdy nie potrzebował pieniędzy. O niczym nie myślał, zachwycał się krajobrazem i własnym zmęczeniem, a trud wędrówki wyszarpywał z niego stopniowo złe wspomnienie o Almie. Kiedy

pielgrzymka po świątyniach dobiegła końca, ceratowy woreczek był pusty, a on wyzbył się mrocznych uczuć, które dręczyły go na początku podróży.

2 sierpnia 1994 r.

Żyć w niepewności, bez poczucia bezpieczeństwa, bez planów i celów, pozwalając się nieść niczym ptak utrzymywany w locie przez wiatr – tego nauczyłem się podczas moich pielgrzymek. Dziwi Cię, że w wieku sześćdziesięciu dwóch lat wciąż potrafię z dnia na dzień wyruszyć bez bagażu w podróż bez trasy, jak młody chłopak, który przemieszcza się autostopem, że znikam na nieokreślony czas, że nie dzwonię do Ciebie ani nie piszę, że po powrocie nie potrafię Ci powiedzieć, gdzie byłem. Nie ma w tym żadnej tajemnicy, Almo. Po prostu wędruję. Niewiele mi potrzeba, by przeżyć, niemal nic. Ach, wolność!

Wyjeżdżam, ale zawsze mam Cię w pamięci.

Ichi

# Jesień

Lenny Beal zajrzał do mieszkania Almy w Lark House, kiedy drugi dzień z rzędu nie pojawiła się na spotkaniu na ich ławce w parku. Otworzyła mu Irina, która przyszła wcześniej do pracy, żeby pomóc staruszce się ubrać.

– Czekałem na ciebie. Nie przysłaś – powiedział Lenny.

– Życie jest zbyt krótkie, żeby być punktualnym – odparła Alma z westchnieniem.

Od kilku dni Irina przychodziła wcześniej, żeby zrobić jej śniadanie, czuwać, kiedy brała prysznic, i pomóc przy ubieraniu, ale żadna z nich nie wspominała o tym głośno, bo to oznaczałoby przyznanie, że Alma zaczyna potrzebować pomocy i powinna zostać przeniesiona do drugiej grupy albo wrócić do rodziny do Sea Cliff. Wolały myśleć, że ta nagła słabość jest tylko chwilową niedyspozycją. Seth poprosił Irinę, żeby zrezygnowała z pracy w Lark House, opuściła swój pokój, który nazywał mysią norą, i ostatecznie się do niego przeprowadziła, ale ona wciąż tkwiła jedną nogą w Berkeley, żeby uniknąć pułapki zależności, której bała się tak samo, jak Alma przeniesienia do drugiej grupy. Próbowwała wyjaśnić to Sethowi, ale poczuł się urażony takim porównaniem.

Odejście Neko było dla Almy jak zawał – nadal bolało ją serce. Kot ukazywał jej się co rusz pod postacią poduszki na kanapie, zmarszczonego rogu dywanika, niedbale powieszzonego płaszcza, cienia drzewa padającego na okno. Neko był jej powiernikiem przez osiemnaście lat. Żeby nie rozmawiać sama ze sobą, mówiła do niego, spokojna, że jej nie odpowie i że rozumie wszystko dzięki swojej kociej mądrości. Mieli podobne charaktery, byli zarozumiali, leniwi, lubili samotność. Alma kochała nie tylko jego brzydotę pospolitego dachowca, ale także ślady, jakie wrył na nim czas: wyleniałe miejsca na skórze, zakrzywiony ogon, zaropiałe oczy, brzusek łakomczucha. Tęskniła za nim w łóżku, nie mogła zasnąć, nie czując ciężaru Neko opartego o jej bok czy leżącego na stopach. Zwierzak był jedyną istotą poza Kirsten, która jej dotykała. Irina chciałaby móc to robić – wymasować jej plecy, umyć włosy, pomalować paznokcie, znaleźć jakikolwiek sposób, by zbliżyć się fizycznie do Almy, sprawić, by poczuła, że nie jest sama, jednak kobieta nie dopuszczała do takiej bliskości. Irinie ten rodzaj kontaktu z innymi staruszkami z Lark House wydawał się naturalny, stopniowo zaczynała pragnąć, by taka intymność istniała także między nią a Sethem. Spróbowała zrekompensować nieobecność Neko termoforem z gorącą wodą, który włożyła Almie do łóżka, a ponieważ ten absurdalny pomysł jedynie pogłębił jej smutek, zaproponowała, żeby poszły do schroniska dla zwierząt po nowego kota. Alma uświadomiła jej, że nie może adoptować zwierzaka, który będzie żył dłużej niż ona. Neko był jej ostatnim kotem.

Tamtego dnia Sofia, suka Lenny'ego, zatrzymała się na progu mieszkania, jak to robiła, kiedy żył Neko i bronił swojego terytorium, i uderzała ogonem w podłogę, czekając na spacer, jednak Alma, wyczerpana wysiłkiem, jaki kosztowało ją samo ubranie się, nie zdołała wstać z kanapy. „Zostawiam panią w dobrych rękach”, powiedziała Irina na pożegnanie. Lenny, zaniepokojony, zauważył zmiany w wyglądzie przyjaciółki i jej mieszkania, w którym panował zaduch i unosił się zapach wędnących gardenii.

– Co ci jest, moja droga?

– Nic poważnego. Może mam coś w uchu, dlatego tracę równowagę. Czasami czuję, jakby słoń walił mnie trąbą w pierś.

– Co mówi twój lekarz?

– Nie chcę lekarzy, badań ani szpitali. Kiedy raz w to wdepniesz, już się nie wykaraskasz. I żadnych Belasców! Uwielbiają dramaty, zrobiliby z tego aferę.

– Nie próbuj nawet umierać przede mną. Pamiętaj, co uzgodniliśmy. Wprowadziłem się tutaj, żeby umrzeć w twoich ramionach, a nie na odwrót – zażartował Lenny.

– Nie zapomniałam. Ale jeśli cię zawiodę, zawsze możesz skorzystać z ramion Cathy.

Ta przyjaźń, odkryta późno i smakowana niczym stare wino, dodawała barw rzeczywistości, która nieuchronnie traciła dla obojga blask. Alma miała charakter pustelnika i nigdy nie uświadomiła sobie swojej samotności. Żyła wtopiona w rodzinę Belasców, chroniona przez wujostwo, w dużym domu w Sea Cliff, którym zawsze zarządzali inni – teściowa, majordomus, synowa – jakby była w nim gościem. Czowała, że nigdzie nie pasuje, że odstaje, ale nie stanowiło to dla niej problemu, wręcz przeciwnie, było powodem do pewnej dumy, bo odpowiadało jej wizji samej siebie jako stroniącej od świata, tajemniczej artystki, będącej nieco ponad resztą śmiertelników. Nie miała potrzeby stapiania się z ogółem ludzkości, którą uważała raczej za głupią, w pewnych okolicznościach okrutną, a w najlepszym razie sentymentalną, unikała jednak publicznego wygłaszania tych sądów, które w miarę upływu lat jeszcze się umacniały. Reasumując, w ciągu ponad osiemdziesięciu lat życia kochała tylko kilka osób, za to bardzo intensywnie, idealizowała je w swoim zacieklej romantyzmie, który opierał się każdemu naporowi rzeczywistości. Nie doświadczyła niszczycielskich efektów zakochania w dzieciństwie czy okresie dojrzewania, na studiach trzymała się na uboczu, podróżowała i pracowała sama, nie miała współników ani kolegów z pracy, jedynie podwładnych; kompensowała to wszystko obsesyjną miłością do Ichimeiego Fukudy i wyjątkową przyjaźnią z Nathanielem Belaskiem, którego nie wspominała jako męża, ale jako swojego najbliższego towarzysza. Na ostatnim etapie życia miała przy sobie niezwykle kochankę Ichimeiego, wnuka Seta oraz Irinę, Lenny'ego i Cathy. Spośród wszystkich osób, jakie pojawiały się w jej życiu, tylko ich była skłonna uznać za przyjaciół. Oni chronili ją przed nudą, jedną ze zmór starości. Resztę mieszkańców Lark House traktowała niczym zatokę, którą oglądało się z daleka, nie mocząc w niej stóp. Przez pół wieku Alma należała do elity San Francisco, bywała w operze, uczestniczyła w imprezach charytatywnych i obowiązkowych wydarzeniach towarzyskich, chroniąc się za dystansem nie do pokonania, który narzucała od pierwszej chwili. Powiedziała Lenny'emu Bealowi, że przeszkadzają jej hałas, banalne rozmowy i dziwactwa bliźnich, że jedynie powierzchowna empatia wobec zbolącej ludzkości chroni ją przed zostaniem psychopatką. Łatwo było współczuć nieszczęśliwcom, których nie znała. Nie lubiła ludzi, wolała koty. Istoty ludzkie tolerowała w małych dawkach, więcej niż trzy wywoływały u niej niestrawność. Zawsze unikała wszelkich komitetów, klubów i partii politycznych, nie walczyła o żadną sprawę, nawet jeśli w zasadzie ją popierała, jak w przypadku feminizmu, praw obywatelskich czy pokoju na świecie. „Nie manifestuję w obronie wielorybów, żeby nie bratać się z ekologami”, mawiała. Nigdy nie poświęciła się dla drugiej osoby ani dla żadnej idei, ofiarność nie należała do jej cnót. Poza Nathanielem podczas jego choroby nie musiała się nikim opiekować, nawet własnym synem. Macierzyństwo nie było w jej przypadku burzliwą mieszanką uwielbienia i niepokoju, których rzekomo doświadczają matki, ale spokojnym, stabilnym uczuciem. Larry stał się trwałym, bezwarunkowym elementem jej życia, miłość do niego polegała na połączeniu zaufania z długim przyzwyczajeniem, wygodnym uczuciu, które niewiele od niej wymagało. Podziwiała i kochała Isaaca

i Lillian Belasców, których po tym, jak zostali jej teściami, wciąż nazywała wujkiem i ciocią, ale nie zaraziła się ich dobrocią ani oddaniem innym.

– Całe szczęście, że Fundacja Belasców zajmuje się tworzeniem obszarów zielonych, a nie pomaganiem żebrakom czy sierotom, dzięki temu mogę zrobić coś dobrego bez konieczności zbliżania się do beneficjentów – powiedziała Lenny’emu.

– Milcz, kobieto. Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że jesteś narcystycznym potworem.

– Jeżeli nim nie jestem, to wyłącznie dzięki Ichimeiemu i Nathanielowi, którzy nauczyli mnie dawać i przyjmować. Bez nich popadłabym w zobojętnienie.

– Wielu artystów to introwertycy. Muszą się oderwać od świata, żeby tworzyć – zauważył Lenny.

– Nie szukaj dla mnie usprawiedliwień. Tak naprawdę im jestem starsza, tym bardziej lubię własne wady. Starość to najlepszy czas, żeby być tym, kim się chce, i robić to, na co przyjdzie ochota. Niedługo stanę się nie do zniesienia. Powiedz mi, Lenny, jest coś, czego żałujesz?

– Oczywiście. Szaleństw, których nie popełniłem, tego, że rzuciłem papierosy i margaritę, że zostałem wegetarianinem i że trenowałem do upadłego. I tak umrę, tyle że w dobrej formie – zaśmiał się Lenny.

– Nie chcę, żebyś umierał...

– Ja też nie chcę, ale nie mam wyboru.

– Kiedy cię poznałam, piłeś jak szewc.

– Jestem trzeźwy od trzydziestu lat. Myślę, że piłem tyle, żeby nie myśleć. Z powodu nadpobudliwości ledwie mogłem usiedzieć w jednym miejscu, żeby obciąć sobie paznokcie u nóg. W młodości byłem zwierzęciem stadnym, żyłem otoczony zgiełkiem i ludźmi, a mimo to czułem się samotny. Strach przed samotnością zdefiniował mój charakter, Almo. Chciałem być akceptowany i kochany.

– Mówisz w czasie przeszłym. Już tak nie jest?

– Zmieniłem się. Młodość minęła mi na pogoni za akceptacją i przygodami, aż w końcu naprawdę się zakochałem. Potem pękło mi serce i przez dziesięć kolejnych lat starałem się złożyć jego kawałki.

– Udało ci się?

– Powiedzmy, że tak, dzięki psychologicznemu miszmaszowi – terapii indywidualnej, grupowej, gestaltyzmowi, biodynamice, jednym słowem wszystkiemu, co było dostępne, włącznie z terapią krzykiem.

– Co to takiego, u diabła?

– Zamykałem się z psycholożką, żeby przez pięćdziesiąt pięć minut wrzeszczeć jak opętany i walić pięściami w poduszkę.

– Nie wierzę ci.

– Ależ tak. I wyobraź sobie, że za to płaciłem. Latami chodziłem na terapię. To była wyboista droga, ale poznałem samego siebie i spojrzałem w twarz swojej samotności. Już jej się nie boję.

– Któraś z tych metod mogłaby bardzo pomóc mnie i Nathanielowi, ale nie przyszło nam to do głowy. W naszym środowisku nie chodzono na terapię. Kiedy psychologia stała się modna, dla nas było już za późno.

Nagle, akurat wtedy, kiedy sprawiłyby jej największą radość, przestały przychodzić anonimowe pudła

z gardeniami, które Alma otrzymywała wcześniej co poniedziałek, staruszka jednak wydawała się tego nie zauważać. Od czasu ostatniej eskapady rzadko wychodziła. Gdyby nie Irina, Seth, Lenny i Cathy, którzy walczyli z jej bezruchem, odcięłaby się od świata jak pustelnik. Straciła zainteresowanie książkami, serialami telewizyjnymi, jogą, ogrodem Victora Vikasheva i innymi zajęciami, które wcześniej wypełniały jej czas. Jadła bez apetytu i gdyby Irina jej nie pilnowała, żyłaby pewnie przez kilka dni o samych jabłkach i zielonej herbacie. Nikomu nie powiedziała, że często przyspiesza jej serce, a oczy zachodzą mgłą, że myli się przy najprostszych czynnościach. Mieszkanie, które wcześniej pasowało jak ulał do jej potrzeb, nagle jakby się powiększyło, zmienił się rozkład pomieszczeń, kiedy myślała, że stoi przed łazienką, wychodziła na korytarz, który wydłużył się i poskręcał tak, że trudno jej było trafić do własnych drzwi, bo wszystkie wyglądały tak samo; podłoga falowała, Alma musiała się trzymać ścian, żeby nie upaść; włączniki światła zmieniały miejsce, nie trafiała na nie po ciemku; wszędzie wyrastały nowe szuflady i półki, na których zawieruszały się przedmioty codziennego użytku; zdjęcia mieszały się w albumach. Niczego nie mogła znaleźć, widać sprzątaczką albo Irina chowały gdzieś jej rzeczy.

Rozumiała, że to raczej nie świat płała jej figle; najprawdopodobniej był to efekt niedotlenienia mózgu. Wychylała się przez okno, aby ćwiczyć oddychanie zgodnie z podręcznikiem, który wypożyczyła z biblioteki, ale wciąż przekładała wizytę u kardiologa zaleconą przez Cathy, bo wierzyła, że niemal wszystkie dolegliwości przechodzą same, jeśli dać im trochę czasu.

Niedługo miała skończyć osiemdziesiąt dwa lata, była stara, broniła się jednak przed przekroczeniem progu starczości. Nie zamierzała siedzieć ze wzrokiem wbitym w pustkę, błądząc myślami po przeszłości. Kilka razy przewróciła się bez groźniejszych konsekwencji – nadeszła pora, by zaakceptowała, że czasem ktoś podtrzyma ją za łokieć. Karmiła jednak okruciami resztki próżności i walczyła z pokusą, by dać sobą zawładnąć łatwemu lenistwu. Przerazała ją perspektywa przejścia do drugiej grupy, gdzie pozbawiono by ją prywatności i gdzie najemni opiekunowie towarzyszyliby jej podczas najbardziej intymnych czynności. „Dobranoc, Śmierci”, mówiła przed zaśnięciem ze słabą nadzieją, że się nie obudzi; to byłby najelegantszy sposób odejścia, porównywalny jedynie z zaśnięciem na zawsze w ramionach Ichimeiego po tym, jak skończyli się kochać. Tak naprawdę nie wierzyła, że zasługuje na taki prezent; miała dobre życie, nie widziała powodu, żeby taki był również jego koniec. Przestała się bać śmierci trzydzieści lat wcześniej, kiedy przyszła do niej jako przyjaciółka, aby zabrać ze sobą Nathaniela. Ona sama ją wezwała i oddała go w jej ręce. Nie mówiła o tym Sethowi, bo zarzuciłby jej, że jest nienormalna, ale w rozmowach z Lennym często poruszała ten temat; potrafili długo rozprawiać o tym, co może istnieć po drugiej stronie, o wieczności duszy i nieszkodliwych duchach, które im towarzyszą. Z Iriną mogła rozmawiać o wszystkim, dziewczyna umiała słuchać, ale z powodu młodego wieku jeszcze łudziła się, że jest nieśmiertelna, i nie potrafiła w pełni pojąć uczuć tych, którzy przebyli już prawie całą swoją drogę. Irina nie podejrzewała nawet, jakiej odwagi wymaga starzenie się bez zbytniego strachu; jej wiedza o starości była teoretyczna. Teoretyczne było także to, co publikowano na temat tak zwanego trzeciego wieku, wszystkie te przemyślane księgi i poradniki z biblioteki, napisane przez ludzi, którzy nie byli starzy. Nawet obie psycholożki z Lark House były młode. Co one wiedziały, mimo wszystkich swoich dyplomów, o tym, co się traci? Umiejętności, energię, niezależność, miejsca, ludzi. Alma tak naprawdę nie tęskniła za ludźmi, jedynie za Nathanielem. Rodzinę widywała wystarczająco regularnie, była wdzięczna, że za często jej nie odwiedzają. Synowa twierdziła, że Lark House to przechowalnia starych komunistów i palaczy marihuany, dlatego Alma wolała kontaktować się z nimi telefonicznie i widywać w Sea Cliff albo podczas spacerów, kiedy zechcieli ją ze sobą zabrać. Nie powinna narzekać, jej mała rodzina składająca się jedynie z Larry'ego, Doris, Pauline i Seta nigdy jej nie zawiodła. Nie zaliczała się do porzuconych starców, jak wielu spośród tych, którzy otaczali ją



w Lark House.

Nie mogła już dłużej przekładać decyzji o zamknięciu pracowni malarskiej, którą trzymała ze względu na Kirsten. Wyjaśniła Sethowi, że chociaż jej pomocnica jest nieco ograniczona umysłowo, pracowała z nią przez wiele lat, to jedyna osoba, jaką kiedykolwiek miała, i zawsze nienagannie wypełniała swoje obowiązki. „Muszę ją chronić, Seth, przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić, ale nie mam siły zająć się detalami, to twoje zadanie, po to przecież jesteś prawnikiem”, powiedziała. Kirsten miała ubezpieczenie, rentę i oszczędności; Alma otworzyła jej konto w banku i co roku wpłacała na nie pewną kwotę na nieprzewidziane wydatki, a ponieważ nigdy się takie nie pojawiły, fundusze zostały dobrze zainwestowane. Seth uzgodnił z bratem Kirsten, że zabezpieczą ją finansowo na przyszłość, a z Hansem Voigtem, że zatrudni kobietę w klinice bólu jako pomocnicę Catherine Hope. Wątpliwości dyrektora dotyczące przyjęcia do pracy osoby z zespołem Downa rozwiały się, gdy tylko mu wyjaśniono, że nie będzie musiał wypłacać jej pensji; stypendium Kirsten w Lark House sfinansują Belascowie.

# Gardenie

W drugi poniedziałek bez kwiatowej przesyłki Seth przyszedł do babci w odwiedzinach z trzema gardeniami w pudełku, w dowód pamięci o Neko, jak oznajmił. Niedawna śmierć kota przyczyniła się do ogólnego osłabienia Almy, a duszący zapach kwiatów nie przyniósł jej ulgi. Seth położył je na talerzu z wodą, przygotował herbatę dla obojga i usiadł z babcią na kanapie w saloniku.

– Babciu, co się stało z kwiatami od Ichimeiego Fukudy? – zapytał obojętnym tonem.

– Co ty wiesz o Ichimeim? – Alma wyglądała na wystraszoną.

– Całkiem sporo. Przypuszczam, że ten twój przyjaciel ma związek z listami i gardeniami, które dostajesz, a także z twoimi wyjazdami. Oczywiście możesz robić, babciu, co chcesz, ale uważam, że w twoim wieku nie powinnaś wypuszczać się dokądkolwiek sama albo w nieodpowiednim towarzystwie.

– Śledziłeś mnie! Jak śmiesz wtykać nos w moje życie!?

– Martwię się o ciebie, babciu. Pewnie dlatego, że się do ciebie przywiązałem, mimo że jesteś taką zrędką. Nie musisz niczego ukrywać, możesz nam zaufać, mnie i Irinie. Jesteśmy gotowi do współudziału w każdej głupocie, jaka przyjdzie ci do głowy.

– To nie jest żadna głupota!

– Oczywiście. Wybacz, babciu. Wiem, że to miłość życia. Irina usłyszała przypadkiem twoją rozmowę z Lennym Bealem.

Alma i reszta Belasców wiedzieli już, że Irina mieszka u Seta, jeśli nie na stałe, to co najmniej przez kilka dni w tygodniu. Doris i Larry powstrzymywali się od nieprzyjemnych komentarzy w nadziei, że ta żalosna imigrantka z Mołdawii to tylko przelotny wybryk ich syna, ale traktowali Irinę z lodowatą uprzejmością, przez co dziewczyna unikała niedzielnych obiadów w Sea Cliff, na które Alma i Seth z uporem ją ciągnęli. Za to Pauline, która krytykowała bez wyjątku każdą z wysportowanych sympatii Seta, przyjęła ją z otwartymi ramionami. „Gratuluję ci, braciszku. Irina wnosi dużo świeżości i ma więcej charakteru niż ty. Będzie umiała tobą pokierować”.

– Dlaczego mi wszystkiego nie opowiesz? Nie nadaję się na detektywa, nie mam też zamiaru cię śledzić – prosił Seth.

Dłonie Almy drżały tak, że omal nie wylała herbaty; Seth zabrał jej filiżankę i odstawił na stół. Początkowy gniew już jej przeszedł, zastąpiło go ogromne zmęczenie, przemożne pragnienie, żeby otworzyć serce i opowiedzieć wnukowi o swoich błędach, o tym, co zżera ją od środka i że powoli umiera, czas najwyższy, bo jest już bardzo zmęczona, odejdzie zadowolona i zakochana, czego więcej można chcieć w wieku osiemdziesięciu kilku lat, po tylu latach życia, miłości i połykania łez.

– Wezwij Irinę. Nie chcę powtarzać całej historii – powiedziała Sethowi.

Irina dostała SMS, kiedy siedziała w biurze Hansa Voigta z Catherine Hope, Lupitą Farías i dwiema

przełożonymi, opiekunów i pielęgniarek. Dyskutowali o śmierci na żądanie – tym eufemizmem zastępowano zabroniony przez dyrektora termin „samobójstwo”. W recepcji przechwycono podejrzaną paczkę z Tajlandii, która jako dowód rzeczowy leżała teraz na biurku Voigta. Przyszła na nazwisko Helen Dempsey, osiemdziesięciodziewięcioletniej pensjonariuszki z trzeciej grupy, cierpiącej na nawroty raka, niemającej rodziny, wzbraniającej się przed przechodzeniem kolejnych chemioterapii. Zgodnie z załączoną instrukcją obsługi zawartość paczki należało popić alkoholem, a koniec miał nastąpić łagodnie, we śnie. „To na pewno barbiturany”, powiedziała Cathy. „Albo trutka na szczury”, dodała Lupita. Dyrektor chciał wiedzieć, jak, u diabła, Helen Dempsey zamówiła coś takiego bez niczyjej wiedzy. Personel powinien być czujny. Niedobrze byłoby, gdyby rozeszła się wieść, że w Lark House dochodzi do samobójstw, miałyby to katastrofalne skutki dla wizerunku instytucji. W razie podejrzanego zgonów, jak w przypadku Jacques’a Devine’a, starali się nie przeprowadzać zbyt wnikliwego śledztwa; lepiej było nie znać szczegółów. Pracownicy Lark House obwiniali duchy Emily i jej syna o to, że zabierają ze sobą desperatów, bo za każdym razem, kiedy ktoś umierał, czy to śmiercią naturalną, czy w nielegalny sposób, Jean Daniel, haitański opiekun, natykał się na młodą kobietę w różowej sukni i jej nieszczęsnego synka. Ich widok jeżył mu włosy na głowie. Poprosił, by zatrudniono jego rodaczkę, fryzjerkę z konieczności i kapłankę wudu z powołania, która odesłałaby duchy do innego świata, gdzie było ich miejsce, ale budżet Hansa Voigta nie przewidywał tego rodzaju wydatku – i tak z trudem utrzymywał ośrodek, uprawiając finansową zonglerkę.

Nie był to dobry temat do poruszania przy Irinie. Dziewczyna płakała po kątach, bo kilka dni wcześniej trzymała Neko w ramionach, kiedy robili mu miłosierny zastrzyk, który położył kres jego starczym dolegliwościom. Alma i Seth nie byli w stanie towarzyszyć kotu w tej krytycznej chwili, ona z żalu, on z tchórzostwa. Przed wizytą weterynarza zostawili Irinę samą w mieszkaniu. Zamiast doktora Kalleta, któremu w ostatniej chwili wypadła jakaś rodzinna sprawa, pojawiła się zdenerwowana dziewczyna, w okularach krótkowidza, chyba świeżo po studiach. Niemniej okazała się skuteczna i litościwa; kot odszedł, pomrukując, niczego nieświadomy. Seth miał zawieźć zwłoki do krematorium dla zwierząt, ale na razie Neko leżał w plastikowej torbie w lodówce Almy. Lupita Farías знаła meksykańskiego wypychacza, który mógł wypełnić kota pakułami i wstawić mu szklane oczy, żeby wyglądał jak żywy, albo oczyścić i wypolerować czaszkę, którą można by umieścić na podstawie jako ozdobę. Lupita zaproponowała Irinie i Sethowi, żeby zrobili Almie niespodziankę, ale oni uznali, że babcia nie potrafiłaby właściwie docenić takiego gestu. „W Lark House mamy obowiązek zniechęcać do jakichkolwiek prób śmierci na żądanie, czy to jasne?”, truł Voigt, powtarzając to samo trzeci czy czwarty raz. Wbijał ostrzegawcze spojrzenie w Catherine Hope, bo to do niej zwracali się pacjenci odczuwający bezustanny ból, ci najmniej odporni. Podejrzewał – i słusznie – że kobiety obecne w jego gabinecie wiedzą więcej, niż chcą mu wyjawić. Kiedy Irina przeczytała na wyświetlaczu komórki wiadomość od Seta, wpadła Voigtowi w słowo: „Proszę wybaczyć, to nagły wypadek”. Cała piątka skorzystała z okazji, żeby się wymknąć, przerywając dyrektorowi w pół zdania.

Irina zastała Almę siedzącą na łóżku z nogami przykrytymi szalem. Wnuk umieścił ją tam, kiedy zauważył, jaka jest osłabiona. Błada, bez szminki na ustach, skurczona, wyglądała jak zgrzybiała staruszka. „Otwórzcie okno. Zabija mnie to ostre boliwijskie powietrze”, poprosiła. Irina wyjaśniła Sethowi, że jego babcia nie bredzi, ma na myśli uczucie duszności, brzęczenia w uszach i słabości, podobne do tego, którego doświadczyła, kiedy wiele lat temu zachorowała na chorobę górską w położonym na wysokości trzech tysięcy sześciuset metrów mieście La Paz. Seth podejrzewał jednak, że te objawy to nie wina boliwijskiego powietrza, ale zamkniętego w lodówce kota.

Alma na wstępie kazała im przysiąc, że zachowają jej tajemnicę nawet wtedy, gdy umrze, po czym

powtórzyła to, co już im opowiedziała, bo uznała, że lepiej będzie pruć tę nić od początku. Zaczęła od tego, jak pożegnała rodziców na nabrzeżu w Gdyni, jak dopłynęła do San Francisco i uczepliła się dłoni Nathaniela, przeczuwając być może, że nigdy jej nie puści; potem opisała dokładny moment, w którym poznała Ichimeiego Fukudę, najważniejszą z chwil przechowywanych niczym skarby w jej pamięci, i stamtąd ruszyła dalej ścieżką przeszłości. Odtwarzała ją z tak przejrzystą dokładnością, jakby czytała na głos, co rozproszyło wątpliwości Setha dotyczące władz umysłowych babci. W ciągu ostatnich trzech lat, kiedy wyciągał z niej informacje do swojej książki, Alma wykazała narracyjną wirtuozerię – wycucie rytmu, umiejętność utrzymania suspensu, zestawiania najjaśniejszych momentów z najbardziej tragicznymi, światła z cieniem, jak na fotografiach Nathaniela Belasca – jednak aż do tego popołudnia nie miał okazji podziwiać jej w takim wymagającym wzmożonego wysiłku maratonie. Alma snuła swoją opowieść przez wiele godzin, z kilkoma przerwami na wypicie herbaty i przegryzienie paru ciastek. Żadne z nich nie zorientowało się, że zapadł zmrok – Alma była skupiona na mówieniu, a młodzi uważnie słuchali. Opowiedziała im o swoim ponownym spotkaniu z Ichimeim, gdy miała dwadzieścia dwa lata, po dwunastu latach rozłąki, o tym, jak uśpiona miłość z czasów dzieciństwa znokautowała oboje z siłą nie do przewyciężenia, chociaż wiedzieli, że to uczucie skazane na potępienie; przetrwało zresztą niespełna rok. Powiedziała im, że namiętność jest zawsze taka sama, wieczna, ale okoliczności i obyczaje nieustannie się zmieniają, sześćdziesiąt lat później trudno zrozumieć przeszkody nie do pokonania, z jakimi przyszło im się zmierzyć w tamtym okresie. Gdyby mogła znowu być młoda i wiedziała o sobie to, co wie teraz, kiedy jest stara, postąpiłaby tak samo, nie odważyłaby się na zrobienie ostatecznego kroku, nie pozwoliłyby jej na to konwenanse; nigdy nie była buntowniczką, podporządkowywała się normom. Jedyne go aktu sprzeciwu dokonała w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat, kiedy opuściła dom w Sea Cliff i zamieszkała w Lark House. Kiedy mieli z Ichimeim po dwadzieścia dwa lata, zachłysnęli się miłością, żeby skonsumować ją w całości, podejrzewając, że ich czas jest policzony, a potem im bardziej próbowali ją zdławić, tym mniej rozważne było ich pożądanie. Myli się ten, kto twierdzi, że wszelki ogień wcześniej czy później gaśnie – niektóre namiętności płoną, dopóki nagle nie zdusi ich los, ale nawet wtedy pozostają niczym gorące węgle, gotowe rozżarzyć się na nowo przy najmniejszym dopływie tlenu. Opowiedziała im o Tijuanie i o ślubie z Nathanielem, o tym, że do kolejnego spotkania z Ichimeim, na pogrzebie jej teścia, upłynęło następnych siedem lat, w ciągu których myślała o nim obojętnie, bo nie spodziewała się, że kiedykolwiek go zobaczy, a potem jeszcze siedem, zanim mogła wreszcie osiągnąć spełnienie miłości, która nadal ich łączyła.

– Czyli mój tata nie jest synem Nathaniela? W takim razie jestem wnukiem Ichimeiego! Niech babcia mi powie, czy jestem Fukudą, czy Belaskiem! – wykrzyknął Seth.

– Gdybyś był Fukudą, miałbyś w sobie cokolwiek z Japończyka, nie sądzisz? Jesteś Belaskiem.

# Nienarodzone dziecko

Przez pierwsze miesiące po ślubie Alma była tak pochłonięta ciążą, że wściekłość z powodu zrezygnowania z miłości do Ichimeiego przekształciła się w możliwą do wytrzymania niedogodność, niczym kamyk w bucie. Wiodła w rodzinnym gnieździe spokojne życie przeżuwacza, chroniona przez troskliwą czułość Nathaniela. Chociaż Martha i Sarah już dały im wnuki, Lillian i Isaac czekali na tego noworodka, jakby był królewskim potomkiem, bo miał nosić nazwisko Belasców. Przygotowano dla niego słoneczny pokój z dziecięcymi mebelkami, udekorowany postaciami z filmów Włta Disneya namalowanymi na ścianach przez artystę, który specjalnie w tym celu przyjechał z Los Angeles. Opiekowali się Almą, zaspokajali każdy jej kaprys. W szóstym miesiącu gwałtownie przytyła, miała wysokie ciśnienie, plamy na twarzy, ciężkie nogi, bezustanny ból głowy, nie wchodziły na nią buty, nosiła więc plażowe klapki, mimo to od pierwszego znaku życia w jej brzuchu pokochała istotę, którą nosiła w swoim łonie, która nie była Nathaniela ani Ichimeiego, ale wyłącznie jej. Chciała mieć syna, żeby nazwać go Isaac i dać teściowi potomka, dzięki któremu przetrwa nazwisko Belasców. Nikt nigdy się nie dowie, że nie płynie w nim ich krew, obiecała to Nathanielowi. Skręcało ją z poczucia winy, kiedy myślała, że gdyby nie on, to dziecko skończyłoby w jakimś ścieku w Tijuanie. Wraz z uczuciem słabości do nienarodzonego rosło także jej przerażenie z powodu zmian zachodzących w jej ciele, ale Nathaniel zapewniał ją, że wygląda kwitnąco, piękniej niż kiedykolwiek, i karmił ją czekoladkami z pomarańczowym nadzieniem i wszystkim innym, na co tylko przyszła jej ochota. Łącząca ich bratersko-siostrzana relacja nie uległa zmianie. On, zawsze elegancki i schludny, korzystał z łazienki przy swoim gabinecie na drugim końcu domu i nigdy się przy niej nie rozbierał, za to Alma przestała się go wstydzić, pogodzona ze swoim zdeformowanym ciałem, i dzieliła się z nim prozaicznymi szczegółami swoich niedyspozycji, załamań nerwowych i strachu przed macierzyństwem; była mu oddana jak nigdy.

W tym okresie złamała podstawowe zasady narzucone przez ojca, żeby nie narzekać, o nic nie prosić i nikomu nie ufać. Nathaniel był teraz centrum jej życia, pod jego skrzydłami czuła się zadowolona, bezpieczna, akceptowana. To stworzyło między nimi chwiejną bliskość, którą uznali za naturalną, bo pasowała do charakteru obojga. O tej anomalii, którą był ich bratersko-siostrzany związek, rozmawiali tylko raz. Uzgodnili, że po narodzinach dziecka, gdy Alma dojdzie już do siebie po porodzie, spróbują żyć jak normalna para. Wydawało się jednak, że żadnemu z nich nie jest do tego spieszo. Tymczasem ona odkryła idealne miejsce na jego ramieniu, pod brodą, gdzie opierała głowę i drzemała. „Możesz spotykać się z innymi kobietami, Nat. Proszę cię jedynie o dyskrecję, żeby oszczędzić mi upokorzenia”, powtarzała Alma, a on zawsze odpowiadał jej pocałunkiem i jakimś żartem. Chociaż sama nie potrafiła uwolnić się od piętna, jakie Ichimei pozostawił w jej umyśle i ciele, była zazdrosna o Nathaniela; polowało na niego kilka kobiet i przypuszczała, że to, iż jest żonaty, dla niektórych z nich będzie stanowiło nie tyle przeszkodę, ile wręcz zachętę.

Przebywali akurat w należącym do rodziny domku nad jeziorem Tahoe, gdzie Belascowie jeździli zimą na narty. Była jedenasta rano, pili ciepły cydr i czekali, aż przejdzie burza, żeby wychylić nos na dwór, kiedy Alma weszła do salonu chwiejnym krokiem, w koszuli nocnej i boso. Lillian podbiegła, żeby

podtrzymać synową, ale ona odepchnęła ją, starając się odzyskać ostrość widzenia. „Powiedzcie mojemu bratu Samuelowi, że pęka mi głowa”, wyszeptła. Isaac wzywając głośno Nathaniela, próbował doprowadzić ją do kanapy, ale Alma wydawała się przytwierdzona do podłogi, ciężka jak mebel; ścisnęła głowę w dłoniach i mówiła bez ładu i składu o Samuelu, o Polsce i o diamentach w podszewce płaszcza. Nathaniel nadbiegł w momencie, kiedy jego żona padała na podłogę wstrząsana drgawkami.

Do ataku rzucawki doszło w dwudziestym ósmym tygodniu ciąży, trwał minutę i piętnaście sekund. Żadna z trzech obecnych osób nie wiedziała, co się dzieje, sądzili, że to padaczka. Nathaniel okazał się na tyle przytomny, że przewrócił żonę na bok, przytrzymał ją, żeby nie zrobiła sobie krzywdy, i z pomocą łyżki uniemożliwił jej zamknięcie ust. Straszliwe wstrząsy wkrótce ustały, Alma leżała wycieńczona i zdezorientowana, nie wiedziała, gdzie jest ani kim są otaczający ją ludzie, jęczała z powodu bólu głowy i skurczów w brzuchu. Przenieśli ją do samochodu otuloną kocami i ślizgając się na oblodzonej drodze, zawieźli do kliniki, gdzie dyżurny lekarz – specjalista od złamań i kontuzji narciarskich – mógł jedynie spróbować obniżyć jej ciśnienie. Karetka pokonała trasę do San Francisco w siedem godzin, walcząc z burzą i przeszkodami na trasie. Położnik, który wreszcie zbadał Alnę, uprzedził rodzinę o ryzyku kolejnego ataku drgawek bądź udaru mózgu. Na tym etapie ciąży szanse płodu na przeżycie były zerowe, powinni odczekać jeszcze jakieś sześć tygodni, żeby wywołać poród, ale w tym czasie mogli umrzeć i matka, i dziecko. Kilka minut później bicie serca dziecka w macicy ustało, jakby małeństwo ich słyszało i chciało oszczędzić Nathanielowi dramatycznej decyzji. Alnę przewieziono w pośpiechu na oddział chirurgii.

Nathaniel był jedyną osobą, która widziała dziecko. Wziął je na ręce, drżąc ze zmęczenia i smutku, odsunął fałdy pieluszki i zobaczył małą istotę, skurczoną i siną, o skórze cienkiej i przezroczystej jak kalka, w pełni ukształtowaną, z półotwartymi oczami. Podniósł ją do swojej twarzy i złożył na główce długi pocałunek. Zimno sparzyło mu usta, próbował stłumić w sobie szloch, który jednak w nim narastał, wstrząsał całym jego ciałem, aż w końcu wylał się w postaci łez. Płakał, sądząc, że płacze nad martwym dzieckiem i nad Alną, ale płakał nad samym sobą, nad swoim statecznym, nudnym życiem, nad ciężarem obowiązków, którego nigdy nie będzie mógł zdjąć z barków, nad samotnością, która nękała go, odkąd przyszedł na świat, nad miłością, za którą tęsknił i której nigdy nie doświadczył, nad trefnymi kartami, które przypadły mu w udziale, i nad wszystkimi przeklętymi pułapkami losu.

Siedem miesięcy po poronieniu Nathaniel zabrał Alnę w podróż po Europie, żeby uwolnić ją od przytłaczającej nostalgii, która nią zawładnęła. Zaczęła opowiadać o swoim bracie Samuelu, o czasach, kiedy oboje mieszkali w Polsce, o jakiejś guwernantce, która nawiedzała ją w koszmarach, sukience z niebieskawego aksamitu, Verze Neumann w sowich okularach, dwóch wrednych koleżankach ze szkoły, książkach, które przeczytała i których tytułów nie pamiętała, ale ich bohaterowie nie przestawali jej prześladować, i o innych bezsensownych rzeczach. Nathaniel miał nadzieję, że taka podróż ożywi twórczą wenę Almy, przywróci jej entuzjazm i ochotę do malowania tkanin, a gdyby tak się stało, zamierzał zaproponować jej, żeby rozpoczęła studia w Royal Academy of Art, najstarszej uczelni artystycznej w Wielkiej Brytanii. Uważał, że najlepszą terapią dla Almy będzie oddalenie się od San Francisco, od Belasców, a zwłaszcza od niego. Nie wspomnieli więcej o Ichimeim; Nathaniel przypuszczał, że Alma dotrzymała obietnicy i nie ma z nim kontaktu. Postanowił, że będzie poświęcał żonie więcej czasu, ograniczył godziny pracy i kiedy tylko było to możliwe, studiował akta spraw i przygotowywał obrony w domu. Wciąż spali w osobnych pokojach, ale przestali udawać, że spędzają nocę razem. Łóżko Nathaniela na stałe umieszczono w jego kawalerskim pokoju, pośród ścian wyłożonych tapetą ze scenami z polowań, końmi, psami i lisami. Nękająca oboje bezsenność

doprowadziła do wysublimowania zmysłowych pokus. Zwykli czytać do późnej nocy w którymś z salonów, oboje na jednej kanapie, przykryci jednym kocem. W niektóre niedziele, kiedy pogoda uniemożliwiała żeglowanie, Nathanielowi udawało się namówić Alnę, żeby poszła z nim do kina, albo ucinali sobie po obiedzie drzemkę jedno przy drugim, na kanapie, która w bezsenne noce zastępowała im małżeńskie łóżko.

Zamierzali zwiedzić Europę od Danii po Grecję, podczas podróży zaplanowali dwa rejsy, jeden po Dunaju, drugi wzdłuż wybrzeża Turcji, wycieczka miała trwać około dwóch miesięcy i zakończyć się w Londynie, gdzie Nathaniel pożegnałby Alnę. W drugim tygodniu, kiedy trzymając się za ręce, spacerowali po uliczkach Rzymu, po niezapomnianej kolacji i dwóch butelkach najlepszego chianti Alma stanęła pod latarnią, chwyciła Nathaniela za koszulę, przyciągnęła go do siebie jednym szarpnięciem i pocałowała w usta. „Chcę, żebyś się ze mną przespał”, rozkazała. Tamtej nocy w podupadłym pałacu przerobionym na hotel, w którym zamieszkali, kochali się odurzeni winem i rzymskim latem, odkrywając to, co już o sobie wiedzieli, z poczuciem, że dopuszczają się jakiegoś zakazanego czynu. Alma zawdzięczała swoją wiedzę o miłości fizycznej i własnym ciele Ichimeiemu, który rekompensował brak doświadczenia niesamowitą intuicją, tą samą, którą wykorzystywał, by przywrócić do życia więdnącą roślinę. W motelu z karaluchami Alma była instrumentem muzycznym w czułych dłoniach Ichimeiego. Niczego takiego nie doświadczyła z Nathanielem. Kochali się w pośpiechu, zmieszani, niezdarni, jak napalona para nastolatków, nie dając sobie czasu, by móc się nawzajem wybadać, razem się pośmiać czy powzdychać. Potem opanował ich niewytłumaczalny smutek, który starali się ukryć, paląc w milczeniu papierosy przykryci prześcieradłem, w żółtawym świetle księżyca szpiegującego ich przez okno.

Następnego dnia zmęczeni się, spacerując pośród ruin, włącząc po schodach z antycznych kamieni, oglądając katedry, błędząc między marmurowymi posągami i wyszukanyymi fontannami. Po zmierzchu znów za dużo wypili, dotarli chwiejnym krokiem do swojego hotelu i kolejny raz się kochali, bez wielkiego pożądania, ale z mnóstwem dobrej woli. I tak dzień po dniu, noc po nocy przemierzali miasta i przepływali rzeki na trasie zaplanowanej wycieczki, popadając w małżeńską rutynę, której dotąd tak unikali, aż naturalne stało się dzielenie łazienki i budzenie się na tej samej poduszce.

Alma nie została w Londynie. Wróciła do San Francisco z plikami folderów i pocztówek z muzeów, książkami o sztuce i zrobionymi przez Nathaniela zdjęciami malowniczych zakątków. Zamierzała znowu zacząć malować; głowę miała wypełnioną kolorami, rysunkami, szkicami tego, co zobaczyła – tureckich dywanów, greckich waz, belgijskich gobelinów, obrazów ze wszystkich epok, ikon zdobionych szlachetnymi kamieniami, melancholijnych madonn i wygłodzonych świętych; ale także targów owocowych i warzywnych, łodzi rybackich, prania wiszącego na balkonach w wąskich uliczkach, mężczyzn grających w domino w tawernach, dzieci na plażach, sfor bezpieczeństwa psów, smutnych osłów i starych dachów w wioskach usypionych rutyną i tradycją. Wszystko to zostanie potem oddane na jej jedwabkach grubymi pociągnięciami farb w świetlistych kolorach. Alma miała do dyspozycji pracownię o powierzchni ośmiuset metrów kwadratowych w przemysłowej części San Francisco. Nie używała jej od miesięcy, a teraz postanowiła przywrócić ją do życia. Pogrążyła się w pracy. Potrafiła tygodniami nie myśleć o Ichimeim ani o dziecku, które straciła. Intymne momenty z mężem po powrocie z Europy już się niemal nie zdarzały; każde miało własne sprawy, nie spędzali razem bezsennych nocy z książką na kanapie, ale nadal łączyła ich przyjacielska czułość, którą zawsze się darzyli. Teraz Alma bardzo rzadko drzemała z głową spoczywającą dokładnie pomiędzy ramieniem a brodą męża, gdzie wcześniej czuła się taka bezpieczna. Nie spali więcej w jednej pościeli ani nie korzystali z jednej łazienki; Nathaniel zajmował łóżko w swoim gabinecie, a Alma została sama w błękitnym pokoju. Jeżeli czasami się kochali, to przypadkiem, i zawsze z nadmiarem alkoholu we krwi.

– Chcę cię zwolnić z obietnicy bycia mi wierną, Almo. To dla ciebie niesprawiedliwe – powiedział którejś nocy Nathaniel, kiedy paląc marihuanę, podziwiali spod pergoli w ogrodzie deszcz spadających gwiazd. – Jesteś młoda i pełna życia, zasługujesz na bardziej romantyczną relację, niż ja jestem w stanie ci zaoferować.

– A ty? Czyżby był ktoś, kto proponuje ci romans, i dlatego chcesz być wolny? Nigdy ci tego nie zabraniałam.

– Tu nie chodzi o mnie.

– Zwalniasz mnie z obietnicy w niezbyt odpowiednim momencie. Jestem w ciąży i tym razem ojcem możesz być wyłącznie ty. Zamierałam ci o tym powiedzieć, kiedy będę miała pewność.

Isaac i Lillian Belascowie przyjęli wiadomość o ciąży z takim samym entuzjazmem jak za pierwszym razem. Odnowili pokój, który wtedy przygotowali, zdecydowani rozpieszczać wnuka. „Jeżeli to chłopiec, a ja umrę, zanim się urodzi, przypuszczam, że dacie mu moje imię, ale jeśli będę żył, nie możecie tego zrobić, bo to przyniosłoby mu pecha. Chciałbym, żeby nazywał się Lawrence Franklin Belasco, jak mój ojciec i wielki prezydent Roosevelt, niech spoczywają w pokoju”, poprosił patriarcha. Powoli, ale nieubłaganie tracił siły, ale trzymał się na nogach, bo nie mógł opuścić Lillian; żona stała się jego cieniem. Była niemal głucha, nie potrzebowała jednak słuchu. Nauczyła się bezbłędnie odczytywać cudze milczenie, nie dało się niczego przed nią ukryć ani jej oszukać, rozwinęła jeżącą włos na głowie umiejętność odgadywania, co zamierzają powiedzieć inni, odpowiadała, zanim zdążyli otworzyć usta. Miała dwie obsesje: poprawić stan zdrowia męża i sprawić, by Nathaniel i Alma zakochali się w sobie jak należy. W obu przypadkach korzystała z terapii alternatywnych, od namagnetyzowanych materacy po lecznicze eliksiry i afrodyzjaki. W Kalifornii – przodującej, jeśli chodzi o przyrodnicze czary-mary – można było przebierać wśród najróżniejszych sprzedawców nadziei i pocieszenia. Isaac dał za wygraną, pozwalał wieszać sobie na szyi szkiełka, pił sok z lucerny oraz syrop ze skorpiona, a Alma i Nathaniel znosili nacieranie olejkami namiętności z ylang-ylang, chińskie zupy z płetwy rekina i inne alchemiczne metody, którymi Lillian próbowała rozpalić ich letnią miłość.

Lawrence Franklin Belasco urodził się wiosną, bez żadnego z problemów, które przewidywali lekarze, zważywszy na atak rzucawki, jaki miała wcześniej matka. Kiedy przyszedł na świat, jego imię okazało się zbyt poważne, wszyscy mówili więc na niego Larry. Rósł zdrowy, pulchny i samowystarczalny, nie wymagał żadnej specjalnej opieki, był tak spokojny i cichy, że gdy czasami zasypiał pod jakimś meblem, przez kilka godzin nikt go nie szukał. Rodzice powierzali go dziadkom oraz kolejnym niańkom, które miały go wychowywać, sami nie poświęcali mu zbyt wiele uwagi, jako że w Sea Cliff troszczyło się już o niego kilkoro dorosłych. Nie sypiał w swoim łóżeczku, ale na zmianę z Isaakiem i Lillian, których nazywał tatusiem i mamusią, do rodziców zaś zwracał się bardziej oficjalnie – ojciec i matka. Nathaniel spędzał w domu niewiele czasu, stał się najbardziej uznanym prawnikiem w mieście, zarabiał wory pieniędzy, a w wolnych chwilach uprawiał sport i zgłębiał sztukę fotografii; czekał, aż jego syn trochę podrośnie, żeby pokazać mu przyjemność żeglowania, nie podejrzewając, że taki dzień nigdy nie nadejdzie. Ponieważ teściowie przywłaszczyli sobie wnuka, Alma zaczęła podróżować w poszukiwaniu tematów do swoich prac; nie miała poczucia winy, że porzuca syna. W pierwszych latach planowała raczej krótkie wyjazdy, żeby nie rozstawać się z Larrym na zbyt długo, ale doszła do wniosku, że to nie ma znaczenia, bo po każdym jej powrocie, czy to po długiej, czy po krótkiej nieobecności, syn witał ją tym samym uprzejmym uściskiem dłoni zamiast z entuzjazmem rzucić się jej na szyję, na co tak bardzo czekała. Urażona uznała, że Larry bardziej niż ją kocha kota, i zdecydowała, że może bez przeszkód wyjeżdżać na Daleki Wschód, do Ameryki Południowej i w inne odległe miejsca.



# Patriarcha

Larry Belasco spędził pierwsze cztery lata życia adorowany przez dziadków i służbę; dopieszczano go jak orchideę i spełniano wszelkie jego zachcianki. Ten układ, który zepsułby nieodwracalnie charakter mniej statecznego dziecka, jego uczynił usłużnym, miłym, stroniącym od wrzawy chłopcem. Spokojny temperament Larry'ego nie uległ zmianie, kiedy w 1962 roku umarł dziadek Isaac, jeden z dwóch filarów podtrzymujących idealny świat, w którym dotąd żył. Zdrowie Isaaca poprawiło się, kiedy przyszedł na świat jego ulubiony wnuczek. „W środku jestem dwudziestolatkiem, Lillian, co do diabła stało się z moim ciałem?” Miał energię, żeby codziennie chodzić z Larrym na spacer, zdradzał mu botaniczne sekrety swojego ogrodu, bawił się z nim na czworaka na podłodze i kupował mu domowe zwierzątka, które sam pragnął mieć jako chłopiec: awanturniczą papugę, rybki w akwarium, królika, który gdzieś przepadł na zawsze, gdy tylko Larry otworzył klatkę, i uszatego psa, pierwszego z wielu pokoleń cocker-spanieli, które były z rodziną w kolejnych latach. Lekarze nie potrafili znaleźć wytłumaczenia dla tak spektakularnej poprawy zdrowia Isaaca, a Lillian przypisywała ją sztukom leczniczym i naukom ezoterycznym, od których została specjalistką. Tamtej nocy wypadała kolej na spanie w łóżku dziadka. Spędzili udane popołudnie w parku Golden Gate, jeżdżąc na wynajętym koniu, Isaac w siodle, a Larry z przodu, bezpieczny w objęciach dziadka. Wrócili zaczerwienieni od słońca, pachnący potem, podnieceni pomysłem kupienia konia i kucyka, żeby mogli razem na nich jeździć. Lillian czekała w ogrodzie z grillem gotowym do smażenia kiełbasek i cukrowych pianek, ulubionej kolacji dziadka i wnuka. Potem wykąpała Larry'ego, położyła go w pokoju męża i czytała mu bajkę, dopóki nie zasnął. Wychyliła swój kieliszeczek sherry z laudanum i poszła spać. O siódmej rano obudziła ją rączka Larry'ego potrząsająca jej ramieniem. „Mamusi, mamusi, tatuś się przewrócił”. Znaleźli Isaaca leżącego na podłodze w łazience. Nathaniel i kierowca musieli połączyć siły, żeby podnieść lodowate, sztywne, ciężkie jak z ołowiu ciało i położyć je na łóżku. Chcieli oszczędzić Lillian tego widoku, ale ona wypchnęła wszystkich z pokoju, zamknęła drzwi i otworzyła je dopiero wtedy, kiedy umyła swojego męża i natarła go balsamem oraz wodą kolońską, oglądając powoli każdy szczegół tego ciała, które znała lepiej niż własne i które tak kochała, zdziwiona, że nic się nie postarzało. Pozostało takim, jakim zawsze je widziała, to był ten sam wysoki, silny chłopak, który ze śmiechem potrafił wziąć ją na ręce, opalony od pracy w ogrodzie, z bujnymi czarnymi włosami dwudziestopięciolatka i pięknymi dłońmi dobrego człowieka. Kiedy otworzyła drzwi pokoju, była spokojna. Rodzina bała się, że bez Isaaca Lillian w krótkim czasie uschnie z żalu, ale ona udowodniła im, że śmierć nie jest przeszkodą nie do pokonania w komunikacji między tymi, którzy naprawdę się kochają.

Wiele lat później, podczas drugiej sesji u psychoterapeuty, kiedy żona zagroziła, że od niego odejdzie, Larry przywołał obraz dziadka leżącego na podłodze w łazience jako najbardziej znaczący moment swojego dzieciństwa, a obraz ojca przykrytego całunem – jako koniec młodości i przymusowe wylądowanie w dorosłym życiu. Miał cztery lata, gdy doszło do pierwszego zdarzenia, i dwadzieścia sześć, gdy doszło do drugiego. Kiedy psycholog z nutą wątpliwości w głosie zapytał, czy ma jakieś inne wspomnienia z pierwszych czterech lat życia, Larry wyrecytował długą listę, od imion wszystkich służących i zwierzątek domowych po tytuły bajek, które czytała mu babcia. Nie pominął koloru szlafroka,

który miała na sobie, kiedy straciła wzrok, kilka godzin po śmierci męża. Te pierwsze cztery lata przeżyte pod ochroną dziadków były najszczęśliwszym okresem jego życia, dlatego zachował w pamięci wszystkie szczegóły.

U Lillian zdiagnozowano czasową ślepotę na tle histerycznym, ale oba te określenia okazały się nietrafione. Larry był jej przewodnikiem, dopóki w wieku sześciu lat nie poszedł do przedszkola, potem już radziła sobie sama, bo nie chciała być od nikogo uzależniona. Znała na pamięć rozkład i umeblowanie domu w Sea Cliff, pewnie się po nim poruszała, a nawet zapuszczała do kuchni, żeby upiec ciasteczka dla wnuczka. Poza tym Isaac prowadził ją za rękę, jak zapewniała pół żartem, pół serio. Żeby sprawić przyjemność niewidzialnemu mężowi, zaczęła się ubierać na liliowo, bo miała na sobie strój w tym kolorze, kiedy poznali się w 1914 roku, ponadto rozwiązała w ten sposób problem z codziennym wyborem ubrań. Nie pozwoliła, żeby traktowano ją jak kalekę, ani nie pokazywała po sobie, że czuje się odizolowana z powodu utraty słuchu i wzroku. Według Nathaniela matka miała węch psa i radar nietoperza do orientacji w terenie i rozpoznawania ludzi. Dopóki Lillian nie umarła, w 1973 roku, Larry otrzymywał bezwarunkową miłość. Zdaniem psychologa, który uratował go przed rozwodem, nie mógł oczekiwać takiej samej miłości od żony; w małżeństwie nic nie jest bezwarunkowe.

Szkółka kwiatów i roślin doniczkowych Fukudów figurowała w książce telefonicznej i Alma co jakiś czas sprawdzała, czy wciąż znajduje się pod tym samym adresem, ale nigdy nie uległa pokusie, żeby zadzwonić do Ichimeiego. Dużo ją kosztowało dojście do siebie po nieszczęśliwej miłości, bała się, że gdyby choć przez chwilę słyszała jego głos, znów zatonełaby w uporczywej namiętności sprzed lat. W czasie, który upłynął od tamtej pory, jej zmysły zapadły w sen; przewyciężyła obsesję na punkcie dawnego kochanka, stłumiła w sobie zmysłowość, której z nim doświadczyła, a której nigdy nie było między nią a Nathanielem. Wszystko zmieniło się podczas drugiego pogrzebu jej teścia, kiedy w ogromnym tłumie dostrzegła charakterystyczną twarz Ichimeiego. Wyglądał tak młodo, jak go zapamiętała. Szedł za orszakiem żałobnym w towarzystwie trzech kobiet; dwie z nich Alma rozpoznała, choć nie widziała ich od wielu lat, trzecią była dziewczyna, która wyróżniała się na tle innych, bo nie przyszła ubrana w surową czerń jak reszta żałobników. Grupka trzymała się z dala od pozostałych. Po zakończeniu ceremonii, kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić, Alma puściła ramię Nathaniela i wyszła za nimi na ulicę, gdzie stał rząd samochodów. Kiedy wykrzyknęła imię Ichimeiego, żeby ich zatrzymać, cała czwórka odwróciła głowy.

– Pani Belasco – powiedział Ichimei, witając ją oficjalnym ukłonem.

– Ichimei – odparła Alma, sparaliżowana.

– Moja matka Heideko Fukuda, moja siostra Megumi Anderson, i moja żona Delphine – dokonał prezentacji.

Trzy kobiety przywitały się ukłonem. Alma poczuła gwałtowny skurcz w żołądku, zabrakło jej tchu, kiedy nieskrywanie przyglądała się Delphine, która niczego nie zauważyła, bo z pełnym kurtuazji szacunkiem stała ze wzrokiem wbitym w ziemię. Była młoda, ładna, świeża, bez modnego ciężkiego makijażu, ubrana w perłowoszarą garsonkę z krótką spódnicą i okrągły kapelusz à la Jacqueline Kennedy, miała też taką samą fryzurę jak pierwsza dama. Jej strój był tak amerykański, że azjatycka twarz wydawała się nie na miejscu.

– Dziękuję, że przyszliście – zdołała wybełkotać Alma, kiedy odzyskała oddech.

– Pan Isaac Belasco był naszym dobroczyńcą, zawsze będziemy mu wdzięczni. Dzięki niemu mogliśmy

wrócić do Kalifornii, on sfinansował szkółkę i pomógł nam wyjść na prostą – powiedziała wzruszona Megumi.

Alma wiedziała o tym od Nathaniela i Ichimeiego, ale uroczysta postawa tej rodziny utwierdziła ją w przekonaniu, że jej teść był wyjątkowym człowiekiem. Kochała go bardziej, niż kochałaby własnego ojca. Isaac Belasco był przeciwieństwem Barucha Mendla – dobrotliwy, wyrozumiały, zawsze gotowy dawać. Nagle przeszył ją ból po jego stracie, którego dotąd do końca nie poczuła, bo żyła niczym w transie, jak wszyscy członkowie rodziny Belasców. Zwilgotniały jej oczy, ale przełknęła łzy i zdławiła szloch, który od kilku dni walczył, żeby wydostać się na zewnątrz. Zauważyła, że Delphine obserwuje ją równie wnikliwie, jak ona ją kilka minut wcześniej. Wydało jej się, że widzi w przejrzystych oczach tej kobiety inteligentną ciekawość, jakby wiedziała dokładnie, jaką rolę Alma odegrała w przeszłości Ichimeiego. Poczowała się bezbronna i trochę śmieszna.

– Nasze najszczerze kondolencje, pani Belasco – powiedział Ichimei, biorąc matkę pod rękę, żeby odejść.

– Almo. Wciąż jestem Almą – szepnęła.

– Żegnaj, Almo.

Przez dwa tygodnie oczekiwała, że Ichimei się z nią skontaktuje; niecierpliwie przeglądała pocztę i podskakiwała za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, znajdując tysiące usprawiedliwień dla tego milczenia poza jedynym racjonalnym: był żonaty. Wzbraniała się przed myśleniem o Delphine, drobnej, szczupłej, delikatnej, młodszej i ładniejszej od niej, o jej badawczym spojrzeniu i dłoni w rękawiczce spoczywającej na ramieniu Ichimeiego. Którejś soboty wyruszyła swoim samochodem do Martinez, w dużych okularach przeciwsłonecznych i chustce na głowie. Trzykrotnie przejechała przed szkółką Fukudów, ale nie odważyła się wysiąść z auta. W następny poniedziałek nie mogła dłużej znieść katuszy tęsknoty i zadzwoniła pod numer, którego od częstego zaglądania do książki telefonicznej nauczyła się na pamięć. „Fukuda, Kwiaty i Rośliny Doniczkowe, czym możemy służyć?” To był kobiecy głos i Alma nie miała wątpliwości, że należy do Delphine, choć podczas ich jedyne spotkanie kobieta nie odezwała się słowem. Alma odłożyła słuchawkę. Dzwoniła jeszcze kilkakrotnie, modląc się, żeby odebrał Ichimei, ale zawsze słyszała miły głos Delphine i przerywała połączenie. Za którymś razem obie kobiety nie rozłączały się przez prawie minutę, aż wreszcie Delphine zapytała łagodnie: „Czym mogę pani służyć, pani Belasco?”. Alma przerażona odłożyła gwałtownie słuchawkę i przysięgła sobie, że już nigdy nie będzie próbowała skontaktować się z Ichimeim. Trzy dni później listonosz przyniósł kopertę zaadresowaną czarnym tuszem, charakterem pisma Ichimeiego. Alma zamknęła się w swoim pokoju, przyciskając list do piersi, drżąc z niepokoju i pełna nadziei.

W liście Ichimei ponownie składał jej kondolencje z powodu śmierci Isaaca Belasca i wyrażał wzruszenie, jakie poczuł na jej widok po tylu latach, chociaż wiedział o jej zawodowych sukcesach i działalności dobroczynnej, często też widywał jej zdjęcia w gazetach. Poinformował, że Megumi jest akuszerką, wyszła za Boyda Andersona i ma synka Charlesa, i że Heideko była kilkakrotnie w Japonii, gdzie nauczyła się sztuki ikebany. W ostatnim akapicie napisał, że ożenił się z Delphine Akimurą, japońską Amerykanką w drugim pokoleniu, tak jak on. Delphine miała rok, kiedy jej rodzina została internowana w Topazie, ale on nie pamięta, żeby ją tam widział, poznali się dużo później. Była nauczycielką, ale zostawiła pracę, żeby prowadzić szkółkę kwiatów, która świetnie prosperuje pod jej rządami; niedługo mają otworzyć sklep w San Francisco. Nie wspominał słowem o możliwości spotkania ani o tym, że czeka na odpowiedź. To był czysto informacyjny, formalny list, bez poetyckich zwrotów czy filozoficznych rozważań obecnych w korespondencji, jaką otrzymywała w czasie trwania ich krótkiego

romansu. Nie było w nim nawet żadnego rysunku, chociaż wcześniej czasami ozdabiał nimi wiadomości. Jeśli Alma odczuła ulgę, czytając list, to wyłącznie z powodu braku wzmianki o jej telefonach, o których na pewno powiedziała mu Delphine. Potraktowała go jako pożegnanie i milczące ostrzeżenie, że Ichimei nie życzy sobie dalszych kontaktów.

W ciągu kolejnych siedmiu lat życie Almy toczyło się rutynowo, zabrakło w nim przełomowych momentów. Podróże, ciekawe i częste, w końcu zlały się w jej pamięci w jedną wielką wyprawę Marca Polo, jak mawiał Nathaniel, który nigdy nie robił żonie najmniejszych wyrzutów z powodu jej nieobecności. Było im ze sobą wygodnie jak bliźniętom, które nigdy się nie rozstawały. Potrafili odgadywać nawzajem swoje myśli, przewidywać nastroje czy pragnienia współmałżonka, dokończyć zdanie, które zaczynał. Ich miłość nie podlegała dyskusji, nie warto było o tym rozmawiać, traktowali ją jako oczywistą, podobnie jak swoją nadzwyczajną przyjaźń. Łączyły ich towarzyskie zobowiązania, zamiłowanie do sztuki i muzyki, upodobanie do dobrych restauracji, kolekcja win, którą powoli powiększali, radość z rodzinnych wakacji z Larrym. Chłopiec okazał się tak łagodny i czuły, że jego rodzice zastanawiali się czasami, czy wszystko z nim w porządku. Żartowali między sobą, pod nieobecność Lillian, która nie pozwalała krytykować wnuka, że w przyszłości Larry zrobi im jakąś straszliwą niespodziankę, wstąpi do sekty albo kogoś zamorduje; to niemożliwe, by życie miało mu upłynąć bez najmniejszego wstrząsu, niczym zadowolonemu morświnowi. Gdy tylko Larry dorósł dostatecznie, aby móc to docenić, zaczęli zabierać go co roku na niezapomniane wycieczki w różne miejsca świata. Wybrali się na wyspy Galapagos, do dżungli amazońskiej, kilka razy na safari w Afryce, na które potem Larry zabierze własne dzieci. Do najbardziej magicznych chwil jego dzieciństwa należało karmienie z ręki żyrafy w rezerwacie w Kenii, pamiętał jej długi, szorstki, niebieski język, łagodne oczy o rzęsach śpiewaczki operowej, intensywny zapach świeżo skoszonej łąki.

Nathaniel i Alma mieli do wyłącznej dyspozycji część dużego domu w Sea Cliff; mieszkali tam jak w luksusowym hotelu, bez żadnych zmartwień, bo Lillian pilnowała, żeby domowa maszyna była dobrze naoliwiona. Ta poczciwa kobieta nadal wtrącała się do ich życia i pytała regularnie, czy może już się w sobie zakochali, jednak to babcine dziwactwo nie tylko ich nie męczyło, ale wydawało im się urocze. Kiedy Alma była w San Francisco, małżonkowie starali się spędzać nocą trochę czasu razem, żeby wypić drinka i opowiedzieć sobie ze szczegółami, jak minął im dzień. Świętowali jej lub jego sukcesy, żadne nie zadawało więcej pytań, niż to było konieczne, jakby domyślali się, że delikatna równowaga ich relacji może w każdej chwili runąć z powodu jednego niestosownego zwierzenia. Chętnie zaakceptowali, że każde z nich ma swój sekretny świat i prywatne godziny, z których nie mają obowiązku się tłumaczyć. Przemilczenia nie są kłamstwami. Ponieważ do miłosnych zbliżeń dochodziło między nimi tak rzadko, że można je było uznać za nieistniejące, Alma podejrzewała, że jej mąż ma inne kobiety; myśl, że żyje w celibacie, wydawała jej się absurdalna. Nathaniel dotrzymał jednak obietnicy, że będzie dyskretny i oszczędzi jej upokorzeń. Jeśli o nią chodzi, pozwoliła sobie na kilka zdrad podczas podróży, wtedy nigdy nie brakowało okazji, wystarczyło, by się trochę podziękowała, i z reguły wywoływała spodziewaną reakcję. Te chwile zapomnienia dawały jej jednak mniejszą przyjemność, niż oczekiwała, i wprowadzały zamęt w jej głowie. Myślała, że jest w wieku, w którym powinna prowadzić intensywne życie seksualne, było to równie ważne dla dobrego samopoczucia i zdrowia jak ćwiczenia i zbilansowana dieta, nie mogła pozwolić, żeby jej ciało wyschło. Z takim nastawieniem seks stawał się dla niej jeszcze jednym zadaniem, zamiast być prezentem dla zmysłów. W jej przypadku erotyzm wymagał czasu i zaufania, nie przychodził jej łatwo podczas jednej nocy udawanego czy drętowego romansu z nieznanym, którego miała więcej nie zobaczyć. W samym środku rewolucji seksualnej,

w epoce wolnej miłości, kiedy w Kalifornii wymieniano się partnerami, a połowa świata bez zastanowienia szła do łóżka z drugą połową, ona nadal myślała o Ichimeim. Nieraz zastanawiała się, czy to nie jest przypadkiem wymówka, żeby ukryć swoją oziębłość, ale kiedy w końcu znów się spotkali, już nigdy więcej nie zadała sobie tego pytania ani nie szukała pociechy w ramionach obcych mężczyzn.

12 września 1978 r.

Wyjaśniłaś mi, że inspiracja rodzi się ze spokoju, a kreatywność wyłania z ruchu. Malarstwo jest ruchem, Almo, dlatego tak bardzo podobają mi się Twoje ostatnie projekty, wyglądają na malowane bez wysiłku, choć wiem, ile wewnętrznego spokoju potrzeba, żeby panować nad pędzlem, jak Ty to robisz. Podobają mi się zwłaszcza Twoje jesienne drzewa pozwalające, by z wdziękiem opadały im liście. Pragnę tak samo uwolnić się od moich liści podczas tej jesieni życia, z łatwością i elegancją. Po co przywiązywać się do tego, co tak czy inaczej stracimy? Mam na myśli młodość, która była tak często obecna w naszych rozmowach.

W czwartek przygotuję Ci kąpiel z algami morskimi i solami, które przysłano mi z Japonii.

Ichi

# Samuel Mendel

Alma i Samuel Mendel spotkali się w Paryżu wiosną 1967 roku. Dla Almy był to przedostatni etap dwumiesięcznej podróży. Przyleciała z Kioto, gdzie ćwiczyła *sumi-e*, malowanie czarnym tuszem na białym papierze, pod baczным okiem mistrza kaligrafii, który zmuszał ją do powtarzania po tysiąc razy tej samej kreski, aż osiągnęła doskonałe połączenie lekkości i siły. Dopiero wtedy mogła przejść do następnego ruchu pędzla. Jeździła do Japonii kilkakrotnie. Ten kraj ją fascynował, zwłaszcza Kioto i kilka wioszek w górach, bo wszędzie tam odnajdowała ślady Ichimeiego. Lekkie i płynne pociągnięcia *sumi-e*, wykonywane trzymanym pionowo pędzelkiem, pozwalały jej wyrażać siebie w oszczędny, a jednocześnie oryginalny sposób. Żadnych detali, tylko to, co istotne; ten sam styl, który stosowała Vera Neumann, malując swoje ptaki, motyle, kwiaty i abstrakcyjne wzory. Do tego czasu Vera rozwinęła już produkcję na skalę międzynarodową, sprzedawała miliony produktów swojej marki, zatrudniała setki artystów, jej imieniem nazywano galerie sztuki, dwadzieścia tysięcy sklepów na całym świecie oferowało jej kolekcje modnych ubrań oraz przedmiotów dekoracyjnych i użytkowych przeznaczonych dla domu. Alma nie zamierzała wytwarzać niczego masowo, pozostała wierna swojemu pierwotnemu zamysłowi: postawiła na ekskluzywność. Po dwóch miesiącach pociągania pędzelkiem umocznym w czarnym tuszu zaczęła się szykować do powrotu do San Francisco, gotowa do eksperymentowania z kolorami.

Dla jej brata Samuela była to pierwsza wizyta w Paryżu po wojnie. Wśród ciężkich bagaży Almy znalazł się kufer ze zwiniętymi w rulon rysunkami i setkami negatywów z wzorami pisma kaligraficznego i malowideł, które miały służyć jej jako źródło inspiracji. Samuel zabrał ze sobą bardzo mały bagaż. Przyleciał z Izraela w spodniach bojówkach, skórzanej kurtce i butach wojskowych, z lekkim plecakiem, do którego spakował tylko dwie zmiany bielizny. W wieku czterdziestu pięciu lat nadal żył jak żołnierz, miał ogoloną głowę i ogorzałą od słońca skórę przypominającą podeszwę buta. Dla rodzeństwa to spotkanie było czymś w rodzaju pielgrzymki w przeszłość. Korespondowali ze sobą tak często, że ich stosunki nabrały z czasem przyjacielskiego charakteru; pisanie do siebie przychodziło im łatwo. Alma trenowała w młodości, kiedy to oddawała się bez reszty pisaniu dzienników. Samuel, oszczędny w słowach i nieufny w kontaktach osobistych, w listach potrafił być wylewny i miły.

W Paryżu wynajęli samochód, którym Samuel zabrał ją do miasteczka, gdzie umarł po raz pierwszy. Siostra posłużyła mu za pilota, pamiętała jeszcze drogę przebytą z wujostwem w latach pięćdziesiątych. Od tamtego czasu Europa zdołała podnieść się z popiołów, dlatego Alma miała problemy z rozpoznaniem miejsca, wcześniej pełnego ruin, gruzu i ubogich domów, teraz odbudowanego, otoczonego winnicami i polami lawendy, które wprost lśniło o tej najjaśniejszej porze roku. Także cmentarz wyglądał znacznie lepiej. Były tam płyty nagrobne i aniołowie z marmuru, żelazne krzyże i kraty, drzewa rzucające gęsty cień, wróble, gołębie, cisza. Opiekunka cmentarza, przyjazna młoda dziewczyna, poprowadziła ich wąskimi ścieżkami między grobami, szukając tablicy umieszczonej wiele lat wcześniej przez Belasców. Była nietknięta: *Samuel Mendel 1922–1944, pilot brytyjskich Royal Air Force*. Pod spodem znajdowała się mniejsza tabliczka, również z brązu: *Zginął w walce za Francję i za wolność*. Samuel zdjął beret

i rozbawiony podrapał się po głowie.

– Wyglądają, jakby niedawno były czyszczone – zauważył.

– Czyści je mój dziadek, który dba o groby żołnierzy. To on dołączył tę drugą tabliczkę. Mój dziadek był w ruchu oporu.

– Coś takiego! Jak się nazywa?

– Clotaire Martinaux.

– Szkoda, że go nie poznałem – powiedział Samuel.

– Pan też był w ruchu oporu?

– Tak, przez jakiś czas.

– W takim razie musi pan wpaść do nas na szklaneczkę wina, dziadek będzie szczęśliwy, panie...

– Samuel Mendel.

Dziewczyna zawahała się przez moment, podeszła do grobu, żeby ponownie przeczytać nazwisko na tablicy, po czym odwróciła się zdziwiona.

– Tak, to ja. Jak widać, niezupełnie umarłem – powiedział.

Chwilę później siedzieli we czwórce w kuchni stojącego w pobliżu cmentarza domu, popijali pernoda i jedli bagietkę z salami. Clotaire Martinaux, niski, korpulentny, zalatujący czosnkiem mężczyzna, uściskał ich mocno, donośnie się śmiejąc, zadowolony, że może odpowiedzieć na pytania Samuela. Zwracał się do niego *mon frère* i ciągle uzupełniał zawartość jego szklanki. Samuel przekonał się, że nie był jednym z tych bohaterów, których mnóstwo pojawiło się po kapitulacji Niemiec. Martinaux słyszał o angielskim samolocie zestrzelonym nad miasteczkiem, o uratowaniu jednego z członków załogi, znał dwóch spośród mężczyzn, którzy go ukrywali, i nazwiska pozostałych. Wysłuchiwał historii Samuela, ocierając łyżę i wydmuchując nos w chusteczkę, którą nosił zawiązaną na szyi i której używał również do ocierania potu z czoła i tłuszczy z dłoni. „Mój dziadek zawsze był skłonny do płaczu”, wyjaśniła wnuczka tytułem komentarza.

Samuel opowiedział gospodarzowi, że w żydowskim ruchu oporu nazywał się Jean Valjean, że przez kilka miesięcy miał mętlik w głowie z powodu urazu odniesionego podczas katastrofy, ale potem stopniowo zaczął przypominać sobie niektóre rzeczy. Nawiedzały go rozmyte wspomnienia wielkiego domu i służby w czarnych fartuchach i białych czepkach, ale nie pamiętał swoich bliskich. Miał zamiar poszukać korzeni w Polsce, o ile coś tam jeszcze zostało po wojnie, bo po polsku dodawał, odejmował, przeklinał i śnił. Gdzieś w tamtym kraju istniał dom wryty w jego pamięci.

– Musiałem poczekać do końca wojny, by sprawdzić, jak się naprawdę nazywam i co spotkało moją rodzinę. W 1944 roku już było widać, że Niemcy przegrają, pamięta pan, panie Martinaux? Sytuacja zaczęła się nieoczekiwanie zmieniać na froncie wschodnim, tam gdzie Brytyjczycy i Amerykanie najmniej się tego spodziewali. Uważali, że Armia Czerwona składa się z oddziałów niezdyscyplinowanych wieśniaków, niedożywionych i źle uzbrojonych, niezdolnych stawić czoło Hitlerowi.

– Doskonale to pamiętam, *mon frère* – odparł Martinaux. – Po bitwie pod Stalingradem mit o niezwyciężonym Hitlerze zaczął się walić, powoli odzyskiwaliśmy nadzieję. Trzeba przyznać, że to Rosjanie w czterdziestym trzecim złamali morale Niemców i przetrącili im kręgosłup.

– Klęska pod Stalingradem zmusiła ich do wycofania się aż do Berlina – dodał Samuel.

– Potem był desant aliantów w Normandii, w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego, a dwa miesiące później nastąpiło wyzwolenie Paryża. Niezapomniany dzień!

– Ja dostałem się do niewoli. SS zdzięsiatkowała mój oddział, a kolegów, którzy przeżyli, stracono strzałem w tył głowy, kiedy tylko się poddali. Ja zdołałem uciec. Akurat wtedy poszedłem po prowiant, a raczej obchodziłem okoliczne gospodarstwa, szukając czegokolwiek do jedzenia. Jedliśmy nawet psy i koty, to co było.

Opowiedział o tych dwóch miesiącach, dla niego najgorszych z całej wojny. Błąkał się sam, wygłodniały, pozbawiony kontaktu z ruchem oporu, spał w dzień, żywił się ziemią z robakami i tym, co ukradł, aż wreszcie pod koniec września złapali go Niemcy. Następne cztery miesiące spędził w obozach koncentracyjnych, najpierw Auschwitz-Monowitz, potem Auschwitz-Birkenau, gdzie zginęło prawie milion dwieście tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. W styczniu, w obliczu zagrożenia ze strony zbliżających się Rosjan, Niemcy otrzymali rozkaz pozbycia się dowodów tego, co tam robili. Więźniów ewakuowano, każąc im maszerować po śniegu, bez jedzenia, bez cieplejszych ubrań, w kierunku Rzeszy. Tych, którzy zostali w obozie, bo byli zbyt słabi, by ruszyć w drogę, zamierzano zlikwidować, ale pośpiech, z jakim Niemcy uciekali przed Rosjanami, sprawił, że esesmani nie zdołali wszystkiego zniszczyć. Przy życiu zostało siedem tysięcy więźniów, między nimi on.

– Nie wierzę, że Rosjanie przyszli, żeby nas uwolnić – tłumaczył Samuel. – Żołnierze Frontu Ukraińskiego przechodzili w pobliżu i otworzyli bramy obozu. Ci, którzy mogli jeszcze ruszać nogami, powlekli się na zewnątrz. Nikt nas nie zatrzymywał. Nikt nam nie pomógł. Nikt nam nie zaproponował kawałka chleba. Zewsząd nas wyrzucali.

– Wiem, *mon frère*. Tu, we Francji, nikt nie pomagał Żydom, mówię to z wielkim wstydem. Ale niech pan pamięta, że to były straszne czasy, wszyscy głodowaliśmy, w takich warunkach traci się człowieczeństwo.

– Nawet syjoniści z Palestyny nie chcieli tych, którzy przeżyli obozy koncentracyjne. Byliśmy bezużytecznymi odpadkami wojny – powiedział Samuel.

Wyjaśnił, że syjoniści szukali młodych, silnych i zdrowych ludzi, dzielnych bojowników, którzy stawiliby czoło Arabom, i wytrwałych robotników, którzy uprawialiby jałową ziemię. Jedną z niewielu rzeczy, które pamiętał z poprzedniego życia, było latanie, i to ułatwiło mu wjazd do Palestyny. Został wojskowym, pilotem i szpiegiem. Towarzyszył jako obstawa Davidowi Ben Gurionowi w okresie tworzenia państwa Izrael w 1948 roku, a rok później został jednym z pierwszych agentów Mosadu.

Rodzeństwo spędziło noc w gospodzie w miasteczku; następnego dnia wrócili do Paryża i wsiedli do samolotu lecącego do Warszawy. W Polsce bezskutecznie szukali śladów po rodzicach, ich nazwiska znaleźli tylko na liście ofiar z Treblinki uzyskanej od Agencji Żydowskiej. Razem zwiedzili to, co zostało z Auschwitz. Samuel próbował pojednać się tam z przeszłością, ale była to pielgrzymka do najbardziej przerażających koszmarów, która jedynie utwierdziła go w przekonaniu, że istoty ludzkie to najokrutniejsze bestie na całej planecie.

– Niemcy nie są rasą psychopatów. To normalni ludzie, jak ty i ja, tyle że fanatyzm, władza i bezkarność mogą z każdego zrobić bestię, taką jak esesmani w Auschwitz – powiedział siostrze.

– Myślisz, że gdybyś miał okazję, też zachowywałbyś się jak bestia?

– Nie tylko myślę, ja to wiem. Byłem żołnierzem przez całe życie. Walczyłem na wojnie. Przesłuchiwałem więźniów, bardzo wielu więźniów. Myślę, że nie chciałabyś znać szczegółów.



# Nathaniel

Podstępna choroba, która wykończyła Nathaniela, czyhała na niego od lat, ale nikt o niej nie wiedział, nawet on sam. Pierwsze objawy przypominały grypę, która tamtej zimy zaatakowała masowo mieszkańców San Francisco. Znikły po dwóch tygodniach, ale powtórzyły się kilka lat później, a ich następstwem było tym razem potworne zmęczenie. W niektóre dni Nathaniel powłóczył nogami, garbił się, jakby dźwigał na plecach worek piasku. Codziennie poświęcał pracy tyle samo godzin, ale nie przekładało się to na efekty, na biurku zalegały stosy dokumentów, które jakby same rozmnażały się nocami i zajmowały coraz więcej miejsca. Tracił orientację, gubił wątek w sprawach, które sumiennie studiował – kiedyś mógł je rozwiązywać z zamkniętymi oczami, teraz nagle zapominał, o czym przed chwilą czytał. Przez całe życie cierpiał na bezsenność, teraz doszły gorączka i poty. „Oboje mamy objawy menopauzy”, mawiał ze śmiechem, ale Almy to nie bawiło. Porzucił uprawianie sportów, żaglówka stała na kotwicy w marinie i tylko mewy wiły sobie na niej gniazda. Z trudem przełykał, zaczął tracić na wadze, nie miał apetytu. Alma robiła mu koktajle z białka w proszku, które wypijał z wysiłkiem, a potem wymiotował po kryjomu, żeby jej nie niepokoić. Kiedy na jego skórze pojawiły się wrzody, lekarz rodzinny – relikwia tak stara jak niektóre meble kupione przez Isaaca Belasca w 1914 roku – który na podstawie objawów diagnozował kolejno anemię, infekcję brzuszną, migrenę i depresję, wysłał go do specjalisty od nowotworów.

Wystraszona Alma zrozumiała, jak bardzo kocha i potrzebuje Nathaniela. Podjęła walkę z chorobą, przeznaczeniem, bogami i diabłami. Porzuciła prawie wszystko, żeby skoncentrować się na opiece nad mężem. Przestała malować, zwolniła ludzi zatrudnionych w pracowni. Zachodziła tam tylko raz w miesiącu, żeby dopilnować sprzątanania. Olbrzymie studio, oświetlane rozproszonym światłem wpadającym przez matowe szyby, pogrążyło się w katedralnej ciszy. Z dnia na dzień ustał wszelki ruch, pracownia wyglądała jak zatrzymana w czasie za sprawą jakiejś filmowej sztuczki, wydawało się, że za chwilę wznowi działalność. Czekały w niej długie stoły przykryte płótnem, bele jedwabiu stojące niczym smukli strażnicy, namalowane już obrazy naciągnięte na blejtramy, próbki rysunków i kolorów na ścianach, słoiki, buteleczki, wałki, małe i duże pędzle, wentylatory rozwiewające bezustannie pośród fantasmagorycznych szumów ostry zapach farby i rozpuszczalnika. Alma zrezygnowała też z podróży, z których przez lata czerpała inspirację i poczucie wolności, bo z dala od swojego środowiska zmieniała skórę, odradzała się świeża, ciekawa, gotowa do przeżycia przygody, otwarta na to, co przyniesie jej dzień, bez planów i bez obaw. Ta wędrująca nowa Alma była tak realna, że czasami zaskakiwał ją jej własny widok w hotelowych lustrach, bo nie spodziewała się zobaczyć tej samej twarzy co w San Francisco. Przestała się również spotykać z Ichimeim.

Wpadli na siebie przypadkiem, siedem lat po pogrzebie Isaaca Belasca i czternaście przed objawieniem się w pełni choroby Nathaniela, na dorocznej wystawie Związku Hodowców Orchidei. Ichimei zobaczył ją pierwszy pośród tysięcy zwiedzających i podszedł, żeby się przywitać. Przyjechał sam. Rozmawiali o orchideach – na wystawie były dwa okazy z jego szklarni – potem poszli na obiad do pobliskiej restauracji. Gawędzili o wszystkim i o niczym. Alma opowiadała o swoich ostatnich

podróżach, o nowych rysunkach i o synu Larrym; Ichimei o swoich roślinach i dzieciach, dwuletniej Miki i ośmiomiesięcznym Peterze. Nie wspomnieli o Nathanielu ani o Delphine. Posiłek trwał trzy godziny, mieli sobie dużo do powiedzenia, rozmawiali niepewnie, ostrożnie, nie wracając do przeszłości, jakby stąpali po kruchym lodzie, badając się nawzajem, odnotowując zmiany, próbując odgadnąć intencje, świadomi siły płomiennego pożądania, które przetrwało nienaruszone. Oboje skończyli trzydzieści siedem lat. Ona wyglądała na więcej, zaostrzyły się jej rysy, zeszczuplała, była bardziej kanciasta, bardziej pewna siebie, za to Ichimei nic się nie zmienił, zachował wygląd spokojnego młodzieńca, cichy głos i łagodny sposób bycia, a także zdolność przenikania jej swą intensywną obecnością aż po ostatnią komórkę. Alma zobaczyła ośmioletniego chłopca w szklarni w Sea Cliff, dziesięciolatka, który oddał jej swojego kota, zanim odszedł, niezmordowanego kochanka z pełnego karaluchów motelu, mężczyznę w żałobie na pogrzebie jej teścia; wszyscy tacy sami, jak na przekalkowanych obrazkach nałożonych jeden na drugi. Ichimei był niezmienny, wieczny. Miłość i pożądanie paliły jej skórę, chciała wyciągnąć ręce nad stołem i dotknąć go, przysunąć się, wtulić nos w jego szyję i sprawdzić, czy nadal pachnie ziemią i trawą, powiedzieć mu, że bez niego żyje jak lunatyczka, że nic ani nikt nie jest w stanie wypełnić strasznej pustki, jaka po nim została, że dałaby wszystko, żeby znowu znaleźć się naga w jego ramionach, że oprócz niego nic się dla niej nie liczy. Ichimei odprowadził ją do samochodu. Szli wolno okrężną drogą, by opóźnić moment rozstania. Wjechali windą na trzeci poziom parkingu, ona wyjęła kluczyki i zaproponowała, że podrzuci go do jego auta, które stało zaledwie przecznicę dalej, a on się zgodził. W intymnym półmroku samochodu pocałowali się jak za dawnych czasów.

W następnych latach będą izolować tę miłość od reszty ich życia, przeżywać ją głęboko w swym wnętrzu, nie pozwalając, by choćby musnęła Nathaniela i Delphine. Kiedy przebywali razem, nic więcej dla nich nie istniało, a kiedy żegnali się w hotelu, w którym zaspokoili swoje pragnienia, było dla nich oczywiste, że nie będą się kontaktować aż do następnego spotkania, chyba że listownie. Alma zbierała te listy jak coś drogocennego, choć Ichimei zachowywał w nich właściwą swojej rasie powściągliwość, kontrastującą z subtelnymi dowodami miłości i wybuchami namiętności, kiedy byli razem. Sentymentalizm budził w nim głębokie zażenowanie, okazywał uczucia na swój sposób, na przykład zabierając ją na piknik, na który przygotowywał jedzenie w pięknych drewnianych skrzyneczkach, wysyłając gardenie, bo lubiła ich zapach, choć nigdy nie użyłaby go w postaci perfum, zaparzając herbatę zgodnie ze starym ceremoniałem, dedykując jej wiersze i rysunki. Kiedy byli sami, mówił do niej nieraz „moja malutka”, ale nigdy tego nie napisał. Alma nie musiała niczego tłumaczyć mężowi, bo prowadzili niezależne życie, nigdy też nie zapytała Ichimeiego, jak to robi, że Delphine o niczym nie wie, skoro razem żyją i pracują. Wiedziała, że kocha żonę, że jest dobrym ojcem i głową rodziny, że odgrywa szczególną rolę w społeczności japońskiej, w której traktowano go jak mędrca i wzywano, by doradzał zbłąkanym, godził zwaśnionych i sprawiedliwie rozsądzał spory. Wytrawny kochanek, mężczyzna wykazujący inwencję erotyczną, skory do śmiechu, żartów i łóżkowych igraszek, niecierpliwy, zachłanny i wesoły, zdolny do cichych zwierzeń w przerwach między uściskami, ekspert od długich pocałunków i wprost obłądnej bliskości, istniał tylko dla niej.

Listy zaczęły nadchodzić niedługo po spotkaniu pośród orchidei, a ich częstotliwość wzrosła, kiedy Nathaniel zachorował. Przez pewien czas, dla nich nieskończenie długi, korespondencja zastępowała im potajemne spotkania. Listy Almy były brutalnie szczerze i smutne, pisała je kobieta udręczona rozłąką; to, co pisał Ichimei, przypominało krystaliczną, spokojną wodę, ale między wierszami wyczuwało się pulsującą, odwzajemnianą namiętność. Zdaniem Almy listy Ichimeiego odkrywały jego cudowne wnętrze, jego emocje, marzenia, tęsknoty i ideały. Dzięki nim poznawała go, kochała i pożądała bardziej niż dzięki miłosnym potyczkom. Stały się jej do tego stopnia niezbędne, że kiedy była już wdową i wolną kobietą,

kiedy mogli rozmawiać przez telefon, często się spotykać, a nawet razem podróżować, nadal do siebie pisywali. Ichimei wypełniał skrupulatnie umowę i niszczył jej listy, natomiast Alma przechowywała jego listy, by co jakiś czas do nich wracać.

18 lipca 1984 r.

Wiem, że cierpisz, i przykro mi, że nie mogę Ci pomóc. Wiem, że kiedy do Ciebie piszę, jesteś udręczona zmaganiem z chorobą męża. Nie możesz jej kontrolować, możesz jedynie mu towarzyszyć, co wymaga dużo odwagi.

Rozłąka bardzo boli. Przywykliśmy do naszych świętych czwartków, kolacji we dwoje, spacerów po parku, krótkich weekendowych wypadów. Dlaczego świat wydaje mi się pozbawiony kolorów? Dźwięki dobiegają jakby z daleka, ledwo słyszalne, jedzenie smakuje jak mydło. Nie widzieliśmy się od tyłu miesięcy! Kupiłem Twoje ulubione perfumy, żeby czuć Twój zapach. Pocieszam się pisaniem wierszy, które kiedyś Ci dam, bo są dla Ciebie.

I Ty mi zarzucasz, że nie jestem romantyczny!

Nie na wiele zdały się lata ćwiczeń duchowych, skoro nie uciekłem przed pożądaniem. Czekam na Twoje listy, tęsknię za Twoim głosem w telefonie, wyobrażam sobie, jak biegiesz do mnie co sił... Czasami miłość boli.

Ichi

Nathaniel i Alma zajmowali dwa pokoje należące niegdyś do Isaaca i Lillian, połączone drzwiami, które tak długo pozostawały otwarte, że nie dawały się już zamknąć. Oboje znów cierpieli na bezsenność, jak w pierwszych miesiącach po ślubie. Często leżeli obok siebie na kanapie albo w łóżku, ona czytała, w jednej dłoni trzymając książkę, a drugą głaszcząc Nathaniela, on odpoczywał z zamkniętymi oczami, a przy każdym oddechu z jego piersi dochodził bulgot. Którejś z tych długich nocy przyłapali się na tym, że oboje płaczą, po cichu, żeby nie przeszkadzać drugiemu. Najpierw Alma poczuła wilgoć na policzkach męża, zaraz potem on zauważył jej łzy, tak u niej wyjątkowe, że uniósł się, by sprawdzić, czy są prawdziwe. Nie pamiętał, żeby ostatnio płakała, nawet w najbardziej smutnych momentach.

– Umierasz, prawda? – zapytała szeptem.

– Tak, Almo, ale nie płacz nade mną.

– Nie płaczę nad tobą, tylko nad sobą. I nad nami, nad wszystkim tym, czego ci nie powiedziałam, nad przemilczeniami, kłamstwami, zdradami i czasem, który ci zabrałam.

– Co ty mówisz, na Boga! Nie zdradziłaś mnie, kochając Ichimeiego. Bywają przemilczenia i kłamstwa, które są konieczne, tak jak bywają prawdy, które lepiej zachować dla siebie.

– Wiesz o Ichimeim? Od kiedy? – zdziwiła się.

– Od zawsze. Serce jest duże, można kochać więcej niż jedną osobę.

– Opowiedz mi o sobie. Pewnie masz dużo sekretów, nigdy cię o nie nie pytałam, żeby nie musieć wyjawiać ci swoich.

– Tak bardzo się kochaliśmy, Almo! Każdy powinien się zenić z najlepszą przyjaciółką. Znam cię

lepiej niż kogokolwiek innego, tego, czego mi nie powiedziałaś, mogłem się domyślić. Za to ty mnie nie znasz. Masz prawo wiedzieć, kim jestem naprawdę.

I wtedy zaczął mówić o Lennym Bealu. Przez resztę tej długiej bezsennej nocy opowiadali sobie gorączkowo wszystko, świadomi, że nie spędzą już razem dużo czasu.

Odkąd Nathaniel sięgał pamięcią, czuł połączoną z lękiem i pożądaniem fascynację osobami swojej płci, początkowo kolegami szkolnymi, później innymi mężczyznami, a w końcu Lennym, który był jego partnerem przez osiem lat. Walczył z tymi uczuciami, rozdarty między porywami serca i nieubłaganym głosem rozsądku. W szkole, kiedy on sam jeszcze nie był w stanie rozpoznać tego, co czuje, koledzy odgadywali intuicyjnie, że jest inny, za co karali go biciem, szyderstwami i ostracyzmem. Te lata spędzone pośród zabijaków, których stał się zakładnikiem, były najgorszym okresem w jego życiu. Kiedy skończył szkołę, dręczony skrupułami i niekontrolowanymi porywami młodości zdał sobie sprawę, że nie jest wyjątkowy, jak dotąd sądził. Na każdym kroku spotykał mężczyzn, którzy patrzyli mu prosto w oczy wzrokiem wyrażającym zachętę lub błaganie. Przeszedł inicjację z innym studentem Harvardu. Odkrył, że homoseksualizm to świat równoległy, współistniejący z powszechnie akceptowaną rzeczywistością. Poznał osobników wszelkiego autoramentu. Na uniwersytecie wykładowców, intelektualistów, studentów, rabina i futbolistę, na ulicy – marynarzy, robotników, urzędników, polityków, handlowców i przestępców. To był świat wciągający, rozwiązyły, zachowujący jeszcze wówczas dyskrecję, bo musiał konfrontować się z kategorią osądem społeczeństwa, moralności i prawa. Gejów nie akceptowano w hotelach, klubach ani kościołach, nie podawano im alkoholu w barach, można ich było wyrzucić z miejsc publicznych pod prawdziwym lub fałszywym zarzutem rozwiązłego zachowania. Gejowskie bary i kluby należały do mafii. Po powrocie do San Francisco z dyplomem prawnika w kieszeni Nathaniel zetknął się z pierwszymi zwiastunami raczkującej kultury gejowskiej, która doszła oficjalnie do głosu dopiero kilka lat później. Kiedy w latach sześćdziesiątych powstały pierwsze ruchy społeczne, wśród nich Gay Liberation Front, Nathaniel był już dawno żonaty z Alną, a ich syn Larry miał dziesięć lat. „Nie poślubiłem cię, żeby ukryć swój homoseksualizm, zrobiłem to z przyjaźni i miłości”, powiedział Alnie tamtej nocy. To były lata schizofrenii: nienagane, pełne sukcesów życie publiczne i to drugie, zakazane, prowadzone w ukryciu. Lenny’ego Beala poznał w 1976 roku w łaźni tureckiej dla mężczyzn, miejscu najbardziej sprzyjającym różnym ekscesom, a najmniej rozkwitowi miłości jak ta, która ich połączyła.

Nathaniel miał niespełna pięćdziesiąt lat; Lenny, egzaltowany i grzeszny nonkonformista, całkowite przeciwieństwo Nathaniela, był o sześć lat młodszy i piękny niczym greckie posągi. Natychmiast poczuli do siebie pociąg fizyczny. Zamknęli się w jednej z kabin i do świtu oddawali przyjemnościom, rozchlapując wodę, walcząc jak zapaśnicy w delirycznej plątaniu ciał. Umówili się na następny dzień w hotelu, do którego przyszli osobno. Lenny przyniósł marihuanę i kokainę, ale Nathaniel poprosił, żeby ich nie używali, chciał przeżyć ten moment świadomie. Tydzień później wiedzieli już, że wybuch pożądania był dopiero początkiem wielkiej miłości, i bez oporu poddali się wewnętrznemu nakazowi, by doświadczyć jej w całej pełni. Wynajęli kawalerkę w centrum miasta, wstawili do niej niezbędne meble i najlepszy sprzęt grający, obiecując sobie, że tylko oni będą mieli tam wstęp. Nathaniel zakończył rozpoczęte trzydzieści pięć lat wcześniej poszukiwania, ale jego życie na pierwszy rzut oka wyglądało tak samo: nadal był tym samym wzorem przedstawiciela klasy wyższej. Nikt nie podejrzewał, co się z nim dzieje ani że czas poświęcany na pracę w biurze i na sport uległ drastycznej redukcji. Za to Lenny zmienił się pod wpływem kochanka. Pierwszy raz uporządkował swoje burzliwe życie, zdobył się na zastąpienie chaosu i zwariowanej aktywności kontemplowaniem świeżo odkrytego szczęścia. Kiedy nie był z Nathanielem, myślał o nim. Już nie chodził do łaźni ani do klubów dla gejów, przyjacielom rzadko

udawało się namówić go na udział w jakiejś imprezie, nie zależało mu na poznawaniu nowych ludzi, bo wystarczał mu Nathaniel, on był słońcem, osią jego dni. Zanurzył się w tej miłości z nabożnością purytanina. Zaczął słuchać tej samej muzyki, to samo jeść, pić te same drinki, nosić jak on kaszmirowe swetry i płaszcze z wielbłądziej wełny, używać tego samego płynu po goleniu. Nathaniel kazał założyć prywatną linię telefoniczną do swojego biura, z której korzystał tylko Lenny. Razem pływali żaglówką, chodzili na wycieczki, spotykali się w odległych miastach, gdzie nikt ich nie znał.

Początkowo niezrozumiała choroba Nathaniela nie wpłynęła na jego związek z Lennym. Objawy były bardzo różne, pojawiały się sporadycznie i nie wiadomo dlaczego znikwały. Potem, kiedy Nathaniel zaczął niknąć w oczach i przypominać własny cień, kiedy musiał uznać swoje ułomności i prosić o pomoc, skończyły się rozrywki. Stracił ochotę do życia, czuł, że wszystko dookoła blaknie i traci znaczenie, oddawał się wspomnianiu przeszłości, jakby był starcem żałującym tego, co zrobił, i tego, czego zrobić nie zdołał. Wiedział, że jego życie szybko dobiega kresu, i czuł strach. Lenny nie pozwalała mu popadać w depresję, podtrzymywała go na duchu udawanym dobrym humorem i niewzruszoną miłością, która w tym czasie próby urosła jeszcze bardziej. Spotykali się w małym mieszkanku i wzajemnie pocieszali. Nathanielowi brakowało sił i ochoty na seks, ale Lenny go o to nie prosił, zadowalał się chwilami bliskości, kiedy mógł uspokoić partnera, gdy ten dygotał z powodu gorączki, karmić go jogurtem łyżeczką jak niemowlaka, leżeć obok niego i słuchać muzyki, wcierać mu balsam w strupy, podtrzymywać go w ubikacji. W końcu Nathaniel nie był już w stanie wyjść z domu, rolę pielęgniarki przejęła więc Alma. Opiekowała się nim z taką samą nieustępliwą czułością jak Lenny, ale ona była tylko przyjaciółką i żoną, a Lenny jego wielką miłością, co zrozumiała tamtej nocy zwierzeń.

O świcie, kiedy Nathaniel w końcu zasnął, poszukała numeru Lenny'ego w książce telefonicznej i zadzwoniła z prośbą, by przyjechał jej pomóc. Powiedziała, że razem będzie im łatwiej znieść udrękę tej agonii. Lenny zjawił się po niespełna czterdziestu minutach, otworzyła mu drzwi jeszcze w piżamie i szlafroku. Stał przed kobietą zniszczoną bezsennością, zmęczeniem i cierpieniem; ona zobaczyła przystojnego mężczyznę z wilgotnymi włosami po niedawno wziętym prysznicu i najbardziej niebieskimi na świecie oczami, teraz zaczerwienionymi.

– Jestem Lenny Beal, proszę pani – wybełkotał poruszony.

– Proszę mówić do mnie Alma. Jest pan u siebie w domu, Lenny – odparła.

Chciał wyciągnąć do niej rękę, ale nie dokończył tego gestu, bo padli sobie w objęcia, oboje drżąc na całym ciele.

Lenny zaczął przychodzić do domu w Sea Cliff codziennie, po pracy w klinice stomatologicznej. Larry'emu, Doris, służbie, przyjaciołom i znajomym powiedzieli, że jest pielęgniarem. Nikt nie zadawał pytań. Alma wezwała stolarza, który naprawił zaklinowane drzwi do sypialni. Zostawiała ich samych. Odczuwała wielką ulgę, kiedy twarz męża rozjaśniała się na widok Lenny'ego. O zmierzchu we trójkę pili herbatę i jedli słodkie bułeczki, czasami – jeśli Nathaniel miał odpowiedni nastrój – grali w karty. Znali już wtedy diagnozę, najstraszniejszą z możliwych: AIDS. Dopiero od kilku lat choroba miała nazwę, ale wiadano już, że oznacza wyrok śmierci. Jedni umierali wcześniej, inni później, wszystko było kwestią czasu. Alma nie chciała pytać, dlaczego choroba dotknęła Nathaniela, a nie Lenny'ego, zresztą i tak nikt nie udzieliłby jej jednoznacznej odpowiedzi. Przypadki mnożyły się z taką szybkością, że mówiono już o światowej epidemii i o karze boskiej za hańbę, jaką jest homoseksualizm. Słowo AIDS wymawiano szeptem, żadna rodzina ani wspólnota nie przyznałaby się, że ma w swoim gronie chorego, było to równoznaczne z wystawianiem na pokaz niewybaczalnych wynaturzeń. Według oficjalnej wersji,

nawet na użytek rodziny, Nathaniel chorował na raka. Ponieważ tradycyjna nauka miała mu niewiele do zaoferowania, Lenny pojechał do Meksyku szukać tajemniczych narkotyków, które zresztą w niczym nie pomogły, Alma natomiast uciekała się do wszystkiego, co miała do zaoferowania medycyna alternatywna, począwszy od akupunktury, ziół i maści z Chinatown, aż po magiczne kąpiele błotne w Calistodze. Zrozumiała wtedy desperackie wysiłki Lillian, by wyleczyć Isaaca, i pożałowała, że wyrzuciła do śmieci figurkę Barona Samedi.

Dziewięć miesięcy później ciało Nathaniela przypominało szkielet, powietrze z trudem przenikało do zapchanego labiryntu, jakim stały się jego płuca, cierpiał na niedające się zaspokoić pragnienie, miał rany na skórze, stracił głos, popadał w delirium. Którejś sennej niedzieli, kiedy byli sami w domu, Alma i Lenny, trzymając się za ręce w półmroku zamkniętego pokoju, poprosili Nathaniela, by zaprzestał walki i odszedł w spokoju. Nie mogli dłużej patrzeć na tę męczarnię. Cudem oprzytomniały Nathaniel otworzył zamglone cierpieniem oczy i poruszył ustami, które ułożyły się w jedno nieme słowo: dziękuję. Odebrali je jako to, czym było w rzeczywistości, jako polecenie. Lenny pocałował Nathaniela w usta, zanim wstrzyknął dużą dawkę morfiny do rurki, którą płynęła do jego żyły sól fizjologiczna. Klęcząca po drugiej stronie łóżka Alma mówiła mężowi szeptem, jak bardzo ona i Lenny go kochają, ile dał im obojgu i wielu innym ludziom, jak wszyscy zawsze będą go wspominali i że nic nie będzie w stanie ich rozdzielić...

Popijając w Lark House herbatę z mango, Alma i Lenny wspominali przeszłość i zastanawiali się, dlaczego przez trzydzieści lat nie podjęli najmniejszej próby nawiązania kontaktu. Kiedy Lenny zamknął Nathanielowi oczy, pomógł Almie doprowadzić jego ciało do porządku, żeby pokazać je w jak najlepszym stanie Larry'emu i Doris, oraz usunął ślady zdradzające to, co zaszło, pożegnał wdowę i odszedł. Spędzili razem kilka miesięcy, zbliżyły ich obcowanie z cierpieniem i krucha nadzieja. Nigdy nie widzieli się w świetle dnia, zawsze w tamtej sypialni pachnącej mentolem i śmiercią, na długo przed tym, zanim przyszła ona zabrać Nathaniela. Dzielili bezsenne noce, podczas których żeby ulżyć smutkowi, popijali rozwodnioną whisky albo palili marihuanę. Opowiedzieli sobie swoje życie, odgrzebali pragnienia i sekrety, nareszcie się poznali. W obliczu powolnej agonii Nathaniela nie było miejsca na jakąkolwiek pretensjonalność, pokazali się takimi, jakimi byli naprawdę. Mimo to, a może dzięki temu, pokochali się czystą, desperacką miłością, która wymagała rozstania, bo nie zniosłaby nieuniknionego banału codzienności.

– Nasza przyjaźń była osobliwa – powiedziała Alma.

– Nathaniel czuł taką wdzięczność, że oboje przy nim jesteśmy, że któregoś dnia poprosił mnie, abym się z tobą ożenił, kiedy owdowiejesz. Nie chciał zostawiać cię bez opieki.

– Świetny pomysł! Dlaczego mi tego nie zaproponowałeś? Stanowilibyśmy dobrą parę. Moglibyśmy dotrzymywać sobie towarzystwa i nawzajem się kryć, jak ja z Nathanielem.

– Jestem gejem, Almo.

– Tak jak Nathaniel. To byłoby białe małżeństwo, bez seksu; ty miałbyś swoje życie miłosne, a ja swoje, z Ichimeim. Bardzo wygodne rozwiązanie, skoro nie moglibyśmy pokazywać się publicznie z naszymi partnerami.

– Jeszcze mamy czas. Czy wyjdiesz za mnie, Almo Belasco?

– A nie mówiłeś, że niedługo umrzesz? Nie chcę zostać drugi raz wdową.

Wybuchnęli szczerym śmiechem, który zachęcił ich do pójścia do stołówki i sprawdzenia, czy mają tam coś smacznego w jadłospisie. Lenny podał Almie ramię i ruszyli przeszklonym korytarzem

w stronę głównego budynku, dawnego domu czekoladowego magnata. Czuli się starzy, ale zadowoleni z życia, nie pojmowali, dlaczego tyle się mówi o smutkach i dolegliwościach zamiast o szczęściu.

– Co począć z tym szczęściem, które przychodzi do nas bez szczególnego powodu, szczęściem, które niczego nie potrzebuje, aby istnieć? – zapytała Alma.

Szli małymi, chwiejnymi krokami, wspierając się jedno na drugim, zmarznięci, bo była późna jesień, oszołomieni strumieniem wspomnień – wspomnień o miłości – oboje upojeni szczęściem. Alma pokazała Lenny’emu różową suknię, która mignęła w parku, jednak ponieważ się ściemniało, może nie była to wcale zwiastująca nieszczęście Emily, lecz urojenie, jedno z wielu w Lark House.

# Japoński kochanek

W piątek Irina Bazili przysłała do Lark House wcześniej, żeby odwiedzić Alnę przed rozpoczęciem pracy. Staruszka nie potrzebowała już jej pomocy przy ubieraniu, ale była wdzięczna, że dziewczyna zagląda do niej, by wypić razem pierwszą filiżankę herbaty. „Wyjdź za mojego wnuka, Irino; wyświadczyłabyś przysługę wszystkim Belascom”, powtarzała. Irina powinna była jej wyjaśnić, że nie jest w stanie przewyciężyć lęków przeszłości, ale nie potrafiła o tym mówić, umarłaby ze wstydu. Jak miała powiedzieć tej staruszce, że potwory z jej pamięci, zwykle przyczajone w swoich norach, wystawiają jaszczurze głowy, gdy tylko próbuje się kochać z jej wnukiem? Seth rozumiał, że Irina nie jest gotowa o tym rozmawiać, i przestał nalegać na wizytę u psychologa; na razie wystarczy, że on będzie jej powiernikiem. Mogli poczekać. Irina zaproponowała mu, żeby w ramach terapii szokowej obejrzeni razem filmiki zarejestrowane przez jej ojczyma, które nadal krążyły po sieci i miały ją prześladować do końca jej dni, jednak Seth bał się, że kiedy te chore stwory zostaną uwolnione, nie da się już nad nimi zapanować. Zdecydował się na inną terapię opartą na metodzie małych kroczków, miłości i humoru. Poruszali się jak w tańcu: dwa kroki w przód, jeden w tył. Spali już w jednym łóżku, czasami budzili się przytuleni.

Tamtego ranka Irina nie zastała Alny w mieszkaniu, nie było też torby, którą zabierała na potajemne schadzki, ani jedwabnych koszul nocnych. Tym razem brakowało też zdjęcia Ichimeiego. Sprawdziła, że na parkingu nie ma jej samochodu, nie przejęła się tym jednak, bo Alma odzyskała już siły, zresztą na pewno czekał na nią Ichimei. Nie będzie sama.

W sobotę nie miała dyżuru w Lark House i spała aż do dziewiątej; na taki luksus mogła sobie pozwolić w weekendy, odkąd zamieszkała z Sethem i przestała kąpać psy. Chłopak przyniósł jej kubek kawy z mlekiem na rozbudzenie i usiadł obok na łóżku, żeby razem zaplanować dzień. Wrócił z siłowni, dopiero co wyszedł spod prysznic, miał jeszcze wilgotne włosy i wciąż był pełen energii; nie podejrzewał, że tego dnia nie zaplanuje niczego z Iriną, że to będzie dzień pożegnania. Nagle zadzwieczał telefon. Dzwonił Larry Belasco, by powiadomić syna, że samochód babci wpadł w poślizg na wiejskiej drodze i stoczył się do głębokiej na piętnaście metrów przepaści.

- Alma jest na OIOM-ie w szpitalu w Marin – powiedział.
- To coś poważnego? – zapytał przerażony Seth.
- Owszem. Samochód jest kompletnie roztrzaskany. Nie wiem, co moja matka robiła w takim miejscu.
- Była sama, tato?
- Tak.

Po przyjeździe do szpitala zastali Alnę przytomną i w pełni władz umysłowych mimo środków odurzających skapujących do jej żyły, które zdaniem lekarza zwałyby z nóg słonia. Gdyby jechała cięższym samochodem, obrażenia może byłyby lżejsze, ale jej mały smart w kolorze limonki roztrzaskał się na kawałki, a ona była przypięta pasem do fotela. Podczas gdy pozostali Belascowie płakali w poczekalni, Larry wyjaśnił Sethowi, że istnieje pewne ekstremalne rozwiązanie: rozcięcie ciała Almy



wzdłuż, umieszczenie poprzesuwanych organów na właściwych miejscach i pozostawienie jej otwartej przez kilka dni, aż zmniejszy się stan zapalny i będzie można wykonać operację. Potem można by pomyśleć o zespoleniu połamanych kości. Ryzyko, olbrzymie nawet w przypadku młodego organizmu, było znacznie większe u osoby po osiemdziesiątce, takiej jak Alma; chirurg, który przyjął ją na oddział, nie miał odwagi próbować. Zdaniem Catherine Hope, która przyjechała natychmiast z Lennym Bealem, tak poważna operacja byłaby okrutna i bezsensowna. Pozostawało im jedynie zadbać, żeby Alma czuła się możliwie komfortowo, i poczekać na koniec, który niebawem nadejdzie. Irina zostawiła rodzinę Belasców omawiającą z Cathy pomysł przewiezienia rannej do San Francisco, gdzie istniało więcej możliwości, i ukradkiem wślizgnęła się do pokoju Almy.

– Boli panią? – zapytała szeptem. – Chce pani, żebym zadzwoniła do Ichimeiego?

Alma była podłączona do aparatu tlenowego, ale oddychała samodzielnie. Słabym ruchem dłoni wskazała Irinie, żeby podeszła. Dziewczyna nie chciała myśleć o poranionym ciele pod rusztowaniem przykrytym prześcieradłem; skupiła się na twarzy, która pozostała nietknięta i wydawała się piękniejsza niż zwykle.

– Kirsten – wybełkotała Alma.

– Chce pani, żebym sprowadziła Kirsten? – zapytała Irina zaskoczona.

– I powiedz im, żeby mnie nie dotykali – dodała Alma wyraźnie, zanim wyczerpana zamknęła oczy.

Seth zadzwonił do brata Kirsten, który jeszcze tego samego popołudnia przywiózł siostrę do szpitala. Kobieta usiadła na jedynym krześle stojącym w pokoju Almy, spokojnie czekając na instrukcje, tak jak czekała cierpliwie w pracowni przez ostatnie miesiące, zanim zaczęła pomagać Catherine Hope w klinice bólu. W pewnej chwili, gdy przez okno wpadały właśnie ostatnie promienie słońca, Alma obudziła się z letargu, w jakim pogrążyła się po lekach. Przebiegła wzrokiem po otaczających ją osobach, starając się je rozpoznać: członków swojej rodziny, Irinę, Lenny'ego, Cathy; wyraźnie się ożywiła, kiedy jej spojrzenie padło na Kirsten. Kobieta podeszła do łóżka, wzięła chorą za rękę, która nie była podłączona do kroplówki, i zaczęła składać na niej wilgotne pocałunki, od palców aż po łokieć, pytając z niepokojem, czy jest chora, czy wyzdrowieje, i powtarzając, że bardzo ją kocha. Larry próbował odsunąć Kirsten, ale Alma słabym głosem poprosiła, żeby zostawili je same.

Podczas dwóch pierwszych nocy czuwania przy łóżku chorej zmieniali się Larry, Doris i Seth, ale trzeciego wieczoru Irina zdała sobie sprawę, że rodzina jest u kresu sił, i zaproponowała, że teraz ona posiedzi z Alną, która nie odezwała się od czasu wizyty Kirsten i drzemała, dysząc jak zmęczony pies. Rozstawała się z życiem. „Niełatwo jest żyć i niełatwo jest umrzeć”, pomyślała Irina. Lekarz zapewniał, że Alma nie cierpi, była naszpikowana środkami usmierzającymi ból.

Hałasy na piętrze ucichły o zwykłej porze. W pokoju panował łagodny półmrok, ale na korytarzu nadal paliły się mocne lampy. Szmer klimatyzatorów, ciężki oddech leżącej w łóżku kobiety, a od czasu do czasu także kroki i przyciszone głosy za drzwiami były jedynymi dźwiękami, które docierały do uszu Iriny. Dostała koc i poduszkę, żeby mogła ułożyć się jak najwygodniej, ale było za gorąco, zresztą i tak nie dało się spać na krześle. Usiadła na podłodze oparta plecami o ścianę i myślała o Almie; trzy dni wcześniej wydawała się jeszcze pełną pasji kobietą, która wyjechała w pośpiechu, by spotkać się z kochankiem, a teraz umiera w swoim ostatnim łóżku. W krótkim przebłysku przytomności, zanim na powrót zawładnęły nią halucynacje i śpiączka wywołane przez leki, Alma poprosiła dziewczynę, żeby pomalowała jej usta, bo przyjdzie po nią Ichimei. Irina poczuła straszliwy smutek, przypływ miłości do tej niesamowitej staruszki, czułość wnuczki, córki, siostry, przyjaciółki; po policzkach płynęły jej łzy, skapywały na szyję i bluzkę. Pragnęła, by Alma wreszcie odeszła, by skończyło się jej cierpienie,

a jednocześnie modliła się, żeby nie umierała, żeby jakimś cudem bożym poukładały się jej poprzesuwane organy i połamane kości, żeby została przywrócona do zdrowia i mogła razem z nią wrócić do Lark House, by żyć jak dawniej. Poświęcały jej więcej czasu, częściej dotrzymywała towarzystwa, wydarłaby jej sekrety z kryjówki, w której je trzymała, znalazłaby dla niej kota identycznego jak Neko i postarałaby się, żeby dostawała co tydzień świeże gardenie, nie wyjawiając, kto je przysyła. Nieobecni zjawili się gromadnie, by towarzyszyć jej w żalu: dziadkowie, Jacques Devine i jego topazowy garbus, staruszkowie zmarli w Lark House w ciągu trzech lat, które tam przepracowała, Neko ze swoim krzywym ogonem, pomrukujący z zadowolenia, nawet jej matka Radmila, której już przebaczyła i o której od lat nie miała żadnych wiadomości. Chciałaby, żeby był teraz przy niej Seth, by przedstawić mu nieznanne postacie z tego kręgu i zasnąć ucepiona jego dłoni. Zapadła w sen skulona w swoim kącie, owładnięta nostalgią i smutkiem. Nie słyszała pielęgniarki, która przychodziła regularnie sprawdzać stan Almy, poprawiać kroplówkę i igłę, mierzyć jej temperaturę i ciśnienie oraz podawać środki przeciwbólowe.

O najciemniejszej porze nocy, w tajemniczej, subtelnej godzinie, kiedy rozsuwa się zasłona między naszym ziemskim światem a światem duchów, przybył wreszcie gość, na którego czekała Alma. Wszedł bezszelestnie, w gumowych butach, tak cicho, że Irina nie obudziłaby się, gdyby nie chrapliwy jęk, który wydała z siebie Alma, kiedy poczuła, że on jest blisko. Ichi! Stał przy łóżku, pochylał się nad nią, i chociaż Irina widziała jedynie jego profil, rozpoznałaby go w każdym miejscu, w każdym momencie, bo ona także na niego czekała. Był taki, jak go sobie wyobrażała, kiedy oglądała jego zdjęcie w srebrnej ramce: średniego wzrostu, o silnych ramionach, sztywnych siwych włosach, skórze zielonkawej w świetle monitora, szlachetnej, łagodnej twarzy. Ichimei! Wydało jej się, że Alma otwiera oczy i powtarza jego imię, ale nie była pewna. Zrozumiała, że na czas pożegnania powinni zostać sami. Wstała ostrożnie, żeby im nie przeszkodzić, i wymknęła się z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Chodziła w tę i z powrotem po korytarzu, żeby rozruszać zdrtwiałe nogi, wypła dwa kubki wody z dystrybutora przy windzie, po czym wróciła na miejsce warty przy drzwiach pokoju Almy.

Kiedy o czwartej nad ranem przyszła dyżurna pielęgniarka, duża Murzynka pachnąca aromatycznym pieczywem, natknęła się na Irinę zagrządzającą przejście. „Proszę zostawić ich samych jeszcze przez moment”, poprosiła dziewczyna błagalnym tonem i zaczęła nieskładnie opowiadać o kochanku, który przyszedł towarzyszyć Almie w jej ostatnich chwilach. Nie wolno im przeszkadzać. „O tej godzinie nie ma wizyt”, odpowiedziała zdziwiona pielęgniarka. Bezceremonialnie odsunęła Irinę i otworzyła drzwi. Ichimei odszedł, powietrze w pokoju było przesycone jego nieobecnością.

Alma odeszła wraz z nim.

Przez kilka godzin czuwali w rodzinnym gronie nad zwłokami Almy w domu w Sea Cliff, gdzie mieszkała niemal całe życie. Prosta sosnowa trumna została ustawiona w jadalni, gdzie urządzano przyjęcia. Oświetlono ją osiemnastoma świecami w menorach z masywnego srebra, których rodzina używała podczas tradycyjnych uroczystości. Chociaż Belascowie nie byli praktykujący, zorganizowali rytuał pogrzebowy zgodnie z instrukcjami rabina. Alma wielokrotnie powtarzała, że chce iść z łóżka prosto na cmentarz, żadnych ceremonii w synagodze. Dwie pobożne kobiety z Chewry Kadisza umyły ciało i ubrały Almę w skromną szatę z białego lnu, bez kieszeni, symbolizującą równość wobec śmierci i porzucenie wszelkich dóbr materialnych. Irina, niczym niewidoczny cień, uczestniczyła w żałobie, trzymając się Setha. Chłopak wyglądał na ogłuszonego bólem, nie mógł uwierzyć w nagłe odejście nieśmiertelnej babci. Zanim zwłoki zostały przewiezione na cmentarz, pozostawiono duszy czas na

opuszczenie ciała i pożegnanie się z bliskimi; ktoś z rodziny stale czuwał przy trumnie. Ponieważ kwiaty uchodziły za zbyt frywolne, zabrakło ich na pogrzebie, Irina przyniosła jednak na cmentarz jedną gardenię. Rabin odmówił krótką modlitwę, *baruch dajan emet*, błogosławiony niech będzie Sędzia Prawdy. Spuścili trumnę, która spoczęła obok trumny Nathaniela Belasca, a kiedy rodzina podeszła, żeby rzucić na nią garść ziemi, Irina upuściła gardenię. Tej nocy rozpoczęła się sziwa, siedem dni żałoby i odosobnienia. Larry i Doris zdobyli się na nieoczekiwany gest: poprosili Irinę, żeby została z nimi i wspierała Seta. Tak jak pozostali członkowie rodziny, nosiła na sercu kawałek oddartego materiału, symbol żałoby.

Siódmego dnia, po przyjęciu odwiedzających, którzy przychodzili każdego popołudnia składać im kondolencje, Belascowie wrócili do codzienności i normalnego życia. Kiedy minie miesiąc od pogrzebu, zapalą świecę w imieniu Almy, a po roku odbędzie się skromna uroczystość umieszczenia tabliczki z jej nazwiskiem na grobie. Wówczas większość osób, które ją znały, nie będzie już o niej zbyt często myśleć; Alma przeżyje w swoich malowanych tkaninach, w obsesyjnej pamięci wnuka Seta oraz w sercach Iriny Bazili i Kirsten, która nigdy nie zrozumie, dokąd odeszła staruszka. Podczas sziwy Irina i Seth czekali niecierpliwie na Ichimeiego Fukudę, ale minęło siedem dni, a mężczyzna się nie pojawił.

Po tygodniu rytualnej żałoby Irina udała się do Lark House po rzeczy Almy. Dostała od Hansa Voigta kilka dni urlopu, wkrótce jednak będzie musiała wrócić do pracy. Mieszkanie wyglądało tak, jak zostawiła je Alma, bo Lupita Farías postanowiła nie sprzątać, dopóki rodzina nie opróżni go z rzeczy zmarłej. Nieliczne meble, kupione do tej niewielkiej przestrzeni w celach raczej użytkowych niż dekoracyjnych, miały trafić do Sklepu z Przedmiotami Zapomnianymi, oprócz fotela o morelowym obiciu, na którym spędził ostatnie lata życia kot Almy, a który Irina postanowiła podarować Cathy, bo zawsze jej się podobał. Spakowała do walizek ubrania – szerokie spodnie, lniane tuniki, długie rozpinane swetry z wigoniowej wełny, jedwabne szale; zastanawiała się, kto odziedziczy to wszystko. Zapragnęła być wysoka i mocno zbudowana jak Alma, żeby móc nosić jej ubrania, żeby być jak ona, malować sobie na czerwono usta i spryskiwać się męskimi perfumami o zapachu bergamotki i pomarańczy. Resztę rzeczy spakowała do kartonów, które miał później odebrać kierowca Belasców. Znalazły się w nich albumy streszczające życie Almy, dokumenty, kilka książek, mroczny obraz przedstawiający Topaz i niewiele więcej. Irina zdała sobie sprawę, że Alma przygotowała swoje odejście z właściwą sobie powagą, pozbyła się tego, co niepotrzebne, by zachować wyłącznie to, co niezbędne, uporządkowała swoje rzeczy i swoje wspomnienia. Podczas tygodnia sziwy dziewczyna miała wystarczająco dużo czasu, żeby ją opłakać, ale tu, w Lark House, pożegnała Almę raz jeszcze, jakby ponownie ją pochowała. Z krąjącym się sercem usiadła pośród pudełek i walizek i otworzyła torbę, którą Alma zawsze zabierała na swoje eskapady. Policja wydobyła ją z roztrzaskanego smarta, a ona przyniosła ją ze szpitala. W środku znajdowały się zwiewne koszule nocne, balsam, kremy, kilka zmian bielizny i zdjęcie Ichimeiego w srebrnej ramce. Szkło było pęknięte. Ostrożnie usunęła odłamki i wyciągnęła fotografię, żegnając się także z tajemniczym kochankiem. Wtedy wypadł jej na kolana list, który Alma schowała za zdjęciem.

W tym momencie ktoś popchnął przymknięte drzwi i nieśmiało wychylił zza nich głowę. Kirsten. Irina wstała, a kobieta objęła ją z entuzjazmem, jaki zawsze wkładała w powitania.

– Gdzie jest Alma? – zapytała.

– W niebie. – Tylko taka odpowiedź przysłała Irinie do głowy.

– Kiedy wróci?

– Nie wróci, Kirsten.

– Już nigdy?

– Nie.

Przez twarz Kirsten przemknął cień smutku lub zmartwienia. Zdjęła okulary, przetarła je brzegiem koszulki, ponownie założyła i przybliżyła twarz do Iriny, żeby ją lepiej widzieć.

– Obiecujesz, że nie wróci?

– Obiecuję. Ale masz tutaj wielu przyjaciół, Kirsten, wszyscy bardzo cię kochamy.

Kobieta dała jej ręką znak, żeby zaczekała, i chwiejąc się na swoich płaskich stopach, ruszyła korytarzem w stronę domu czekoladowego magnata, gdzie znajdowała się klinika bólu. Wróciła piętnaście minut później z plecakiem, zdyszana z powodu pośpiechu, który nie najlepiej znosiło jej zbyt duże serce. Zamknęła drzwi mieszkania na zasuwkę, szczelnie zaciągnęła zasłony i przyłożyła palec do ust, nakazując Irinie milczenie. Wreszcie podała jej plecak i z założonymi za plecami rękoma oraz porozumiewawczym uśmiechem, kiwając się na piętach, czekała, aż dziewczyna go otworzy.

– Dla ciebie – powiedziała.

Irina otworzyła plecak, a na widok przepasanych gumkami paczuszek odgadła od razu, że to listy, które Alma regularnie otrzymywała i których tyle naszukali się z Sethem, listy od Ichimeiego. Nie przepadły na zawsze zamknięte w sejfie bankowym, jak się obawiali, leżały w najbezpieczniejszym miejscu na świecie, w plecaku Kirsten. Irina zrozumiała, że Alma, świadoma, iż umiera, poleciła Kirsten, by je przechowała, i wskazała, komu ma je oddać. Dlaczego akurat jej? Dlaczego nie swojemu synowi albo wnukowi, tylko jej? Zinterpretowała to jako pośmiertną wiadomość od Almy, sposób na powiedzenie jej, jak bardzo ją kocha, jak jej ufa. Coś w jej piersi pękło, wydając odgłos rozbijającego się glinianego dzbana, jej przepełnione wdzięcznością serce rosło, rozdymało się, pulsowało niczym przezroczysty ukwiał. W obliczu takiego dowodu przyjaźni poczuła, że jest szanowana jak w czasach niewinnego dzieciństwa; potwory z jej przeszłości zaczęły się wycofywać, a zatrwajająca władza nagrań ojczyma sprowadziła do tego, czym rzeczywiście była – do padliny dla anonimowych istot, pozbawionych tożsamości i duszy, bezsilnych.

– Mój Boże, Kirsten. Wyobraź sobie, że przez ponad pół życia bałam się czegoś, co nie istnieje.

– Dla ciebie – powtórzyła Kirsten, wskazując wysypaną na podłogę zawartość swojego plecaka.

Kiedy tego popołudnia Seth wrócił do domu, Irina zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go z radością, jakiej dotąd nigdy nie okazywała, a która w okresie żałoby wydawała się mało stosowna.

– Mam dla ciebie niespodziankę – oznajmiła.

– Ja dla ciebie też. Ale twoja pierwsza.

Irina niecierpliwie poprowadziła go do granitowego stołu w kuchni, gdzie leżały paczuski z plecaka.

– To listy Almy. Czekałam na ciebie, żeby je otworzyć.

Paczuszki były opatrzone numerami od jednego do jedenastu. Zawierały po dziesięć kopert każda, poza pierwszą, gdzie było tylko sześć listów i kilka rysunków. Usiedli na kanapie i przejrzeni koperty w kolejności, w jakiej ułożyła je ich właścicielka. W sumie było sto czternaście listów, podpisanych po prostu „Ichi”, jedne krótkie, inne dłuższe, niektóre czysto informacyjne. Te z pierwszej paczki, pisane ołówkiem na kartkach z zeszytu dziecięcym charakterem pisma, pochodziły z Tanforanu i Topazu i były tak ocenzurowane, że ginął ich sens. Na rysunkach rozpoznawalny był czysty styl i pewna kreska z obrazu, który towarzyszył Almie w Lark House. Irina i Seth orzekli, że będą potrzebowali kilku dni, by przeczytać całą korespondencję. Kiedy przeglądali listy, zauważyli, że te z kolejnych paczuszek są

datowane, począwszy od 1969 roku; oznaczało to czterdzieści lat nieregularnej korespondencji, ale jedno się nie zmieniło: były to listy miłosne.

– Za zdjęciem Ichimeiego znalazłam też list ze stycznia dwa tysiące dziesiątego roku. Ale wszystkie te wiadomości są stare, wysyłane na adres Belasców w Sea Cliff. Gdzie podziały się te, które Alma dostawała w Lark House przez ostatnie trzy lata?

– Myślę, że to właśnie one, Irino.

– Nie rozumiem.

– Moja babcia przez całe życie zbierała listy od Ichimeiego, które dostawała w Sea Cliff, bo tam zawsze mieszkała. Potem, kiedy przeprowadziła się do Lark House, zaczęła wysyłać je co jakiś czas sama do siebie, jeden po drugim, w żółtych kopertach, które widzieliśmy. Dostawała je, czytała i chowała niczym skarb, jakby były dopiero napisane.

– Dlaczego miałyby robić coś takiego? Alma była przy zdrowych zmysłach. Nigdy nie wykazywała objawów starczej demencji.

– To właśnie jest najciekawsze. Robiła to z pełną świadomością, w ten praktyczny sposób chciała utrzymać przy życiu swoją wielką miłość. Ta staruszka, która zdawała się zrobiona z kuloodpornego materiału, w głębi duszy była nieuleczalną romantyczką. Jestem pewien, że wysyłała sobie też co tydzień gardenie i że podczas tych swoich eskapad nie widywała się z kochankiem; jeździła sama do domku w Point Reyes, żeby ponownie przeżywać spotkania z przeszłości, śnić o nich, skoro już nie mogła dzielić ich z Ichimeim.

– Dlaczego nie? Przecież wracała ze spotkania z nim, kiedy doszło do wypadku. Ichimei przyszedł do szpitala, żeby się z nią pożegnać, widziałam, jak ją całował, wiem, że się kochali.

– Nie mogłaś go widzieć, Irino. Zdziwiło mnie, że nie wiedział o śmierci babci, przecież wiadomość ukazała się w gazetach. Skoro kochał ją tak, jak sądzimy, powinien był zjawić się na pogrzebie albo złożyć nam kondolencje podczas szuwy. Dziś postanowiłem go odszukać, chciałem go poznać i rozwiązać niektóre wątpliwości dotyczące babci. To nie było trudne, wystarczyło pojechać do szkółki Fukudów.

– Nadal istnieje?

– Tak. Prowadzi ją Peter Fukuda, jeden z synów Ichimeiego. Kiedy się przedstawiłem, przyjął mnie niezwykle ciepło, wiedział o rodzinie Belasców. Zawołał swoją matkę, Delphine. To bardzo miła i ładna kobieta, ma taką azjatycką twarz, która zdaje się nie starzeć.

– Żona Ichimeiego. Alma opowiadała nam, że poznała ją na pogrzebie twojego pradziadka.

– Nie jest żoną Ichimeiego, Irino, jest wdową. Ichimei umarł na zawał trzy lata temu.

– To niemożliwe! – wykrzyknęła dziewczyna.

– Umarł mniej więcej w tym czasie, kiedy babcia przeprowadziła się do Lark House. Może oba te wydarzenia się ze sobą wiążą. Myślę, że ten list z dwa tysiące dziesiątego roku, ostatni, który Alma otrzymała, był jego pożegnaniem.

– Widziałam Ichimeiego w szpitalu!

– Widziałaś to, co chciałaś zobaczyć.

– Nie, Seth. Jestem pewna, że to był on. Wiem już, co się stało: Alma tak mocno go kochała, że zdołała sprawić, iż po nią przyszedł.

8 stycznia 2010 r.

Jakże żywiłowy i niespokojny jest świat, Almo! Kręci się i kręci. Jediną stałą rzeczą jest to, że wszystko się zmienia. Możemy odkryć tę tajemnicę, jedynie będąc w stanie bezruchu. Przeżywam bardzo ciekawy okres. Zafascynowany obserwuję zmiany w ciele, ale ta obserwacja nie dokonuje się z jakiegoś odległego punktu, lecz ze środka. Mój umysł i moje ciało razem przechodzą ten proces. Wczoraj powiedziałaś mi, że tęsknisz za złudzeniem nieśmiertelności z młodych lat. Ja nie. Cieszy mnie bycie dojrzałym mężczyzną, żeby nie powiedzieć starym. Gdybym miał umrzeć za trzy dni, czym bym je wypełnił? Niczym! Opróżniłbym się ze wszystkiego poza miłością.

Wiele razy powtarzaliśmy sobie, że naszym przeznaczeniem jest wzajemna miłość, kochaliśmy się w poprzednich wcieleniach i nadal będziemy się spotykać w tych przyszłych. A może wcale nie ma przeszłości ani przyszłości i wszystko dzieje się jednocześnie w nieskończonej liczbie wymiarów wszechświata? W takim przypadku jesteśmy razem bez przerwy, na zawsze.

Jak cudownie jest żyć. Wciąż mamy po siedemnaście lat, moja Almo.

Ichi